

02 Bezgwiezdna noc

Salvatore R.A.



calibre 0.7.37

„Salvatore znów przywołuje w doskonały sposób magię Zapomnianych Krain... Nieważne, czy jesteś nowym gościem na tych ziemiach, czy też jesteś dobrze obeznany z ich zwyczajami, książka ta proponuje ci przyjemną i ekscytującą podróż.”

- West Coast Review of Books

Art & Entertainment

FORGOTTEN REALMS

Bezgwiezdna noc

R.A. Salvatore

Tłumaczenie:

Piotr Kucharski

Tytuł oryginału:

STARLESS NIGHT

A pierwszego dnia Ed stworzył świat ZAPOMNIANYCH KRAIN, dając tym mojej wyobraźni miejsce, w którym mogła zamieszkać.

Dla Eda Greenwooda, z podziękowaniami i podziwem.

PRELUDIUM

Drizzt przejechał palcami po kształtach statuetki przedstawiającej czarną panterę, której czarny

onyks był idealnie gładki, bez skaz nawet w okolicach umięśnionego karku. Wyglądała tak samo jak Guenhwyvar, była jej idealnym odzwierciedleniem. Jakże Drizzt mógł się teraz zmusić, by się z nią rozstać, w pełni przekonany, że już nigdy więcej nie ujrzy wielkiej pantery?

- Żegnaj Guenhwyvar - wyszeptał drow tropiciel, a gdy spojrzał na figurkę, na jego twarzy wymalował się smutek. - Sumienie nie pozwala mi zabrać cię ze sobą w tę podróż, bowiem bardziej obawiałbym się o twój los niż o mój. - W jego westchnieniu słychać było szczerą rezygnację. Wraz z przyjaciółmi walczyli długo i ciężko, by osiągnąć ten stan pokoju, jednak Drizzt doszedł do przekonania, iż to zwycięstwo było fałszywe. Chciał temu zaprzeczyć, chciał wsunąć Guenhwyvar z powrotem do sakiewki i na ślepo pójść dalej, mając nadzieję na najlepsze.

Drizzt otrząsnął się z tej chwili słabości i podał figurkę Regisowi, halflingowi,

Regis wpatrywał się przez długą, milczącą chwilę z niedowierzaniem w Drizta, zszokowany tym, co drow mu powiedział i czego od niego wymagał.

- Pięć tygodni - przypomniał mu Drizzt.

Anielskie, chłopięce rysy halflinga zmarszczyły się. Gdyby Drizzt nie wrócił w przeciągu pięciu tygodni, Regis miał oddać Guenhwyvar Catti-brie i powiedzieć jej oraz królowi Bruenorowi prawdę na temat odejścia Drizta. Z mrocznego i posępnego tonu drowa Regis rozumiał, że Drizzt nie spodziewa się wrócić.

Pchnięty nagłym impulsem, halfling upuścił figurkę na łóżko i zaczął gmerać przy wiszącym na jego szyi łańcuszku, którego klamra zaplątała się w długich, mocno skręconych lokach jego brązowych włosów. W końcu zdołał ją odpiąć i zdjął wisiorek - duży, magiczny rubin.

Teraz Drizzt był zszokowany. Znał wartość klejnotu Regisa oraz jego zaborczą miłość do tego przedmiotu. Powiedzieć, że Regis zachowuje się niezgodnie ze swoim charakterem, byłoby ogromnym niedomówieniem.

- Nie mogę - spierał się Drizzt, odpychając kamień. - Mogę nie wrócić i on może zagać...

- Weź to! - zażądał ostro Regis. - Za to wszystko co dla mnie... co dla nas zrobiłeś, z pewnością na to zasługujesz. Zostawienie Guenhwyvar to jedno, bowiem rzeczywiście byłoby tragedią, gdyby pantera wpadła w łapy twoich złych pobratymców, jednak to jest tylko magiczna zabawka, a nie żywa istota, a może pomóc ci podczas podróży. Zabierz to, tak jak zabierasz swoje sejmitary. - Halfling przerwał, jego miękkie spojrzenie skrzyżowało się z fioletowymi oczyma Drizta. - Mój przyjacielu.

Regis strzelił nagle palcami, przerywając chwilę ciszy. Pobiegł przez pokój, jego bosc stopy kłapały po zimnym kamieniu, a nocna koszula delikatnie powiewała. Z szuflady wyciągnął kolejny przedmiot, raczej nie wyróżniającą się niczym szczególnym maskę.

- Odzyskałem ją - powiedział, nie chcąc ujawnić całej historii związanej z tym, jak zdobył ten znajomy przedmiot. Tak naprawdę Regis wyszedł z Mithrilowej Hali i znalazł Artemisa Entreri wiszącego bezradnie na wystającej skale wysoko ponad zboczem parowu. Regis szybko ograbił zabójcę, po czym przeciął szew w jego płaszczu. Potem słuchał z pewną dozą satysfakcji jak ów płaszcz, jedyna rzecz, która utrzymywała poszarpanego, ledwo przytomnego mężczyznę w powietrzu, zaczął się drzeć.

Drizzt przyglądał się długo magicznej masce. Ponad rok temu zabrał ją z siedziby banshee. Używająca jej osoba mogła zmienić cały swój wygląd, ukryć swą tożsamość.

- To powinno ci pomóc wejść i wydostać się - powiedział z nadzieją Regis. Drizzt mimo to nie poruszył się.

- Chcę, żebyś ją wziął - nalegał Regis, źle rozumiejąc wahanie drowa i wyciągając jaw stronę Drizzta. Regis nie zdawał sobie sprawy ze znaczenia, jakie maska miała dla Drizzta Do'Urdena. Drizzt nosił ją kiedyś, by ukryć swą tożsamość, bo wiem mroczny elf przemierzający powierzchnię świata nie mógł czuć się zbyt bezpiecznie. Zaczął postrzegać tę maskę jako kłamstwo, jakkolwiek użyteczna mogłaby być, i po prostu nie był w stanie znów jej założyć, niezależnie od korzyści, jakie mogła przynieść.

Czy też mógł? Drizzt zastanawiał się, czy mógł odrzucić ten dar. Jeśli maska mogła pomóc w jego sprawie - sprawie, która z pewnością wpłynie na tych, których pozostawi za sobą- to czyż założenie jej nie leżało w zgodzie z sumieniem?

Nie, zdecydował w końcu, maska nie była aż tak cenna dla jego sprawy. Trzy dekady poza miastem było długim czasem, a nie wyróżniał się aż tak bardzo wyglądem, z pewnością nie był zaś tak znany, by obawiać się, że ktoś go rozpozna. Podniósł rozłożoną dłoń, odrzucając podarek, a Regis, po jeszcze jednej niepomyślnej próbie, wzruszył swymi małymi ramionami i odłożył maskę.

Drizzt odszedł, nie mówiąc już nic. Do świtu pozostało jeszcze wiele godzin. Na górnych poziomach Mithrilowej Hali dogasały pochodnie i niewielu krasnoludów krzątało się w okolicy. Wydawało się być idealnie cicho i spokojnie.

Szczupłe palce mrocznego elfa, dotykając lekko, nie powodując żadnego dźwięku, musnęły wzór na drewnianych drzwiach. Nie miał zamiaru przeszkadzać osobie, która znajdowała się wewnątrz, choć wątpił, czy jej sen był spokojny. Tej nocy Drizzt chciał iść do niej i ją pocieszyć, jednak nie zrobił tego, wiedział bowiem, że jego słowa nie uczyniłyby wiele, by złagodzić żal Catti-brie. Podobnie jak podczas wielu innych nocy, kiedy stał przy tych drzwiach, niczym czujny i bezradny strażnik. Tropicieł odszedł w końcu kamiennym korytarzem, przemyskując przez cienie nisko płonących pochodni, a jego stopy nie wydały nawet najłżejszego szmeru.

Po zaledwie krótkim przystanku przy innych drzwiach, drzwiach do jego najdroższego krasnoludzkiego przyjaciela, Drizzt opuścił zamieszkałe obszary. Dotarł do miejsca formalnych zebrań, gdzie król Mithrilowej Hali zabawiał przyjezdnych wysłanników. Znajdowało się tu paru

krasróludów - prawdopodobnie żołnierzy Dagny - nie usłyszeli jednak ani nie dostrzegli, że przechodzi obok nich drow.

Drizzt znów przystanął, dotarłszy do wejścia do Sali Dumathoina, gdzie krasróludy z klanu Baltlehammer przechowywały swoje najcenniejsze przedmioty. Wiedział, że powinien iść dalej, powinien opuścić to miejsce, zanim klan zacznie się krzątać, nie mógł jednak zignorować emocji kłębiących się w jego sercu. Nie przychodził do tej świętej komnaty od dwóch tygodni, odkąd jego pobratymcy zostali pokonani, wiedział jednak, że nie wybaczyłby sobie, gdyby nie spojrział choć raz.

Potężny młot bojowy, Aegis-fang, spoczywał na kolumnie na środku ozdobnej sali, w najbardziej zaszczytnym miejscu. Wydawał się tam pasować, bowiem dla fioletowych oczu Drizzta Aegis-fang dalece przewyższał wszystkie inne artefakty: lśniące zbroje, wielkie topory oraz hełmy dawno zmarłych bohaterów, kowadło legendarnego kowala. Drizzt uśmiechnął się na myśl, że ten młot nigdy nie był używany przez krasróluda. Był bronią Wulfgara, przyjaciela Drizzta, który dobrowolnie oddał swe życie, by inni z jego niewielkiej drużyny mogli przetrwać.

Drizzt wpatrywał się długo i bacznie w potężną broń, w lśniącą mithrilową głowicę, bez żadnego zadrapania pomimo wielu gwałtownych bitew, których młot był świadkiem, na której wyryto idealnie linie pieczęci krasróludzkiego boga Dumathoina. Spojrzenie drowa przesunęło się w dół broni, osiadając na zaschniętej krwi na rękojeści z ciemnego adamantytu. Bruenor, uparty Bruenor, nie pozwolił, by wytrzeć krew.

Przez myśli drowa przemknęły wspomnienia o Wulfgarze, o walkach u boku tego wysokiego, silnego mężczyzny, o jego złotych włosach i złotej skórze. W swoich myślach Drizzt znów spojrzął w jasne oczy Wulfgara, w ich lodowaty błękit północnego nieba, w oczy zawsze wypełnione iskrami ekscytacji. Wulfgar był tylko chłopcem, jego dusza nie dała się ujarzmić twardej rzeczywistości brutalnego świata.

Tylko chłopcem, jednak takim, który dobrowolnie, z pieśnią na ustach, poświęcił wszystko dla tych, których nazywał swymi przyjaciółmi.

- Żegnaj - wyszeptał Drizzt i zniknął, tym razem biegnąc, choć nie głośniejszym niż wcześniej szedł. Po kilku sekundach minął balkon i zszedł po schodach do rozległej i wysokiej komnaty. Przeszedł przed czujnymi oczyma ośmiu królów Mithrilowej Hali, których podobizny zostały wyrzeźbione w kamiennej ścianie. Ostatni z wizerunków, przedstawiający króla Bruenora Battlehammera, był najbardziej uderzający. Bruenor miał ponurą twarz, zaś owa posępność była jeszcze bardziej zintensyfikowana przez głęboką szramę biegnącą od czoła do zuchwy oraz pusty prawy oczodół.

Drizzt wiedział, iż zranione zostało więcej niż tylko oko Bruenora. Zranione zostało więcej niż tylko twarde jak skała i nieugięte krasróludzkie ciało. Najbardziej cierpiała dusza Bruenora, ugodzona stratą chłopca, którego nazywał synem. Czy krasrólud miał równie silną duszę jak ciało? Drizzt nie znał odpowiedzi. W tym momencie, spoglądając na przeciętą blizną twarz Bruenora, Drizzt czuł, że powinien zostać, powinien usiąść przy swoim przyjaciólu i pomóc mu zaleczyć rany.

Była to przelotna myśl. Jakie rany mogły być jeszcze zadane kra-snoludowi? Krasnoludowi i wszystkim jego pozostałym przyjaciołom?

* * *

Catti-brie miotła się i wiła, znów przeżywając tę pamiętną chwilę, podobnie jak każdej nocy - a przynajmniej każdej, kiedy wyczerpanie pozwalało jej zasnąć. Słyszała Wulfgara śpiewającego do Tempusa, swego boga bitwy, i widziała pogodę w spojrzeniu potężnego barbarzyńcy, pogodę, która pozwalała mu uderzać w osłabiony kamienny strop, choć wszędzie wokół niego spadały bloki granitu.

Catti-brie widziała głębokie rany Wulfgara, biel kości, jego skórę oderwaną od żeber przez rekinie zęby yochlola, zlej, poza wymiarowej bestii, paskudnej bryły woskowatego ciała, które przypominało na wpół stopioną świecę.

Ryk, jaki rozległ się, gdy strop zawalił się na głowę jej miłości, spowodował, że Catti-brie podniosła się na swoim łóżku, oblana zimnym potem, a jej gęste, kasztanowe włosy przykleiły się do twarzy. Potrzebowała długiej chwili, by uspokoić oddech, powtarzając sobie raz za razem, że to tylko sen, straszne wspomnienie, dotyczące jednak wydarzenia, które już minęło. Światło pochodni przezierające przez kontur jej drzwi pocieszało ją i uspokajało.

Miała na sobie jedynie cienką koszulę, a miotając się zrzuciła koce. Na jej rękach pojawiła się gęsia skórka, było jej zimno, wilgotno i czuła się nieszczęśliwa. Gwałtownie chwyciła najgrubszy ze swych koców i nakryła się nim aż po szyję, po czym położyła płasko na łóżku, wpatrując się w ciemność.

Coś było nie w porządku. Czuła, że coś jest nie na miejscu.

Młoda kobieta powtarzała sobie racjonalnie, że zbyt wiele sobie wyobrażała ze niepokój ąj ą sny. Świat nie był dla niej sprawiedliwy, był daleki od sprawiedliwości, mówiła sobie jednak stanowczo, że znajduje się w Mithrilowej Hali, otoczona armią przyjaciół.

Mówiła do siebie, że zbyt wiele sobie wyobraża.

Drizzt był już daleko od Mithrilowej Hali, kiedy wstało słońce. Tego dnia nie usiadł i nie podziwiał świtu, jak to leżało w jego zwyczaju. Ledwo spojrzał na podnoszące się słońce, bowiem wydawało mu się teraz fałszywą nadzieją na rzeczy, które nie mogą istnieć. Kiedy początkowy jaskrawy blask zmniejszył się, drow spojrzał na południe i wschód, daleko za góry, i przypomniał sobie.

Jego dłoń podążyła do szyi, do hipnotycznego wisiorka, który dał mu Regis. Wiedział, jak bardzo halfling polegał na tym klejnocie, jak go kochał, i znów zastanowił się nad jego ofiarą ofiarą

prawdziwego przyjaciela. Drizzt znał prawdziwą przyjaźń, jego życie stało się bogatsze, odkąd wkroczył do jałowej krainy zwanej Doliną Lodowego Wichru i poznał Bruenora Battlehammera oraz jego adoptowaną córkę Catti-brie. Drizzt czuł ból myśląc, że może ich już nigdy więcej nie zobaczyć.

Drow cieszył się jednak, że ma magiczny wisiołek, przedmiot, który może mu pozwolić uzyskać odpowiedzi i wrócić do swoich przyjaciół, choć czuł więcej niż tylko lekką winę za decyzję o powiedzeniu Regisowi o swoim odejściu. Wybór ten wydawał się Drizztowi słabością potrzebą polegania na przyjaciółach, którzy, w tym mrocznym okresie, niewiele mogli dać. Mógł to tłumaczyć jednak jako konieczne zabezpieczenie dla przyjaciół, których zostawiał za sobą. Poleciał Regisowi, by powiedział Bruenorowi prawdę za pięć tygodni, by w razie gdyby podróż Drizzta okazała się nieskuteczna, klan Battlehammer miał przynajmniej czas, by przygotować się na ciemność, która mogła nadejść.

Był to logiczny czyn, jednak Drizzt musiał przyznać, że powiedział to wszystko Regisowi również ze względu na siebie.

A co z magiczną maską? - zastanawiał się. Czy odrzucając ją, również okazał słabość? Ten potężny przedmiot mógł mu pomóc, a co za tym idzie, mógł pomóc jego przyjaciołom, jednak nie miał dość siły, by ją nosić, nawet by jej dotknąć.

Wszędzie wokół drowa unosiły się wątpliwości, krążyły w powietrzu, szydząc z niego. Drizzt westchnął i potarł rubin pomiędzy swymi szczupłymi, czarnymi dłońmi. Pomimo swojego obycia z bronią, pomimo ogromnego poświęcenia zasadom, pomimo całego tropicielskiego stoicyzmu, Drizzt Do'Urden potrzebował swoich przyjaciół. Zerknął z powrotem na Mithrilową Halę i zaczął zastanawiać się, dla własnego dobra, czy słusznie zrobił, podejmując się tego zadania samotnie i w tajemnicy.

Kolejna słabość, uznał uparty Drizzt. Wypuścił rubin, odrzucił krążące wątpliwości i wsunął dłoń za swój zielony niczym las płaszcz podróżny. Z jednej z jego kieszeni wyciągnął pergamin, mapę krain pomiędzy Górami Grzbietu Świata a Wielką Pustynią Anauroch. W dolnym prawym rogu Drizzt zaznaczył miejsce, położenie jaskini, z której niegdyś wyszedł, jaskini, która zaprowadzi go do domu.

Część 1

ZWIĄZANY OBOWIĄZKIEM

Żadna rasa w całych Krainach nie rozumie lepiej słowa zemsta niż drowy. Zemsta jest dla nich deserem na codziennym stole, słodkością, którą smakują swymi uśmiechniętymi wargami, jakby była największą delicyją i przyjemnością. Tak więc głodne jej drowy zwróciły się w moją stronę.

Nie mogę uciec przed gniewem i winą, jakie odczuwam z powodu straty Wulfgara, z powodu bólu, jaki wrogowie z mojej mrocznej przeszłości sprowadzili na przyjaciół, którzy są mi tak drodzy. Za każdym razem, gdy spoglądam w piękną twarz Catti-brie, widzę głęboki i nieprzerwany smutek, którego nie powinno tam być, brzemię, na które nie ma miejsca w roziskrzonych oczach dziecka.

Jako podobnie zraniony nie mam stów, by ją pocieszyć, i wątpię, czy istnieją słowa, które mogłyby przynieść ukojenie. Moim zadaniem jest więc chronić dalej mych przyjaciół. Zdałem sobie sprawę, że muszę wyjść spojrzeniem poza moje poczucie straty Wulfgara, poza smutek, który ogarnął krasnoludy z Mithrilowej Hali oraz twardych ludzi z Settlestone.

Według świadectwa Catti-brie o tej pamiętnej walce, stworzeniem, z którym zmagał się Wulfgar, był yochlol, sluga Lloth. Z powodu tej ponurej informacji muszę wyjść poza aktualny smutek i przygotować się na to, co może jeszcze nadejść.

Nie rozumiem wszystkich chaotycznych gier Pajęczej Królowej - wątpię, czy nawet źle wysokie kapłanki znają prawdziwe projekty tego niegodziwego stworzenia -jednak w obecności yochlola kryje się znaczenie, którego nawet ja, najgorszy z drowich teologów, nie mogę przegapić. Pojawienie się sługi ujawniło, iż polowanie zostało uświęcone przez Pajęczą Królową. Fakt zaś, że yochlol włączył się do walki, nie wróży dobrze na przyszłość Mithrilowej Hali.

To wszystko są oczywiście przypuszczenia. Nie wiem, czy moja siostra Vierna działała we współpracy z innymi mrocznymi mocami Menzoberranzan albo też czy po śmierci Vierny, śmierci mojej ostatniej krewnej, moja więź z miastem znów będzie badana.

Kiedy spoglądam w oczy Catti-brie, kiedy patrzę na straszne blizny Bruenora, przypominają mi one, że przypuszczenia pełne nadziei są niebezpieczne. Moi źli pobratymcy zabrali mi jednego przyjaciela.

Nie wezmą już nikogo więcej.

Nie znajdę odpowiedzi w Mithrilowej Hali, nie będę pewien, czy mroczne elfy wciąż są żądne zemsty, dopóki ktoś z Menzoberranzan nie wyjdzie znów na powierzchnię, by zażądać nagrody za moją głowę. Gdy ta prawda ciąży na moich ramionach, jak mogę dalej podróżować do Silverymoon albo do innego pobliskiego miasta, powracając do wcześniejszego stylu życia? Jak mogę spać spokojnie, kiedy moje serce będzie trzymał niezwykle rzeczywisty strach, że mroczne elfy mogą wkrótce wrócić i znów zagrozić moim przyjaciołom?

Wyraźny spokój Mithrilowej Hali, jej cisza, nie ukazały mi żadnych planów przyszłości obmyślanych przez drowy. Jednak, dla dobra mych przyjaciół, muszę poznać te mroczne intencje. Obawiam się, że pozostaje mi tylko jedno miejsce, w którym mogę ich szukać.

Wulfgar oddał swoje życie, by jego przyjaciele mogli przetrwać. Czy, w zgodzie z sumieniem, moja ofiara może być mniejsza?

- DrizztDo'Urden

ROZDZIAŁ 1

AMBICJA

Najemnik oparł się o kolumnę, od której rozpoczynały się szerokie schody Tier Breche, na północnym krańcu jaskini, w której mieściło się Menzoberranzan, miasto drowów. Jarlaxle zdjął swój kapelusz o szerokim rondzie i przejechał dłonią po ogolonej na łyso głowie, wymrukując pod nosem parę przekleństw.

W mieście paliło się wiele świateł. W wysokich oknach domów wykutych z naturalnych formacji stalagmitowych migotały pochodnie. Światła w mieście drowów! Wiele z zawiłych budowli było udekorowanych delikatnym blaskiem ognia faerie, głównie purpurowymi i niebieskimi odcieniami, te jednak były inne.

Jarlaxle przesunął się na bok i skrzywił, przeniósłszy ciężar na niedawno ranną nogę. Raną zajęła się sama Triel Baenre, mistrzyni opiekunka Arach-Tinilith, jedna z najwyższych rangą kapłanek w mieście, jednak Jarlaxle podejrzewał, że niegodziwa księżniczka celowo nie dokończyła swej pracy, pozostawiając odrobinę bólu, który miał przypominać najemnikowi o porażce w schwytaniu renegata Drizta Do'Urdena.

- Blask rani moje oczy - dobiegła z tyłu sarkastyczna uwaga. Jarlaxle odwrócił się i ujrzał najstarszą córkę opiekunki Baenre, tę samą Triel. Była niższa niż większość drowów, nosiła się jednak z niezaprzeczalną godnością i powagą. Jarlaxle znał jej moce (oraz zmienny temperament) lepiej niż inni i z pewnością traktował niewielką kobietę z najwyższą ostrożnością.

Wpatrując się z przymrużonymi oczyma w miasto, podeszła do niego. - Przeklęty blask - mrugnęła.

- To na rozkaz twojej opiekunki - przypomniał jej Jarlaxle. Jego jedno zdrowe oko unikało jej wzroku, drugie zaś znajdowało się pod ciemną przepaską, zawiązaną z tyłu głowy. Założył z powrotem swój wielki kapelusz i naciągnął go nisko, starając się ukryć uśmiezek na widok jej grymasu.

Triel nie była zadowolona ze swojej matki. Jarlaxle wiedział to od momentu, jak opiekunka Baenre zaczęła zdradzać swoje plany. Triel była chyba najbardziej fanatyczną z kapłanek Pajęczej

Królowej i nie wystąpiłaby przeciwko opiekunce Baenre, pierwszej opiekunce miasta - chyba że poleciałaby jej to Lloth.

- No chodź - warknęła kapłanka. Odwróciła się i przeszła przez Tier Breche do największego i najbardziej ozdobnego z trzech budynków akademii drowów, wielkiej struktury ukształtowanej tak, by przypominała gigantycznego pająka.

Jarlaxle celowo pojękiwał i zwalniał z każdym kulejącym krokiem. Jego próby doproszenia się odrobiny magii leczącej nie były jednak skuteczne, bowiem Triel zatrzymała się po prostu przy wrotach do wielkiego budynku i czekała na niego z cierpliwością, która, jak wiedział Jarlaxle, była niezgodna z jej charakterem.

Zaraz po wejściu do świątyni najemnik został zaatakowany przez miriady aromatów, od zapachu kadzideł po woń wysychającej krwi ostatnich ofiar, oraz przez śpiewy dochodzące z każdego bocznego wejścia. Triel nie zwróciła na nic uwagi, nic nie zrobiła sobie również z kilku uczennic, które ukloniły się, widząc, jak idzie korytarzami.

Pochłonięta jedną myślą, córka Baenre przeszła na najwyższe poziomy, do prywatnych kwater mistrzyni szkoły, i wkroczyła do małego korytarza, którego podłoga była wręcz żywa od pełzających pajaków (w tym kilku sięgających Jarlaxle'owi do kolan).

Triel zatrzymała się przed dwoma równie ozdobnymi drzwiami i wskazała Jarlaxle'owi, by wszedł w te po prawej. Najemnik przystanął, starając się ukryć swoje zakłopotanie, lecz Triel spodziewała się tego.

Chwyciła go za ramię i szorstko obróciła. - Byłeś tu już wcześniej ! - rzuciła oskarżające.

- Tylko po ukończeniu szkoły wojowników-po wiedział Jarlaxle, odsuwając się od kobiety. - Jak wszyscy wychowankowie Melee-Maghtere.

- Byłeś na górnych poziomach - warknęła Triel, spoglądając prosto na Jarlaxle'a. Najemnik zachichotał.

- Zawahałeś się, gdy wskazałam ci, abyś wszedł do komnaty -ciągnęła Triel. - Wiedziałeś bowiem, że te po lewej to moje prywatne pokoje. Właśnie tam spodziewałeś się pójść.

- W ogóle nie spodziewałem się, że zostanę tu wezwany - odparł Jarlaxle, próbując zmienić temat. Rzeczywiście był trochę zbity z tropu, gdy Triel przyglądała mu się tak uważnie. Czyżby nie docenił jej niepokoju co do ostatnich planów jej matki?

Triel wpatrywała się w niego długo i stanowczo, nie mrugając.

- Mam swoje źródła - przyznał w końcu Jarlaxle. Minął kolejny długi moment, a Triel wciąż nie mrugnęła. -Poprosiłaś, żebym przyszedł-przypomniał jej Jarlaxle.

- Zażądałam - sprostowała Triel.

Jarlaxle pochylił się w niskim, przesadzonym ukłonie, zrywając kapelusz i wymachując nim na odległość wyciągniętej ręki. Oczy córki Baenre zabłyśły złością.

-Dość! -wrzasnęła.

- I dość twoich gier! - odwarknął Jarlaxle. - Poprosiłaś, żebym przyszedł do akademii, miejsca, w którym nie czuję się najlepiej, ale przyszedłem. Masz pytania, zaś ja, być może, mam odpowiedzi.

Jego zastrzeżenie zawarte w ostatnim zdaniu spowodowało, że Triel zmrużyła oczy. Podobnie jak każdy w mieście wiedziała, że Jarlaxle jest chytrym przeciwnikiem. Wielokrotnie załatwiała interesy z przebiegłym najemnikiem i wciąż nie była do końca pewna, czy złamała się wobec niego, czy nie. Odwróciła się i wskazała, by wszedł w lewe drzwi, on zaś, po kolejnym wyrażającym wdzięczność ukłonie, uczynił to, wchodząc do wyłożonego grubym dywanem i ozdobionego pokoju, który był oświetlony delikatnym magicznym blaskiem.

- Zdejmij buty - poleciła Triel i sama zdjęła swoje, zanim weszła na okazałą wykładzinę.

Jarlaxle stał tuż za progiem pod ozdobioną gobelinem ścianą, spoglądając z powątpiewaniem na swoje buty. Każdy, kto znał najemnika, wiedział, że są one magiczne.

- Bardzo dobrze - stwierdziła Triel, zamykając drzwi i przemykając obok niego, by zająć miejsce w dużym, nadmiernie wymoszczonym fotelu. Stało przed nią zasuwane biurko, z tyłu zaś wisiał jeden z licznych gobelinów, przedstawiający ofiarę składaną z gigantycznego elfa z powierzchni przez horde tańczących drowów. Ponad elfem majaczyło niemal przejrzyste widmo, w połowie drowka, w połowie pająk, z piękną i pogodną twarzą.

-Nie lubisz światła swojej matki? - spytał Jarlaxle. - Sama oświetlasz swój pokój?

Triel przygryzła dolną wargę i znów zmrużyła oczy. Większość kapłanek utrzymywało w swych prywatnych komnatach przyćmione światło, aby mogły czytać swoje księgi. Wyczuwająca ciepło infrawizja nie przydawała się zbytnio w dostrzeganiu runów na stronach. Istniały atramenty, które potrafiły zachować przez wiele lat słabe ciepło, były jednak drogie i trudno dostępne nawet dla kogoś tak potężnego jak Triel.

Jarlaxle wpatrywał się w ponurą twarz córki Baenre. Triel zawsze była na coś wściekła, pomyślał najemnik. - Tamte światła wydają się pasować do tego, co zaplanowała twoja matka - ciągnął.

- W istocie -zauważyła Triel zjadliwym tonem. - A czy ty jesteś takim arogantem, że sądzisz, iż rozumiesz motywę mojej matki?

- Pójdzie do Mithrilowej Hali - powiedział otwarcie Jarlaxle, wiedząc, że Triel już dawno temu

wyciągnęła ten sam wniosek.

- Czyżby? - spytała nieśmiało Triel.

Ta zagadkowa odpowiedź zaniepokoiła najemnika. Podeszedł o krok w stronę drugiego, mniej obitego fotela, a jego pięty mocno stuknęły, chociaż szedł po niewyobrażalnie grubym i miękkim dywanie.

Triel uśmiechnęła się, magiczne buty nie zrobiły na niej wrażenia. Było powszechnie wiadomo, że Jarlaxle potrafił iść tak cicho lub tak głośno, jak tylko zapragnął. Jego krzykliwa biżuteria, bransolety i inne cacka wydawały się podobnie zakłète, bowiem dzwoniły lub pozostawały absolutnie bezszelestne, zaley czego sobie życzył najemnik.

- Jeśli zrobisz w moim dywanie dziurę, wypełnię ją twoim sercem - obiecała Triel, gdy Jarlaxle rozsiadł się wygodnie w obszytym kamiennym fotelu, wygładzając fałdę na poręczy, by materiał ukazał pełen obraz czamo-żółtego pająka gee'antu, zamieszkującej w Podmroku odmiany tarantuli z powierzchni.

- Dlaczego podejrzewasz, że twoja matka tam nie pójdzie? - spytał Jarlaxle, celowo ignorując groźbę, choć z tego, co wiedział o Triel Baenre, szczerze zastanawiał się, czy włókna dywanu nie oplatały przypadkiem innych serc.

- A tak jest? - spytała Triel.

Jarlaxle westchnął przeciągle. Spodziewał się, że będzie to spotkanie, podczas którego Triel będzie wyciągać wszelkie skrawki informacji, które najemnik już uzyskał, niewiele oferując w zamian. Mimo to, kiedy Triel nalegała, żeby Jarlaxle przyszedł do niej, zamiast ich zwyczajowych spotkań, kiedy to wychodziła z Tier Breche, żeby porozmawiać z najemnikiem, Jarlaxle miał nadzieję na coś więcej. Szybko stawało się dla niego oczywiste, iż jedynym powodem, dla którego Triel chciała spotkać się w Arach-Tinilith, był fakt, iż w tym bezpiecznym miejscu nie usłyszą ich wścibskie uszy jej matki.

Teraz zaś, po tych wszystkich kłopotliwych przygotowaniach, to wielce ważne spotkanie stało się beżużytecznym przekomarżaniem.

Triel wydawała się równie wzburzona. Wychyliła się nagle ze swego fotela, a w jej twarzy płonął żar. - Ona pragnie dziedzictwa! - oznajmiła kobieta.

Bransolety Jarlaxle'a zadzwoniły, gdy potarł o siebie palcami, sądząc, że w końcu udało im się gdzieś zajść.

- Opiekunce Baenre nie wystarcza już władza nad Menzoberranzan - ciągnęła Triel, spokojniej, i znów się oparła. - Musi rozszerzyć swą sferę wpływów.

- Sądziłem, że wizja twojej matki została jej dana przez Lloth -zauważył Jarlaxle i był szczerze zdumiony wyraźnym niesmakiem na twarzy Triel.

- Być może - przyznała Triel. - Pajęcza Królowa ucieszyłaby się z podboju Mithrilowej Hali, zwłaszcza jeśli doprowadziłby on z kolei do ujęcia tego renegata Drizzta Do'Urdena. Trzeba jednak wziąć pod uwagę inne rzeczy.

- Blingdenstone? - spytał Jarlaxle, mając na myśli miasto svirf-nebli, głębinowych gnomów, tradycyjnych przeciwników drowów.

- To jest jedno - odparła Triel. - Blingdenstone leży niedaleko od ścieżki do tuneli, które prowadzą do Mithrilowej Hali.

- Twoja matka wspomniała, że ze svirfnebli będzie można załatwić odpowiednio sprawę podczas drogi powrotnej - zasugerował Jarlaxle, uznając, że musi wtrącić jakiś kasek, aby Triel wciąż tak otwarcie z nim rozmawiała. Najemnikowi wydawało się, iż Triel musi być głęboko wzburzona, jeśli pozwala mu na takie wejrzenie w jej najbardziej osobiste uczucia i obawy.

Triel przytaknęła, przyjmując tę informację ze stoicyzmem i bez zaskoczenia. - Trzeba wziąć pod uwagę inne rzeczy - powtórzyła.

- Zadanie, którego podejmuje się opiekunka Baenre, wymaga sprzymierzeńców, być może nawet ilithidów.

Rozmowanie córki Baenre głęboko poruszyło Jarlaxle'a. Opiekunka Baenre od dawna trzymała przy sobie ilithida, jedną z najbrzydszych i najniebezpieczniejszych bestii, jakie kiedykolwiek widział najemnik. Nigdy nie czuł się najlepiej przy humanoidach o głowach jak ośmiornice. Jarlaxle przetrwał dzięki temu, że rozumiał i potrafił przechytryć swoich wrogów, jednak jego umiejętności nie zdawały się na nic w przypadku ilithidów. Łupieżcy umysłu, tak bowiem nazywano członków tej złej rasy, po prostu nie myśleli w taki sam sposób jak inne gatunki i postępowały zgodnie z zasadami i regułami, których nie wydawał się znać nikt poza nimi.

Mimo to mroczne elfy często kontaktowały się ze społecznością ilithidów, odnosząc z tego korzyści. W Menzoberranzan znajdowało się dwadzieścia tysięcy wyszkolonych wojowników, podczas gdy liczba ilithidów w okolicy sięgała zaledwie setki. Obawy Triel wydawały się przesadzone.

Jednak Jarlaxle nie powiedział jej tego. Zważywszy na jej mroczny i zmienny nastrój, najemnik wolał słuchać niż mówić.

Triel wciąż potrząsała głową z typową dla siebie kwaśną miną. Zeskoczyła z fotela, a jej czarno-purpurowe, ozdobione pająkami szaty zaszeleściły, gdy wykonała obrót.

- To nie będzie sam dom Baenre - przypomniał jej Jarlaxle w nadziei, że ją uspokoi. - Wiele

domów pokazało światła w swych oknach.

- Matka odniosła sukces w zebraniu domów razem - przyznała Triel, a tempo jej nerwowego kroku zmniejszyło się.

- Jednak wciąż się obawiasz - stwierdził najemnik. - I potrzebujesz informacji, abyś mogła przygotować się na konsekwencje. - Jarlaxle nie mógł powstrzymać lekkiego, ironicznego chichotu. On i Triel byli od dawna wrogami, żadne z nich nie ufało drugiemu - i mieli po temu powody! Teraz go potrzebowała. Była kapłanką w leżącej na uboczu szkole, z dala od szeptanych w mieście plotek. W normalnych okolicznościach jej modlitwy do Pajęczej Królowej dały by jej wszystkie potrzebne informacje, jednak teraz, jeśli Lloth usankcjonowała działania opiekunki Baenre (a fakt ten wydawał się oczywisty), Triel pozostawała, dosłownie, w ciemności. Potrzebowała szpiega, a w Menzoberranzan Jarlaxle oraz jego sieć, Bregan D'aerthe, nie mieli sobie równych.

- Potrzebujemy się nawzajem - odparła wymownie Triel, odwracając się, by spojrzeć bezpośrednio na najemnika. - Matka stąpa po niebezpiecznym gruncie, to jest oczywiste. Jeśli się potknie, zastanów się, kto zajmie miejsce w rządzącym domu?

Prawda, w milczeniu stwierdził Jarlaxle. Triel, jako najstarsza córka domu, bezdyskusyjnie znajdowała się zaraz za opiekunką Baenre, zaś jako mistrzyni opiekunka Arach-Tinilith zajmowała najpotężniejsze stanowisko w mieście zaraz po matkach opiekunkach ośmiu rządzących domów. Triel już zbudowała sobie robiącą wrażenie podstawę. Wszelako w Menzoberranzan, gdzie pozory prawa nie były niczym więcej niż tylko fasadą leżącego pod spodem chaosu, podstawy były równie stabilne jak zbiorniki lawy.

- Dowiem się, czego będę mógł - odpowiedział Jarlaxle i wstał, by odejść. - I powiem ci, czego się dowiedziałem.

Triel zrozumiała zawartą w słowach przebiegłego najemnika półprawdę, musiała jednak zaakceptować jego ofertę.

Krótką chwilę później Jarlaxle szedł swobodnie szerokimi, krętymi alejami Menzoberranzan, przechodząc przed czujnymi oczyma oraz gotową do użycia bronią domowych strażników, wystawionych na niemal każdym stalagmicie - oraz na tarasach nisko wiszących stalaktytów. Najemnik nie bał się, jego szeroki kapelusz wskazywał wyraźnie każdemu w mieście, kim jest, a żaden dom nie pragnął konfliktu z Bregan D'aerthe. Była to najbardziej sekretna z band - niewiele osób w mieście byłoby w stanie choćby zgadnąć liczbę jej członków - a jej bazy były rozsiane po licznych zakątkach i szczelinach rozległej groty. Reputacja kompanii była jednak szeroko znana, tolerowana przez rządzące domy, i większość mieszkańców miasta umieściłaby Jarlaxle'a w gronie najpotężniejszych mężczyzn w Menzoberranzan.

Jarlaxle czuł się tak pewnie, iż ledwo zauważał spoczywające na nim spojrzenia niebezpiecznych strażników. Jego myśli były skierowane do wewnątrz, starał się odcyfrować subtelne komunikaty ze swojej rozmowy z Triel. Zakładany plan podboju Mithrilowej Hali wydawał się bardzo obiecujący.

Jarlaxle był w fortecy krasnoludów, widział jej środki obronne. Choć były znaczne, wydawały się tracić na znaczeniu w porównaniu z potęgą armii drowów. Kiedy Menzoberranzan podbije Mithrilową Halę, z opiekunką Baenre na czele wojska, Lloth będzie niezwykle zadowolona, a dom Baenre osiągnie szczyt swej chwały.

Jak to ujęła Triel, opiekunka Baenre otrzyma swoje dziedzictwo.

Szczyt chwały? Myśl ta zawisła w umyśle Jarlaxle'a. Przystanął przy Narbondel, wielkiej kolumnie służącej Menzoberranzan za zegar, a na jego mahoniowej twarzy rozkwitł uśmiech.

- Szczyt chwały? - wyszeptał na głos.

Nagle Jarlaxle zrozumiał niepokój Triel. Obawiała się, że jej matka może przekroczyć granicę, może postawić swoje już robiące wrażenie imperium dla następnego nabytku. Jeszcze rozważając tę ideę, Jarlaxle rozumiał głębsze znaczenie tego wszystkiego. Załóżmy, że opiekunka Baenre osiągnie sukces, że Mithrilowa Hala zostanie podbita, po niej zaś Blingdenstone? Czy pozostaną jeszcze jacyś przeciwnicy, którzy będą mogli zagrażać miastu drowów, aby trzeba było utrzymywać chwiejną hierarchię Menzoberranzan?

No właśnie, dlaczego przez te wszystkie stulecia pozwalano przetrwać Blingdenstone, siedzibie wrogów, tak blisko Menzoberranzan? Jarlaxle znał odpowiedź. Wiedział, że gnomy nieświadomie służyły za klej, który utrzymywał domy Menzoberranzan ze sobą. Dzięki tak bliskiemu wrogowi ciągłe walki wewnętrzne drowów musiały być utrzymywane pod kontrolą.

Teraz jednak opiekunka Baenre chciała to wszystko rozkleić, rozszerzyć swoje imperium tak, aby obejmowało nie tylko Mithrilową Halę, lecz również kłopotliwe gnomy. Triel nie obawiała się, że drowy zostaną pokonane, nie bała się też sojuszu z małą kolonią ilithidów. Jej strach wzbudzała myśl, że jej matce może się powieść, że zdobędzie swoje dziedzictwo. Opiekunka Baenre była stara, wiekowa nawet jak na standardy drowów, a Triel była następną w kolejce do tronu. W chwili obecnej byłoby to naprawdę wygodne miejsce, stałoby się jednak znacznie bardziej chwiejne i niebezpieczne, gdyby Mithrilowa Hala i Blingdenstone zostały zajęte. Nie istniałby już wtedy wspólny wróg, spajający ze sobą domy, a Triel musiałaby się martwić o połączenie ze światem powierzchni, daleko od Menzoberranzan, gdzie nieunikniony byłby odwet sprzymierzeńców Mithrilowej Hali.

Jarlaxle rozumiał, czego chciała opiekunka Baenre, zastanawiał się jednak, co miała na myśli Lloth, popierając plany tej wyniszczzonej kobiety.

- Chaos - zdecydował. Menzoberranzan było od bardzo dawna spokojne. Niektóre domy walczyły. Dom Do'Urden oraz dom DeVir, obydwie będące domami rządzącymi, zostały unicestwione, jednak zasadnicza struktura miasta pozostawała solidna i niezagrożona.

- Ach, ależ ty jesteś rozkoszna - powiedział Jarlaxle, na głos wypowiadając swe myśli o Lloth. Nagle zaczął podejrzewać, że Lloth zapragnęła nowego porządku, odświeżającego oczyszczenia

miasta, które stało się nudne. Nic dziwnego, że Triel, pierwsza w kolejce po dziedzictwo swej matki, nie była zachwycona.

Łysy najemnik, sam będący miłośnikiem intryg i chaosu, roześmiał się szczerze i spojrzał na Narbondel. Ciepło zegara znikło już, pokazując, że w Podmroku panowała późna noc. Jarlaxle zastukał piętami o kamień i skierował się w stronę Qu'ellarz'orl, wysokiego płaskowyżu na wschodniej ścianie Menzoberranzan, gdzie znajdowały się najpotężniejsze domy miasta. Nie chciał spóźnić się na spotkanie z opiekunką Baenre, której złoży raport o swoim „sekretnym” spotkaniu z jej najstarszą córką.

Jarlaxle zastanawiał się, jak wiele powie wyniszczonej matce opiekunce i jak może przeinaczyć jej słowa, by wyciągnąć z tego jak największe korzyści.

Jakże on kochał intrygi.

ROZDZIAŁ 2

POŻEGNALNE ZAGADKI

Spoglądając przez zamglone oczy po kolejnej, niespokojnej nocy, Catti-brie naciągnęła na siebie szatę i przeszła przez swój mały pokój w nadziei, że znajdzie trochę ukojenia w świetle dnia. Jej gęste, kasztanowe włosy spłaszczyły się po jednej stronie głowy, po drugiej zostawiając niesforne kosmyki, jednak nie dbała o to. Zajęta wycieraniem oczu niemal potknęła się o próg i przystanęła tam, uderzona nagle czymś, czego nie rozumiała. Przejechała palcami po drewnie drzwi i stała zakłopotana, niemal całkowicie ogarnięta przez to samo uczucie, jakie miała poprzedniej nocy, że coś jest nie na miejscu, że coś jest nie w porządku. Zamierzała udać się prosto na śniadanie, jednak poczuła się zobowiązana iść zamiast tego do Drizzta.

Młoda kobieta przemknęła szybko korytarzami do komnaty Drizzta i zapukała w drzwi. Po kilku chwilach zawołała - Drizzt? – Gdy drow nie odpowiedział, ostrożnie przekręciła klamkę i pchnąwszy drzwi, otworzyła je. Catti-brie zauważyła natychmiast, że sejmitary oraz płaszcz podróżny Drizzta zniknęły, zanim jednak zaczęła się nad tym zastanawiać, jej wzrok spoczął na łóżku. Było pościelone, starannie przykryte narzutą, choć to nie było niezwykle u drowa.

Catti-brie podeszła do łóżka i przyjrzała się zakładkom. Były schludne, lecz nie ciasne, i zrozumiała, że to łóżko zostało pościelone dawno temu, że nikt w nim nie spał tej nocy.

- O co w tym wszystkim chodzi? - spytała młoda kobieta. Rozejrzała się szybko po małym pokoju, po czym wróciła na korytarz. Drizzt opuszczał już wcześniej Mithrilową Halę bez ostrzeżenia, i często wychodził w nocy. Zazwyczaj podróżował do Silvermoon, osławionego miasta o tydzień marszu na wschód.

Dlaczego tym razem Catti-brie czuła, że coś jest nie tak? Dlaczego ta wcale nie tak niezwykła sytuacja wydawała jej się tak bardzo nie na miejscu? Młoda kobieta starała się z tego otrząsnąć, zapanować nad szczerymi obawami. Straciła Wulfgara i teraz czuła się nadopiekuńcza wobec pozostałych przyjaciół.

Wkrótce przystanąła przy innych drzwiach. Zapukała lekko, po czym, nie uzyskawszy odpowiedzi (choć była pewna, że ta osoba nie wstała jeszcze), zaczęła stukać mocniej. Ze środka dobiegło jęknięcie.

Pchnięciem otworzyła drzwi i przeszła przez pokój, zatrzymując się przy małym łóżku, przyklękając i brutalnie ściągnając koce ze śpiącego Regisa, łaskocząc go pod pachami, gdy zaczął się wiercić.

- Hej! - krzyknął puciołowaty halfling. Obudził się natychmiast i chwycił mocno okrycie.

- Gdzie jest Drizzt? - zapytała Catti-brie, silniej ściągnając koce.

- Skąd mam wiedzieć? - zaprotestował Regis. - Nie wychodziłem jeszcze dzisiaj z pokoju!

- Wstawaj - Catti-brie była zdumiona ostrością w swoim głosie, nagłością swojego polecenia. Znow poczuła to niepokojące uczucie, tym razem mocniej. Rozejrzała się po pomieszczeniu, starając się określić, co mogło je spowodować.

Ujrzała figurkę pantery.

Spojrzenie Catti-brie utkwilo na tym przedmiocie, najdroższym jaki Drizzt posiadał. Co ona robi w pokoju Regisa? - zastanawiała się. Dlaczego Drizzt odszedł bez niej? Teraz rozumowanie młodej kobiety zaczęło dochodzić do porozumienia z jej uczuciami. Przeskoczyła nad łóżkiem, zagrzebując Regisa w plątaninie koców (które szybko owinął wokół ramion) i chwyciła panterę. Następnie wróciła i znow pociągnęła za okrycia upartego halflinga.

- Nie! - protestował Regis, szarpiąc w drugą stronę. Rzucił się twarzą na materac, zaciskając rogi poduszki wokół swej pulchnej twarzy.

Catti-brie chwyciła go za kark, wyciągnęła z łóżka i przeciągnęła przez pokój, by posadzić go na jednym z drewnianych krzeseł, stojących po przeciwległych stronach małego stołu. Wciąż trzymając w dłoniach poduszkę, wciąż przyciskając ją mocno do twarzy, Regis położył głowę na stole.

Catti-brie chwyciła cicho jedną z krawędzi poduszki, stała przez chwilę spokojnie, po czym nagle szarpnęła, wyrrywając ją z objęć zaskoczonego halflinga, tak że jego głowa uderzyła mocno o drewniany blat

Jęcząc i mamrocząc Regis usiadł prosto na krześle i przejechał dłońmi po splątanych i kręconych, brązowych włosach, których sprężystość nie zmniejszyła się po całej nocy snu.

- Co? - zapytał.

Catti-brie postawiła gwałtownie figurkę pantery na stole, zostawiając ją przed siedzącym halflingiem. - Gdzie jest Drizzt? - spytała znow, bardziej stanowczo.

- Pewnie w Podmieście - mruknął Regis, przejeżdżając językiem po obolałych zębach. - Dlaczego nie pójdziesz zapytać Bruenora?

Wzmianka o królu krasnoludów znów zaalarmowała Catti-brie. Zapytać Bruenora, powtórzyła z ironią w myślach. Bruenor mało z kim rozmawiał i był tak pogrążony w swoim żalu, że pewnie nic by nie wiedział, nawet gdyby cały jego klan wyszedł w środku nocy!

- Więc Drizzt zostawił Guenhwyvar - stwierdził Regis, zamierzając umniejszyć znaczenie całej sprawy. Jego słowa wypadły jednak niezręcznie w uszach spostrzegawczej kobiety i granatowe oczy Catti-brie zmrużyły się, gdy zaczęła przyglądać się uważniej halflingowi.

- Co? - znów spytał niewinnie Regis, wyczuwając żar tego nieugiętego śledztwa.

- Gdzie jest Drizzt? - zapytała spokojnym głosem Catti-brie. - I dlaczego masz kocicę?

Regis potrząsnął głową i jęknął bezradnie, znów opuszczając dramatycznie głowę na stół.

Catti-brie przejrzała go. Zbyt dobrze знаła Regisa, by dać się nabrać na jego urok. Złapała garść kręconych, brązowych włosów i podniosła jego głowę do góry, drugą zaś dłoń chwyciła go za przód koszuli nocnej. Jej szorstkość zaskoczyła halflinga, widziała to wyraźnie w jego twarzy, jednak nie ustępowała. Regis został podniesiony z krzesła. Catti-brie zrobiła z nim trzy szybkie kroki, po czym uderzyła nim o ścianę.

Grymas Catti-brie złagodniał jedynie na chwilę, a jej wolna ręka trzymała nocną koszulę halflinga wystarczająco długo, by mogła stwierdzić, że Regis nie ma na sobie swego magicznego, rubinowego wisiora, przedmiotu, którego nigdy nie zdejmował. Kolejny zagadkowy fakt, który w nią ugodził, podsycił jej wzmagające się przekonanie, że istotnie coś było bardzo nie w porządku.

- Z pewnością dzieje się tu coś, co nie powinno się dziać - powiedziała Catti-brie.

- Catti-brie! - odparł Regis, spoglądając na swoje owłosione stopy, dyndające pół metra nad podłogą.

- A ty wiesz coś o tym - ciągnęła.

- Catti-brie! - zawył znów Regis, starając się sprowadzić rozognioną młodą kobietę na ziemię.

Catti-brie ujęła oburącz koszulę nocną halflinga, odciągnęła go od ściany, po czym znów mocno nim uderzyła. - Straciłam Wulfgara - powiedziała ponuro, wymownie przypominając Regisowi, że być może nie ma on do czynienia z kimś racjonalnym.

Regis nie wiedział, co o tym myśleć. Córka Bruenora Battlehammera zawsze była zrównoważoną kobietą, wywierała cichy wpływ, który doprowadzał pozostałych do porządku. Nawet opanowany Drizzt często wykorzystywał Catti-brie jako drogowskaz do swego sumienia. Teraz jednak...

Regis ujrzał w głębinach granatowych, pełnych złości oczu Catti-brie obietnicę bólu.

Znów odciągnęła go od ściany i kolejny raz uderzyła jego plecami o kamień. - Powiesz mi to, co wiesz - rzekła pewnym głosem.

Regisowi pulsowało już w głowie od tych uderzeń. Był przerażony, bardzo przerażony, w równym stopniu co o siebie, bał się o Catti-brie. Czy żal doprowadził ją do takiej desperacji? I dlaczego właśnie on znalazł się w centrum tego wszystkiego? Wszystkim czego Regis chciał od życia, było ciepłe łóżko i jeszcze cieplejszy posiłek.

- Powinnaś iść i porozmawiać z Brue... - zaczął, jednak Catti-brie przerwała mu, uderzając go w twarz.

Podniósł dłoń do piekącego policzka i poczuł jak powiększa się tam pręga. Nie mrugnął, spoglądał tylko z niedowierzaniem na młodą kobietę.

Gwałtowna reakcja Catti-brie najwyraźniej równie mocno zdumiała ją jak Regisa. Halfling ujrzał, że z jej delikatnych oczu leją się łzy. Zatrzęsa się, a Regis naprawdę nie wiedział, co ona może teraz zrobić.

Halfling rozważał przez długą chwilę sytuację i doszedł do wniosku, że niewielką różnicę zrobi, czy będzie to kilka tygodni czy kilka dni. - Drizzt poszedł do domu - powiedział cicho halfling, zawsze z chęcią robiąc to, czego wymagała sytuacja. Na martwienie się o konsekwencje przyjdzie czas później.

Catti-brie uspokoiła się trochę. - To jest jego dom - stwierdziła. - Chyba nie masz na myśli Doliny Lodowego Wichru?

- Menzoberranzan - sprostował Regis.

Gdyby Catti-brie dostała w tej chwili w plecy bełtem z kuszy, nie ugodziłby on jej mocniej niż to jedno słowo. Opuściła Regisa na podłogę i zatoczyła się do tyłu, wpadając na jego łóżko.

- Tak naprawdę zostawił Guenhwyvar dla ciebie - wyjaśnił Regis. - Tak bardzo troszczy się o ciebie i o kocicę.

Jego kojące słowa nie zdjęły przerażonej miny z twarzy Catti-brie. Regis żałował, że nie ma swego rubinowego wisiorka, wtedy bowiem mógłby użyć jego nieodpartego uroku, by uspokoić młodą kobietę.

- Nie możesz powiedzieć o tym Bruenorowi - dodał Regis. - Poza tym Drizzt mógł nie zająć jeszcze zbyt daleko. - Halfling uznał, że może daleko się posunąć w upiększaniu prawdy. - Powiedział, że zamierza zobaczyć się z Alustriel, żeby zdecydować, gdzie powinna prowadzić jego droga. - Nie była to do końca prawda, bowiem Drizzt jedynie wspomniał, że zamierza zatrzymać się

w Silverymoon, by sprawdzić, czy może potwierdzić swoje obawy, jednak Regis zdecydował, że trzeba dać Catti-brie trochę nadziei.

- Nie możesz powiedzieć Bruenorowi - powtórzył z większym naciskiem halfling. Catti-brie podniosła na niego wzrok, a jej mina była jednym z żalosniejszych widoków, na jakie kiedykolwiek spoglądał Regis.

- Wróci - powiedział Regis, podchodząc, by usiąść przy niej. -Znasz Drizzta. On wróci.

To było już za wiele dla Cati-brie. Jeszcze raz spojrzała na figurkę pantery, stojącą na małym stole, nie miała jednak dość siły, by ją zabrać.

Catti-brie wyszła cicho z pokoju, z powrotem do swoich komnat, gdzie padła obojętnie na łóżko.

* * *

Drizzt spędził środkową część dnia śpiąc w chłodnym cieniu jaskini, wiele kilometrów od wschodnich wrót Mithrilowej Hali. Wczesnowiosenne powietrze było ciepłe, wiatr dmący z górskich lodowców niewiele mógł działać wobec potężnych promieni słonecznych na bezchmurnym, wiosennym niebie.

Drow nie spał ani długo, ani dobrze. Jego odpoczynek był wypełniony myślami o Wulfgarze, o wszystkich przyjaciółach oraz o odległych obrazach, wspomnieniach z tego okropnego miejsca, Menzoberranzan.

Drizzt przeszedł do wejścia do płytkiej groty, by spożyć posiłek. Wygrzewał się w ciepłe jasnego popołudnia, w otoczeniu zwierzęcych odgłosów. Jakże to wszystko było inne od jego domu w Podmroku! Jakże wspaniałe!

Drizzt rzucił suchar na piasek i uderzył pięścią w podłogę za sobą.

Rzeczywiście, jakże wspaniała była ta fałszywa nadzieja, która powiewała przed jego zdesperowanymi oczyma. Wszystkim czego pragnął od życia, było uciec od zwyczajów swych pobratymców, żyć w pokoju. Następnie wyszedł na powierzchnię, a niedługo potem zdecydował, że to miejsce - pełne bzyczących pszczół i śpiewających ptaków, ciepłego światła słońca i czarującego blasku księżyca - powinno być jego domem, nie zaś wieczny mrok tych tuneli, które pozostawił pod sobą.

Drizzt Do'Urden wybrał powierzchnię. Co jednak oznaczał ten wybór? Oznaczał, że pozna nowych, drogich przyjaciół i samą swoją obecnością wciągnie ich w swoje mroczne dziedzictwo. Oznaczał, że Wulfgar zginie przez coś, co zostało przyzwane przez siostrę Drizzta, a wszyscy w Mithrilowej Hali mogą się wkrótce znaleźć w niebezpieczeństwie.

Wybór ten oznaczał, że był fałszywy, że nie wolno mu tu zostać.

Zdyscyplinowany drow uspokoił się szybko i zjadł jeszcze trochę, przepychając pożywienie przez zaciśnięte ze złości gardło. Jedząc zastanawiał się nad trasą. Droga, która znajdowała się przed nim, wyprowadzi go z gór i minie wioskę zwaną Pengallen. Drizzt był tam niedawno i nie miał zamiaru wracać.

W ogóle nie pójdzie tą drogą, zdecydował w końcu. Czemu miałyby służyć pójście do Silverymoon? Drizzt wątpił, czy lady Alustriel będzie tam teraz, kiedy sezon handlowy jest w pełnym rozkwicie. Zresztą nawet jeśli tam będzie, czy mogła powiedzieć mu coś, czego jeszcze nie wiedział?

Nie, Drizzt ustalił już swą trasę i nie potrzebował Alustriel, by ją potwierdzić. Zebrał swoje rzeczy i westchnął, znów zastanawiając się, jakże pustą wydawała się droga bez jego towarzyszk. Wkroczył w jasny dzień, kierując się prosto na wschód, oddalając się od południowo-wschodniej drogi.

Jej żołądek nie skarżył się, że śniadanie oraz obiad minęły, a ona wciąż leży bez ruchu na łóżku, uwięziona w sieci rozpacz. Straciła Wulfgara, zaledwie parę dni przed planowanym ślubem, a teraz Drizzt, którego kochała równie mocno jak barbarzyńcę, także odszedł. Wydawało jej się, jakby cały świat padał wokół niej w gruzy. Fundamenty, które były zbudowane z kamienia, przesuwały się niczym piasek na wietrze.

Przez całe swoje młode życie Catti-brie była wojowniczką. Nie pamiętała swej matki i ledwo przypominała sobie ojca, który został zabity podczas najazdu goblinów na Dekapolis, gdy była bardzo młoda. Zabrał ją do siebie Bruenor Battlehammer i wychował jako swoją córkę, a Catti-brie wiodła odpowiadające jej życie wśród krasnoludów z klanu. Jednak poza Bruenorem, krasnoludy były przyjaciółmi, nie rodziną. Catti-brie zdobywała nową rodzinę stopniowo - najpierw był Bruenor, później Drizzt, następnie Regis i w końcu Wulfgar.

Teraz Wulfgar był martwy, a Drizzt odszedł, wrócił do swej niegodziwej ojczyzny, z której, według Catti-brie, miał nikłe szanse powrotu.

Catti-brie czuła się tak bezradna, jeśli chodziło o to wszystko! Obserwowała, jak Wulfgar umiera, widziała, jak zrzuca sobie na głowę strop, by mogła uciec z pęt potwornego yochlola. Próbowwała mu pomóc, lecz nie powiodło jej się, i ostatecznie wszystkim co zostało, była sterta gruzu oraz Aegisfang.

Dotychczas, przez te kilka tygodni, Catti-brie bezskutecznie starała się zrzucić paraliżujący żal. Często płakała, choć częściej potrafiła zdusić to po kilku chlipnięciach za pomocą głębokiego oddychania oraz siły woli. Jediną osobą, z którą mogła porozmawiać, był Drizzt.

Teraz Drizzt zniknął, Catti-brie płakała, a spazmy wstrząsały jej delikatną sylwetką. Chciała, żeby Wulfgar wrócił! Protestowała wobec wszystkich bogów, którzy mogli jej słuchać, że był zbyt młody, by go od niej zabrać, zbyt wiele wspaniałych uczynków jeszcze na niego czekało.

Jej szloch stał się gwałtownym powarkiowaniem, zaciekłym zaprzeczaniem. Przez pokój poleciały poduszki, po czym Catti-brie zwinęła koce w kulę i również nimi cisnęła. Następnie przewróciła łóżko, dla samej przyjemności słuchania, jak jego drewniany szkielet uderza o twardą podłogę.

- Nie! - krzyknęła. Strata Wulfgara nie była uczciwa, jednak Catti-brie nie mogła nic na to poradzić.

Odejście Drizzta nie było uczciwe, nie w zranionym umyśle Catti-brie, jednak nic nie mogła...

Myśl ta zawisała w umyśle Catti-brie. Wciąż się trzęsąc, lecz już panując nad sobą, stała przy przewróconym łóżku. Rozumiała, dlaczego drow odszedł w tajemnicy, dlaczego Drizzt, tak jak zawsze, wziął całe brzemień na siebie.

- Nie - powtórzyła młoda kobieta. Zdjęła z siebie nocne ubranie, chwyciła koc, by zetrzeć z siebie pot, po czym przywdziała bryczesy i koszulę. Catti-brie nie skłoniła się do zastanowienia nad swymi czynami, bojąc się, że gdyby wszystko to przemyślała racjonalnie, mogłaby zmienić zdanie. Szybko założyła giętką kolczugę, a na nią mithrilowy pancerz, tak doskonale zrobiony przez krasno-ludy, że był ledwo widoczny, gdy nakryła go pozbawioną rękawów tuniką.

Wciąż poruszając się w szaleńczym tempie, Catti-brie wsunęła buty, chwyciła płaszcz oraz skórzane rękawice, po czym przeszła przez pokój do szafy. Tam znalazła swój miecz z pasem, kołczan, oraz Taulmarila Poszukiwacza Serc, swój zaklęty łuk. Pobiegła, nie poszła, ze swojego pokoju do halflinga, i tylko raz zabębniła w drzwi, zanim wpadła do środka.

Regis znów był w łóżku - wielka niespodzianka - a jego brzuch był pełen od śniadania, które trwało nieprzerwanie aż do obiadu. Nie spał jednak i nie ucieszył się zbytnio widząc, że Catti-brie znów spieszy do niego.

Podciągnął się do pozycji siedzącej i spojrzał na nią z zaciekawieniem. Na jej policzkach widać było ślady po strumieniach łez, zaś wspaniałe granatowe oczy otoczone były czerwonymi żyłkami. Regis przeżył większość swego życia jako złodziej, przeżył, bowiem potrafił rozumieć ludzi i nietrudno było mu odgadnąć powody kryjące się za nagłym żarem młodej kobiety.

- Gdzie położyłeś panterę? - zapytała Catti-brie.

Regis wpatrywał się w nią przez długą chwilę. Catti-brie potrząsnęła nim ostro.

-No mów szybko. I tak straciłam już dużo czasu.

- Na co? - spytał Regis, choć znał odpowiedź.

- Po prostu daj mi kocicę - powiedziała Catti-brie. Regis nieświadomie zerknął na swoje biurko, a Catti-brie podbiegła do niego, otworzyła i zaczęła przetrząsać zawartość szuflad, jedna po drugiej.

- Drizztowi się to nie spodoba - rzekł spokojnie Regis.

- A więc do dziewięciu piekieł z nim! -wypaliła Catti-brie. Znalazła figurkę i podniosła ją do oczu, zachwycając się jej piękną sylwetką.

- Myślisz, że Guenhwyvar zaprowadzi cię do niego - bardziej stwierdził niż zapytał Regis.

Catti-brie wrzuciła figurkę do sakiewki przy pasku i nie kłopotowała się odpowiedzią.

- Załóżmy, że go dogonisz - ciągnął Regis, gdy młoda kobieta skierowała się do drzwi. - Jak bardzo pomożesz Drizztowi w mieście drowów? Ludzka kobieta będzie się tam trochę wyróżniać, nie sądzisz?

Sarkazm halflinga zatrzymał Catti-brie, zmusił ją po raz pierwszy do zastanowienia się nad tym, co zamierza zrobić. Jakże prawdziwe było rozumowanie Regisa! Jak mogła wejść do Menzoberranzan? Nawet zaś gdyby jej się udało, czy zobaczyłaby przed sobą choć kawałek podłogi?

- Nie! - wrzasnęła w końcu Catti-brie, cały jej racjonalizm został zdmuchnięty przez to powiększające się poczucie bezradności. -I tak do niego pójdę. Nie usiądę tu i nie będę czekać, aż dowiem się, że kolejny z moich przyjaciół został zabity!

- Zaufaj mu - poprosił Regis i po raz pierwszy halfling zaczął myśleć, że być może nie będzie w stanie powstrzymać porywczej Catti-brie.

Potrząsnęła głową i znów ruszyła do drzwi.

- Poczekaj! - zawołał błagalnie Regis, a młoda kobieta obróciła się, by na niego spojrzeć. Regis znajdował się w niedogodnej sytuacji. Wydawało mu się, że powinien pobiec z krzykiem po Bruenora albo po generała Dagnę, czy też jakiegokolwiek inne krasnoludy, zdobywając sojuszników, by powstrzymać Catti-brie, jeżeli zajdzie taka potrzeba to nawet siłą. Była szalona, jej decyzja pójścia za Drizztem w ogóle nie miała sensu.

Regis rozumiał jednak jej pragnienie i sympatyzował z nią całym sercem.

- Gdybym to ja poszła - zaczęła Catti-brie - a Drizzt chciałby iść za mną...

Regis pokiwał twierdząco głową. Gdyby Catti-brie lub którekolwiek z nich udało się gdziekolwiek, gdzie groziłoby mu wyraźne niebezpieczeństwo, Drizzt Do'Urden rozpocząłby pościg i przyjąłby na siebie walkę niezależnie od przewagi liczebnej przeciwników. Drizzt, Wulfgar, Catti-brie oraz Bruenor przeszli przez ponad połowę kontynentu w poszukiwaniu Regisa, gdy porwał go Entreri. Regis znał Catti-brie od dziecka i zawsze miał do niej najwyższy szacunek, nigdy jednak nie był z niej bardziej dumny niż w tym momencie.

- Człowiek będzie dla Drizzta zawadą w Menzoberranzan - powtórzył.

- Nie obchodzi mnie to - powiedziała pod nosem Catti-brie. Nie rozumiała, do czego zmierza Regis.

Halfling zeskoczył z łóżka i przebiegł przez pokój. Catti-brie napięła mięśnie, sądząc, że chce ją złapać, on jednak przemknął obok, kierując się do biurka, i wyciągnął jedną z dolnych szuflad. -A więc nie bądź człowiekiem - oznajmił halfling i rzucił jej magiczną maskę.

Catti-brie złapała ją i stała, wpatrując się w nią zaskoczona, gdy Regis znów przebiegł obok niej, wracając do łóżka.

Entreri wykorzystał tę maskę, by dostać się do Mithrilowej Hali. Dzięki jej magii przebrał się tak idealnie za Regisa, że przyjaciele halflinga, nawet Drizzt, dali się nabrać.

- Drizzt naprawdę kieruje się do Silverymoon - powiedział jej Regis.

Catti-brie była zdumiona, uważała bowiem, że drow po prostu wejdzie do Podmroku przez dolne poziomy Mithrilowej Hali. Kiedy to jednak przemyślała, zdała sobie sprawę, że Bruenor umieścił

w tych komnatach wielu strażników, wydając im rozkazy, by trzymali drzwi dokładnie zamknięte.

- Jeszcze jedno - rzekł Regis. Catti-brie zawiesiła maskę przy pasku i odwróciła się w stronę łóżka. Zobaczyła, że Regis stoi na odsuniętym materacu, trzymając w dłoniach wspaniale wysadzany klejnotami sztylet.

-Nie będę go potrzebował -wyjaśnił Regis. -Nie tutaj, gdy są przy mnie Bruenor i jego tysiące. - Wyciągnął broń przed siebie, lecz Catti-brie nie wzięła jej natychmiast.

Widziała już wcześniej ten sztylet, sztylet Artemisa Entreri. Zabójca przycisnął go kiedyś do jej szyi, pozbawiając ją odwagi, czyniąc, że czuła się bardziej bezradna niż kiedykolwiek wcześniej w swoim życiu. Catti-brie nie była pewna, czy może wziąć go od Regisa, nie wiedziała, czy zdoła zabrać go ze sobą.

- Entreri nie żyje - zapewnił ją Regis, nie całkiem rozumiejąc jej wahanie.

Catti-brie pokiwała z roztargnieniem głową, choć jej myśli pozostawały pełne wspomnień o tym, jak była więziona przez Entre-riego. Pamiętała jego ziemisty zapach i równał on się teraz dla niej z aromatem czystego zła. Była tak bezsilna... niczym w chwili kiedy na Wulfgara spadał strop. Czy teraz, kiedy Drizzt mógł jej potrzebować, też będzie bezsilna?

Catti-brie zacisnęła zęby i wzięła sztylet. Chwyliła go mocno, po czym wsunęła za pas.

- Nie możesz powiedzieć Bruenorowi - powiedziała.

- On będzie wiedział - sprzeciwił się Regis. - Udało mi się zbyć jego ciekawość na temat odejścia Drizzta, bowiem on zawsze gdzieś odchodzi, jednak Bruenor szybko zda sobie sprawę, że cię nie ma.

Catti-brie nie wiedziała, co na to powiedzieć, jednak to również jej nie obchodziło. Musiała dostać się do Drizzta. To było jej zadanie, jej sposób na odzyskanie kontroli nad życiem, które tak szybko przewróciło się do góry nogami.

Podbiegła do łóżka, chwyciła Regisa w mocny uścisk i pocałowała go w policzek. - Żegnaj, mój przyjacielu! - krzyknęła, puszczając go na materac. - Żegnaj!

I znikła, a Regis siedział tam, z podbródkiem w tłusciutkich dłoniach. Tak wiele rzeczy zmieniło się ostatniego dnia. Najpierw Drizzt, teraz Catti-brie. Po śmierci Wulfgara tylko Regis i Bruenor pozostali z pięciorga przyjaciół z Mithrilowej Hali.

Bruenor! Regis przetoczył się na bok i jęknął. Schował twarz w dłoniach namyśl o potężnym krasnoludzie. Jeśli Bruenor dowie się, że Regis pomógł Catti-brie w jej niebezpiecznej wyprawie, rozerwie halflinga na strzępy.

Regis nie był nawet w stanie zacząć myśleć, jak mógłby to powiedzieć krasnoludzkiemu królowi. Nagle pożałował swojej decyzji, poczuł się głupio, że pozwolił swoim uczuciom, swoim sympatiom, wejść w drogę odpowiedniemu osądowi. Rozumiał potrzebę Catti-brie i czuł, że dobrze jest dla niej, aby poszła za Drizztem, jeśli naprawdę tego pragnęła - w końcu była dojrzałą kobietą oraz dobrą wojowniczką-jednak Bruenor nie zrozumie.

Podobnie jak Drizzt, zdał sobie sprawę halfling i znów jęknął. Złamał słowo, jakie dał drowowi, zdradził tajemnicę już pierwszego dnia! A jego błąd posłał Catti-brie prosto w niebezpieczeństwo.

- Drizzt mnie zabije! - zawył.

Zza odrzwi pojawiła się z powrotem głowa Catti-brie, a jej uśmiech był szerszy, bardziej pełen życia niż Regis widział u niej od długiego, długiego czasu. Nagle wydała się tą pełną werwy dziewczyną, którą on i inni pokochali, tą młodą kobietą, którą stracili, gdy na Wulfgara spadł strop. Nawet czerwień ustąpiła z jej oczu, zastąpiona radosnymi iskierkami. - Miej tylko nadzieję, że Drizzt wróci, by cię zabić! - zaszczebiotała, posłała halflingowi uśmiech i odbiegła.

- Poczekaj! - zawołał bez przekonania Regis, choć był szczęśliwy, że Catti-brie nie zatrzymała się. Wciąż uważał, że działa irracjonalnie, a nawet głupio, i wciąż wiedział, że będzie musiał odpowiedzieć za swoje czyny zarówno przed Bruenorem, jak i Drizztem, jednak ten ostatni uśmiech Catti-brie, jej iskra życia, która wyraźnie do niej powróciła, rozwiązywały sprawę.

ROZDZIAŁ 3

WYBIEG BAENRE

Najemnik zbliżył się cicho do zachodniego krańca kompleksu Baenre, przemykając z cienia w cień, by zbliżyć się do srebrnej pajęczyny, która otaczała to miejsce. Jak każdy, kto podchodził blisko

domu Baenre, który obejmował dwadzieścia wielkich i wydrążonych stalagmitów oraz trzydzieści ozdobionych stalaktytów, Jarlaxle znów zauważył, że robi na nim ogromne wrażenie. Według standardów Podmroku, gdzie przestrzeń była w cenie, miejsce to było wielkie, miało niemal półtora kilometra długości i połowę tego szerokości.

Wszystko w strukturach domu Baenre było wspaniałe. W wykonaniu nie przeoczono żadnego szczegółu, niewolnicy pracowali bez przerwy, rzeźbiąc nowe rysunki w tych niewielu miejscach, które nie zostały jeszcze ozdobione. Magiczne detale, wykonane głównie przez Grompha Baenre, starszego syna opiekunki

Baenre, będącego również arcymagiem Menzoberranzan, były nie mniej spektakularne, były to głównie purpurowe i niebieskie ognie faerie, podkreślające tylko odpowiednie obszary kopców, by wywołać jak najlepszy efekt.

Siedmiometrowe ogrodzenie kompleksu, które wydawało się tak drobne w porównaniu z gigantycznymi stalagmitami, było jednym z najwspanialszych obiektów Menzoberranzan. Niektórzy mówią, że jest to dar od Lloth, jednak nikt w mieście, może poza wiekową opiekunką Baenre, nie żył wystarczająco długo, aby być świadkiem jego powstania. Bariera była uformowana z silnych jak żelazo pasm, grubych jak ramię drowa oraz zaklętych tak, by chwyciły i uparcie trzymały silniej niż jakakolwiek pajęczyna. Nawet najlepsze ostrza drowów, chyba najostrzejsza broń na całym Torilu, nie mogła przeciąć pasm płotu Baenre, zaś raz złapane stworzenie, niezależnie od swojej siły, nawet gigant lub smok, nie było w stanie się od niego odkleić.

W normalnych okolicznościach goście domu Baenre szukali jednej z bram umieszczonych symetrycznie dookoła kompleksu. Znajdujący się tam strażnik mógł wypowiadać obowiązującą w danym dniu komendę i pasma ogrodzenia rozwijały się na zewnątrz, tworząc otwór.

Jarlaxle nie był jednak normalnym gościem, a opiekunka Baenre poleciła mu, by utrzymywał swoje wizyty w tajemnicy. Czekał w cieniu, idealnie ukryty, gdy kilku pieszych żołnierzy przechodziło obok podczas patrolu. Nie byli zbyt czujni, zauważył Jarlaxle, zresztą dlaczego mieliby być, jeśli stała za nimi potęga Baenre? Dom Baenre utrzymywał przynajmniej dwadzieścia pięć setek zdolnych do walki i doskonale uzbrojonych żołnierzy oraz szczyił się szesnastoma wysokimi kapłankami. Żaden inny dom w mieście - żadne pięć połączonych ze sobą domów - nie mogło dorównać takiej sile.

Najemnik zerknął na kolumnę Narbondel, by sprawdzić, ile jeszcze będzie musiał czekać. Ledwo co skierował wzrok z powrotem na kompleks Baenre, kiedy zadał róg, czysto i potężnie, a zaraz potem następny.

Z wnętrza dobiegł zaśpiew w niskiej tonacji. Żołnierze pospieszyli na swoje posterunki i stanęli na baczność, prezentując przed sobą ceremonialnie broń. Był to spektakl, który pokazywał honor Menzoberranzan, zdyscyplinowany, doskonały dryl, który szydził z zapewnień jakichkolwiek potencjalnych wrogów, że mroczne elfy są zbyt chaotyczne, by zebrać się razem we wspólnej sprawie lub dla wspólnej obrony. Nie będący drowami najemnicy, zwłaszcza szare krasnoludy,

płaciły często spore sumy w złocie i klejnotach tylko po to, by móc obserwować zmianę domowej warty Baenre.

W górę stalagmitowych kopców podążyły strumienie pomarańczowego, czerwonego, zielonego, niebieskiego i purpurowego światła, aby spotkać się z podobnymi promieniami biegnącymi z góry, z poszarpanych zębów stalaktytów składających się na kompleks Baenre. Efekt ten powstawał dzięki zaklętym emblematom domu, noszonych przez strażników Baenre. Owe mroczne elfy jeździły na podziemnych jaszczurach, które z równą łatwością poruszały się po podłogach, ścianach i sufitach.

Muzyka trwała. Lśniące strumienie uformowały miriady wzorów w jaśniejących formacjach na górze i dole kompleksu, wiele z nich przybrało formę arachnida. Wydarzenie to miało miejsce dwa razy dziennie, każdego dnia, a każdy drow znajdujący się w zasięgu wzroku za każdym razem przystawał i obserwował. Zmiana domowej warty Baenre była w Menzoberranzan zarówno symbolem niewyobrażalnej potęgi domu, jak i niegasnącej lojalności miasta wobec Lloth, Pajęczej Królowej.

Jarlaxle, jak poleciła mu opiekunka Baenre, wykorzystywał to widowisko dla odwrócenia uwagi. Podkraść się do ogrodzenia, zdjął swój kapelusz z szerokim rondem, by wisiał mu na plecach, i założył na głowę maskę z czarnego aksamitu, z ośmioma przymocowanymi po bokach odnóżami. Rozejrzawszy się szybko, najemnik ruszył w górę, dłoń za dłonią, jakby pasma były ze zwyczajnego żelaza. Żadne magiczne czary nie oddałyby tego efektu, żadne zaklęcia le-witacji czy teleportacji, czy też jakakolwiek inna magiczna podróż, nie przeniosłyby nikogo za barierę. Jedynie rzadka i bezcenna pajęczka maska, wypożyczona Jarlaxle'owi przez Grompha Baenre, mogła kogoś tak łatwo zaprowadzić do wnętrza tak dobrze strzeżonego kompleksu.

Jarlaxle przerzucił nogę przez szczyt ogrodzenia i ześlizgnął się w dół po drugiej stronie. Zamarł w bezruchu na widok pomarańczowego błysku po lewej stronie. Przekląłby swoje szczęście, gdyby został złapany. Strażnik nie stanowiłby żadnego niebezpieczeństwa - wszyscy w kompleksie Baenre znali dobrze najemnika - gdyby jednak opiekunka Baenre dowiedziała się, że został odkryty, najprawdopodobniej oderwałyby mu skórę od kości.

Błyszczące światło niemal natychmiast zamarło i gdy oczy Jarlaxle'a dostosowały się do zmiennych odcieni, ujrzał przystojnego młodego drowa ze starannie przyciętymi włosami, siedzącego na wielkim jaszczurze, prostopadle do podłogi, i trzymającego trzymetrową, żyłkowaną lancę. Lancę śmierci, wiedział Jarlaxle. Nałożono na nią zaklęcie chłodu, jej wygłodniały i ostry jak brzytwa czubek zdradzał swój śmiertelny mróz w wyczuwających ciepło oczach najemnika.

- Miło cię spotkać, Berg'inyonie Baenre - najemnik pokazał w zawiłym i bezszelestnym języku gestów, który stosowały drowy. Berg' inyon był najmłodszym synem opiekunki Baenre, przywódcą jaszczurczych jeźdźców domu, i nie był wrogiem dowódcy najemników.

- Ciebie również, Jarlaxle - odpowiedział Berg' inyon. - Szybki jak zawsze.

- Na żądanie twojej matki - dodał Jarlaxle. Berg'inyon błysnął uśmiechem i wskazał najemnikowi,

by ruszył dalej w swoją drogę, po czym kopnął swego wierzchowca i zaczął się wdrapywać po stalagmicie na obchód stropu.

Jarlaxle lubił najmłodszego mężczyznę Baenre. Spędził ostatnio wiele czasu z Berg'inyonem, ucząc się od młodego wojownika, bowiem Berg'inyon był niegdyś w jednej klasie w Melee-Maghtere z Drizztem Do'Urdenem i często walczył z posługującym się sejmitem drowem. Ruchy Berg'inyona w walce były płynne i niemal idealne. Wiedza o tym, jak Drizzt pokonał młodego Baenre, wzmogła szacunek Jarlaxle'a dla renegata.

Jarlaxle niemal żałował, że wkrótce nie będzie już Drizzta Do'Urdena.

Będąc już za ogrodzeniem, najemnik schował pajęczą maskę z powrotem do sakwy i przeszedł nonszalancko przez kompleks Baenre, trzymając swój zdradzający go kapelusz nisko na plecach i zaciskając mocno płaszcz, dzięki czemu mógł ukryć fakt, że miał na sobie tunikę bez rękawów. Nie mógł jednak schować swej łysej głowy, dość niezwykłej cechy, i wiedział, że przynajmniej dwóch strażników Baenre rozpoznało go, gdy wkroczył niedbale do wielkiego kopca, ogromnego i bogato ozdobionego stalagmitu, w którym zamieszkiwała szlachta Baenre.

Ci strażnicy nie zauważyli go jednak, albo udali, że nie zauważyli, jak im najprawdopodobniej polecono. Jarlaxle niemal roześmiał się na głos - tak wielu kłopotów można by uniknąć, gdyby wchodził do kompleksu przez bardziej widoczną bramę. Wszyscy, wliczając w to Triel, wiedzieli doskonale, że tam bywa. Wszystko to było grą udawania i intryg, zaś opiekunka Baenre była graczem kontrolującym sytuację.

- Z'ressl - najemnik krzyknął słowo oznaczające u drowów siłę i będące hasłem dla tego kopca, po czym pchnął kamienne drzwi, które cofnęły się natychmiast na całą szerokość.

Dotknięciem kapelusza Jarlaxle zasalutował niewidocznym strażnikom (prawdopodobnie wielkim minotaurzym niewolnikom, ulubieńcom opiekunki Baenre), gdy przemierzał wąski korytarz wejściowy, pomiędzy kilkoma otworami, bez wątpienia usianymi gotowymi do ataku śmiercionośnymi lancami.

Wnętrze kopca było oświetlone, Jarlaxle był więc zmuszony przystanąć i pozwolić swym oczom przejść w spektrum widzialnego światła. Wokół krzątały się tuziny mrocznych elfek, ich srebrnoczame uniformy Baenre były ściśle dopasowane do ich zgrabnych i powabnych ciał. Wszystkie oczy zwróciły się na nowo przybyłego - przywódca Bregan D'aerthe był w Menzoberranzan uznawany za świetną zdobycz - i lubieżny sposób, w jaki oceniały go te kobiety, w ogóle nie spoglądając na jego twarz, powodował, że Jarlaxle musiał tłumić śmiech. Niektórzy mężczyźni mrocznych elfów czuli się urażeni takimi spojrzeniami, jednak dla Jarlaxle'a wyrażna żądza tych elfek dawała mu tylko poczucie większej potęgi.

Najemnik podszedł do wielkiej, czarnej kolumny w sercu centralnej, okrągłej komnaty. Dotknął gładkiego marmuru i odnalazł płytkę, której naciśnięcie otwierało fragment zakrzywionej ściany.

W środku Jarlaxle natknął się na Dantraga Baenre, domowego fehmistrza, opierającego się niedbale o ścianę. Jarlaxle szybko dostrzegł, iż ów wojownik czeka na niego. Podobnie jak jego młodszy brat, Dantrag był przystojny, wysoki (blisko metr osiemdziesiąt) i szczupły, z wyraźnie zarysowanymi mięśniami. Jego oczy miały niezwykle kolor bursztynu, choć stawały się czerwone, gdy się ekscytował. Białe włosy zbierał ciasno w kucyk.

Jako fehmistrz domu Baenre Dantrag był lepiej wyekwipowany do walki niż jakikolwiek inny drow w mieście. Gdy się odwrócił, jego migocząca czarna kolczuga zaślniła, dostosowując się do jego ciała tak doskonale, że wydawała się drugą skórą. Na wysadzonym klejnotami pasie wisiały dwa miecze. Ciekawostką było, iż jedynie jeden z nich był roboty drowów, najdoskonalsze ostrze, jakie kiedykolwiek widział Jarlaxle. Drugi, według doniesień zabrany mieszkańcowi powierzchni, posiadał rzekomo swoje własne pragnienie i mógł wygładzać krawędzie twardych gładów ani trochę się nie tępiąc.

Czupurny wojownik podniósł jedną rękę, by zaszalutować najemnikowi. Robiąc to, wyraźnie pokazał jedną ze swych magicznych bransolet, ciasnych pasków czarnego materiału otoczonych lśniącymi mithrilowymi pierścieniami. Dantragowi nie powiedziano nigdy, czemu służą owe bransolety. Niektórzy sądzili, że oferują one magiczną ochronę. Jarlaxle widział Dantraga w walce i nie mógł się z tym nie zgodzić, bowiem takie obronne rękawice nie były niezwykle. Jeszcze bardziej zadziwił najemnika fakt, iż Dantrag zazwyczaj atakował jako pierwszy.

Jarlaxle nie mógł być pewien swych podejrzeń, bowiem nawet bez bransolet ani żadnej innej magii Dantrag Baenre był jednym z najlepszych wojowników w Menzoberranzan, jego głównym rywalem był Zaknafein Do'Urden, ojciec i nauczyciel Drizzta, jednak nie żył on już, złożony w ofierze za bluźniercze czyny wobec Pajęczej Królowej. To pozostawiało jedynie Uthegentala, wielkiego i silnego fehmistrza domu Barrison Del'Armgo, drugiego domu miasta, jako odpowiedniego rywala dla niebezpiecznego Dantraga. Znając dumę obydwóch wojowników, Jarlaxle podejrzewał, że pewnego dnia spotkają się w tajemnicy w walce na śmierć tylko po to, by sprawdzić, który z nich jest lepszy.

Myśl o takim widowisku zaintrygowała Jarlaxle'a, choć nigdy nie rozumiał tak destrukcyjnej dumy. Wielu, którzy widzieli przywódcę najemników w walce, spierałoby się, czy dorównałby tym dwóm, jednak Jarlaxle nie bawił się nigdy w takie intrygi. Wydawało mu się, że duma jest głupim powodem do walki, zwłaszcza gdy tak doskonała broń i umiejętności mogą być wykorzystane, by dać bardziej materialne korzyści. Być może jak te bransolety? - zamyślił się Jarlaxle. Czy też może te osławione bransolety pomogą Dantragowi w ograbieniu ciała Uthegentala?

Dzięki magii wszystko było możliwe. Jarlaxle uśmiechnął się, obserwując dalej Dantraga. Najemnik uwielbiał egzotyczną magię, a nigdzie w Podmroku nie było lepszej kolekcji magicznych przedmiotów niż w domu Baenre.

Jak ten cylinder, do którego wszedł. Wydawał się nie wyróżniać niczym szczególnym, zwyczajna okrągła komnata z otworem w stropie na lewo od Jarlaxle'a i w podłodze na prawo.

Skinął głową Jarlaxle'owi, który machnął ręką na lewo, i Jarlaxle wszedł pod otwór. Pochwyciła go wywołująca mrowienie magia, stopniowo podnosząc w powietrze, lewitując go na drugi poziom wielkiego kopca. Wewnątrz cylindra obszar ten wyglądał identycznie jak niżej i Jarlaxle przeszedł na drugą stronę, pod otwór w stropie, który zabierze go na trzeci poziom.

Dantrag wzniósł się na drugą kondygnację, gdy Jarlaxle bezszelestnie wznosił się na trzecią, i fehmistrz szybko wzleciał na górę, chwytając Jarlaxle'a za ramię, gdy ten sięgał do mechanizmu otwierającego drzwi na ten poziom. Dantrag wskazał głową następny otwór w stropie, który prowadził na czwarty poziom, do prywatnej sali tronowej opiekunki Baenre.

Czwarty poziom? - zastanawiał się Jarlaxle, gdy przeszedł za Dantragem w odpowiednie miejsce i znów zaczął się wznosić. Zazwyczaj pierwsza matka opiekunka dawała audiencje na trzecim poziomie kopca.

- Opiekunka Baenre ma już gościa - Dantrag wyjaśnił mową znaków, gdy głowa Jarlaxle'a wyłoniła się nad podłogę.

Jarlaxle skinął głową i odszedł od otworu, pozwalając Dantragowi się prowadzić. Dantrag nie sięgnął jednak do drzwi, lecz włożył dłoń do sakiewki i wyciągnął jakiś połyskliwy srebrny proszek. Puściwszy oko do najemnika, cisnął pyłem w ty Iną ścianę. Rozjaśniła się i poruszyła, formując srebrną pajęczynę, która następnie zwinęła się na zewnątrz, podobnie jak bramy Baenre, pozostawiając wyraźny otwór.

- Za tobą - grzecznie zasugerowały dłonie Dantraga. Jarlaxle przyjrzał się diabelskiemu wojownikowi, starając się określić, czy w powietrzu wisi zdrada. Czy było możliwe, że przejdzie przez tę wyraźnie ponadwymiarową bramę tylko po to, by znaleźć się na jakimś piekielnym planie istnienia?

Dantrag był opanowanym przeciwnikiem, jego piękne, wyczelowane rysy oraz wysokie policzki absolutnie nic nie ujawniały przed badawczym spojrzeniem Jarlaxle'a. Najemnik przeszedł jednak przez otwór, uznając w końcu, iż Dantrag był zbyt dumny, by posłać go na zgubę. Gdyby chciał pozbyć się Jarlaxle' a, użyłby broni, nie czarodziejskich sztuczek.

Syn Baenre przeszedł tuż za Jarlaxlem, do małej, ponadwymiarowej kieszeni dzielącej przestrzeń z salą tronową opiekunki Baenre. Dantrag poprowadził Jarlaxle' a wzdłuż cienkiej srebrnej nici na przeciwległy koniec małej komnaty, do otworu wychodzącego na salę.

Tam, na wielkim szafirowym tronie, siedziała wyniszczona opiekunka Baenre, której twarz była poprzecinana tysiącami pajęczych kresek. Jarlaxle spędził długą chwilę, przyglądając się tronowi, zanim przeniósł wzrok na matkę opiekunkę i nieświadomie przygryzł wargi. U jego boku Dantrag zachichotał, bowiem czujny Baenre wiedział, czego pragnie najemnik. Na końcu każdego z oparc tronu znajdował się wielki diament, nie mniejszy niż trzydzieści karatów.

Sam tron został wyrzeźbiony z najczystszej czarnego szafiru, był lśniąca studnią, która

zapraszała w swoje głębinie. Wokół wnętrza tej sadzawki czerni poruszały się wijące kształty. Plotki głosiły, iż dręczone dusze wszystkich tych, którzy byli niewierni Lloth i zostali z kolei zmienieni w ohydne dridery, spoczywały w atramentowoczarным wymiarze wewnątrz osławionego tronu opiekunki Baenre.

Ta trzeźwiąca myśl wydobyła najemnika z jego zadumy. Mógł się nad tym zastanawiać, jednak nigdy nie będzie tak głupi, by zabrać jeden z tych diamentów! Wtedy spojrzął na opiekunkę Baenre oraz skulone przy niej dwie nie wyróżniające się niczym szczególnym skryby, pracownice wykonujące notatki. Po lewej stronie matki opiekunki znajdowała się Bladen'Kerst, najstarsza córka we właściwym domu, trzecia pod względem starszeństwa z rodzeństwa, po Triel i Gromphie. Jarlaxle jeszcze mniej lubił Bladen'Kerst niż Triel, ponieważ była niewyobrażalną sadystką. Przy kilku okazjach najemnik myślał, że będzie musiał jązabić w samoobronie. Znalazłby się wtedy w trudnej sytuacji, choć podejrzewał, iż tak naprawdę opiekunka Baenre ucieszyłaby się ze śmierci niegodziwej Bladen'Kerst. Nawet potężna matka opiekunka nie mogła jej w pełni kontrolować.

Po prawej stronie opiekunki Baenre stała kolejna z najmniej ulubionych istot Jarlaxle'a, ilithid, Methil El-Viddenvelp, ośmiornicogłowy doradca opiekunki Baenre. Miał na sobie, jak zawsze, swoje całkiem zwyczajne ciemnokarmazynowe szaty, z tak długimi rękawami, by stwór mógł trzymać swoje wychudzone, trójpalczaste dłonie z dala od oczu innych. Jarlaxle żałował, iż ta paskudna istota nie ma na sobie również maski i kaptura. Jego nabrzmiała, purpurowa głowa, z czterema mackami w miejscu, w którym powinny być usta, oraz mlecznobiałymi, pozbawionymi źrenic oczyma, była jedną z najbardziej odrażających, jakie Jarlaxle kiedykolwiek widział. W normalnych okolicznościach, jeśli można było coś uzyskać, Jarlaxle wychodził wzrokiem poza wygląd stworzenia, z którym miał do czynienia, jednak wolał nie mieć zbyt wiele kontaktów z brzydkimi, tajemniczymi i śmiertelnie niebezpiecznymi ilithidami.

Większość drowów żywiła wobec ilithidów podobne odczucia i przez chwilę uderzyło Jarlaxle'a, że opiekunka Baenre ustawiła El-Viddenvelpa tak bardzo na widoku. Przyjrząwszy się jednak drowce skierowanej twarzą do Baenre, najemnik zrozumiał.

Była mizerna i niska, nawet niższa niż Triel, wyglądała na znacznie słabszą. Jej czarne szaty nie rzucały się w oczy i nie miała na sobie żadnego widocznego ekwipunku - z pewnością nie był to ubiór pasujący do matki opiekunki. Jednak ta drowka, K'yorl Odran, rzeczywiście była matką opiekunką, przywódczynią Oblodra, trzeciego domu Menzoberranzan.

- K'yorll -palce Jarlaxle'a wskazały Dantragowi, a twarz najemnika pełna była niedowierzania. K'yorl był jednym z najbardziej pogardzanych domów Menzoberranzan. Osobiście opiekunka Baenre nienawidziła jej i wielokrotnie otwarcie wyrażała swe przekonanie, iż w Menzoberranzan byłoby znacznie lepiej bez kłopotliwej Odran. Jediną rzeczą, jaka powstrzymywała dom Baenre przed wyeliminowaniem Oblodra, był fakt, iż kobiety z trzeciego domu dysponowały tajemniczymi mocami umysłu. Jeśli ktokolwiek mógł zrozumieć motywacje i prywatne myśli zagadkowej i niebezpiecznej K'yorl, był to ilithid, El-Viddenvelp.

- Trzy setki - mówiła K'yorl.

Opiekunka Baenre zapadła się w swoim fotelu z kwaśnym wyrazem twarzy. - Skromnie - odparła.

- Połowa moich niewolników - odrzekła K'yorl, błyskając swym zwyczajowym uśmiechem, dobrze znanym sygnałem, że kłamie.

Opiekunka Baenre zarechotała. Wychyliła się w przód ze swego fotela, opierając szczupłe dłonie na osławionych diamentach. Jej rubinowoczerwone oczy zwęziły się do wąskich szparek. Wypowiedziała coś pod nosem i zdjęła j edną rękę z diamentu. Wspaniały klejnot rozjaśnił się wewnętrznym życiem i wypuścił skupioną wiązkę purpurowego światła, trafiając w sługę K'yorl, nie rzucającego się w oczy mężczyznę, i otaczając go szeregiem przesuwających się, iskrzących kręgów błyszczącej purpurą energii. Krzyknął i wyrzucił ręce w powietrze, walcząc z pochłaniającymi go falami.

Opiekunka Baenre uniosła drugą dłoń i do pierwszego promienia dołączył drugi. Teraz drow wyglądał zupełnie jak purpurowa rzeźba.

Jarlaxle przyglądał się uważnie, jak K'yorl zamknęła oczy i zmarszczyła brwi. Jej oczy niemal natychmiast otworzyły się z powrotem i wpatrzyła się z niedowierzaniem w El-Viddenvelpa. Najemnik dysponował wystarczającą wiedzą, by zdać sobie sprawę, iż w tym ułamku sekundy miała miejsce walka woli, i nie był zdumiony, iż najwyraźniej zwyciężył łupieżca umysłu.

Nieszczęsny mężczyzna Oblodron był już wtedy zaledwie cieniem, a chwilę później nie był już nawet nim. Po prostu już go nie było.

K'yorl Odran skrzywiła się ze wściekłością, wydawała się znajdować na krawędzi wybuchu, jednak opiekunka Baenre, najbardziej śmiertcionośna żyjąca drowka, nie poddała się.

Nieoczekiwanie K'yorl znów szeroko się uśmiechnęła i obwieściła niedbale - To był tylko mężczyzna.

- K'yorl! - warknęła Baenre. - Ten obowiązek został usankcjonowany przez Lloth, a ty będziesz współpracować!

- Groźby? - spytała K'yorl.

Opiekunka Baenre wstała ze swego tronu i podeszła prosto do nieporuszonej K'yorl. Uniosła swą lewą dłoń do policzka Oblodran, która skrzywiła się. Na tej ręce opiekunka Baenre nosiła duży, złoty pierścień, którego cztery niepełne obręcze poruszały się, j akby były nogami żywego pająka. Jego wielki, niebiesko-czarny szafir migotał. Ten pierścień, jak wiedziała K'yorl, zawierał żyjącego velsha-ress orbb, królewskiego pająka, znacznie bardziej śmiertcionośnego kuzyna czarnej wdowy z powierzchni.

- Musisz zrozumieć znaczenie - rzekła opiekunka Baenre.

Ku zdumieniu Jarlaxle'a (zauważył też, że dłoń Dantraga natychmiast podążyła do rękojeści miecza, jakby fehmistrz był w stanie wyskoczyć z ponadwymiarowej kieszeni szpiegowskiej i zabić beczelną Oblodran), K'yorl odtrąciła rękę opiekunki Baenre.

- Barrison Del' Armgo zgodził się - powiedziała spokojnie opiekunka Baenre, unosząc dłoń w górę, by powstrzymać swą niebezpieczną córkę oraz doradcę ilithida przed podejmowaniem jakichkolwiek akcji.

K'yorl uśmiechnęła się, co było oczywistym blefem, bowiem matka opiekunka trzeciego domu nie mogła być nie poruszona, słysząc, iż dwa pierwsze domy uformowały sojusz, którego chciała uniknąć.

- Podobnie jak Faen Tlabbar - dodała z chytrą miną opiekunka Baenre, mając na myśli czwarty dom miasta i najbardziej znienawidzonych rywali Oblodra. Słowa Baenre były wyraźną groźbą, bowiem mając u swego boku dom Baenre oraz dom Barrison Del'Armgo, Faen Tlabbar zaczęła szybko dążyć do zniszczenia Oblodra i zajęcia trzeciego miejsca w mieście.

Opiekunka Baenre wróciła na swój szafirowy tron ani na chwilę nie zdejmując wzroku z K'yorl.

- Nie mam w domu wielu drowów - rzekła K' yorl, i był to pierwszy raz, kiedy Jarlaxle słyszał, by ta parweniuszka Oblodra mówiła z pokorą.

- Nie, ale masz dużo koboldów! - rzuciła opiekunka Baenre. -I nie śmiej nawet przyznawać się do sześciu setek. Tunele Szpono-szczeliny pod domem Oblodra są rozległe.

- Dam ci trzy tysiące - odpowiedziała K'yorl, najwyraźniej myśląc o twardym targowaniu się.

- Dziesięć razy tyle! -warknęła Baenre.

K'yorl nic nie powiedziała, zadarła tylko głowę i spojrzała na pierwszą matkę opiekunkę wzdłuż swego szczupłego, mahoniowego nosa.

- Nie zadowolili mnie nic mniej niż dwadzieścia tysięcy - powiedziała wtedy opiekunka Baenre, zajmując się obydwoma stronami targowania. - W krasnoludzkiej fortecy będą znajdować się sprytne środki obronne i potrzebujemy po prostu mięsa armatniego, by się przedrzeć.

- Koszt jest wielki - rzekła K'yorl.

- Dwadzieścia tysięcy koboldów nie przekłada się na koszt nawet jednego życia drowa - przypomniała jej Baenre, po czym dodała dla efektu - w oczach Lloth.

K'yorl zaczęła ostro odpowiadać, jednak opiekunka Baenre prze-rwała jej natychmiast.

- Oszczędź mi swoich gróźb! - wrzasnęła Baenre, a jej chuda szyja wydawała się jeszcze

mizerniejsza, gdy miała tak zaciśnięte zęby i wychyliła głowę w przód. - W oczach Lloth wydarzenie to wychodzi poza walki domów drowów, a obiecuję ci, K'yorl, iż nieposłuszeństwo domu Oblodra pomoże w awansie Faen Tlab-bar!

Oczy Jarlaxle'a rozszerzyły się ze zdumienia i spojrzął na Dan-traga, który nie miał dla niego wyjaśnień. Nigdy wcześniej najemnik nie był świadkiem ani nie słyszał o tak bezceremonialnej groźbie jednego domu przeciwko drugiemu. Tym razem ze strony K'yorl nie było żadnego uśmiechu, żadnej przebiegłej odpowiedzi. Obserwując kobietę, milczącą! wyraźnie starającą się utrzymać swe rysy spokojnymi, Jarlaxle widział nasiona anarchii. K'yorl i dom Oblodra nie zapomną szybko groźby opiekunki Baenre, a zważywszy na arogancję pierwszej opiekunki, inne domy bez wątpienia będą żywić podobne odczucia. Najemnik pokiwał głową, myśląc o swoim spotkaniu z pełną obaw Triel, która najprawdopodobniej odziedziczy tę niebezpieczną sytuację.

- Dwadzieścia tysięcy - zgodziła się cicho K'yorl -jeśli uda się zebrać tak wiele tych kłopotliwych małych szcurów.

Następnie matka opiekunka domu Oblodra została odprawiona. Gdy weszła do marmurowego cylindra, Dantrag wyszedł z ponadwymiarowej kieszeni do pokoju tronowego.

Jarlaxle wyłonił się za nim, stając swobodnie przed tronem. Pochylił się w niskim ukłonie, a sterzące z jego wielkiego kapelusza pióro diatrymy zamiotło podłogę. - Jakże wspaniałe przedstawienie - powitał opiekunkę Baenre. - To dla mnie przyjemność, że pozwolono mi być świadkiem...

- Zamknij się - powiedziała do niego ociekającym jadem głosem opiekunka Baenre, rozsiadając się w swoim tronie.

Wciąż uśmiechając się, najemnik wyteżył uwagę.

- K'yorl jest niebezpiecznym utrapieniem - rzekła opiekunka Baenre. -Nie proszę jej domu o wiele, choć ich dziwne moce umysłu przydałyby się w łamaniu woli nieugiętych krasnoludów. Wszystko, czego potrzebujemy od nich, to koboldy jako mięso armatnie, a w związku z tym, że to robactwo mnoży się jak szcury, ich ofiara nie będzie zbyt wielka.

- A co po zwycięstwie? - ośmielił się zapytać Jarlaxle.

- Wtedy K'yorl będzie musiała zdecydować - odparła natychmiast opiekunka Baenre. Wskazała pozostałym, nawet swoim skrybom, by opuścili pokój, a wszyscy wiedzieli, że zamierza wyznaczyć bandzie Jarlaxle'a misję zwiadowczą- przynajmniej - do domu Oblodra.

Wszyscy wyszli nie narzekając, poza niegodziwą Bladen'Kerst, która przystanęła, by rzucić najemnikowi niebezpieczne spojrzenie. Nienawidziła ona Jarlaxle'a równie silnie jak wszystkich innych mężczyzn, uważając ich jedynie za kukielki, na których mogła wypróbować swoje techniki tortur.

Najemnik przesunął swą przepaskę i w odpowiedzi puścił do niej lubieżnie oko.

Bladen' Kerst spojrzała natychmiast na matkę, jakby prosząc ją o pozwolenie na skatowanie tego bezczelnego mężczyzny do nieprzytomności, jednak opiekunka Baenre dalej odprawiała ją ruchem ręki.

- Chcesz, żeby Bregan D'aerthe mieli baczenie na dom Oblodra - stwierdził Jarlaxle, zaraz gdy znalazł się sam na sam z Baenre. - Niełatwe zadanie...

- Nie - przerwała opiekunka Baenre. - Nawet Bregan D'aerthe nie mogliby łatwo szpiegować w tym tajemniczym domu.

Najemnik cieszył się, że to opiekunka Baenre, a nie on, była tą, która o tym wspomniała. Rozważył nieoczekiwane wnioski, po czym zrozumiał, uśmiechnął się szeroko, a nawet pochylił w ukłonie. Opiekunka Baenre chciała, by pozostali, zwłaszcza El-Viddenvelp, sądzili, że wysłała Bregan D'aerthe na przeszpiegi w domu Oblodra. W ten sposób mogła utrzymywać K'yorl zbitą tropu, szukającą zjaw, które nie istnieją.

- Nie dbam o K'yorl, poza tym że potrzebuję jej niewolników - ciągnęła opiekunka Baenre. - Jeśli nie zrobi tego, co jej zostało polecone w tej kwestii, wtedy dom Oblodra zostanie zrzucony do Szponoszczeliny i zapomniany.

Jej niedbały ton, ukazujący zdecydowaną wyższość, zrobił wrażenie na najemniku. - A jaki wybór ma K'yorl, gdy pierwszy i drugi dom są zjednoczone? - spytał.

Opiekunka Baenre zaczęła się nad czymś zastanawiać, jakby Jarlaxle jej o czymś przypominał. Otrząsnęła się z tej myśli i szybko podjęła wątek. - Nie mamy czasu, by omawiać twoje spotkanie z Triel - powiedziała, a Jarlaxle stał się bardziej niż trochę zaniepokojony, uważał to bowiem za główny powód swojej wizyty w domu Baenre. - Chcę, żebyś zaczął planować nasz pochód do siedziby krasnoludów. Będę potrzebowała map zamierzonej trasy, podobnie jak szczegółowych opisów możliwych końcowych podejść do Mithrilowej Hali, aby Dantrag i jego generałowie mogli jak najlepiej zaplanować atak.

Jarlaxle przytaknął. Z pewnością nie zamierzał spierać się z obdarzoną paskudnym temperamentem matką opiekunką. - Moglibyśmy wysłać szpiegów głębiej w kompleks krasnoludów - zaczął, lecz niecierpliwa Baenre znów mu przerwała.

- Nie potrzebujemy ich - powiedziała.

Jarlaxle spojrział na nią z zaciekawieniem. - Nasza ostatnia ekspedycja nie dotarła do Mithrilowej Hali - przypominał.

Wargi opiekunki Baenre wykrzywiły się w idealnie paskudnym uśmiechu, który spowodował, że Jarlaxle niecierpliwie oczekiwał na rewelacje, które mogą nadejść. Matka opiekunka sięgnęła

powoli za przód swej wspaniałej szaty, wyciągając łańcuch, na którym wisiał pierścień, zrobiony jak się wydawało z dużego zęba. -Wiesz coś o tym? - spytała, podnosząc przedmiot, by mógł się przyjrzeć.

- Jest to podobno ząb krasnoludzkiego króla, a w pierścieniu jest uwięziona jego udręczona dusza
- odparł najemnik.

- Krasnoludzkiego króla - powtórzyła opiekunka Baenre. -A widzisz, w okolicy nie ma zbyt wielu krasnoludzkich królestw.

Jarlaxle zmarszczył brwi, po czym jego twarz rozjaśniała. - Mithrilowa Hala? - spytał.

Opiekunka Baenre przytaknęła. - Los podarował mi wspaniały zbieg okoliczności -wyjaśniła. - Wewnątrz tego pierścienia znajduje się dusza Gandaluga Battlehammera, pierwszego króla Mithrilowej Hali, patrona klanu Battlehammer.

W myślach Jarlaxle'a zawirowały możliwości. Nic więc dziwnego, iż Lloth poleciła Yiemie udać się za jej zbuntowanym bratem! Drizzt był zaledwie więzią z powierzchnią, pionkiem w większej grze, w podboju.

- Gandalug rozmawia ze mną - wyjaśniła opiekunka Baenre głosem równie zadowolonym jak mruczenie kota. - Pamięta Mithrilową Halę.

Weszła wtedy Sos'Umptu Baenre, ignorując Jarlaxle'a i przechodząc obok niego, by stanąć przed swoją matką. Matka opiekunka nie złążała jej, czego najemnik mógłby się spodziewać po tak niezapowiedzianym wtargnięciu, lecz skierowała w jej stronę zaciekawiony wzrok i pozwoliła jej się wypowiedzieć.

- Opiekunka Mez'Barris Armgo staje się niecierpliwa - rzekła Sos'Umptu.

W kaplicy, zdał sobie sprawę Jarlaxle, bowiem Sos'Umptu była opiekunką wspaniałej kaplicy Baenre i rzadko ją opuszczała. Najemnik zastanawiał się przez chwilę nad tą informacją. Mez'Barris była matką opiekunką domu Barrison Del'Armgo, drugiego domu w mieście. Dlaczego znajdowała się jednak w kompleksie Baenre jeśli, jak oznajmiła opiekunka Baenre, Barrison Del'Armgo zgodził się już na ekspedycję?

No właśnie, dlaczego?

- Być może powinnaś zobaczyć się najpierw z opiekunką Mez'Barris -powiedział najemnik z chytrą miną do opiekunki Baenre. Wyniszczona, stara opiekunka przyjęła j ego uwagę uśmiechem ukazującym, że jej ulubiony szpieg dobrze myślał.

- K'yorl była trudniejsza - odparła Baenre. - Gdybym kazała jej czekać, wpadłaby w jeszcze paskudniejszy nastrój niż zwykle. Mez'Barris jest znacznie spokojniejsza, lepiej zna się na

korzyściach. Zgodzi się na wojnę z krasnoludami.

Opiekunka Baenre przeszła obok najemnika do marmurowego cylindra. Sos'Umptu była już w środku, czekając. - Poza tym - dodała z paskudnym uśmiechem pierwsza matka opiekunka - teraz, kiedy dom Oblodra wszedł do sojuszu, jaki wybór ma Mez'Barris? Ta stara była zbyt piękna. Zbyt piękna. Rzuciwszy ostatnie, żałosne spojrzenie na wspaniałe diamenty na poręczach tronu Baenre, najemnik westchnął głęboko, po czym wyszedł za obydwoma kobietami z wielkiej fortecy domu Baenre.

ROZDZIAŁ 4

OGIEŃ W JEJ OCZACH

Catti-brie owinęła wokół siebie swój szary płaszcz, by ukryć sztylet oraz maskę, które dostała od Regisa. Gdy zbliżała się do prywatnych komnat Bruenora, osaczyły ją mieszane uczucia. Z jednej strony chciała, by był, z drugiej pragnęła, by go nie było.

Jakże mogła odejść, nie zobaczywszy się z Bruenorem, swoim ojcem? Król wydawał się teraz jednak Catti-brie zaledwie skorupą swego dawnego siebie, zmęczonym, starym krasnoludem, czekającym na to, aż umrze. Nie chciała go takim widzieć, nie chciała zabrać ze sobą takiego obrazu Bruenora do Podmroku.

Podniosła rękę, by zapukać do drzwi do salonu Bruenora, jednak delikatnie otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Ujrzała krasnoluda stojącego z boku płonącego kominka, jednak nie był to Bruenor. Thibbledorf Pwent, szałojownik, podskakiwał dookoła, najwyraźniej starając się złapać natrętną muchę. Miał na sobie swą kanciastą zbroję (jak zawsze), razem z nabijanymi rękawicami, szpikulcami na kolanach i łokciach oraz innymi śmiertcionośnymi palcami wystającymi pod każdym

możliwym kątem. Pancierz zaskrzypiał, gdy krasnolud obrócił się i podskoczył, był to jeden z bardziej irytujących dźwięków, jakie Catti-brie kiedykolwiek słyszała. Otwarty hełm Pwenta spoczywał na krześle obok niego, wystający z czubka szpiculec był w połowie tak wysoki jak krasnolud. Bez niego, jak widziała Catti-brie, szalojownik był prawie łysy, pozostałe mu cienkie strąki przetłuszczonych włosów przylegały ściśle do boków głowy, ustępując następnie miejsca gęstej, krzaczastej, czarnej brodzie.

Catti-brie pchnęła drzwi trochę mocniej i ujrzała Bruenora siedzącego przed płonącym słabo ogniem, w roztertargnieniu starającego się obrócić kłodę, by żar znów rozpalił się do życia. Widząc jak bez przekonania szturcha kłodę, Catti-brie skrzywiła się. Przypomniała sobie nie tak dawne czasy, kiedy to hałaśliwy król sięgnąłby po prostu do kominka i przesunął upartą belkę gołą dłonią.

Spojrząwszy na Pwenta (który właśnie coś jadł, a Catti-brie miała szczerą nadzieję, że nie jest to mucha), młoda kobieta weszła do pokoju, po drodze poprawiając płaszcz, by sprawdzić, czy przedmioty są odpowiednio ukryte.

- Hej, tam! - Pwent zawył pomiędzy chrupiącymi kęsami. Bardziej niż zdegustowana na myśl, że to może być mucha, Catti-brie była zdumiona, że może on j ą tak długo żuć!

- Powinnaś zapuścić brodę! - zawołał szalojownik, co było jego zwyczajowym powitaniem. Od pierwszego spotkania brudny krasnolud powtarzał Catti-brie, iż byłaby naprawdę atrakcyjną kobietą, gdyby tylko zapuściła brodę.

- Pracuję nad tym - odparła Catti-brie, szczerze zadowolona z rozluźnienia atmosfery. - Mogę ci obiecać, że nie goliłam twarzy od dnia, kiedy się poznaliśmy. - Pacnęła szalojownika w czubek głowy, po czym natychmiast tego pożałowała, czując na dłoni tłustą maź.

- Dobra dziewczynka - odrzekł Pwent. Zauważył kolejnego latającego insekta i skoczył za nim w pościg.

- Gdzie idziesz? - spytał ostro Bruenor, zanim jeszcze Catti-brie zdołała się z nim przywitać.

Catti-brie westchnęła, widząc grymas ojca. Jakże tęskniła za tym, by znów ujrzeć jego uśmiech! Catti-brie zauważyła ranę na czole Bruenora, zadrapany fragment zaczął się w końcu pokrywać strupem. Według doniesień kilka nocy temu wpadł w szal i wręcz roztrzaskał ciężkie, drewniane drzwi za pomocą głowy, gdy dwóch młodszych krasnoludów gorączkowo starało się go powstrzymać. Rana łączyła się z paskudną blizną Bruenora, biegnącą od j ego czoła do bocznej części żuchwy, przez oczodół, w którym niegdyś znajdowało się oko, czyniąc starego krasnoluda naprawdę poobijanym!

- Gdzie idziesz? - zapytał ponownie Bruenor ze złością.

- Do Settlestone - skłamała młoda kobieta, mając na myśli miasto barbarzyńców, ludu Wulfgara, w górach niedaleko od wschodniego wejścia do Mithrilowej Hali. - Plemię buduje kopiec, by uczić

pamięć Wulfgara. - Catti-brie była dość zdumiona, jak łatwo przychodzi jej kłamstwo. Zawsze była w stanie oczarować Bruenora, wykorzystując półprawdy i gierki semantyczne, by ominąć szorstką prawdę, jednak nigdy jeszcze tak otwarcie mu nie kłamała.

Przypomniawszy sobie jak to wszystko jest ważne, podejmując wątek, spoglądała rudobrodemu krasnoludowi w oko. - Chcą żebym była tam, zanim zaczną budować. Jeśli mają to zrobić, niech zrobią dobrze. Wulfgar nie zasługuje na nic mniejszego.

Jedynym sprawne oko Bruenora wydawało się zamglone, przybrało jeszcze bardziej mętny wygląd, i poznaczone szramą krasnolud odwrócił wzrok od Catti-brie, wracając do bezcelowego szturchania ognia, choć zdołał kiwnąć beznamiętnie głową, wyrażając swą zgodę. Nie było w Mithrilowej Hali tajemnicą, że Bruenor nie lubił rozmawiać o Wulfgarze - uderzył nawet pięścią jednego kapłana, który twierdził, że Aegis-fang nie może, zgodnie z krasnoludzką tradycją zostać złożony na honorowym miejscu w Sali Dumathoina, bowiem to człowiek, nie krasnolud, się nim posługiwał.

Wtedy Catti-brie zauważyła, że zbroja Pwenta przestała skrzypieć, i odwróciła się, by spojrzeć na szalojownika. Stał przy otwartych drzwiach, patrząc rozpaczliwie na nią i na plecy Bruenora.

Skinawszy młodej kobiecie głowę (cicho jak na szalojownika w zardzewiałej zbroi), opuścił pokój.

Najwyraźniej Catti-brie nie była jedyną, która odczuwała ból widząc, jakim żalonym nieszczęśnikiem stał się Bruenor Battlehammer.

- Masz ich sympatię - odezwała się do Bruenora, który wydawał się nie słyszeć. - Wszyscy w Mithrilowej Hali mówią dobrze o swym rannym królu.

- Zamilknij - powiedział Bruenor kącikiem ust. Wciąż wpatrywał się w niskie płomienie.

Catti-brie wiedziała, że zawarta w jego wypowiedzi groźba była słaba, była kolejnym przypomnieniem upadku Bruenora. Niegdyś, gdy Bruenor zasugerował komuś, by zamilknął, ten ktoś robił to albo Bruenor mu w tym pomagał. Teraz, od walki z kapłanem oraz drzwiami, ogień Bruenora, niczym ten w kominku, dogasał.

- Czy zamierzasz szturchać ten ogień aż do końca swoich dni? - spytała Catti-brie, starając się wywołać kłótnię, dmuchnąć na iskry dumy Bruenora.

- Jeśli tak będzie mi się podobało - odparł zbyt spokojnie krasnolud.

Catti-brie westchnęła i celowo przesunęła płaszcz na biodro, odsłaniając magiczną maskę oraz wysadzany klejnotami sztylet Entreriego. Nawet jeśli młoda kobieta zdecydowała podjąć tę przygodę sama i nie chciała się z tego tłumaczyć przed Bruenorem, modliła się, by krasnolud miał w sobie choć tyle życia, by zauważyć.

Minęły długie minuty, ciche, nie licząc trzaskania co jakiś czas węgla oraz syku niewysuszonego drewna.

- Wróć, kiedy wróć! - warknęła zdenerwowana kobieta i skierowała się do drzwi. Bruenor w roztargnieniu pomachał jej przez ramię, nawet nie trudząc się, by na nią spojrzeć.

Catti-brie przystanęła przy drzwiach, po czym otworzyła je i cicho zamknęła, nie opuszczając pokoju. Zaczekała parę chwil, nie wierząc, że Bruenor pozostanie przed ogniem, szturchając go beznamiętnie. Następnie przemknęła przez pomieszczenie do innych drzwi, do sypialni krasnoluda.

Catti-brie podeszła do wielkiego, dębowego biurka Bruenora - daru od ludu Wulfgara, wykonanego z błyszczącego drewna oraz wizerunkami Aegis-fanga, potężnego młota bojowego, który wykuł Bruenor, wyrzeźbionymi po bokach. Catti-brie stała nieruchomo przez długą chwilę, pomimo tego, że musiała wyjść, zanim krasno-lud uświadomi sobie, co ona robi, i wpatrywała się w te wizerunki, przypominając sobie Wulfgara. Nigdy nie przejdzie do porządku dziennego nad tą stratą. Rozumiała to, wiedziała jednak również, że jej czas żalu zbliżał się do końca, że musiała zająć się życiem. Zwłaszcza teraz, przypomniawszy sobie, kiedy kolejny z jej przyjaciół szedł prosto w niebezpieczeństwo.

W kamiennym kufierku na biurku Catti-brie znalazła to, czego szukała - mały medalion na srebrnym łańcuchu, dar dla Bruenora od Alustriel, pani Silverymoon. Kiedy przyjaciele pierwszy raz znajdowali się w Mithrilowej Hali, myśleli, że Bruenor zginął. Jakiś czas później uciekł od złych szarych krasnoludów, którzy zawłasczyli sobie Halę, i z pomocą Alustriel znalazł Catti-brie w Longsaddle, wiosce na południowy zachód. Drizzt i Wulfgar odjechali na długo przedtem na południe, w pościgu za Regisem, który został pojmany przez zabójcę Entreriego.

Alustriel dała wtedy Bruenorowi magiczny medalion. Wewnątrz znajdował się mały portret Drizzta i dzięki temu urządzeniu krasnolud mógł mniej więcej śledzić drowa. Odpowiedni kierunek oraz odległość od Drizzta mogły być określone dzięki stopniowi magicznego ciepła, które emanowało z wisiorka.

Metalowa błyskotka była teraz chłodna, zimniej niż powietrze w pokoju, i Catti-brie wydawało się, że Drizzt jest już daleko od niej.

Catti-brie otworzyła medalion i przyjrzała się idealnemu obrazowi swego przyjaciela drowa. Zastanawiała się, czy powinna go zabrać. Dzięki Guenhwyvar najprawdopodobniej i tak mogła podążać za Drizztem, jeśli tylko trafi na jego trop, a i miała świadomość, że gdy Bruenor dowie się prawdy od Regisa, w jego oczach pojawi się ogień i ruszy w pościg.

Spodobał jej się ten obraz zacieklego Bruenora, chciała, by ojciec pospieszył jej oraz Drizztowi na pomoc, zdawała sobie jednak sprawę, że to dziecięca nadzieja, nierealna i niezwykle niebezpieczna.

Catti-brie zamknęła medalion i zacisnęła go w dłoni. Wymknęła się z sypialni Bruenora i przeszła

przez jego salon (gdzie rudobrody krasnolud wciąż siedział przed ogniem, milion kilometrów dalej), po czym pospieszyła poprzez korytarze górnego poziomu, wiedząc, że jeżeli szybko nie wyruszy w drogę, mogą jej puścić nerwy.

Będąc już na zewnątrz, znów spojrzała na medalion. Wiedziała, że zabierając go, przecięła wszelkie szanse, iż Bruenor za nią podąży. Była zdana na siebie.

Właśnie tak miało być, zdecydowała Catti-brie i zawiesiła łańcuszek na szyi, po czym wyruszyła w góry, mając nadzieję dotrzeć do Silverymoon niedługo po Drizzcie.

* * *

Przemykał się tak cicho i nie rzucając się w oczy, jak tylko mógł ciemnymi ulicami Menzoberranzan, a jego wyczuwające ciepło oczy płonęły rubinową czerwienią. Wszystkim, czego chciał, było wrócić do bazy Jarlaxle'a, z powrotem do drowa, który dostrzegał jego wartość.

- Waela riwil! - dobiegł z boku przenikliwy krzyk. Zatrzymał się i oparł znużony o pęknięty głaz w pobliżu nieza-

mieszkanego stalagmitowego kopca. Słyszał już wcześniej często te słowa - zawsze te same dwa słowa, wypowiedane z wyraźną drwiną.

- Waela riwil! - powtórzyła drowka, zbliżając się do niego z trzymaną w dłoni czerwono-brązową różgą, której trzy dwu i półmetrowe macki wiły się z własnej woli, jakby chciały wystrzelić z całą swą niegodziwością i uderzyć w niego. Przynajmniej ta kobieta nie miała bicza z zębami, pomyślał, wyobrażając sobie broń zaopatrzoną w liczne węzowe głowy, których używało wiele ze znajdujących się wyżej w hierarchii kapłanek drowów.

Nie stawiał oporu, gdy podchodziła, by stanąć przed nim, z szacunkiem opuścił oczy, jak nauczył go Jarlaxle. Podejrzewał, że ona również przemierzała ulice, starając nie rzucać się w oczy - z jakiego bowiem innego powodu drowka, wystarczająco potężna, by mieć przy sobie jedną z tych paskudnych różg, skradałaby się taką alejką w gorszej dzielnicy Menzoberranzan?

Wyrzuciła z siebie swym melodyjnym głosem szereg drowich słów, zbyt szybko, by ów nowo przybyły zrozumiał. Pochwycił wyraz auarth, oznaczający rozkaz, oraz harl 'ii 'cik, czyli klękać, zresztą i tak się ich spodziewał, bowiem zawsze rozkazywano mu klękać.

Opadł na ziemię, posłusznie i bez ociągania, choć na twardym kamieniu bolały go kolana.

Drowka przeszła powoli obok niego, pozwalając mu spojrzeć dłużej na swoje kształtne nogi, a nawet odciągając jego głowę w tył, by mógł wpatrzeć się w jej niezaprzeczalnie piękną twarz, podczas gdy ona cedziła swoje imię - Jerlys.

Poruszyła się tak, jakby zamierzała go pocałować, po czym zamiast tego uderzyła go, wywołując pieczenie na policzku. Natychmiast jego dłonie podążyły do miecza i sztyletu, uspokoił się jednak i przypomniał sobie o konsekwencjach.

Drowka wciąż przechadzała się obok niego, mówiąc w równym stopniu do niego, jak i do siebie. - Iblith - powtórzyła wielokrotnie termin oznaczający u drowów odchody, dopóki on w końcu nie odpowiedział pojedynczym słowem „abban”, znaczącym sojusznika, czego również nauczył go Jarlaxle.

- Abban del darthiirl - odkrzyknęła, znów uderzając, tym razem w tył głowy, niemal przewracając go na twarz.

Nie zrozumiał wszystkiego, wydawało mu się jednak, że dsdarthi-ir ma coś wspólnego z faerie, elfami z powierzchni. Zaczął dochodzić do wniosku, że tym razem znalazł się w poważnych kłopotach i nie uda mu się tak łatwo z nich wydostać.

- Abban del darthiirl - znów krzyknęła Jerlys i tym razem jej różga, nie ręka, spadła na niego z tyłu, wszystkie trzy macki uderzyły go boleśnie w bark. Chwycił się za ranę i padł płasko na kamień. Jego prawa ręka nie nadawała się do użytku i przetaczały się przez nią fale bólu.

Jerlys znów zaatakowała, w jego plecy, lecz nagły ruch ocalił go przed trafieniem przez wszystkie trzy macki.

Jego myśli pędziły jak szalone. Wiedział, że musi działać szybko. Kobieta szydziła z niego, uderzając różgą o ściany alei i co jakiś czas w jego krwawiące plecy. Wiedział już, że zaskoczył tę kobietę, że znajdowała się w jakiejś sekretnej misji, i że najprawdopodobniej nie wyjdzie żywy z tego spotkania.

Jedna z macek trafiła go w tył głowy. Jego prawa ręka wciąż pozostawała martwa, osłabiona magią jednoczesnego potrójnego uderzenia.

Musiał jednak działać. Przesunął lewą dłoń do prawego biodra, do sztyletu, po czym zmienił zdanie i przeniósł ją na drugą stronę.

- Abban del darthiir! - krzyknęła ponownie Jerlys, a jej ręka wystrzeliła do przodu.

Obrócił się i podniósł, a jego miecz, nie wykonany przez drowy, zabłysnął wściekle, zetknąwszy się z mackami. Pojawił się zielony rozbłysk i jedna z odnóg odpadła, lecz jedna z pozostałych przedarła się przez zastawę i trafiła go w twarz.

- Jiwin! - oczarowana drowka krzyknęła słowo oznaczające zabawę i zaczęła poruszać się z większą gracją, dziękując mu za jego głupi kontratak, który dostarczył jej tyle radości.

- Pobaw się z tym - odpowiedział jej i natarł. Opadła na niego kula przyzwanej ciemności.

- Jiwin! - znów zaśmiała się Jerlys i wyszła w przód, by uderzyć swą różgą. Nie był on jednak nowicjuszem w walce z mrocznymi elfami i, ku swemu zdumieniu, kobieta nie znalazła go w swojej kuli.

Wyłonił się z drugiej strony mroku, jedna jego ręka zwisała bezwładnie, druga jednak błyskała w jedną i drugą stronę we wspaniałym pokazie szermierki. Miał wszakże do czynienia z drowką, dobrze wyszkoloną w sztuce walki i uzbrojoną w różgę. Sparowała i skontrolowała, uzyskując kolejne trafienie.

Nie rozumiała swego przeciwnika.

Znów wyprowadził proste pchnięcie, odwrócił się w lewo, jakby chciał kontynuować cięciem z obrotu, po czym przekręcił chwyt na broni, skręcił z powrotem w prawo i cisnął mieczem, jakby był włócznią.

Czubek broni zagłębił się pożądliwie pomiędzy piersiami zdumionej kobiety, krzesząc iskry, gdy przechodził przez solidną kolczugę.

Podążył za swoim rzutem za pomocą salta z wysokości i kopnął obydwoma nogami w przód, tak że zetknęły się z drżącą rękojeścią miecza i wbiły broń głębiej w pierś niegodziwej kobiety.

Drowka wpadła na stertę kamieni i potknęła się o nią, dopóki w końcu nie oparła się o nierówną ścianę stalagmitu w pozycji na w pół wyprostowanej. Jej oczy były szeroko otwarte.

- Szkoda, Jerlys - wyszeptał jej do ucha, po czym delikatnie pocałował ją w policzek, chwytając za rękojeść miecza. Celowo stanął na wijących się mackach, by przygwoździć je do podłogi. - Jakich przyjemności mogliśmy zaznać.

Wyciągnął miecz i skrzywił się, rozmyślając nad konsekwencjami płynącymi ze śmierci drowki. Nie mógł jednak odmówić sobie satysfakcji, że odzyskał trochę kontroli nad swoim życiem. Nie przeszedł przez te wszystkie walki tylko po to, by skończyć jako niewolnik!

Krótką chwilę później opuścił alejkę, w której pod kamieniami leżała pogrzebana Jerlys i jej różga, a do jego kroków powróciła sprężystość.

ROZDZIAŁ 5

POPRAZ LATA

Drizzt czuł na sobie wzrok. Wiedział, że były to elfie oczy. Tropiciel beztrudnie kontynuował swą podróż przez Księżycowy Las, ze schowaną bronią i kapturem zielonego płaszcza ściągniętym z głowy, ujawniając swe długie białe włosy oraz elfie rysy.

Słońce przedzierało się leniwie przez liściaste drzewa, pstrząc las plamami bladej żółci. Drizzt nie unikał ich, zarówno po to, by pokazać elfom z powierzchni, że nie jest zwyczajnym drowem, jak dla szczerej miłości do ciepła słońca. Szlak był szeroki i gładki, co było nieoczekiwane w wydawałoby się dzikim i gęstym lesie.

Gdy minuty przeszły w godzinę, a las wokół niego zgęstniał, Drizzt zaczął zastanawiać się, czy uda mu się przejść przez Księżycowy Las bez żadnego incydentu. Z pewnością nie chciał żadnych kłopotów, pragnął jedynie kontynuować i zakończyć swoje zadanie.

Jakiś czas później dotarł do małej polanki. Wokół osłoniętego kamieniami paleniska ułożono w kwadrat kilka kłód. Drizzt wiedział, że nie było to zwyczajne obozowisko, lecz miejsce wyznaczonych spotkań, obóz dla wszystkich tych, którzy respektowali prawa lasu oraz stworzenia żyjące pod osłoną jego konarów.

Drizzt przeszedł obrzeżem obozu, rozglądając się po drzewach. Spojrzawszy na kępę mchu u podstawy dużego dębu, drow zauważył kilka znaków. Choć czas rozmył ich kontury, jeden wyglądał na stojącego na tylnych łapach niedźwiedzia, inny na dziką. Były to symbole tropicieli, a drow, skinąwszy z uznaniem głową, przeszukał niższe konary drzewa, odnajdując w końcu dobrze ukrytą dziuplę. Sięgnął do niej ostrożnie i wyciągnął pakunek z suszonym jadem, toporek oraz bukłak wypełniony niezłym winem. Drizzt wziął jedynie mały kubek wina, żałował jednak, że nie może nic dołożyć do schowka, potrzebował bowiem wszystkiego, co był w stanie unieść, a nawet jeszcze więcej, na swą długą podróż przez niebezpieczny Podmrok.

Schowal zapasy po wykorzystaniu toporka do porąbania znalezionej nieopodal powalonego drzewa, po czym delikatnie wyrył swój własny znak tropiciela, jednorożca, w mchu u podstawy pnia, i wrócił do najbliższej kłody, by rozpalić ogień na posiłek.

-Nie jesteś zwyczajnym drowem - dobiegł zza niego melodyjny głos, zanim jeszcze jedzenie zdążyło się przygotować. Była to elfia mowa, podobnie jak tembr głosu, było w nim więcej melodii niż u ludzi.

Drizzt odwrócił się powoli, rozumiejąc że było w niego najprawdopodobniej wycelowanych kilka łuków. Stał przed nim jeden elf. Była to młoda dziewczyna, młodsza jeszcze od Drizzta, choć drow przeżył zaledwie jedną dziesiątą swego oczekiwanego okresu życia. Miała na sobie leśne kolory, podobnie jak Drizzt, oraz brązową tunikę i legginsy. Przez jej ramię był przewieszony swobodnie długi łuk, a przy biodrze przypięty był wąski miecz. Jej czarne włosy lśniły tak, że wydawały się granatowe, a skóra była tak blada, że odbijał się w niej ten ciemnoniebieski odcień. Oczy również były jasne i lśniące, niebieskie, upstrzone złotem. Drizzt wiedział, że była srebrnym

elfem - księżycowym elfem.

Podczas lat, jakie przeżył na powierzchni, Drizzt spotkał niewiele elfów powierzchni, i były to złote elfy. Z księżycowymi zetknął się jedynie raz w swoim życiu, podczas pierwszej wyprawy na powierzchnię, w najeździe mrocznych elfów, kiedy to jego pobratymcy zamordowali cały niewielki klan elfów. Owe straszne wspomnienia wróciły teraz gwałtownie do Drizzta, gdy stał przed tą piękną i delikatną istotą. Jedynym księżycowym elfem, który przetrwał to spotkanie, była mała dziewczynka, którą Drizzt ukrył w tajemnicy pod okaleczonym ciałem jej matki. Ten akt zdrady wobec złych drowów wywołał poważne konsekwencje, kosztował rodzinę Drizzta utratę łaski Lloth, zaś Zaknafaína, jego ojca, życie.

Drizzt znów stał przed księżycowym elfem, dziewczyną w wieku może trzydziestu lat, z iskrami w oczach. Tropiciel czuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Czy to w tej okolicy pojawił się wraz z drowami łupieżcami?

-Nie jesteś zwyczajnym drowem - powtórzyła elfka, wciąż używając mowy elfów. Jej oczy błyszczały niebezpiecznie, a ton głosu był ponury.

Drizzt trzymał ręce przy bokach. Zdawał sobie sprawę, że powinien coś powiedzieć, jednak nie był w stanie myśleć o żadnych słowach - ani przepchnąć ich przez zaciśnięte gardło.

Oczy elfiej dziewczyny zmrużyły się, jej żuchwa trzęsła się, a dłoń instynktownie opadła na rękojeść miecza.

- Nie jestem wrogiem - zdołał powiedzieć Drizzt, świadom, że musi się odezwać albo zostanie zmuszony do walki.

W mgnieniu lawendowego oka dziewczyna rzuciła się na niego, błyskając mieczem.

Drizzt nie wyciągnął broni, stał tylko ze spokojnym wyrazem twarzy. Elfka zatrzymała się tuż przed nim ze wzniesionym mieczem. Jej mina zmieniła się nagle, jakby zauważyła coś w oczach Drizzta.

Wrzasnęła dziko i zaczęła się zamachiwać, lecz Drizzt, zbyt szybki dla niej, wyskoczył w przód, chwycił jedną dłonią jej rękę z bronią, drugim zaś ramieniem otoczył ją przyciągnął blisko do siebie, trzymając ją tak blisko, że nie mogła dalej walczyć. Spodziewał się, że zacznie go drapać albo nawet ugryzie, jednak, ku jego zaskoczeniu, opadła bezwładnie w jego ramiona, zanurzyła twarz w jego piersi, a jej barki zaczęły się trząść od płaczu.

Zanim Drizzt zdołał wypowiedzieć jakieś pocieszające słowa, poczuł ostry czubek efiego miecza przyciśnięty do swego karku. Natychmiast puścił kobietę i znów rozłożył szeroko ręce, a spomiędzy drzew wyłonił się inny elf, starszy i z bardziej stanowczą twarzą, lecz o podobnie pięknych rysach, by zabrać młodą dziewczynę dalej.

-Nie jestem wrogiem - powtórzył Drizzt.

- Dlaczego przemierzasz Księżycowy Las? - niewidoczny elf z tyłu zapytał go we wspólnej mowie.

- Twoje słowa są słuszne - odparł z roztargnieniem Drizzt, bowiem jego myśli wciąż były skoncentrowane na zagadkowej dziewczynie. -Zamierzam jedynie przemierzyć Księżycowy Las, z zachodu na wschód, i nie przyniosę szkody ani wam, ani lasowi.

- Jednorożec - Drizzt usłyszał z tyłu głos innego elfa, z okolic wielkiego dębu. Uznał, że znalazł on w mchu jego znak tropiciela. Ku uldze drowa, miecz został zdjęty z jego karku.

Drizzt milczał przez długą chwilę, sądząc że tym razem nadeszła kolej elfów, by mówić. W końcu zdobył się na obrót-jedynie po to, by stwierdzić, że księżycowych elfów już nie było, zniknęły w krzakach.

Zastanawiał się, czy za nimi nie pójść, prześladował go wizerunek tej młodej elfki, był jednak świadom, że nie mógł zakłócać im spokoju tego miejsca, ich leśnego domu. Szybko skończył swój posiłek, upewnił się, że okolica jest tak czysta, jak ją zastał, po czym zebrał swój ekwipunek i ruszył w drogę.

Około półtora kilometra dalej natrafił na kolejny zagadkowy widok. Stał tam cicho i spokojnie czarno-biały koń, w pełni osiodłany, na jego wodzach wisiały dzwoneczki. Ujrawszy, że drow się zbliża, zwierzę pogrzebało kopytem ziemię.

Podchodząc, Drizzt łagodnie mówił. Koń wyraźnie się uspokoił, a nawet szturchnął Drizzta nosem, gdy ten się zbliżył. Z tego co mógł stwierdzić tropiciel, zwierzę było doskonałe, dobrze umięśnione i zadbane, choć niezbyt wysokie. Pokryte było czarnymi i białymi plamami, nawet na pysku, bowiem jedno oko otoczone było bielą, drugie zaś wyglądało, jakby znajdowało się pod czarną maską.

Drizzt przeszukał okolicę, lecz nie znalazł na ziemi żadnych innych śladów. Podejrzewał, że koń został mu dostarczony przez elfy, nie mógł jednak być pewien, a zdecydowanie nie chciał nikomu ukraść wierzchowca.

Klepnął konia w kark i zaczął przechodzić obok niego. Uszedł zaledwie kilka kroków, gdy koń parsknął i obrócił się. Podbiegł do drowa i znów stanął przed nim na ścieżce.

Zaciekawiony Drizzt powtórzył ten manewr, przechodząc obok konia, a on zaraz znalazł się przed nim.

- Czy powiedzieli ci, żebyś to robił? - spytał bezceremonialnie Drizzt, drapiąc konia w pysk.

- Czy kazaliście mu tak robić?! - Drizzt zawołał głośno do otaczającego go lasu. - Pytam elfy z

Księżycowego Lasu, czy ten koń przeznaczony jest dla mnie?

Wszystkim, co dobiegło w odpowiedzi, były pełne protestu śpiewy jakichś ptaków, zaniepokojonych krzykiem Drizzta.

Drow wzruszył ramionami i uznał, że zabierze konia do końca lasu, który zresztą i tak nie był daleko. Wsiadł na niego i pogalopował, znacznie zyskując na czasie na szerokiej i płaskiej ścieżce.

Dotarł do wschodniego krańca Księżycowego Lasu późnym popołudniem, kiedy z wysokich drzew zwieszały się już długie cienie. Uznawszy, że elfy dały mu wierzchowca tylko po to, by mógł szybciej opuścić ich krainę, zatrzymał konia, wciąż znajdując się w cieniu, zamierzał bowiem zsiąść i posłać zwierzę z powrotem do lasu.

Uwagę tropiciela zwrócił ruch na rozległym polu, rozciągającym się za drzewami. Zauważył elfa siedzącego na wysokim, czarnym ogierze, tuż za linią krzaków, spoglądającego w jego stronę. Elf przyłożył dłoń do ust i wydał z siebie przenikliwy gwizd, a wtedy koń Drizzta wyskoczył z cieni i pobiegł po gęstej trawie.

Elf zniknął natychmiast w krzakach, jednak Drizzt nie zatrzymał konia. Zrozumiał, że elfy postanowiły mu pomóc, na swój odległy sposób, przyjął więc dar i odjechał.

Zanim rozłożył tej nocy obóz, Drizzt zauważył, że elfi jeździec porusza się równoległe do niego, w pewnej odległości na południe.

Wydawało się, że zaufanie do niego ma swoje granice.

* * *

Catti-brie nie miała zbyt dużych doświadczeń z miastami. Była w Luskan, leciała w zaklętym rydwanie ponad wspaniałościami potężnego Waterdeep oraz podróżowała przez wielkie południowe miasto Calimport. Nic jednak nie dorównywało widokom, które oczekiwały na nią, gdy weszła na szerokie i zakrzywione aleje Si-lverymoon. Była tu już kiedyś, lecz wtedy była więźniem Artemisa Entreri i niezbyt zauważała pełne wdzięku spirale oraz płynne kształty cudownego miasta.

Silvermoon było miejscem dla filozofów, dla artystów, miejscem znanym z tolerancji. Tutaj architekt mógł pozwolić, by jego wyobraźnia wlatywała w górę wraz z trzydziestometrowymi iglicami. Tutaj poeta mógł stanąć na rogu ulicy, dzieląc się swą sztuką i zarabiając na godziwe życie dzięki datkom rzucanym przez przechodniów.

Pomimo powagi jej zadania oraz świadomości, że wkrótce może wkroczyć w mrok, na twarzy Catti-brie rozkwitł szeroki uśmiech. Rozumiała, dlaczego Drizzt opuszczał często Mithrilową Halę, by odwiedzać to miejsce. Nigdy nie spodziewałaby się, iż świat może być tak zróżnicowany i

wspaniały.

Kierując się impulsem, młoda kobieta odeszła na bok jednego budynku, kilka kroków w głąb ciemnej, choć czystej alejki. Wyjęła figurkę pantery i postawiła ją przed sobą na bruku.

- Chodź, Guenhwyvar - zawołała cicho. Nie wiedziała, czy Drizzt wprowadzał wcześniej panterę do miasta, czy nie, nie wiedziała też, czy nie łamała jakichś zasad, uważała jednak, że Guenhwyvar powinna poznać to miejsce. Z jakiegoś powodu była przekonana, iż w Silverymoon mogła podążać za głosem serca.

Figurkę otoczyła szara mgła, zawirowała i stopniowo nabrała kształtów. Stała przed nią wielka pantera, trzysta kilo atramentowej czerni, muskularna kocica, sięgająca barkami wyżej niż talia Catti-brie.

-Jesteśmy w Silverymoon, Guen-wyszeptała Catti-brie.

Pantera potrząsnęła głową, jakby właśnie się obudziła, i wydała z siebie niski, cichy pomruk.

- Trzymaj się blisko - poleciała Catti-brie - tuż przy moim boku. Nie wiem, czy możesz tu być, czy nie, ale chciałam, żebyś chociaż zobaczyła to miejsce.

Wyszły obok siebie z alejki. - Widziałas już wcześniej to miejsce, Guen? - spytała Catti-brie. - Szukam pani Alustriel. Wiesz, gdzie może być?

Pantera przycisnęła się tuż do nogi Catti-brie i ruszyła dalej, najwyraźniej w jakimś celu, zaś Catti-brie podążyła zaraz za nią. Wiele głów odwracało się, by spojrzeć na ciekawą parę, pokrytą kurzem drogi kobietę oraz jej niezwykłą towarzyszkę, jednak spojrzenia te były nieszkodliwe i nikt nie wrzasnął ani nie rzucił się do ucieczki.

Dochodząc do zakręcającej alei, Guenhwyvar niemal wpadła na dwóch rozmawiających elfów. Oskoczyli instynktownie i przenieśli wzrok z pantery na młodą kobietę.

- Jakże wspaniale! -jeden z nich powiedział śpiewnym głosem.

- Niewiarygodne - zgodził się drugi. Wyciągnął powoli rękę w stronę pantery, sprawdzając reakcję. - Czy mogę? - spytał Catti-brie.

Nie spodziewając się, by chciał wyrządzić jakąś krzywdę, przytaknęła.

Twarz elfa rozjaśniła się, gdy przejeżdżał swymi smukłymi palcami po umięśnionym karku Guenhwyvar. Spojrzał na swego zachowującego się z większą rezerwą towarzysza, a jego uśmiech wydawał się sięgać mu do uszu.

- Och, kup kota! - drugi zgodził się z ekscytacją.

Catti-brie skrzywiła się. Guenhwyvar położyła po sobie uszy i wydała z siebie ryk, który odbił się echem od miejskich budynków.

Catti-brie wiedziała, że elfy potrafią się szybko poruszać, jednak ci dwaj zniknęli z pola widzenia, zanim zdążyła wytłumaczyć im ich pomyłkę. - Guenhwyvar! - wyszeptała ostro do ucha pantery.

Kocica podniosła uszy, odwróciła się i stanęła na tylnych nogach, kładąc grube łapy na ramionach Catti-brie. Stuknęła głową w twarz dziewczyny i obróciła się, by pogłodzić jej gładki policzek. Catti-brie musiała starać się, by utrzymać równowagę, i potrzebowała długiej chwili, by wyjaśnić panterze, że przeprosiny zostały przyjęte.

Kiedy szły, spojrzeniom towarzyszyły wyciągnięte palce, a parę osób przed nimi przemknęło na drugą stronę alei, by pozwolić kobiecie i kocicy przejść. Catti-brie wiedziała, że zwracają zbyt wiele uwagi i zaczęła sądzić, że postąpiła głupio, sprowadzając tu Guenhwyvar. Chciała odesłać kocicę z powrotem na Plan Astralny, podejrzewała jednak, że nie uda jej się tego zrobić, nie wzbudzając jeszcze większego zainteresowania.

Nie była zdumiona, kiedy kilka chwil później otoczył ją w przyzwoitej odległości oddział uzbrojonych żołnierzy, mających na sobie nowe, srebrno-błękitne uniformy straży miejskiej.

- Pantera jest z tobą- stwierdził jeden z nich.

- Guenhwyvar - odparła Catti-brie. - Jestem Catti-brie, córka Bruenora Battlehammera, ósmego króla Mithrilowej Hali.

Mężczyzna przytaknął i uśmiechnął się, a Catti-brie uspokoiła się, wydając głębokie westchnięcie.

- To rzeczywiście kot drowa! - wypalił inny ze strażników. Zaczerwienił się z powodu swego nieproszonego wybuchu, spojrzał na dowódcę i szybko spuścił oczy.

- Aha, Guen jest przyjaciółką Drizzta Do'Urdena - odrzekła Catti-brie. - Czy on jest w mieście? - nie mogła nie zapytać, choć, logicznie rzecz biorąc, wolałaby zadać to pytanie Alustriel, która mogłaby dać jej pełniejszą odpowiedź.

- Nie słyszałem o tym - odparł dowódca straży. - Jednak Silverymoon jest zaszczycone twoją obecnością, królowno Mithrilowej Hali. - Pochylił się w głębokim ukłonie, a Catti-brie splonęła się, nienawykła do takiego traktowania.

Dobrze ukryła swe rozczarowanie wieściami, przypominając sobie, że odnajdywanie Drizzta nie jest proste. Nawet jeśli przybył do Silverymoon, najprawdopodobniej zrobił to w tajemnicy.

- Przyszłam porozmawiać z panią Alustriel - wyjaśniła Catti-brie.

- Powinnaś była zostać odprowadzona od bramy - burknął dowódca straży, rozszłoszczony niedopełnieniem zasad protokołu.

Catti rozumiała gniew mężczyzny i zdała sobie sprawę, że najprawdopodobniej wpakowała właśnie nieświadomych niczego żołnierzy na Księżycowym Moście, niewidzialnej budowli przecinającej rzekę Rauvin, w kłopoty. - Nie wiedzieli, kim jestem - dodała szybko - ani po co idę. Uznałam, że najlepiej będzie zjawić się tu sama.

- Nie zapytali o obecność takiego... - roztropnie powstrzymał się przed powiedzeniem „pupila” - ...takiej pantery? -ciągnął.

- Guen nie było przy mnie - odparła bez zastanowienia Catti-brie, po czym skrzywiła się, uświadamiając sobie milion pytań, których lawinę właśnie wywołała.

Na szczęście strażnicy nie poruszyli już tej kwestii. Słyszeli wystarczająco wiele opisów roznamiętnionej młodej kobiety, by uznać, iż to rzeczywiście jest córka Bruenora Battlehammera. Odprowadzili Catti-brie oraz Guenhwyvar (w wyrażającej szacunek odległości) przez miasto, ku zachodniej ścianie oraz pełnego gracji i czarującego pałacu pani Alustriel.

Pozostawiona sama w komnacie dla oczekujących Catti-brie zdecydowała zatrzymać Guenhwyvar przy boku. Obecność pantery doda jej opowieści wiarygodności, uznała też, że jeśli Drizzt był tutaj, albo wciąż jest, Guenhwyvar wyczuje to.

Minuty mijały, a niespokojna Catti-brie stawała się coraz bardziej znudzona. Przeszła do bocznych drzwi i delikatnie pchnęła je, odsłaniając udekorowaną toaletę, z miednicą do mycia oraz małym, przystrojonym złotem stolikiem, połączonym z dużym lustrem. Znajdował się na nim wybór grzebieni oraz szczotek, zbiór małych fiolek oraz otwarta szkatułka zawierająca wiele różnokolorowych paczuszek z barwnikami.

Zaciekawiona młoda kobieta spojrzała przez ramię, by sprawdzić czy wszystko w porządku, po czym weszła do środka i usiadła. Wzięła szczotkę i przejechała nią niedbale po swych potarganych i gęstych, kasztanowych włosach, uważając, że powinna wyglądać jak najlepiej, gdy stanie przed panią Silverymoon. Skrzywiła się, zauważywszy kurz na policzku, szybko zanurzyła więc dłoń w misie i umyła twarz.

Zerknęła znów do przedsionka, by upewnić się, że nikt nie idzie. Leżąc wygodnie na podłodze Guenhwyvar spojrzała na nią i warknęła.

- Och, zamknij pysk-powiedziała Catti-brie, po czym wróciła do toaletki i zaczęła oglądać fiołki. Wyjęła z jednej z nich ciasny korek i powąchała, jej granatowe oczy otworzyły się szeroko ze zdziwienia. Za drzwiami Guenhwyvar znów warknęła i kichnęła, a Catti-brie roześmiała się. - Wiem, co masz na myśli - powiedziała do kocicy.

Catti-brie sprawdziła kilka fiolek, marszcząc nos przy niektórych, kichając przy więcej niż jednej,

a w końcu znajdując tę, której aromat jej się spodobał. Przypominał jej pole dzikich kwiatów, nie był przytłaczający, lecz subtelnie piękny, był płynącym tłem muzyką do wiosennego dnia.

Niemal wyskoczyła z butów, niemal wsadziła sobie fiolkę do nosa, gdy jakaś dłoń chwyciła ją za ramię.

Catti-brie odwróciła się i strąciła oddech. Stała tam Alustriel -to musiała być ona! -jej włosy lśniły srebrem i opadały do połowy pleców, zaś oczy błyszczały wyraźniej niż Catti-brie kiedykolwiek widziała - wyraźniej niż jakiegokolwiek oczy z wyjątkiem Wulfgara. Wspomnienie to zabolowało ją.

Alustriel miała metr osiemdziesiąt w porównaniu z metrem sześćdziesiąt pięć Catti-brie, a jej sylwetka była szczupła i pełna gracji. Miała na sobie purpurową suknię z najlepszego jedwabiu, o wielu warstwach, które wydawały się jednocześnie opinać jej kobiece krągłości i skrywać je kusząco. Na jej głowie znajdowała się wysoka korona ze złota i klejnotów.

Guenhwyar oraz Alustriel najwyraźniej znały się, bowiem pantera położyła się cicho u jej boku, zamknawszy z zadowoleniem oczy.

Z jakiegoś powodu, którego nie rozumiała, martwiło to Catti-brie.

-Zastanawiałam się, kiedy w końcu się spotkamy - powiedziała cicho Alustriel.

Catti-brie starała się zamknąć z powrotem fiolkę i odłożyć ją na stół, lecz Alustriel położyła swe długie, szczupłe dłonie na rękach młodej kobiety (a Catti-brie poczuła się w tym momencie jak mała i głupia dziewczynka!) i wsunęły pojemnik do jej sakwy przy pasie.

- Drizzt mówił o tobie często - ciągnęła Alustriel - i z sympatią.

Ta myśl również niepokoiła Catti-brie. Mogło to być niezamierzone, jak zdawała sobie sprawę, lecz wydawało jej się, że Alustriel była trochę protekcyjna. Catti-brie zaś, stojąc w pokrytym kurzem podróżnym ubraniu, z lekko tylko uczesаныmi włosami, z pewnością nie czuła się wygodnie przy osławionej kobiecie.

- Chodź do moich prywatnych komnat - zaprosiła pani. - Tam będziemy mogły swobodniej porozmawiać. - Zaczęła iść, przechodząc nad śpiącą panterą. - Chodź z nami, Guen! - powiedziała, a kocica podniosła się natychmiast, otrząsając znużenie.

- Guen? - poruszyła bezszelестnie wargami Catti-brie. Nigdy nie słyszała, by ktoś poza nią, oraz bardzo rzadko Drizztem, wołał panterę w tak poufały sposób. Spojrzała na kocicę ze zbolaną miną i posłusznie wyszła za Alustriel z pokoju.

To, co z początku wydawało się Catti-brie zaklętym pałacem, teraz powodowało, że czuła się zupełnie nie na miejscu, gdy Alustriel prowadziła ją przez kręte korytarze oraz wspaniałe

pomieszczenia. Catti-brie wciąż spoglądała na swoje ślady, zastanawiając się z obawą, czy nie pozostawia błota na wypolerowanej podłodze.

Służba oraz inni goście - prawdziwa szlachta, uświadomiła sobie młoda kobieta - wpatrywali się w przechodzącą niezwykłą karawanę, a Catti-brie nie mogła odwzajemnić ich spojrzeń. Czowała się mała, taka mała, idąc za wysoką i piękną Alustriel.

Catti-brie ucieszyła się, gdy weszły do prywatnego salonu Alustriel i pani zamknęła za nimi drzwi.

Guenhwyvar podbiegła do wysoko wyścielanej otomany i wskoczyła na nią, a oczy Catti-brie rozszerzyły się w szoku.

- Złaz stamtąd - wyszeptała ostro do pantery, lecz Alustriel jedynie zachichotała, przechodząc obok. Położyła dłoń na głowie ułożonej wygodnie kocicy i wskazała Catti-brie, by usiadła.

Catti-brie znów skierowała na Guenhwyvar wściekłe spojrzenie, czując się trochę zdradzona. Jakże wiele razy pantera kładła się na tej właśnie kanapie? - zastanawiała się.

- Co sprowadza córkę króla Bruenora do mojego skromnego miasta? - spytała Alustriel. - Żałuję, że nie wiedziałam, iż się zjawisz. Mogłabym się lepiej przygotować.

- Szukam Drizzta - odpowiedziała zwięźle Catti-brie, po czym skrzywiła się na ostrzejszy niż zamierzała ton swej wypowiedzi.

Na twarzy Alustriel natychmiast pojawiło się zaniepokojenie. -Drizzta? - powtórzyła. - Nie widziałam go już od jakiegoś czasu. Miałam nadzieję, że powiesz mi, iż on również jest w mieście, lub przynajmniej zmierza do niego.

Choć była podejrzliwa i sądziła, że Drizzt będzie starał się jej unikać, a ta Alustriel bez wątpienia postąpiłaby zgodnie z jego życzeniami, Catti-brie zauważyła, że jej wierzy.

- Ach, cóż - westchnęła Alustriel, szczerze i wyraźnie rozczarowana. Podniosła natychmiast głowę. - A jak się miewa twój ojciec? - spytała uprzejmie. - I ten przystojny Wulfgar.

Wyraz twarzy Alustriel zmienił się nagle, jakby właśnie zdała sobie sprawę, że coś jest bardzo nie w porządku. - Twój ślub? - spytała niepewnie, gdy wargi Catti-brie zwięźliły się w grymasie. - Przygotowywałam się, by odwiedzić Mithrilową Halę...

Alustriel przerwała i wpatrywała się w Catti-brie przez długą chwilę.

Catti-brie pociągnęła nosem i oparła się. - Wulfgar nie żyje - powiedziała pewnym głosem - a mój ojciec nie jest już taki, jakim go pamiętasz. Przyszłam tu w poszukiwaniu Drizzta, który opuścił halę.

- Co się stało? - spytała Alustriel.

Catti-brie wstała z krzesła. - Guenhwyar! - zawołała, budząc panterę. - To nie czas na opowieści - rzekła krótko do Alustriel. - Jeśli Drizzt nie przybył do Silverymoon, to i tak zmarnowałam już za dużo twojego i mojego czasu.

Skierowała się do drzwi i zauważyła, że przez chwilę zalśniły błękitem, ich drewno wydawało się rozszerzać i blokować we framudze. Catti-brie i tak do nich podeszła i pociągnęła za klamkę, lecz bez skutku.

Wzięła kilka głębokich oddechów, policzyła do dziesięciu, następnie do dwudziestu, i odwróciła się do Alustriel.

- Mam przyjaciela, który mnie potrzebuje - wyjaśniła, a jej głos był pewny i niebezpieczny. - Lepiej otwórz te drzwi. - W przyszłości, spoglądając wstecz na tę chwilę, Catti-brie ledwo mogła uwierzyć, że groziła Alustriel, władczyni największego i najpotężniejszego miasta położonego w głębi łądu! Groziła Alustriel, która miała reputację jednej z najsilniejszych czarodziejek północy!

W tej jednak chwili żarliwa młoda kobieta brała na serio każde wypowiedziane przez siebie ponure słowo.

- Mogę pomóc - zaproponowała wyraźnie zmartwiona Alustriel. - Jednak najpierw musisz powiedzieć mi, co się stało.

- Drizzt nie ma czasu - warknęła Catti-brie. Znów szarpnęła bezowocnie za zamknięte magią drzwi, po czym uderzyła w nie pięścią i spojrzała przez ramię na Alustriel, która wstała i szła powoli w jej stronę. Guenhwyar pozostała na otomanie, choć podniosła głowę i wpatrywała się w kobiety z uwagą.

- Muszę go znaleźć - powiedziała Catti-brie.

- A gdzie będziesz szukać? - odparła Alustriel, rozkładając ręce, gdy stanęła przed młodą kobietą.

To proste pytanie pozbawiło Catti-brie całego zaciętrzewienia. No właśnie, gdzie? - zastanawiała się. Gdzie w ogóle zacząć? Czowała się bezradna, stojąc w miejscu, do którego nie pasowała. Bezradna, głupia i niczego nie pragnąca bardziej, niż znaleźć się z powrotem w domu, obok swego ojca oraz przyjaciół, obok Wulfgara i Drizta, żeby wszystko było tak jak wcześniej... zanim mroczne elfy przybyły do Mithrilowej Hali.

ROZDZIAŁ 6

ZNAK Z NIEBIOS

Catti-brie obudziła się następnego poranka w miękkim łóżku pełnym poduszek, w okazałej komnacie wypełnionej koronkowymi draperiami, pozwalającymi, by przedostające się przez nie światło słoneczne delikatnie witało się z jej zaspanym wzrokiem. Nie przywykła do takich miejsc, nie była nawet przyzwyczajona do spania nad ziemią.

Poprzedniej nocy odmówiła kąpieli, choć pani Alustriel obiecała nawet, iż wokół niej będą się pienieć egzotyczne olejki oraz mydła, odświeżając ją. Dla wykształconych wśród krasnoludów

zmysłów Catti-brie był to nonsens, a co gorsza słabość. Myła się często, jednak w mroźnych wodach górskich strumieni i bez pachnących olejków z dalekich krain. Drizzt powiedział jej, że mroczne elfy potrafiły śledzić w Podmroku swych przeciwników po ich zapachu przez całe kilometry krętych jaskiń, i wydawało się jej głupie, by kąpać się w aromatycznych olejkach i w ten sposób pomagać swym wrogom.

Tego poranka jednak, gdy słońce przedzierało się przez cienkie firanki, a balia znów była napełniona parującą wodą, młoda kobieta ponownie przemyślała sprawę. - Z pewnością jesteś uparta - cicho oskarżyła panią Alustriel, zdając sobie sprawę, że powodem, dla którego z wody znów unosiła się para, była najprawdopodobniej magia Alustriel.

Catti-brie przyjrzała się szeregowi butelek i zastanowiła nad czekającą ją długą i brudną drogą, drogą, z której może nigdy nie wrócić. Coś się w niej wtedy wzburzyło, potrzeba jeszcze jednego dogodzenia sobie, i zanim jej pragmatyczna strona zdążyła się sprzeciwić, zrzuciła z siebie ubrania i siedziała w gorącej kąpieli, a wokół niej pieniały się bąbelki.

Z początku zerkała nerwowo na drzwi do pokoju, szybko jednak pozwoliła sobie zanurzyć się głębiej w balii i zrelaksować, czując ciepło i mrowienie na skórze.

- Mówiłam ci - słowa te wytrąciły Catti-brie z drzemki. Usiadła, po czym natychmiast zanurzyła się z powrotem, zawstydzona, zauważyła bowiem nie tylko panią Alustriel, lecz również zagadkowego krasnoluda ze śnieżnobiałą brodą i włosami, w jedwabistych i zwiewnych szatach.

- W Mithrilowej Hali mamy zwyczaj pukania, zanim wchodzimy do czyjegoś prywatnego pokoju - stwierdziła Catti-brie, odzyskawszy trochę godności.

- Pukałam - odparła Alustriel. - Zatraciłaś się w ciepłej kąpieli.

Catti-brie odgarnęła z twarzy mokre włosy, pozostawiając na policzku garść mydlin. Zdołała ocalić swą dumę i zignorować na chwilę pianę, po czym zrzuciła ją ze złością.

Alustriel tylko się uśmiechnęła.

- Możecie już iść - rzuciła do zbyt dostojnej pani.

- Drizzt rzeczywiście kieruje się do Menzoberranzan - oznajmiła Alustriel, a Catti-brie znów się pochyliła, tracąc zawstydzenie w obliczu ważniejszych wieści.

- Zeszłej nocy zawędrowałam do świata duchów - wyjaśniła Alustriel. - Można tam znaleźć wiele odpowiedzi. Drizzt podróżował na północ od Silverymoon, przez Księżycowy Las, zmierzając w prostej linii do gór otaczających Przełęcz Martwego Orka.

Mina Catti-brie pozostała zagadkowa.

- To właśnie tam Drizzt wyszedł z Podmroku - ciągnęła Alustriel - w jaskini na wschód od osławionej przełęczy. Według mnie zamierza wrócić tą samą drogą, która wyprowadziła go z ciemności.

- Zaprowadź mnie tam - zażądała młoda kobieta, wstając z wody, zbyt przejęta, by przejmować się skromnością.

- Dostarczę wierzchowce - powiedziała Alustriel, podając jej gruby ręcznik. - Zakłute konie pozwolą ci pognać przez tę krainę. Podróż nie powinna zabrać ci więcej niż dwa dni.

- Nie możesz użyć swojej magii, żeby mnie tam po prostu wysłać? - spytała Catti-brie. Jej ton był ostry, jakby nie wierzyła, że Alustriel robi wszystko, co w jej mocy.

- Nie znam położenia jaskini - wyjaśniła srebrnowłosa pani. Catti-brie przestała się wycierać, niemal upuściła swoje ubrania,

które zebrała razem, i spoglądała przed siebie tępo, bezradnie.

- Właśnie dlatego przyprowadziłam Freta - odezwała się Alustriel, podnosząc dłoń, by uspokoić młodą kobietę.

- Fredegar Rockcrusher - krasnolud sprostował dziwnie melodyjnym, śpiewnym głosem, po czym rozłożył dramatycznie ręce i pochylił się w pełnym gracji ukłonie. Catti-brie pomyślała, że brzmi on trochę jak elf uwięziony w ciele krasnoluda. Zmarszczyła brwi i po raz pierwszy przyjrzała mu się dokładniej. Przez całe życie miała do czynienia z krasnoludami, a nigdy nie widziała takiego jak ten. Miał schludnie przystrzyżoną brodę, idealnie czyste szaty, a jego skóra nie ukazywała sobą typowej twardości. Zbyt wiele kąpiei w pachnących olejkach, zdecydowała młoda kobieta i spojrzała pogardliwie na parującą balię.

- Fret był członkiem drużyny, która wysledziła Drizzta z Podmroku - ciągnęła Alustriel. - Gdy Drizzt opuścił już tamtą okolicę, moja zaciekawiona siostra i jej towarzysze poszli po śladach drowa i zlokalizowali jaskinię, wejście do głębokich tuneli.

- Waham się, czy pokazać ci tę drogę - powiedziała pani Silve-rymoon po długiej przerwie, w jej tonie oraz wyrazie twarzy widać było wyraźnie troskę o bezpieczeństwo młodej kobiety.

Granatowe oczy Catti-brie zmrużyły się i szybko naciągnęła swoje bryczesy. Nikt nie będzie na nią patrzył z góry, nawet Alustriel, i nikt nie będzie decydował o jej postanowieniach.

- Widzę - stwierdziła Alustriel ze skinieniem głowy. Jej natychmiastowe zrozumienie przystopowało trochę Catti-brie.

Alustriel wskazała Prętowi, by zabrał plecak Catti-brie. Twarz schludnego krasnoluda przecięła kwaśna mina, gdy podszedł do brudnego pakunku i podniósł go ostrożnie dwoma wyprostowanymi

palcami. Spojrzał rozpaczliwie na Alustriel, a gdy ona nie raczyła odwzajemnić wzroku, opuścił pokój.

- Nie prosiłam cię o żadnego towarzysza - stwierdziła bezceremonialnie Catti-brie.

- Fret będzie przewodnikiem do wejścia - sprostowała Alustriel - i nikim więcej. Twoja odwaga jest godna pochwały, choć trochę ślepa - dodała, i zanim młoda kobieta zdołała znaleźć słowa, by odpowiedzieć, Alustriel zniknęła.

Catti-brie stała w ciszy przez kilka chwil, woda z jej mokrych włosów spływała na nagie plecy. Zwalczyła uczucie, że jest tylko małą dziewczynką w wielkim i niebezpiecznym świecie, że jest naprawdę mała przy wysokiej i potężnej pani Alustriel.

Jednak wątpliwości wciąż krążyły wokół niej.

Dwie godziny później, po solidnym posiłku oraz sprawdzeniu zapasów, Catti-brie oraz Fret wyszli przez wschodnią bramę Silverymoon, bramę Sundabar, u boku pani Alustriel, zaś orszak żołnierzy zachowywał pełną szacunku, lecz bezpieczną odległość od swej przywódczyni.

Na dwoje podróżnych oczekiwały czarna klacz oraz kudłaty szary kuc.

- Czy muszę? - Fret spytał chyba po raz dwudziesty, odkąd opuścili zamek. - Czy szczegółowa mapa nie wystarczyłaby?

Alustriel tylko się uśmiechnęła, poza tym całkowicie zignorowała zadbanego krasnoluda. Fret nienawidził wszystkiego, co mogło go zabrudzić, wszystkiego, co utrzymywało go z dala od jego obowiązków jako ulubionego mędrca Alustriel. Z pewnością droga w dzicz w pobliżu Przełęczy Martwego Orka kwalifikowała się do obydwu kategorii.

- Kopyta są zakłete i wasze wierzchowce będą lecieć niczym sam wiatr - Alustriel wyjaśniła Catti-brie. Srebrnowłosa kobieta spojrzała przez ramię na mamrocącego krasnoluda.

Catti-brie nie odpowiedziała, nie zaoferowała przeprosin. Nic do niej nie powiedziała od spotkania o poranku i zachowywała bezbłędnie chłodną postawę.

- Przy odrobinie szczęścia dotrzesz do jaskini przed Drizztem - rzekła Alustriel. - Przemów do niego i zaprowadź go do domu, błagam cię. W Podmroku nie ma dla niego miejsca, już nie.

- Miejsce Drizzta zależy tylko i wyłącznie od niego - odparła Catti-brie, lecz tak naprawdę chciała zaznaczyć, że od jej decyzji zależy jej miejsce.

- Oczywiście - zgodziła się Alustriel i znów błysnęła tym uśmiechem, wyrażającym świadomość iż wie, że Catti-brie czuje się przy niej mała.

- Nie zatrzymuję cię - nadmieniła Austriell. - Zrobiłam co w mojej mocy, by pomóc ci w tym, co wybrałaś, niezależnie od tego, czy uważam ten wybór za słuszny, czy nie.

Catti-brie zachichotała. - Nie mogłaś się powstrzymać przed dodaniem tego - odparła.

- Czy nie przysługuje mi własna opinia? - spytała Alustriell.

- Przysługuje i przekazujesz ją wszystkim, którzy słuchają - stwierdziła Catti-brie, a Alustriell, choć rozumiała źródło zachowania młodej kobiety, była całkowicie zaskoczona.

Catti-brie znów zachichotała i kopnięciem skłoniła konia do chodu.

- Kochasz go - powiedziała Alustriell.

Catti-brie pociągnęła mocno za wodze, by zatrzymać konia, i obróciła się do połowy. Teraz to ona miała zaskoczoną minę.

- Drowa - rzekła Alustriell, bardziej by podeprzeć swoje ostatnie stwierdzenie, niż wyjaśnić coś, co wyraźnie nie wymagało dalszych wyjaśnień.

Catti-brie przygryzła wargę, jakby szukała odpowiedzi, po czym szorstko obróciła wierzchowca i odjechała.

- To długa droga - zaskomlał Fret.

- Więc wracaj do mnie szybko - powiedziała Alustriell -razem z Catti-brie i Drizztem.

- Jak sobie życzysz, moja pani - odparł posłuszny krasnolud, popędzając swego kuca do galopu. - Jak sobie życzysz.

Alustriell stała przy wschodniej bramie, obserwując, na długo po tym jak Catti-brie oraz Fret odjechali. Była to jedna z wcale nie tak rzadkich chwil, kiedy to pani Silverymoon żałowała, że jest tak bardzo obciążona odpowiedzialnością władzy. Tak naprawdę Alustriell wolałaby chwycić własnego konia i pojechać u boku Catti-brie, a nawet zapuścić się do Podmroku, jeśli byłoby to konieczne, by znaleźć wyjątkowego drowa, który stał się jej przyjacielem.

Nie mogła jednak. Drizzt Do'Urden był w końcu zaledwie małym graczem w rozległym świecie, świecie, który bez przerwy prosił o audiencję na zapracowanym dworze pani Silverymoon.

- Jedź szybko, córko Bruenora - powiedziała pod nosem piękna, srebrnowłosa kobieta. - Jedź szybko i niech ci szczęście sprzyja.

* * *

Drizzt zwolnił tempo swego wierzchowca na kamienistym szlaku, wznoszącym się w góry. Wiał ciepły wietrzyk, a niebo było czyste, jednak w ciągu kilku ostatnich dni okolicę tę nawiedziła burza i szlak pozostawał dość błotnisty. W końcu, obawiając się, że koń potknie się i złamie nogę, Drizzt zsiadł z niego i prowadził ostrożnie zwierzę za sobą.

Tego poranka widział wielokrotnie śledzącego go elfa, ścieżka była bowiem dość otwarta, a na wznoszącej się i opadającej trasie przez coraz wyższe góry dwaj jeźdźcy nie byli daleko od siebie. Drizzt nie był zbyt zaskoczony, gdy okrążył zakręt i zauważył, że elf zbliża się szlakiem równoległym do niego.

Bładoskóry elf również prowadził swego wierzchowca i skinął z aprobatą głową, widząc, że Drizzt robi to samo. Przystanął, wciąż znajdując się w odległości siedmiu metrów od drowa, jakby nie wiedział, jak powinien zareagować.

- Jeśli jesteś tu, by pilnować konia, możesz równie dobrze jechać lub iść obok mnie - zawołał Drizzt. Elf znów przytaknął i podprowadził swego lśniącego, czarnego ogiera do czarno-białego wierzchowca Drizta.

Drizzt spojrział w przód, na górski szlak. - To jest ostatni dzień, kiedy potrzebuję konia - wyjaśnił. - Tak naprawdę nie wiem, czy znów będę jeździł.

- Nie zamierzasz opuścić tych gór? - spytał elf.

Drizzt przejechał ręką po rozpuszczonych białych włosach, jakby zaskoczony ostatecznością tych słów i zawartą w nich prawdą.

- Szukam zagajnika, który znajduje się niedaleko stąd - powiedział. -Niegdyś będącego domem Montolio DeBrouchee.

- Ślepego tropiciela - potwierdził elf.

Drizzt był zaskoczony. Rozważył odpowiedź swego bladego towarzysza i przyjrzał mu się uważnie. Nic w księżycowym elfie nie wskazywało, że jest tropicielem, jednak wiedział o Montolio. -To dobrze, że imię Montolio DeBrouchee żyje w legendzie - drow uznał na głos.

- A co z imieniem Drizt Do'Urden? - spytał pełen niespodzianek księżycowy elf. Uśmiechnął się, widząc minę Drizta i dodał -Tak, wiem o tobie, mroczny elfie.

- A więc masz przewagę - stwierdził Drizt.

- Jestem Tarathiel - rzekł księżycowy elf. - To nie przypadek, że spotkaliśmy się z tobą podczas twojej podróży przez Księżycowy Las. Kiedy mój mały klan odkrył, że to ty, zdecydowaliśmy, że

najlepiej będzie, jeśli Ellifain cię pozna.

- Dziewczyna? - uznał Drizzt.

Tarathiel przytaknął, a jego rysy wydawały się niemal przezryste w świetle słońca. - Nie wiedzieliśmy, jak zareaguje na widok drowa. Jesteśmy ci winni przeprosiny.

Drizzt skinął głową, okazując akceptację. - Nie jest z waszego klanu - zgodł. - A przynajmniej nie była, gdy była bardzo młoda.

Tarathiel nie odpowiedział, jednak zaintrygowanie, jakie rozlało się po jego twarzy, pokazało Drizztowi, że jest na właściwym tropie.

- Jej lud został zabity przez drowy - ciągnął Drizzt, obawiając się spodziewanego potwierdzenia.

- Skąd wiesz? - zapytał Tarathiel, i po raz pierwszy od początku rozmowy w jego głosie pojawiła się ostra nuta.

- Byłem wśród tej grupy - przyznał Drizzt. Tarathiel sięgnął po miecz, jednak Drizzt, z prędkością błyskawicy chwycił go za nadgarstek.

- Nie zabiłem żadnych elfów - wyjaśnił Drizzt. - Jedyńymi, z którymi chciałem walczyć, byli ci, którzy towarzyszyli mi w wyprawie na powierzchnię.

Mięśnie Tarathielia rozluźniły się i cofnął rękę. - Ellifain nie pamięta wiele z tej tragedii. Mówi o niej więcej we śnie niż na jawie, a wtedy jej wypowiedzi są niejasne. - Przerwał i spojrzał Drizztowi prosto w oczy. - Wspomniała o purpurowych oczach - powiedział. - Nie wiedzieliśmy, co o tym myśleć, zaś ona, gdy ją o to pytaliśmy, nie potrafiła dać odpowiedzi. Purpura nie jest powszechnym kolorem oczu drowów, tak mówią nasze legendy.

- Nie jest - potwierdził Drizzt, a jego głos ścichł, gdy znów przypominał sobie tę straszną noc, która miała miejsce tak dawno temu. To była ta elfia dziewczyna! Ta, dla której Drizzt ryzykował, żeby ją ocalić. Ta, której oczy pokazały Drizztowi bez cienia wątpliwości, że zwyczaje jego ludu nie są zgodne z jego sercem.

- Tak więc, kiedy usłyszeliśmy o Drizzcie Do'Urdenie, drowie przyjacielu - drowie przyjacielu z purpurowymi oczyma - krasno-ludzkiego króla, który odzyskał Mithrilową Halę, uznaliśmy, że będzie najlepiej, jak Ellifain stawi czoła swojej przeszłości - wyjaśnił Tarathiel.

Drizzt znów zaledwie przytaknął, jego umysł bardziej spoglądał w ową przeszłość niż na otaczający go górski krajobraz.

Tarathiel zakończył na tym. Ellifain najwyraźniej obejrzała swą przeszłość i widok ten prawie jąpokonał.

Księżycowy elf odrzucił prośbę Drizzta, by zabrał jego konia i odszedł, więc jakiś czas później, tego samego dnia, znów jechali razem górskim szlakiem na wysoką przełęcz, drogą, którą Drizzt dobrze pamiętał. Pomyślał o Montolio, Moosiem, swoim mentorze z powierzchni, ślepym, starym tropicielu, który potrafił strzelać z łuku kierowany pohukiwaniami swojej sowy. Montolio był tym, który powiedział Drizztowi o boskiej istocie, która uosabiała te same uczucia, które kłębiły się w sercu drowa, oraz te same zasady, które kierowały sumieniem zbuntowanego mrocznego elfa. Nazywała się Mielikki, była boginią lasu, i od czasu spędzonego z Montolio Drizzt Do'Urden kroczył pod jej cichą, opieką.

Gdy szlak zбочył od krawędzi i zaczął wspinać się po bardziej stromym podejściu przez obszar potrzaskanych głazów, Drizzt poczuł, jak wrze w nim fontanna emocji. Był przerażony tym, co może znaleźć. Być może horda orków - paskudnych humanoidów, które były aż zbyt powszechne w tej okolicy - zawładnęła wspaniałym zagajnikiem starego tropiciela? Być może spalił go ogień, pozostawiając jałową bliznę na kraj obrazie?

Dotarli do gęstej kępy drzew, podążali wzdłuż wąskiego, lecz dość czystego szlaku, a Drizzt prowadził. Zobaczył, jak w przedzie las rzednieje, za nim zaś znajdowało się małe pole. Zatrzymał swego czarno-białego konia i zerknął do tyłu na Tarathiel.

-Zagajnik-wyjaśnił i ześlizgnął się z siodła, a Tarathiel uczynił to samo. Spętali konie pod osłoną drzew i podkradli się ramię przy ramieniu do krańca lasu.

Znajdował się tam zagajnik Mooshie'ego, mierzący może z sześćdziesiąt metrów wzdłuż, z północy na południe, i połowę tego szeroki. Pinie stały wysoko i prosto - zagajnika nie nawiedził żaden pożar - a pomiędzy drzewami, na różnych wysokościach, widać było mosty linowe, które skonstruował ślepy tropiciel. Nawet niski, kamienny mur był nietknięty, żaden głaz nie został ruszony ze swego miejsca.

- Ktoś tam mieszka - stwierdził Tarathiel, bowiem miejsce to wyraźnie nie zdziczało. Kiedy spojrzął na Drizzta, zobaczył, że drow, ze stanowczą i ponurą twarzą, trzymał w dłoniach sejmity, a jeden z nich jaśniał niebieskawym światłem.

Tarathiel zakładał cięciwę na swój długi łuk, podczas gdy Drizzt wyczołgał się z krzaków i przemknął do kamiennego muru. Naciągnął cięciwę i skinął posępnie głową. - Za Montolio?

Drizzt przytaknął i wyrzwał ponad ogrodzeniem. Spodziewał się zobaczyć orki, które wkrótce stałyby się martwymi orkami.

Drow zastygł w bezruchu, ramiona obwisły mu po bokach, a oddychanie przychodziło mu z trudem.

Tarathiel trącił go lekko, szukając odpowiedzi, lecz nie otrzymawszy żadnej, elf wziął swój łuk i wyrzwał nad murem.

Z początku nic nie widział, lecz później podążył za spojrzeniem Drizzta na południe, ku małej przerwie w drzewach, gdzie kołysała się gałąź, jakby właśnie coś się o niąotało. W cieniu Tarathiel zauważył przeblask bieli. Koń, pomyślał.

Wtedy wyłonił się z cienia potężny rumak pokryty lśniącym, białym włosom. Jego niezwykle oczy jaśniały ognistym różem, zaś z czoła wystawał róg mierzący przynajmniej połowę wysokości elfa. Jednorożec spojrział w kierunku towarzyszy, podrapał kopytem ziemię i parsknął.

Tarathiel miał wystarczająco rozsądku, by się schylić i pociągnąć oszołomionego Drizzta Do'Urdena za sobą.

- Jednorożec - elf wyszeptał cicho do Drizzta, a dłoń drowa podążyła instynktownie pod przedni kołnierz j ego podróżnego płaszcza, do przedstawiającego głowę jednorożca wisioraka, który Regis wyrzeźbił mu z kości wielkiego pstrąga.

Tarathiel wskazał z powrotem na gęstą kępę drzew i zasygnalizował, że powinni już iść, jednak drow potrząsnął głową. Odzyskawszy opanowanie, Drizzt znów wyjrzał za kamienny mur.

Okolice była pusta, bez żadnego śladu, że w pobliżu był jednorożec.

- Powinniśmy iść - powiedział Tarathiel zaraz, gdy również spostrzegł, że nigdzie blisko nie ma potężnego ogiera. - Nabierz otuchy i wiedz, że zagajnik Montolio jest pod jak najlepszą opieką.

Drizzt usiadł na murku i wpatrywał się intensywnie w plataninę pinii. Jednorożec! Symbol Mielikki, najczystszy symbol świata natury. Dla tropiciela nie istniała idealniejsza istota, zaś dla Drizzta nie było lepszego strażnika dla zagajnika Montolio DeBrouchee. Wolałby pozostać przez jakiś czas w okolicy, chciałby znów mieć możliwość rzucenia okiem na to ulotne stworzenie, wiedział jednak, że czas mija, a mroczne korytarze czekają.

Spojrzał na Tarathiel i uśmiechnął się, po czym odwrócił, by ruszyć w drogę.

Zauważył jednak, że drogę przez małe pole blokuje potężny jednorożec.

- Jak ona to zrobiła? - spytał Tarathiel. Nie było już potrzeby szeptać, bowiem jednorożec spoglądał prosto na nich, drapał nerwowo ziemię i kręcił wielką głową.

- On - sprostował Drizzt, widząc brodę, cechę samców jednorożca. Wtedy przyszła Drizztowi do głowy myśl. Wsunął sejmity z powrotem do pochew i zeskoczył ze swego siedziska.

- Jak on to zrobił? - poprawił się Tarathiel. - Nie słyszałem odgłosów kopyt. - Oczy elfa rozjaśniły się nagle i spojrział z powrotem na zagajnik. - Chyba że jest więcej niż jeden.

- Jest tylko jeden - zapewnił go Drizzt. - W jednorożcu zawarta jest odrobina magii.

- Idź dookoła na południe - wyszeptał Tarathiel. - Ja zaś pójdę na północ. Jeśli nie zagrozimy bestii... -księżycowy elf przerwał, widząc, że Drizzt już odchodzi, oddalając się od ściany.

- Uważaj - ostrzegł Tarathiel. - Jednorożce są niezwykle piękne, jednak, według wszelkich doniesień, mogą być niebezpieczne i nieprzewidywalne.

Drizzt uniósł przed sobą rękę, by uciszyć elfa, i odchodził dalej wolnym krokiem od kamiennego muru. Jednorożec zarżał i zaczął miotać wielką głową, a jego grzywa silnie powiewała. Uderzył kopytem w ziemię, kopiąc sporą dziurę w miękkim torfie.

- Drizzcie Do'Urden - ostrzegł Tarathiel.

Zgodnie z rozsądkiem Drizzt powinien zawrócić. Jednorożec mógł go z łatwością stratować, wgnieść w ziemię, a wielka bestia wydawała się stawać coraz bardziej poruszona z każdym wykonywanym przez drowa krokiem.

Zwierzę nie odbiegło jednak, nie opuściło też swego wielkiego rogu i nie ubodło Drizzta. Po chwili drow był już zaledwie kilka kroków od niego, czuł się mały przy wspaniałym ogierze.

Drizzt wyciągnął rękę, poruszając powoli i delikatnie palcami. Wyczuł pasma gęstej i lśniącej sierści jednorożca, po czym podszedł jeszcze o krok i pogładził umięśniony kark cudownej bestii.

Drow ledwo mógł oddychać. Żałował, że nie ma przy nim Guenhwyvar, aby mogła ujrzeć ten ideał natury. Żałował, że nie ma tu Catti-brie, ona bowiem doceniłaby ten widok w takim samym stopniu, co on.

Spojrzał na Taranthiela. Elf siedział na kamiennej ścianie i uśmiechał się z zadowoleniem. Nagle na twarzy Taranthiela pojawiło się zaskoczenie, a kiedy Drizzt odwrócił wzrok, ujrzał, że jego dłoń gładzi puste powietrze.

Jednorożec zniknął.

Część 2

MODLITWY BEZ ODPOWIEDZI

Od dnia kiedy opuściłem Menzoberranzan, nigdy nie byłem tak rozdarty co do czekającej na podjęcie decyzji. Siedziałem obok wejścia do jaskini, spoglądając na rozpościerające się przede mną góry, zaś za moimi plecami znajdował się tunel prowadzący do Podmroku.

Był to moment, w którym wierzyłem, że moja przygoda się rozpoczyna. Kiedy opuściłem Mithrilową Halę, niewiele uwagi poświęcałem myśli tej części mojej podróży, która zabierze mnie do tej grotty, brałem bowiem za pewnik, że obejdzie się ona bez wypadków.

Widziałem wtedy Ellifain, dziewczynę, którą uratowałem ponad trzy dekady wcześniej, kiedy była zaledwie przerażonym dzieckiem. Chciałem znów do niej pójść, porozmawiać z nią i pomóc przewyciężyć cierpienie wywołane tym strasznym najazdem drowów. Chciałem uciec z tej jaskini, dogonić Tarathiela i wrócić u boku elfa do Księżycowego Lasu.

Nie mogłem jednak zlekceważyć kwestii, które zaprowadziły mnie w to miejsce.

Zawczasu wiedziałem, iż wizyta w zagajniku Montolio, miejscu tak dobrych wspomnień, okaże się emocjonalnym, a nawet duchowym przeżyciem. Był moim pierwszym przyjacielem na powierzchni, moim mentorem, który wskazał mi Mielikki. Nigdy nie wyrażę radości, jaką odczułem, dowiadując się, że zagajnik Montolio znajduje się pod opieką m okiem jednorożca.

Jednorożca! Widziałem jednorożca, symbol mojej bogini, szczyt naturalnej perfekcji! Mogłem być pierwszym z mojej rasy, który dotknął miękkiej grzywy oraz muskularnego karku tej istoty, pierwszy, który spotkał się z jednorożcem w przyjaźni. Rzadko zdarza się widzieć ślady świadczące, zew pobliżu przebywał jednorożec, a jeszcze rzadziej można na niego spojrzeć. Niewielu w Krainach może powiedzieć, że znajdowało się w pobliżu jednorożca, a jeszcze mniej, że

go dotknęło.

Ja mogę.

Czy był to znak od mojej bogini? W dobrej wierze muszę żywić przekonanie, że tak było, że Mielikki sięgnęła do mnie w namacalny i poruszający sposób. Co to jednak znaczyło?

Rzadko się modłę. Wolę rozmawiać z moją boginią poprzez codzienne czyny oraz szczerą emocje. Nie potrzebuję tłumaczyć, co się stało za pomocą błahych słów, przekręcając je, by ukazać się w jak najlepszym świetle. Jeśli Mielikki jest ze mną, to zna prawdę, wie, co robię i co czuję.

Tej nocy przy wejściu do jaskini modliłem się jednak, modliłem się o przewodnictwo, o coś, co wskaże mi znaczenie, jakie niosło za sobą pojawienie się jednoroźca. Jednorożec pozwolił mi się dotknąć, zaakceptował mnie, a to jest najwyższy zaszczyt, o jaki może prosić tropiciel. Co jednak pociąga za sobą ów zaszczyt?

Czy Mielikki mówiła mi, że tutaj, na powierzchni, jestem i będę akceptowany, i że nie powinienem opuszczać tego miejsca? Czy też obecność jednoroźca miała mi pokazać, że bogini pochwała mój wybór powrotu do Menzoberranzan?

Czy też jednorożec był sposobem, w jaki Mielikki powiedziała mi żegnaj?

Ta ostatnia myśl prześladowała mnie przez całą noc. Po raz pierwszy, odkąd opuściłem Mithrilową Halę, zacząłem zastanawiać się, co ja, Drizt Do 'Urden, mam do stracenia. Pomyślałem o moich przyjaciółach, Montolio i Wulfgarze, którzy odeszli z tego świata, oraz o innych, których prawdopodobnie już nigdy nie zobaczę.

Osaczyło mnie mrowie pytań. Czy Bruenor pogodzi się kiedykolwiek z utratą swego adoptowanego syna? Czy Catti-brie przemoże swój żal? Czy zaklęta iskra, miłość do życia, powróci kiedykolwiek do jej granatowych oczu? Czy kiedykolwiek jeszcze oprę znużoną rękę na muskularnym boku Guenhwyvar?

Bardziej niż kiedykolwiek chciałem uciec z tej jaskini, wrócić do Mithrilowej Hali i stanąć u boku swych przyjaciół, ujrzeć ich poprzez ich żal, prowadzić ich, słuchać ich, albo po prostu obejmować się z nimi.

Wciąż nie mogłem lekceważyć kwestii, które zaprowadziły mnie do tej jaskini. Mogłem wrócić do Mithrilowej Hali, lecz to samo mogli zrobić moi mroczni pobratymcy. Nie winiłem się za śmierć Wulfgara - nie mogłem wiedzieć, że przyjdą mroczne elfy. Nie mogę jednak nie myśleć o niegodziwych zwyczajach oraz nienasyconym pragnieniu Lloth. Gdyby drowy wróciły i zgasiły to - tak umiłowane! - światło w oczach Catti-brie, wtedy Drizt Do 'Urden umarłby tysiącem przerażających śmierci.

Modliłem się przez całą tę noc, nie znalazłem jednak boskiego przewodnictwa. Ostatecznie, jak

zawsze, uświadomiłem sobie, że muszę podążać za tym, co w sercu uważam za słuszną drogę, muszę zaufać, iż to, co znajduje w moim sercu, jest w zgodzie z wolą Mielikki.

W wejściu do tej jaskini pozostawiłem płonący ogień. Musiałem widzieć jego światło, czerpać z niego odwagę przez tak wiele kroków, jak to tylko było możliwe, gdy schodziłem w mrok. Gdy schodziłem w mrok.

- Drizzt Do'Urden

NIEDOKOŃCZONE SPRAWY

Berg'inyon Baenre zwiślał do góry nogami z wysokiego stropu jaskini, bezpiecznie przypięty do siodła swego jaszczurczego wierzchowca. Przyzwyczajenie się do tej pozycji zajęło młodemu wojownikowi trochę czasu, jednak jako dowódca jaszczurzych jeźdźców Baenre spędził wiele godzin obserwując miasto z tego dogodnego miejsca.

Poruszenie z boku, za kępą stalaktytów, postawiło Berg'inyona w stan gotowości. Jedną ręką opuścił swą trzymetrową lancę śmierci, druga zaś przytrzymała wodze jaszczura, spoczywając jednocześnie na rękojeści gotowej do strzału kuszy.

- Jestem synem domu Baenre - powiedział na głos, uznając, że będzie to wystarczająca groźba, by powstrzymać jakiegokolwiek nieczyste gierki. Rozejrzał się, szukając wsparcia, i przesunął swobodną dłoń do sakwy przy pasie oraz zwierciadła sygnałowego, kawałka metalu ciepłego z jednej strony i wykorzystywanego do komunikowania się ze stworzeniami używającymi infrawizji. W pobliżu znajdowały się tuziny innych jaszczurzych jeźdźców domu Baenre i pospieszane wezwanie Berg'inyona.

- Jestem synem domu Baenre - powtórzył.

Najmłodszy Baenre uspokoił się niemal natychmiast, gdy zza stalaktytu wyłonił się jego starszy brat Dantrag, jadący na jeszcze większym podziemnym jaszczurze. Naprawdę ciekawie wyglądał starszy Baenre, gdy jego kucyk zwiślał prosto w dół z jego odwróconej głowy.

- Podobnie jak ja - odparł Dantrag, podjeżdżając swym wierzchowcem o kleistych łapach do Berg'inyona.

- Co robisz tu na górze? - spytał Berg'inyon. - I skąd przywłaszczyłeś sobie wierzchowca bez mojego pozwolenia?

Dantrag parsknął na to pytanie. - Przywłaszczyłem? - odparł. - Jestem fehmistrzem domu Baenre. Wziąłem jaszczura i nie potrzebowałem pozwolenia Berg'inyona.

Młodszy Baenre spojrział na niego świecącymi czerwienią oczyma, lecz nie powiedział nic więcej.

- Zapominasz, kto cię wytrenował, mój bracie - stwierdził cicho Dantrag.

Stwierdzenie to było prawdą. Berg'inyon nigdy nie zapomni, nie będzie w stanie zapomnieć, że Dantrag był jego mentorem.

- Czy jesteś przygotowany, by znów stawić czoła Drizztowi Do'Urdenowi? - to bezceremonialne pytanie niemal wysadziło Berg'iniona z siodła.

- Może się tak zdarzyć, przecież udajemy się do Mithrilowej Hali - dodał chłodno Dantrag.

Berg'inyon wydał z siebie długie westchnienie, był mocno zdenerwowany. On i Drizzt chodzili do tej samej klasy w Melee-Maghtere, szkole wojowników w akademii. Berg'inyon, wytrenowany przez Dantraga, poszedł tam, oczekując w pełni, że będzie najlepszym wojownikiem w klasie. Drizzt Do'Urden, renegat, zdrajca, pozbawiał go co roku tego honoru. Berg'inyon radził sobie dobrze w akademii - tak uważali wszyscy poza Dantragem.

- Czy jesteś przygotowany na spotkanie z nim? - naciskał Dantrag, a jego ton stawał się coraz poważniejszy i było w nim więcej złości.

-Nie! - Berg'inyon spojrzał wilkiem na swego brata, siedzącego na wiszącym jaszczurze, z czupurnym uśmiechem na przystojnej twarzy. Berg'inyon wiedział, że Dantrag miał powód, by wymusić tę odpowiedź. Dantrag chciał się upewnić, że Berg'inyon zna swoje miejsce, miejsce widza, na wypadek gdyby razem natknęli się na banitę Do'Urdena.

Berg'inyon wiedział również, dlaczego jego brat chciał pierwszy zetknąć się z Drizztem. Drizzt został wyszkolony przez Zaknafeina, głównego rywala Dantraga, jedyne go fehmistrza w Menzoberranzan, którego umiejętności walki były cenione wyżej niż Dantraga. Według wszelkich doniesień Drizzt stał się przynajmniej równy Zaknafeinowi, a jeśli Dantrag zdoła go pokonać, uda mu się w końcu wyjść z ogromnego cienia Zaknafeina.

-Walczyłeś z nami obydwoma -powiedział z chytrą miną Dantrag. - Powiedz mi, drogi bracie, kto jest lepszy?

Berg'inyon nie był w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Nie walczył z Drizztem Do'Urdenem, a nawet u jego boku, od ponad trzydziestu lat. - Drizzt by cię pokonał -rzekł i tak tylko po to, by upokorzyć brata.

Ręka Dantraga śmignęła szybciej, niż Berg'inyon mógł nadążyć. Fehmistrz posłał swój okrutnie ostry miecz przez górny pasek siodła Berg'iniona, z łatwością go przecinając, choć był zaklęty, by zwiększyć jego wytrzymałość. Druga ręka Dantraga wystrzeliła równie szybko, wyrrywając wodze z uzdy jaszczura, gdy Berg'inyon wypadał z siedziska.

Młodszy brat spadając, odwrócił się głową w górę. Wejrzał w przestrzeń wrodzonej magii wspólnej dla wszystkich drowów, a silniejszej u szlachetnie urodzonych. Wkrótce przestał spadać, dzięki czarowi lewitacji, który następnie wzniosł Berg'iniona, wciąż z lancą śmierci w dłoni, na spotkanie z jego śmiejącym się bratem.

- Opiekunka Baenre zabije cię, gdy dowie się, że zawstydziłeś mnie przed zwykłymi żołnierzami - ręce Berg'inyona błysnęły w bezszelestnej mowie znaków.

- Lepiej mieć podciętą dumę niż gardło - zasygnalizował w odpowiedzi Dantrag, po czym odszedł z powrotem za stalaktyty.

Znów znalazłszy się przy jaszczurze, Berg'inyon starał się związać górny pasek i przymocować wodze. Powiedział, że Drizzt jest lepszym wojownikiem, jednak zważywszy na to, co mu właśnie zrobił Dantrag, wykonawszy idealnie celny podwójny atak, młodszy Baenre wątpił w swoje słowa. Uznał, że to Drizzt Do'Urden będzie żałował, jeśli ci dwaj wojownicy zetkną się ze sobą.

Myśl ta ucieszyła młodego Berg'inyona. Od czasów akademii żył w cieniu Drizzta, podobnie jak Dantrag Zaknafeina. Gdyby Dantrag pokonał Drizzta, wtedy bracia Baenre okazaliby się lepszymi wojownikami, a reputacja Berg'inyona wzrosłaby tylko z powodu jego pozycji jako protegowanego Dantraga. Berg'inyonowi podobała się ta myśl, podobało mu się to, co uzyska bez konieczności stawiania znów czoła temu diabelnemu purpurookiemu Do'Urdenowi.

Być może ta walka zakończy się jeszcze bardziej obiecująco, ośmielił się mieć nadzieję Berg'inyon. Być może Dantrag zabije Drizzta, a następnie, znużony i najprawdopodobniej ranny, padnie łatwą ofiarą miecza Berg'inyona. Reputacja młodego Baenre, podobnie jak jego pozycja, wzrosłaby jeszcze bardziej, i byłoby logiczne, że zastąpiłby swego nieżyjącego brata na pożądanym stanowisku fechmistrza.

Młody Baenre przekreślił się w powietrzu, by zająć miejsce na naprawionym siodle, uśmiechając się złowrogo, gdy myślał o możliwościach, jakie mogą dla niego wyniknąć z planowanej wyprawy do Mithrilowej Hali.

* * *

- Jerlys -wyszeptał ponuro drow.

- Jerlys Horlbar? - spytał Jarlaxle, po czym oparł się o szorstką ścianę stalagmitowej kolumny, by rozważyć zaskakujące wieści. Jerlys Horlbar była matką opiekunką, jedną z dwóch wysokich kapłanek władających domem Horlbar, dwunastym domem Menzoberranzan. Leżała tutaj, martwa, pod stertą gruzu, a jej zniszczona różga zagrzebana była obok niej.

- Dobrze, że za nim poszliśmy - stwierdziły migoczące palce żołnierza, bardziej by ułagodzić przywódcę najemników, niż by zakomunikować coś odkrywczego. Oczywiście, że było dobrze, żeby ktoś za nim poszedł. Był niebezpieczny, niezwykle niebezpieczny, jednak, widząc matkę opiekunkę, wysoką kapłankę Pajęczej Królowej, leżącą martwą, zabitą przez okrutny miecz, najemnik

zastanawiał się, czy on go jednak przypadkiem nie oceniał zbyt nisko.

- Możemy o tym donieść i uwolnić się z wszelkiej odpowiedzialności - zasygnalizował inny z mrocznej bandy Bregan D'aerthe.

Z początku myśl ta wydała się Jarlaxle'owi słuszną radą. Ciało matki opiekunki zostanie znalezione i zacznie się poważne śledztwo prowadzone, jeśli nie przez nikogo innego, to przez sam dom Horlbar. Wina za współpracę była w Menzoberranzan na porządku dziennym, zwłaszcza za tak poważną zbrodnię, a Jarlaxle nie chciał skrytej wojny z dwunastym domem, nie teraz, gdy ważyło się tak wiele ważniejszych rzeczy.

Wtedy Jarlaxle pozwolił, by zbiegi okoliczności zaprowadziły go w inną aleję możliwości. Wprawdzie wypadek ten nie wydawał się szczęśliwy, jednak najemnik mógł go wciąż obrócić na korzyść. W grze, w którą grała opiekunka Baenre, była przynajmniej jedna dzika karta, niezmany czynnik, który mógł znieść zbliżający się chaos na wyżyny chwały.

- Pogrzebcie ją jeszcze raz - zasygnalizował najemnik. - Tym razem głębiej, lecz nie całkowicie. Chcę, żeby jej ciało zostało odnalezione, lecz nie natychmiast.

Jego ciężkie buty nie wywoływały żadnych dźwięków, jego obfita biżuteria nie dzwoniła, gdy najemnik zaczął wychodzić z alejki.

- Czy mamy się zebrać? - błysnął do niego jeden z żołnierzy.

Jarlaxle potrząsnął głową szedł dalej, opuszczając odległy zaułek. Wiedział, gdzie znaleźć tego, kto zabił Jerlys Horlbar oraz jak wykorzystać tę informację przeciwko niemu, być może, by wzmocnić jego niewolniczą lojalność wobec Bregan D'aerthe, być może dlajakichś innych powodów. Jarlaxle był świadom, że musi to wszystko rozegrać bardzo ostrożnie. Musiał kroczyć wąską ścieżką pomiędzy intrygą a wojną.

Nikt w mieście nie potrafił tego lepiej.

* * *

- Uthegental wykaże się w nadchodzących dniach.

Dantrag Baenre skrzywił się, gdy ta myśl wpłynęła do jego umysłu. Rozumiał jej źródło oraz subtelne znaczenie. On oraz fehmistrz domu Barrison DerArmgo, głównego rywala domu Baenre, byli uważani za dwóch najlepszych wojowników w mieście.

- Opiekunka Baenre wykorzysta swoje umiejętności - ostrzegła następną telepatyczną wiadomością. Dantrag wyciągnął swój skradziony z powierzchni miecz i spojrzał na niego. Wzdłuż niemożliwie ostrej krawędzi zabłysła wąską, czerwoną linią światła, zaś dwa rubiny wprawione w oczy wyrzeźbionej w kształcie demona gałki zapłonęły wewnętrznym życiem.

Dłoń Dantraga chwyciła za gałkę i ogrzała się, gdy Khazid'hea, Przecinaczka, kontynuowała więź. -Jest silny i dobrze sobie poradzi podczas najazdu na Mithrilową Halę. Pragnie krwi miodego Do'Urdena, dziedzictwa Zaknafa, tak bardzo jak ty - a może nawet bardziej.

Dantrag uśmiechnął się szyderczo na tę ostatnią uwagę, rzuconą tylko dlatego, że Khazid'hea chciała doprowadzić go na skraj wściekłości. Miecz uważał Dantraga za swego partnera, nie pana, i wiedział, że łatwiej się manipuluje Dantragem, gdy jest rozgniewany.

Po tak wielu dekadach używania Khazid'hei Dantrag również o tym wiedział i zmusił się do zachowania spokoju.

- Nikt nie pragnie śmierci Drizzta Do'Urdena bardziej niż ja -zapewnił Dantrag powątpiewający miecz. - A opiekunka Baenre dopilnuje, żebym to ja, nie Uthegental, miał okazję zabić renegata. Opiekunka Baenre nie chciałaby, żeby zaszczyty, jakie bez wątpienia towarzyszyć będą temu wyczynowi, spadły na wojownika z drugiego domu.

Czerwona linia miecza znów rozjaśniła się intensywnie, odbijając się w bursztynowych oczach Dantraga. -Zabij Uthegentala, a jej zadanie stanie się prostsze.

Dantrag roześmiał się głośno na tę myśl, a diabelskie oczy Kha-zid'hei znów zapłonęły. - Zabić go? - powtórzył Dantrag. - Zabić kogoś, kogo opiekunka Baenre uznała za ważnego w czekającej nas misji? Obdarłaby mnie ze skóry!

- Ale mógłbyś go zabić?

Dantrag znów się zaśmiał, bowiem pytanie to miało za zadanie zakpić z niego, popchnąć go do walki, której Khazid'hea pragnęła od tak dawna. Miecz był dumny, przynajmniej tak dumny jak Dantrag albo Uthegental, i desperacko chciał znaleźć się w dłoniach bezdyskusyjnie najlepszego fechmistrza w Menzoberranzan, którykolwiek z nich nim był.

- Módl się, żebym mógł - odparł Dantrag, zmieniając sytuację na niekorzyść bezczelnego miecza. - Uthegental woli swój trójząb. Gdyby okazał się zwycięzcą, to Khazid'hea mogłaby skończyć w pochwie gorszego wojownika.

- Używałby mnie.

Dantrag schował miecz, uważając, że nie warto odpowiadać na takie przedwczesne roszczenia. Również zmęczona tym bezcelowym przekomarzaniem Khazid'hea umilkła.

Miecz wzbudził w Danragu pewne troski. Znał znaczenie zbliżającego się szturm. Gdyby zdołał pokonać młodego Do'Urdena, wtedy cała chwała przypadłaby jemu, jeśli jednak Uthegental dostałby go pierwszy, wtedy Dantrag uważany byłby za drugiego w mieście i nigdy nie zmieniłby tej pozycji, dopóki nie odnalazłby i nie zabił Uthegental. Dantrag wiedział, że jego matka nie byłaby zadowolona z takiego obrotu wydarzeń. Życie Dantraga było nieszczęśliwe, gdy żył Zaknafein Do'Urden, bowiem opiekunka Baenre wciąż podjudzała go, by znalazł i zabił legendarnego fechmistrza.

Tym razem opiekunka Baenre nie pozwoli mu najprawdopodobniej nawet na taką możliwość. W związku z tym, że Berg'inyon zbliża się do doskonałości, opiekunka Baenre może po prostu poświęcić Dantraga i przekazać cenne stanowisko fechmistrza swemu młodszemu synowi. Gdyby udało jej się wykazać, iż ruch ten został wykonany dlatego, że Berg'inyon jest lepszym wojownikiem, w społeczeństwie znów rozgorzałyby wątpliwości, który dom ma lepszego fechmistrza.

Rozwiązanie było proste: Dantrag musiał zabić Drizzta.

ROZDZIAŁ 8

NIE NA MIEJSCU

Szedł bezszelestnie pozbawionymi światła tunelami, a jego oczy płonęły lawendowo, szukając zmian we wzorach ciepła na podłodze oraz ścianach, które wskazywałyby na załomy, bądź na przeciwników w korytarzu. Wydawał się być w domu, być stworzeniem Podmroku, poruszającym się z typową cichą gracją oraz ostrożną postawą.

Drizzt nie czuł się jednak jak w domu. Znajdował się już głębiej niż najniższe tunele Mithrilowej Hali i napierało na niego stojące powietrze. Spędził niemal dwie dekady na powierzchni, ucząc się i żyjąc według zasad, które rządziły zewnętrznym światem. W równym stopniu różniły się one od właściwości Podmroku jak dziki, leśny kwiat różnił się od jaskiniowego grzyba. Człowiek, goblin, nawet czujny elf z powierzchni nie zauważyliby przechodzącego cicho Drizzta, nawet gdyby mijał ich w odległości zaledwie paru kroków, jednak on czuł się niezdarny i hałaśliwy.

Drow tropi ciel krzywił się przy każdym kroku, obawiając się, że wzbudzone przez niego echo odbija się od kamiennych ścian setki metrów dalej. Był to Podmrok, miejsce poznawane mniej za pomocą zmysłu wzroku, a bardziej słuchem oraz węchem.

Drizzt spędził prawie dwie trzecie swego życia w Podmroku, a sporą część ostatnich dwudziestu lat pod ziemią, w jaskiniach klanu Battlehammer. Nie uważał się już jednak za stworzenie Podmroku. Pozostawił swoje serce za sobą, na górskim zboczu, obserwując gwiazdy i księżyc, wschód i zachód słońca.

Była to kraina bezgwiezdnych nocy - nie, nie nocy, była to jedna nie kończąca się noc, uznał Drizzt - stojącego powietrza oraz spoglądających z góry stalaktytów.

Szerokość tunelu zmieniała się mocno, czasami był tak wąski jak ramiona Drizzta, czasami wystarczająco szeroki, by obok siebie mógł iść tuzin mężczyzn. Podłoga była lekko nachylona, prowadząc Drizzta jeszcze głębiej, jednak strop podążał równoległe do niej, pozostając na względnie stałej wysokości przekraczającej dwukrotnie wzrost mierzącego metr sześćdziesiąt pięć drowa. Przez długi czas Drizzt nie wykrywał bocznych jaskiń czy korytarzy i był z tego zadowolony, nie chciał bowiem być jeszcze zmuszany do wyboru kierunku, a na tym odcinku wszyscy potencjalni przeciwnicy będą iść na niego z przodu.

Drizzt był szczerze przekonany, że nie był przygotowany na żadne niespodzianki, jeszcze nie. Nawet infrawizja go bolała. W głowie pulsowało mu, gdy starał się sortować i interpretować rozmaite wzory ciepła. Za młodych lat Drizzt przez tygodnie, a nawet miesiące mógł mieć oczy dostrojone do spektrum podczerwieni, szukające temperatur zamiast odbijać światło. Teraz jednak, gdy oczy miał tak przyzwyczajone do słońca oraz pochodni w korytarzach Mithrilowej Hali, infrawizja go drażniła.

Wyciągnął w końcu Błysk i zaklęty sejmitar zapłonął delikatnym, niebieskawym światłem. Drizzt oparł się o ścianę i pozwolił, by jego oczy wróciły do zwyczajnego spektrum, po czym używał broni jako latarni. Wkrótce potem dotarł do rozwidlenia, dwa krzyżujące się poziome korytarze przecinały się z pionowym szybem.

Drizzt schował Błysk i spojrzał w górę szybu. Nie zobaczył żadnych źródeł ciepła, lecz nie uspokoiło go to zbytnio. Wiele drapieźników Podmroku potrafiło maskować temperaturę swego ciała, podobnie jak tygrys z powierzchni wykorzystywał swe pręgi, by skradać się przez grube łodygi gęstej trawy. Na przykład przerażające hakowe poczwary wykształciły egzozskielet. Kościane płyty osłaniały ciepło ciała stworu tak, że w wyczuwających ciepło oczach wyglądał on jak nie wyróżniające się niczym szczególnym kamienie. Poza tym wiele potworów Podmroku było gadami, zimnokrwistymi i trudnymi do zauważenia.

Drizzt wciągnął kilka razy nosem stęchłe powietrze, po czym stanął nieruchomo i zamknął oczy, pozwalając, by uszy dostarczyły wszystkich zewnętrznych wrażeń. Nie usłyszał niczego poza biciem własnego serca, sprawdził więc swój ekwipunek, by upewnić się, że wszystko jest przymocowane, i zaczął schodzić w dół szybu, uważając na niebezpieczne, luźne kamienie.

Niemal pokonał bezszelestnie dwadzieścia metrów dzielących go od niższego korytarza, gdy wyslizgnął się spod niego jeden kamień, uderzając z ostrym trzaskiem w podłogę tunelu prawie w tej samej chwili, gdy miękkie buty Drizzta cicho opuściły ścianę.

Drizzt zamarł w bezruchu, nasłuchując, jak dźwięk odbija się echem od ściany do ściany. Jako dowódca patrolu drowów Drizzt był niegdyś w stanie doskonale podążać za echem, niemal instynktownie wyczuwając z jakiego kierunku i od jakiego rodzaju ścian wracają odgłosy. Teraz jednak miał trudności z przedarciem się słuchem przez poszczególne dźwięki echa. Znów czuł się nie na miejscu, przytłoczony przez zalegającą ciemność. Czuł się również narażony, bowiem wielu mieszkańców ciemnych ścieżek potrafiło podążać za śladem echa, ten zaś prowadził bezpośrednio do Drizzta.

Szybko przemierzał płataninę przecinających się korytarzy, niektóre z nich skręcały ostro i opadały, przechodząc pod innymi, albo też wspinały się naturalnymi schodami na nowe poziomy krętych ścieżek.

Drizzt boleśnie tęsknił za Guenhwyvar. Pantera potrafiłaby znaleźć drogę w tym labiryncie.

Znów pomyślał o kocicy jakiś czas później, gdy minął róg i natknął się na świeże zwłoki. Był to

jakiś rodzaj podziemnego jaszczura, zbyt okaleczony, by Drizzt mógł dokładnie określić, co to było. Nie miało ogona, podobnie jak żuchwy, a jego brzuch był rozdarty i wyżarto z niego wnętrzości. Drizzt znalazł na skórze długie bruzdy, jakby wryte przez szpony, oraz długie i cienkie blizny, niczym uczynione przez bicz. Za kałużą krwi, kilka kroków od ciała drow znalazł pojedynczy ślad, odcisk łapy, z kształtu i rozmiaru bardzo podobny do odcisku Guenhwyar.

Kocica Drizzta znajdowała się jednak setki kilometrów stąd, zaś te zwłoki, według szacunku tropiciela, miały zaledwie godzinę. Stworzenia Podmroku nie błąkały się tak jak istoty powierzchni, więc niebezpieczny drapieżca przebywał najprawdopodobniej niedaleko.

* * *

Bruenor Battlehammer pędził korytarzami. Na chwilę pozbawiła go żalu niezaprzeczalnie wzrastająca wściekłość. Obok króla biegł Thibbledorf Pwent, jego usta wypluwały jedno pytanie za drugim, a zbrój a denerwująco skrzypiała przy każdym ruchu.

Bruenor zatrzymał się gwałtownie i odwrócił do szalojownika, ustawiając paskudną bliznę w jednej linii z zarośniętą krzaczastą brodą twarząPwenta. - Może byś się tak wykąpał! - ryknął Bruenor.

Usłyszawszy ten rozkaz, Pwent zatoczył się do tyłu i zaczął krztusić. Według niego krasnoludzki król rozkazujący swojemu poddanemu, by wziął kąpiel, był mniej więcej odpowiednikiem ludzkiego króla, mówiącego swoim rycerzom, by poszli zabijać niemowlęta. Istniały pewne granice, których władca po prostu nie mógł przekraczać.

- Ba! - parsknął Bruenor. - Niech więc ci będzie. Ale idź nasmarować tę cholerną zbroję. Jak król ma myśleć z tym całym twoim skrzypieniem i piszczaniem?

Głowa Pwenta kiwnęła, zgadzając się na ten kompromis, i oddalił się, niemal bojąc się zostać, przestraszony, że ten tyran Bruenor znów zażąda od niego kąpieli.

Bruenor chciał tylko, by szalojownik go zostawił - nie obchodziło go tak naprawdę, w jaki sposób to zrobi. To było trudne popołudnie. Krasnolud spotkał się właśnie z Berkthgarem Śmiałym, wysłannikiem z Settlestone, i dowiedział się, że Catti-brie nie zjawiała się w osadzie barbarzyńców, choć opuściła Mithrilową Halę niemal tydzień temu.

Myśli Bruenora pędziły po wydarzeniach, jakie miały miejsce, gdy ostatni raz spotkał się z córką. Przypominał sobie obrazy młodej kobiety, starał sieje badać i przywoływać każde słowo, które wypowiedziała, szukając jakiejś wskazówki, co mogło się stać. Bruenor był jednak wtedy zbyt pochłonięty. Jeśli Catti-brie napomknęła o czymś innym niż zamiar pójścia do Settlestone, krasnolud po prostu to przegapił.

Jego pierwszą myślą, gdy rozmawiał z Berkthgarem, było, że jego córkę spotkały jakieś kłopoty w górach. Niemal wezwał oddział krasnoludów, by przeszukali tę okolicę, jednak, kierowany impulsem, wstrzymał się jeszcze wystarczająco długo, by zapytać emisariusza o kopiec wznoszony dla Wulfgara.

- Jaki kopiec? - odparł Berkthgar.

Bruenor wiedział już, że został oszukany, a jeśli Catti-brie nie brała sama udziału w tym spisku, z łatwością mógł odgadnąć tożsamość jej współnika.

Niemal wyrwał drewniane, obite żelazem drzwi Bustera Bracera, wysoko cenionego płatnerza, z zawiasów, gdy wpadł do środka, zaskakując stalowobrodego krasnoluda oraz jego klienta halflinga. Regis stał na małej platformie i był właśnie mierzony, aby można było poszerzyć jego zbroję do powiększającego się brzucha.

Bruenor rzucił się do piedestału (a Buster był wystarczająco rozsądny, by paść w tył), chwycił halflinga za przód tuniki i podniósł go jedną ręką w powietrze.

- Gdzie mój a dziewczynka?! - ryknął krasnolud.

- Settle... - zaczął kłamać Regis, lecz Bruenor potrząsnął nim gwałtownie, miotając nim w tył i w przód niczym jakąś szmacianą lalką.

- Gdzie moja dziewczynka? - znów spytał krasnolud, ciszej, w jego słowach kryła się groźba. - I nie baw się ze mną, Pasibrzuchu.

Regis stawał się już zmęczony ciągłymi atakami ze strony domniemanych przyjaciół. Szybko myślący halfling natychmiast spreparował bajeczkę, jak to Catti-brie udała się do Silverymoon w poszukiwaniu Drizzta. W końcu nie będzie to takie całkowite kłamstwo.

Spoglądając na przeciętą szramą twarz Bruenora, wykrzywioną wściekłością, lecz tak wyraźnie wypełnioną bólem, halfling nie mógł się jednak zmusić do kłamstw.

- Postaw mnie - powiedział cicho, a Bruenor najwyraźniej zrozumiał uczucia halflinga, bowiem delikatnie opuścił go na ziemię.

Regis wyprostował swoją tunikę, po czym potrząsnął przed krasnoludzkim królem pięścią. - Jak śmiesz?! - ryknął.

Bruenor zakołysał się na piętach na ten nieoczekiwany i nietypowy wybuch, jednak halfling się nie poddawał.

- Najpierw przychodzi do mnie Drizzt i zmusza mnie, bym dochował tajemnicy - wyjaśnił Regis. - Następnie pojawia się Catti-brie i potrząsa mną, dopóki jej nie powiem. Teraz ty... Jakże

wspaniałymi przyjaciółmi się otoczyłem!

Te dobitne słowa uspokoiły pory wczego krasnoluda, jednak tylko trochę. O jakiej tajemnicy wspomniał Regis?

Wtedy do pomieszczenia wpadł Thobbledorf Pwent. Jego zbroja już nie skrzypiała, choć twarz, broda oraz dłonie były również z pewnością nasmarowane. Zatrzymał się przy królu, przez krótką chwilę przyglądając się nieoczekiwanej sytuacji.

Pwent potarł ochoczo dłońmi przed sobą, po czym przejechał nimi po froncie paskudnie kanciastej zbroi. - Mam go uścisnąć? - spytał z nadzieją króla.

Bruenor podniósł rękę, by powstrzymać szalojownika. - Gdzie moja dziewczynka? - król krasnoludów spytał po raz trzeci, w tym przypadku cicho i spokojnie, jakby zwracał się do przyjaciela.

Regis zacisnął zęby, po czym kiwnął głową i zaczął. Opowiedział Bruenorowi o wszystkim, nawet o tym jak pomógł Catti-brie, jak dał jej sztylet zabójcy oraz magiczną maskę.

Twarz Bruenora znów zaczęła wykrzywiać się wściekłością, jednak Regis stanął prosto i rozproszył narastający gniew.

- Czy miałem mniej zaufać Catti-brie, niż ty byś to zrobił? - spytał po prostu, przypominając krasnoludowi, że jego ludzka córka nie była już dzieckiem, a niebezpieczeństwa drogi to dla niej nie pierwszozna.

Bruenor nie wiedział, jak to wszystko przyjąć. Mała jego część chciała udusić Regisa, rozumiał jednak, że wylałby wtedy jedynie swoją frustrację, a halflinga naprawdę nie można było winić. Gdzie jednak indziej można było się zwrócić? Drizzta i Catti-brie już od dawna nie było, znajdowali się w drodze, a Bruenor nie miał pojęcia, jak mógłby się do nich dostać.

W tej jednak chwili krasnolud nie miał dość siły, by tego próbować. Opuścił wzrok na kamienną podłogę. Pozbył się już gniewu i wrócił do niego żal, bez słowa wyszedł z pomieszczenia. Musiał to przemyśleć, zaś dla dobra jego najdroższego przyjaciela oraz ukochanej córki, musiał myśleć szybko.

Pwent spojrział na Regisa i Bustera, szukając odpowiedzi, lecz oni tylko potrząsnęli głowami.

* * *

Lekki szmer, być może miękkie kroki polującego kota, było wszystkim, co Drizzt zdołał wychwycić. Tropiciel stał całkowicie nieruchomo, ze wszystkimi zmysłami dostrojonymi do otoczenia. Był tokot. Drizzt wiedział, że był on wystarczająco blisko, by wyczuć jego woń, i bez

wątpienia wiedział, że coś weszło na jego terytorium.

Drizzt poświęcił chwilę, by przyrzeć się okolicy. Tunel był nieregularny, czasami szeroki, czasami wąski, zaś cała ta część była poszarpana i nierówna, podłoga pełna wybrzuszeń i dziur, a ściany usiane naturalnymi alkowami i zagłębieniami. Strop również nie był już stały, czasami niski, czasami wysoki. Drizzt widział przed sobą, wysoko na ścianach, zróżnicowane gradacje ciepła i wiedział, że znajdują się tam liczne półki skalne.

Mógł stamtąd wyskoczyć wielki kot, obserwujący z góry swą zamierzoną zdobycz.

Myśl ta niebyła zbyt przyjemna, jednak Drizzt musiał iść dalej. Gdyby się wycofał, musiałby wrócić do szybu i wspiąć się na wyższy poziom, a następnie błąkać w nadziei na znalezienie innej drogi w dół. Drizzt nie miał czasu do stracenia, podobnie jak jego przyjaciele.

Idąc dalej, przycisnął plecy do ściany i przesuwiał się pochylony, z jednym sejmitarem wyciągniętym, drugim zaś, Błyskiem, gotowym do wyjęcia z pochwy. Drizzt nie chciał, by lśnienie magicznego ostrza jeszcze bardziej ujawniało jego położenie, choć wiedział, że koty Podmroku nie potrzebowały światła.

Lekko przeszedł obok wejścia do szerokiej i płytkiej alkowy, po czym dotarł do krawędzi drugiej, węższej i głębszej. Gdy upewnił się, że ta również nie jest zamieszкана, odwrócił się, by przyrzeć się okolicy.

Z półki skalnej na przeciwległej ścianie wpatrywały się w niego zielone, kocie oczy.

Wyłonił się Błysk, świecąc gniewnym błękitem i zalewając teren swym blaskiem. Drizzt, którego oczy przechodziły z powrotem ze spektrum podczerwieni, ujrzał wielką, ciemną sylwetkę. Potwór skoczył, a on zwinnie odsunął mu się z drogi. Kot opadł lekko na dół - wszystkimi sześcioma nogami! - i obrócił się, pokazując białe kły i złowieszcze oczy.

Przypominał panterę, jego sierść była tak czarna, że lśniła granatem, i był niemal tak wielki jak Guenhwyvar. Drizzt nie wiedział, co o tym myśleć. Gdyby to była zwyczajna pantera, starałby się ją uspokoić, pokazać, że nie chce zrobić jej krzywdy i przejdzie tylko obok jej legowiska. Ten kot, ten potwór, miał jednak sześć nóg! Z jego barków wystawały zaś długie, przypominające bicz wypustki, machające groźnie i usiane kościanymi wyrostkami.

Warcząc, bestia zaczęła podchodzić, położywszy po sobie płasko uszy i obnażywszy ogromne kły. Drizzt pochylił się, wyciągnął przed siebie sejmitary, a stopy ustawił w idealnej równowadze, tak by mógł odskoczyć w bok.

Bestia przystanęła. Drizzt obserwował uważnie, jak jej środkowe i tylnie nogi przysiadają.

Natarła szybko. Drizzt skierował się w lewo, lecz stwór zatrzymał się nagle, a Drizzt zrobił to samo, rzucając się w przód, by wykonać proste pchnięcie jednym ostrzem. Sejmitar podążył

dokładnie pomiędzy oczy pantery.

Nie trafił niczego poza powietrzem, a Drizzt zachwiał się w przód. Instynktownie zanurkował na kamienie i przetoczył się w chwili, gdy jedna macka smagnęła tuż nad jego głową, druga zaś trafiła go lekko w biodro. Wielkie łapy drapały i uderzały wszędzie wokół niego, jednak wymachiwał szaleńczo sejmitarami, w jakiś sposób powstrzymując je. Podniósł się i odbiegł, szybko odkładając kilka kroków pomiędzy sobą a niebezpiecznym kotem.

Drow przeszedł do swego defensywnego przykucnięcia, będąc już mniej pewny siebie. Bestia była sprytna - Drizzt nigdy nie spodziewałby się takiej finty ze strony zwierzęcia. Co gorsza, drow nie mógł zrozumieć, w jaki sposób chybił. Jego pchnięcie było staranne. Nawet dzięki swej niewyobrażalnej kociej zręczności bestia nie mogła się tak szybko usunąć z drogi.

Macka ruszyła w jego stronę z prawej, wyrzucił więc w tym kierunku sejmitar, nie tylko by sparować, lecz mając również nadzieję to coś odciąć.

Chybił, po czym ledwo zdołał, z powodu zdumienia, obrócić się w lewo. Znow oberwał w biodro, tym razem boleśnie.

Bestia rzuciła się do przodu, wysuwając przed siebie jedną łapę, by zahaczyć obracającego się drowa. Drizzt stanął pewnie, z Błyskiem gotowym do bloku, jednak łapa ugodziła go dobre trzydzieści centymetrów pod blokującym kątem broni.

Znow uratowała go szybkość reakcji, bowiem zamiast walczyć z nachyloną do wewnątrz łapą (która wyryłaby wielkie szramy na jego ciele), zanurkował w tę samą stronę co ona, na kamienie, po czym podnosząc się i wierzgając, przemknął obok kłapiącej paszczy pantery. Czuł się jak mysz wbiegająca pod domowego kota, choć w tym przypadku było jeszcze gorzej, bowiem ten kot miał więcej nóg!

Drizzt uderzył łokciem, dźgnął w górę i uzyskał solidne trafienie. W nagłej dzikiej furii nie mógł widzieć i dopiero gdy wyłonił się z boku pantery, zdał sobie sprawę, że owa ślepotą była dla niego łaską. Rzucił się do biegu, po czym wyskoczył w przód tuż przed bliźniaczymi mackami.

Nie był w stanie widzieć, a uzyskał swoje jedyne trafienie.

Pantera znow się zbliżała, warcząc z wściekłością, a jej zielone oczy wpatrywały się w drowa niczym lampy.

Drizzt splunął w te oczy i choć wydawało mu się, że dobrze celował, a bestia nie wykonała uniku, jego ślina trafiła jedynie kamienną podłogę. Kota nie było tam, gdzie wydawał się być.

Drizzt starał się przypomnieć sobie szkolenie z Akademii w Menzoberranzan. Słyszał raz o takich bestiach, lecz były one bardzo rzadkie i nie poświęcono im więcej czasu na lekcjach.

Kot natarł. Drizzt wyskoczył do przodu, prosto w zasięg tych dotkliwych macek. Zgadując, wymierzył swój atak kilka kroków w prawo od miejsca, w którym widział bestię.

Przeciwnik był jednak z lewej, a gdy jego sejmitar przecinał nieszkodliwie powietrze, Drizzt wiedział, że jest w kłopotach. Wyskoczył prosto w górę i poczuł, jak pazur rozcina mu stopę - tę samą stopę, która była ranna podczas walki z Artemisem Entreri na półce skalnej za Mithrilową Halą. Błysk ciał w dół i wspaniałe ostrze trafiło w przednią łapę, zmuszając kota, by ją cofnął. Drizzt wylądował na wpół spleciony z bestią, czuł na przedramieniu gorący oddech jej śliniącej się paszczy, i wymierzył cios, obracając nadgarstek tak, by jelec broni powstrzymał potwora przed wyrwaniem mu ręki.

Zamknął oczy -jedyne zmyliłyby go - i uderzył ręką Błysku, trafiając w głowę potwora. Następnie wyrwał się i odbiegł. Poleciała za nim koścista końcówka macki, uderzając go w plecy, on zaś rzucił się w przód, przejmując jedynie część siły uderzenia.

Podniósłszy się z powrotem, Drizzt rzucił się do biegu. Dotarł do szerokiej oraz płytkiej alkowy i wpadł do środka, a potwór tuż zanim.

Drizzt sięgnął w głąb siebie, do swych wrodzonych magicznych zdolności, i przywołał kulę nieprzeniknionej ciemności. Światło Błysku zniknęło, podobnie jak lśniąca oczy bestii.

Drow przeszedł dwa kroki i rzucił się w przód, nie chcąc, by potwór uciekł z zaciemnionego obszaru. Poczul świst macki, prawie trafiającej, po czym wyczuł, jak wraca z drugiej strony. Drizzt uśmiechnął się z zadowoleniem, gdy jego sejmitar wyruszył jej na spotkanie, przecinając ją.

Bolesny ryk bestii pozwolił Drizztowi zorientować się, gdzie jest potwór. Wiedział, że nie może się za bardzo zbliżyć, jednak dzięki swym sejmitarom miał przewagę zasięgu. Podniósłszy Błysk, by zasłonić się przed pozostałą macką, raz za razem dźgał drugim ostrzem, uzyskując kilka drobnych trafień.

Rozwścieczony kot skoczył, jednak Drizzt wyczuł to i padł płasko na podłogę, przetaczając się na plecy i pchając obydwojma ostrzami prosto w górę i uzyskując podwójne trafienie w brzuch potwora.

Kot opadł ciężko, wpadając na ścianę, i zanim zdołał się otrząsnąć, Drizzt był już przy nim. Sejmitar uderzył w jego czaszkę, raniąc mu głowę. Kot obrócił się i wyskoczył w przód, z rozłożonymi łapami i otwartym szeroko pyskiem.

Błysk czekał. Czubek sejmitara ugodził bestię w brodę i ześlizgnął się pod pysk, by wbić się w szyję. Łapa odtrąciła ostrze, niemal wrywając je drowowi z wyciągniętej ręki, jednak Drizzt wiedział, że musi je utrzymać, od tego bowiem zależało jego życie. Nastąpił gwałtowny atak, jednak drow, wycofując się, zdołał utrzymać bestię z dala od siebie.

Wyłonili się z mroku, bestia coraz bardziej naciskała. Drizzt zamknął oczy. Wyczuwał, że pozostała bestii macka uderzy w niego, zmienił więc kierunek, nagle rzucając cały swój ciężar za

Błyskiem. Macka owinęła się za jego plecami, a on zdołał podnieść drugi łokieć, akurat by powstrzymać jej koniec przed trafieniem go w twarz.

Błysk zagłębił się do połowy w potworze. Z gardła bestii wydobywały się świszczące i charczące odgłosy, jednak jej ciężkie łapy wciąż młóciły boki Drizzta, odrywając strzępy jego płaszcza oraz drapiąc mithrilową kolczugę. Kot próbował obrócić swój przebity kark, by ugryźć Drizzta w przedramię.

Do działania przystąpiła wolna ręka Drizzta, z furią podnosząc się i opadając, a trzymany w niej sejmitar opadał raz za razem na głowę kota.

Poczuł, jak szpony chwytają go i trzymają, a pysk znajduje się o parę centymetrów od jego brzucha. Jeden pazur prześlizgnął się przez ogniwo kolczugi, lekko wbijając się drowowi w bok.

Sejmitar uderzał raz za razem.

Padli bezładnie w dół. Drizzt, leżąc na boku, wpatrując się w paskudne oczy, myślał, że jest zgubiony i starał się wyrwać. Uścisk kota zelżał jednak i drow uświadomił sobie, że bestia jest martwa. Uwolnił się w końcu i spojrzał na zabitego stwora. Jego zielone oczy świeciły nawet po śmierci.

* * *

- Nie wchodź tam - powiedział do Regisa jeden z dwóch strażników przy sali tronowej Bruenora, gdy ten odważnie zbliżał się do drzwi. Halfling przyjrzał im się uważnie - nigdy jeszcze nie widział tak bladego krasnoluda!

Drzwi otworzyły się z hukiem i wypadł z nich oddział krasnoludów, w pełni uzbrojonych i opancerzonych, wpadających na siebie, gdy biegli kamiennym korytarzem. Za nimi poleciała werbalna tyrada, strumień przekleństw ze strony ich króla.

Jeden ze strażników zaczął zamykać drzwi, lecz Regis przeskoczył obok niego i wepchnął się do środka.

Bruenor przechadzał się obok swego tronu, za każdym razem gdy się wystarczająco zbliżył, uderzając pięścią w wielkie siedzisko. Generał Dagna, dowódca wojskowy Mithrilowej Hali, siedział na przeznaczonym dla niego krześle z dość skwaszoną miną, zaś za Bruenorem podskakiwał radośnie Thibbledorf Pwent, ostrożnie odsuwając się na bok za każdym razem, gdy król się obrócił.

- Głupi kapłani! - warknął Bruenor.

- Po śmierci Cobble'a nikt nie jest wystarczająco potężny... - starał się interweniować Dagna, lecz Bruenor nie słuchał.

- Głupi kapłani! - odezwał się z większym naciskiem krasno-ludzki król.

- Taa! - ochoczo zgodził się Pwent.

- Mój królu, wysłałem dwa patrole do Silverymoon i jeszcze jeden na północ od miasta - próbował go przekonać Dagna. - A tunele na dole przemierza połowa moich żołnierzy.

- A ja wyślę tam drugą połowę, jeśli ci, co są na dole, nie pokażą mi drogi! - ryknął Bruenor.

Regis, wciąż stojąc nie zauważony przy drzwiach, zaczynał chwytać, o co chodzi, i nie był niezadowolony z tego, co widzi. Bruenor - znów wydawał się starym Bruenorem! - poruszał niebo i ziemię, by odnaleźć Drizzta oraz Catti-brie. Stary krasnolud rozpałił swój wewnętrzny ogień!

- Ale tam na dole jest tysiąc oddzielnych tuneli - spierał się Dagna. - A niektóre mogą wymagać tygodnia, zanim odkryjemy, że są ślepe.

- To poślij na dół tysiąc krasnoludów! - warknął Bruenor. Znow przeszedł obok tronu, lecz nagle zatrzymał się gwałtownie - a Pwent wpadł mu na plecy - gdy zauważył halflinga.

- Na co się gapisz? - zapytał Bruenor, dostrzegłszy szeroko rozwarte oczy Regisa.

Regis wolałby powiedzieć „na mojego starego przyjaciela”, jednak wzruszył tylko ramionami. Przez chwilę dostrzegł przebłysk złości w jedynym szaroniebieskim oku krasnoluda i pomyślał, że Bruenor pochyła się w jego stronę, być może walcząc z wewnętrznym pragnieniem, by rzucić się na niego i udusić. Krasnolud uspokoił się jednak i usiadł na tronie.

Regis zbliżył się ostrożnie, obserwując Bruenora i nie zwracając większej uwagi na twierdzenia pragmatycznego Dagny, że nie ma sposobu na dogonienie dwojga oddalających się przyjaciół. Halfling usłyszał wystarczająco wiele, by domyślić się, że Dagna nie martwi się zbyt wiele o Drizzta i Catti-brie, i nie zdziwiło go to mocno, bowiem oschły krasnolud nie przepadał szczególnie za nikim, kto nie był krasnoludem.

- Gdybyśmy mieli tego cholernego kota- zaczął Bruenor, a gdy spojrzał na halflinga, znow pojawił się ten przebłysk złości. Regis schował ręce za plecami i pochylił głowę.

- Albo mój cholerny medalion! - ryknął Bruenor. - Gdzie, na dziewięć piekieł, wsadziłem mój cholerny medalion?

Regis krzywił się przy każdym donośnym ryku, jednak złość Bru-enora nie zmieniała jego odczucia, iż dobrze postąpił, pomagając Catti-brie i posyłając z nią Guenliwyvar.

Poza tym, choć mógł się spodziewać, iż krasnolud w każdej chwili może uderzyć go pięścią w twarz, nie zmieniało to jego odczucia, iż cieszy się, widząc Bruenora znow pełnym życia.

ROZDZIAŁ 9

W KLATCE

Podążając kamienistym szlakiem musieli częściej prowadzić konie niż jechać na nich. Każdy centymetr wywoływał w Catti-brie cierpienie. Poprzedniej nocy widziała światło ogniska i wiedziała, że był to Drizzt. Pobiegła prosto do konia, zamierzając go osiodłać i pojechać tam, używając światła jako drogowskazu do drowa, jednak zatrzymał ją Fret, wyjaśniając, że magiczne podkowy, które miały na sobie ich wierzchowce, nie chroniły ich przed wyczerpaniem. Przypomniawszy jej również o niebezpieczeństwach, jakie mogłaby prawdopodobnie napotkać nocą w górach.

Catti-brie wróciła wtedy do własnego ogniska, pełna cierpienia. Zastanawiała się, czy nie zawołać Guenhwyvar i nie posłać jej za Drizztem, otrząsnęła się jednak z tej myśli. Ogień był zaledwie kropką gdzieś na wyższych szlakach, wiele kilometrów stąd, i tak naprawdę nie mogła się dowiedzieć, czy to naprawdę Drizzt.

Teraz jednak, pokonując wyższe szlaki, pręczyła w stałym lecz boleśnie powolnym tempie w tym samym kierunku, Catti-brie obawiała się, iż się pomyliła. Obserwowała Freta, który drapał się w swoją białą brodę, rozglądała się po nie wyróżniającym się niczym szczególnym krajobrazie i żałowała, iż nie mają ogniska, które by ich prowadziło. ,

- Dojdziemy tam! - mówił jej często schludny krasnolud, spoglądając na jej pełną niesmaku minę.

Poranek przeszedł w popołudnie i długie cienie zaległy nad okolicą.

- Musimy rozłożyć obóz - oznajmił Fret, gdy zapadł zmierzch.

- Idziemy dalej - spierała się Catti-brie. - Jeśli było to ognisko Drizzta, to już ma nad nami dzień przewagi, niezależnie od twoich magicznych podków!

-Nie uda mi się odszukać jaskini w tych ciemnościach! - odparł krasnolud. - Moglibyśmy znaleźć giganta, może trolla, i jestem pewien, że w pobliżu jest wiele wilków, ale jaskinię? - spoglądając na pogłębiający się grymas Catti-brie, Fret zaczął zastanawiać się nad słusnością swego sarkazmu.

- Och, dobrze! - krzyknął zadbany krasnolud. - Będziemy szukać, dopóki całkowicie nie zapadnie noc.

Parli dalej, dopóki Catti-brie nie zaczęła mieć trudności z dostrzeganiem własnego konia idącego obok, a kuc Freta niemal potknął się o krawędź urwiska. W końcu nawet uparta Catti-brie musiała ustąpić i zgodzić się na rozłożenie obozu.

Udała się następnie na poszukiwanie drzewa, wysokiej pinii, i wspięła się prawie na jej czubek, by trzymać wartę. Jeśli pojawi się ogień, uznała młoda kobieta, wyruszy tam albo przynajmniej pośle panterę.

Tej nocy nie było ogniska.

Gdy tylko światło świtu na to pozwoliło, znów ruszyli. Zaledwie godzinę później Fret klasnął swymi czystymi dłońmi, sądząc, że znalazł znajomy szlak. - Jesteśmy niedaleko - obiecał.

Szlak szedł w górę i w dół, do kamienistych, wypełnionych drzewami dolin, a później znów w nagie, smagane wiatrem skały. Fret przywiązał swego kuca do gałęzi drzewa i poprowadził dalej po stromym zboczach, mówiąc Catti-brie, że znaleźli odpowiednie miejsce. Dwie godziny wspinania później odkrył, że wdrapują się na złą górę.

Wczesnym popołudniem doszli do wniosku, iż obietnica krasno-luda, że są „niedaleko”, była słuszna. Kiedy krasnolud to stwierdził, poszukiwana jaskinia znajdowała się nie więcej niż trzy czwarte kilometra od miejsca, w którym się znajdowali. Odnalezienie określonej jaskini w górskim terenie nie jest jednak łatwym zadaniem, nawet dla krasnoluda, zaś Fret był tu jedynie raz - prawie dwadzieścia lat temu.

Znalazł ją w końcu, gdy znów zaległy długie cienie. Catti-brie potrzęsnęła głową, oglądając wejście oraz palenisko wykorzystane dwie noce temu. Węgla były ułożone z wielką dbałością, jak mógł to zrobić tropiciel.

- Był tu -powiedziała młoda kobieta do krasnoluda. - Dwie noce temu. - Catti-brie podniosła się znad paleniska i odsunęła z twarzy swe gęste, kasztanowe loki, spoglądając na krasnoluda tak, jakby to była jego wina. Popatrzyła z jaskini wstecz, na miejsce w którym byli, z którego widziała ten właśnie ogień.

- Nie dotarlibyśmy tu tamtej nocy - odpowiedział krasnolud. - Mogłabyś biec, a nawet jechać przez ciemność najszybciej jak byś zdołała, a...

- Ognisko wskazywałoby nam drogę - przerwała Catti-brie.

- Jak długo? - zapytał krasnolud. - Znaleźliśmy jeden korzystny punkt, jedną przerwę w górujących szczytach. Zaraz gdybyśmy weszli w parów albo szli blisko zbocza, nie widzielibyśmy światła. Gdzie wtedy byśmy się znajdowali, uparta córko Bruenora?

Znów grymas Catti-brie przerwał krasnoludowi. Westchnął głęboko i rozłożył ręce.

Catti-brie wiedziała, że on ma rację. Choć od tamtej nocy weszli zaledwie kilka kilometrów w głąb gór, szlak był zdradziecki, wznosił się i opadał, wił się niczym wąż pomiędzy licznymi szczytami. Wraz z krasnoludem przeszli przynajmniej trzydzieści kilometrów, by dostać się do tego miejsca i nawet gdyby przyzwała Guenhwyvar, pantera nie zdołałaby dotrzeć do Drizzta.

Rozumowanie to niewiele jednak zrobiło, by zdusić narastającą w Catti-brie frustrację. Przysięgła, że pójdzie za Drizztem i sprowadzi go do domu, teraz jednak, stojąc na skraju opuszczonej jaskini w dziczy, miała przed sobą wejście do Podmroku.

- Wrócimy do pani Alustriel - powiedział do niej Fret. - Być może ma jakichś sprzymierzeńców - ma ich tak wielu! - którzy będą lepiej potrafili zlokalizować drowa.

- O czym ty mówisz? - chciała wiedzieć Catti-brie.

- To odważny pościg - odparł Fret. - Twój ojciec byłby dumny z twoich wysiłków, ale...

Catti-brie podbiegła do krasnoluda, odepchnęła go na bok i potykając się, rzuciła w stronę tylnej części jaskini, w kierunku nachylnego w dół wejścia do tunelu. Uderzyła się mocno w nogę o wystający z podłogi głaz, powstrzymała jednak krzyk, a nawet jęk, nie chcąc, by Fret uważał ją za niezdarę. Kiedy jednak przetrząsała swój plecak, starając się znaleźć krzesiwo, lampę i oliwę, pomyślała o sobie, że jest śmieszna.

- Wiesz, że ona cię lubi? - odezwał się od niechcienia Fret.

Pytanie to spowodowało, że młoda kobieta zatrzymała się. Spojrzała na krasnoluda, który był zaledwie niską, ciemną sylwetką na jaśniejszym tle panującej na zewnątrz nocy.

- Chodzi mi o Alustriel - wyjaśnił Fret.

Catti-brie nie miała odpowiedzi. Nie czuła się swobodnie przy wspaniałej pani Silverymoon, zdecydowanie nie. Alustriel czyniła ją mniejszą, całkowicie pozbawioną znaczenia.

- Tak jest - nalegał Fret. - Lubi cię i podziwia.

- Chyba w myślach orka - prychnęła Catti-brie. Pomyślała, że się z niej szydzi.

- Przypominasz jej siostrę - ciągnął Fret, nie tracąc wątku. -Dove Falconhand, kobietę pełną werwy i radości życia.

Tym razem Catti-brie nie odpowiedziała. Słyszała wiele opowieści o siostrze Alustriel, legendarnej tropicielce, i rzeczywiście wyobrażała sobie czasami, że jest do niej podobna. Nagle słowa krasnoluda nie wydawały się już tak ironiczne jak przedtem.

- Niestety dla Alustriel - zauważył Fret. - Żałuje, że nie jest taka jak akty.

- Chyba w myślach orka! - wypaliła Catti-brie, nie mogąc się powstrzymać. Myśl, że Alustriel, osławiona pani Silverymoon, mogłaby choć trochę być zazdrosna o Catti-brie, wydawała się absurdalna.

- W ludzkich myślach, powiadam! - odparł Fret. - Co takiego jest w waszej rasie, że nikt nie jest w stanie ocenić odpowiednio własnej wartości? Każdy człowiek wydaje się myśleć o sobie więcej niż powinien, albo mniej niż jest to pożądane! Alustriel cię lubi, powiadam, a nawet cię podziwia. Gdyby tak nie było, gdyby uważała, że ty i twoje plany są głupie, dlaczego by się tak kłopotać? Dlaczego wysłałaby z tobą mnie, cennego mędrca? I dlaczego, córko Bruenora Battlehammera, dałaby ci to?

Podniósł jedną dłoń, w której trzymał coś delikatnego, czego Catti-brie nie mogła dostrzec. Stała przez chwilę, by przetrwać to, co powiedział, po czym podeszła do niego.

Krasnolud trzymał srebrny łańcuszek, obręcz na głowę z klejnotem na środku.

- Jest piękny - przyznała Catti-brie, oglądając bladozielony kamień z czarną linią biegnącą przez środek.

- Więcej niż piękny - powiedział Fret wskazując gestem, by Catti-brie go założyła.

Umieściła klejnot na miejscu, na środku czoła, i niemal zemdląca, bowiem obraz wokół niej nagle zamglił się i zafalował. Widziała krasnoluda - nie tylko sylwetkę, lecz jego rysy! Rozejrzała się z niedowierzaniem, skupiając się na tylnej części jaskini. Wydawało się, jakby była skąpana w świetle gwiazd, tak że Catti-brie mogła wystarczająco dobrze odróżniać nierówności i zagłębienia.

Nie mogła tego oczywiście zobaczyć, lecz cienka czarna linia w środku klejnotu rozszerzyła się niczym źrenica.

- Wchodzenie do Podmroku z płonąca pochodnią nie jest najmądrzejszym posunięciem - stwierdził Fret. - Nawet jedna świeczka wskazywałaby, że jesteś tam obca, i narażałaby cię na niebezpieczeństwo. Poza tym jak wiele oliwy możesz wziąć? Twoja lampa stałaby się bezużyteczna, zanim skończyłby się pierwszy dzień. Widzisz, Kocie Oko eliminuje tę potrzebę.

- Kocie Oko?

- Agat Kocie Oko - wyjaśnił Fret, wskazując na klejnot. - Alu-striel sama go zakłęła. Normalnie zaczarowany w ten sposób kamień pokazywałby jedynie odcienie szarości, jednak pani ceni sobie światło gwiazd. Niewielu w Krainach może poszczycić się, że otrzymało taki dar.

Catti-brie przytaknęła i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czowała się winna, uznała się za śmieszna, że bez przerwy wątpi - że pozwala, by zazdrość przysłaniała jej osąd.

- Polecono mi odwieść cię z niebezpiecznej drogi - ciągnął krasnolud. - Alustriel wiedziała jednak, że mi się to nie uda. Rzeczywiście jesteś jak Dove, samowolna i uparta, oraz wydaje ci się, iż jesteś nieśmiertelna. Wiedziała, że pójdziesz, nawet do Podmroku. I choć Alustriel obawia się o ciebie, wie, że nic nie mogłoby ani nie powinno cię zatrzymać.

Ton krasnoluda nie był ani sarkastyczny, ani udawany, i Catti-brie znów była zbita z tropu, nie przygotowana na te słowa.

- Czy spędzisz noc w jaskini? - spytał Fret. - Mógłbym rozpalić ogień.

Catti-brie potrząsnęła głową. Drizzt był już zbyt daleko przed nią.

- Oczywiście - mruknął cicho schludny krasnolud.

Catti-brie nie usłyszała go. Szła już w stronę tylnej części jaskini, w stronę tunelu. Zatrzymała się i przywołała Guenhwy var, zdając sobie sprawę, że jeśli ma iść dalej, będzie potrzebowała wsparcia pantery. Gdy kocica zmaterializowała się, Catti-brie spojrzała z powrotem na wejście do jaskini, by powiedzieć krasnoludowi, żeby przekazał Alustriel podziękowania, jednak Fret już zniknął.

- Chodź, Guen - powiedziała młoda kobieta z wymuszonym uśmiechem na twarzy. - Musimy znaleźć Drizzta. - Pantera powęszyła trochę w okolicach wejścia do tunelu, po czym zaczęła schodzić, najwyraźniej znalazłszy trop.

Catti-brie stanęła na długą chwilę, spoglądając na wylot jaskini i rozciągające się dalej gwiazdziste niebo. Zastanawiała się, czy ujrzy jeszcze kiedyś te gwiazdy.

STARZY PRZYJACIELE

Pokonywał wąskie tunele oraz sale rozciągające się na boki i do góry, poza zasięg wzroku. Szedł po błocie i nagim kamieniu, nie powodując plusków ani innych odgłosów. Każdy krok, który Drizzt Do'Urden wykonywał w głąb Podmroku, pobudzał bardziej jego pamięć, kierował go z powrotem do czasów, które przetrwał w dziczy, kiedy był łowcą.

Musiał odnaleźć tę wewnętrzną istotę, tego pierwotnego dzikusa, który tak dobrze słyszał wołanie jego instynktów. W dziczy Podmroku nie było czasu na racjonalne kalkulacje, można było tylko działać.

Drizzt nienawidził perspektywy poddania się tej dzikiej części, nienawidził całej tej podróży, musiał jednak przeć dalej, wiedząc, że jeśli zawiedzie, jeśli zostanie zabity, zanim dotrze do Menzoberranzan, ta wyprawa wyjdzie na szkodę jego przyjaciółom. Odejdzie, jednak mroczne elfy nie będą tym wiedzieć i zaatakują Mithrilową Halę. Dla dobra Bruenora, Regisa oraz drogiej Cattibrie, Drizzt musiał iść dalej i musiał znów stać się tym pierwotnym łowcą.

Na pierwszy odpoczynek wspiął się pod sufit wysokiego korytarza i spał, wisząc do góry nogami, z nogami zatkniętymi do kolan w wąskiej szparze, a palcami zahaczonymi za pas, obok sejmitarów.

Po zaledwie godzinie drzemki obudziło go odległe echo w dalszej części tunelu. Był to lekki dźwięk, być może wejście w zasysający muł, jednak Drizzt wisiał całkowicie nieruchomo, wyczuwając poruszenie stojącego powietrza, nasłuchując echa i prawidłowo odgadując kierunek.

Wyciągnął nogi i obrócił się, opadając pięć metrów na ziemię. Czubki jego miękkich butów pierwsze dotknęły podłogi, by wchłonąć siłę upadku i sprowadzić go bez szmeru na dół. Pobiegł, mając baczenie, by trzymać się z dala od tego echa, nie pragnął bowiem żadnych konfliktów, zanim nie dotrze do miasta drowów.

Z każdym krokiem stawał się bardziej pewny siebie. Wracały do niego instynkty wraz ze wspomnieniami czasu, jaki spędził samotnie w dziczy Podmroku. Dotarł do kolejnego błotnistej obszaru, gdzie powietrze było ciepłe, a ogrzana woda syczała i bulgotała. Teren usiany był wilgocią, pokrywającą stalagmity i stalaktyty, widoczną w wyczuwającym ciepło wzroku drowa, przekształcającą w jego oczach ten jeden tunel w plątaninę.

Drizzt znał to miejsce, pamiętał je z podróży, którą przedsięwziął na powierzchnię. Fakt ten sprowadził na drowa zarówno strach, jak i niepokój. Cieszył się, że był na dobrej trasie, lecz nie mógł odrzucić wypływających z tego samego powodu obaw. Pozwolił, by prowadził go odgłos

wody, wiedział bowiem, że za gorącymi źródłami znajdzie odpowiednie tunele.

Powietrze stawało się coraz cieplej sze i wkrótce było wręcz nieprzyjemne, jednak Drizzt wciąż miał na sobie zaciśnięty płaszcz, nie chciał dać się przyłapać w tak niebezpiecznym miejscu z czymś więcej niż sejmitarem w rękę.

Drow wiedział, że to istotnie jest niebezpieczne miejsce. Za którymś z pagórków mogło się kryć całe mrowie potworów i Drizzt musiał podejmować wielki wysiłek, by iść cicho przez gęstniejące błoto. Jeśli choć przez chwilę utrzymywał stopę w jednej pozycji, kleista maź przylepiała mu się do buta i następne postawienie takiej stopy owocowało odgłosami plaśnieć. Przy jednej takiej okazji Drizzt przystanął, powoli podnosząc stopę i starając się dosłyszeć wzory echa. Zaledwie chwili potrzebował, by zrozumieć, że odbite dźwięki, które słyszał, były powodowane przez więcej stóp niż jego dwie.

Drizzt szybko przyjrzał się okolicy zastanawiając się nad temperaturą oraz intensywnością blasku stalagmitów. Kroki stawały się głośniejsze, a drow zdał sobie sprawę, że nadciąga spora grupa. Przyjrzał się wszystkim bocznym tunelom i doszedł szybko do wniosku, że banda nie niesie żadnego źródła światła.

Drow wszedł pod wąski kolec stalaktytu, którego czubek wisiał nie więcej niż metr dwadzieścia nad podłogą. Skulił pod sobą nogi i przysiadł. Ułożył płaszcz wokół nóg tak, by nadać mu kształt dzwonu, uważając, by na całym jego ciele nie było większych nierówności, jak na przykład wystająca zbyt daleko stopa. Następnie drow spojrział w górę na stalaktyt, podniósł ręce, by wyczuć jego czubek, po czym przejechał nimi wyżej, obejmując go. Zamknął oczy i wsunął głowę pomiędzy uniesione ramiona. Zakołysał się kilka razy, wyczuwając równowagę i wygładzając krawędzie swojej sylwetki.

Drizzt stał się stalagmitem.

Wkrótce usłyszał odgłosy zasysania oraz piskliwe, chrapliwe głosy, i wiedział, że wszędzie wokół niego znajdują się gobliny. Wyrzwał zaledwie raz i to tylko na chwilę, upewniając się, czy nie mają źródeł światła. Jakże byłby widoczny, gdyby obok niego znalazła się pochodnia!

Ukrywanie się w pozbawionym światła Podmroku różniło się jednak znacznie od krycia się w lesie, nawet ciemną nocą. Wykorzystana tutaj sztuczka polegała na rozmyciu wyraźnych linii ciepła ciała, a Drizzt był pewien, że otaczające go powietrze oraz stalagmity były przynajmniej tak ciepłe jak jego płaszcz.

Słyszał gobliny w odległości zaledwie kilku kroków i wiedział, że duża grupa - Drizzt wierzył, że licząca przynajmniej dwudziestu osobników - jest wszędzie dookoła. Zastanawiał się nad przemyślanymi ruchami, które byłyby potrzebne, by jak najszybciej położyć ręce na sejmitarach. Gdyby jeden z goblinów otarł się o niego, gra byłaby skończona i rzuciłby się do działania, rozrywając ich szeregi i starając się dostać za nie, zanim jeszcze uświadomiłyby sobie, że tutaj jest.

Nie doszło do tego. Grupa goblinów kontynuowała swój marsz przez kępę złożoną ze stalaktytów, stalagmitów oraz jednego drowa.

Drizzt otworzył swe lawendowe oczy, które zaśniły wewnętrznym ogniem łowcy. Jeszcze przez parę chwil pozostawał całkowicie nieruchomo, aby upewnić się, że nie ma maruderów, po czym odbiegł, nie czyniąc najłżejszego szmeru.

* * *

Catti-brie od razu wiedziała, że to Drizzt zabił tą sześcionogą, pantero podobną bestię z mackami. Przykucnąwszy przy ścierwie, rozpoznawała zakrzywione, cięte rany i wątpiła, czy ktokolwiek inny mógłby tak czysto zabić.

- To był Drizzt - mruknęła do Guenhwyvar, a pantera wydała z siebie niski pomruk. -Nie dawniej niż dwa dni temu.

Ten martwy potwór przypominał jej, jakie niebezpieczeństwo może jej grozić. Jeśli Drizzt, przy całym swoim treningu w skradaniu się oraz wiedzy o Podmroku, został zmuszony do walki, to jakże ona mogła mieć nadzieję, że przejdzie nietknięta?

Catti-brie oparła się o umięśniony bok pantery, potrzebując wsparcia. Wiedziała, że nie może już dłużej trzymać Guenhwyvar przy sobie. Magiczna kocica była istotą z Planu Astralnego i musiała tam często wracać, by odpoczywać. Catti-brie chciała spędzić pierwszą godzinę w tunelu sama, chciała opuścić jaskinię bez pantery u boku, jednak po pierwszych kilku krokach puściły jej nerwy. W tym obcym miejscu potrzebowała namacalnego wsparcia swej kociej towarzyszki. Z biegiem dnia Catti-brie przywykła trochę do otoczenia i zamierzała odesłać Guenhwyvar, zaraz gdy szlak stanie się wyraźniejszy, zaraz gdy znajdzie okolicę z mniejszą ilością bocznych korytarzy. Wyglądało na to, że znalazły takie miejsce, lecz były tam również zwłoki.

Catti-brie szybko ruszyła dalej, instruując Guenhwyvar, by trzymała się blisko jej boku. Wiedziała, że powinna uwolnić panterę, nie obciążać siły Guenhwyvar, na wypadek gdyby potrzebowała kocicy w niebezpieczeństwie, usprawiedliwiała jednak opóźnienie, wmawiając sobie, iż w pobliżu może być więcej ścierw lub innych sześcionogich kocich bestii.

Dwadzieścia minut później, w ciemnym i cichym tunelu, młoda kobieta zatrzymała się i zaczęła szukać w sobie siły. Odesłanie wtedy Guenhwyvar było jedną z odważniejszych rzeczy, jakie Catti-brie kiedykolwiek zrobiła, a gdy mgła rozproszyła się, a dziewczyna schowała statuetkę z powrotem do sakwy, była naprawdę zadowolona z daru od Alustriel.

Była sama w Podmroku, sama w głębokich tunelach, wypełnionych śmiercionośnymi wrogami. Mogła przynajmniej widzieć, a gwieździsta iluzja - piękna nawet tutaj, na tle szarych skał - dodawała jej otuchy.

Catti-brie wzięła głęboki oddech i uspokoiła się. Przypomniała sobie Wulfgara i znów wypowiedziała swoją przysięgę, że nie zginie już żaden inny przyjaciel. Drizzt jej potrzebował, nie mogła pozwolić, by pokonał ją jej własny strach.

Chwyliła medalion w kształcie serca, trzymając go w dłoni tak, by jego magiczne ciepło utrzymywało ją na odpowiedniej drodze. Znów ruszyła, z wysiłkiem stawiając jedną stopę przed drugą. Oddalała się coraz bardziej od świata słońca.

* * *

Za gorącymi źródłami Drizzt przyspieszył kroku, bowiem przypominał już sobie drogę i pamiętał o licznych przeciwnikach, których musiał bacznie unikać.

Dni mijały bez przeszkód, stały się tygodniem, a następnie dwoma dla biegnącego drowa. Ponad miesiąc zajęło Drizztowi wydostanie się na powierzchnię z Blingdenstone, miasta gnomów jakieś sześćdziesiąt do osiemdziesięciu kilometrów na zachód od Menzoberranzan, teraz zaś, gdy Mithrilowej Hali groziło niebezpieczeństwo, był zdecydowany jeszcze skrócić ten czas.

Dotarł do krętych i wąskich tuneli, odnalazł znajome rozwidlenie szlaku, jeden korytarz biegnący na północ, drugi ciągnący się dalej na zachód. Drizzt podejrzewał, iż północną drogą dostałby się szybciej do miasta drowów, pozostał jednak na zachodniej trasie, w nadziei, że być może na tej znanej mu ścieżce uzyska więcej informacji i być może spotka po drodze jakichś starych przyjaciół.

Kilka dni później wciąż biegł, teraz jednak przystawał często i przykładał ucho do skał, nasłuchując rytmicznego uderzania. Drizzt wiedział, że Blingdenstone jest niedaleko i w pobliżu mogą znajdować się gnomi górnicy. Korytarze pozostawały jednak ciche i Drizzt zaczął zdawać sobie sprawę, że nie ma za wiele czasu. Pomyślał o udaniu się prosto do miasta głębinowych gnomów, jednak już spędził zbyt wiele czasu w drodze i nadeszła chwila, by skierować się do Menzoberranzan.

Godzinę później, gdy Drizzt ostrożnie okrążał załom niskiego korytarza, który pokryty był świecącym liszajem, jego czułe uszy wychwyciły daleki dźwięk. Z początku drow uśmiechnął się, sądząc, że znalazł jakichś górników, jednak gdy słuchał dalej, łapiąc odgłosy metalu ocierającego się o metal, wyraz jego twarzy znacznie się zmienił.

Niedaleko stąd toczyła się walka.

Drizzt pobiegł. Coraz głośniejsze echo kierowało jego krokami. Dotarł do ślepego zaułka i musiał się wracać, wkrótce jednak znów był na dobrej drodze, trzymając wyciągnięte sejmity. Dotarł do rozwidlenia korytarza. Obydwa tunele ciągnęły się w podobnym kierunku, choć jeden wznosił się ostro, a obydwie rozbrzmiewały krzykami bitwy.

Drizzt zdecydował się udać w górę, biegnąc i skradając się. Za zakrętem zauważył otwór i wiedział już, że trafił na walkę. Wyłonił się z tunelu, wychodząc na półkę skalną, znajdującą się kilka metrów nad rozległą komnatą z poszarpaną i upstrzoną kamiennymi pagórkami podłogą. Poniżej miały się sylwetki svirfnebli i drowów.

Svirfnebli i drowy! Drizzt oparł się plecami o ścianę i opuścił sejmity po bokach. Wiedział, że svirfnebli, głębinowe gnomy, nie są złe, rozumiał w sercu, że to drowy były tymi, którzy wszczęli walkę, najprawdopodobniej zastawiając pułapkę na wyprawę górniczą gnomów. Serce Drizzta krzychało, by zeskoczył na dół i pomógł mocno naciskanym gnomom, nie potrafił jednak znaleźć w sobie siły. Walczył zdrowami, zabijał drowy, jednak nigdy z czystym sumieniem. To byli jego pobratymcy, jego krew. Czy mógł tam być inny Zaknafein? Inny Drizzt Do'Urden?

Jeden mroczny elf, w gorączkowej pogoni za rannym gnomem, wdrapał się po zboczu kamienistego pagórka jedynie po to, by dowiedzieć się, iż stał się on żywą skałą, żywiołakiem ziemi, sprzymierzeńcem gnomów. Wielkie, kamienne ramiona chwyciły elfa i zmiążdżyły go. Żywiołak nie zwrócił uwagi na broń, która nieszkodliwie musnęła jego naturalny skalny pancerz.

Drizzt skrzywił się na ten potworny widok, lecz odczuł pewną ulgę, że gnomy się trzymają. Żywiołak obrócił się powoli, roztrzaskując blokujący mu drogę stalagmit i wyrywając z ziemi swe wielkie stopy.

Gnomy pospieszyły za swego gigantycznego sojusznika, starając się przegrupować w panującym chaosie. Czyniły postępy, wielu z nich kluczyło przez skalisty labirynt, by dołączyć do swych powiększających się głównych sił, zaś mroczne elfy cofały się przed niebezpiecznym olbrzymem. Jeden krzepki gnom, według Drizzta nadzorca kopaczy, wydał polecenie do marszu.

Drizzt przykucnął nisko na półce. Ze swego dogodnego punktu mógł widzieć wyszkolonych drowich wojowników, rozchodzących się wachlarzem wokół gnomów, zachodzących z boku i kryjących się za pagórkami. Inna grupa prześlizgiwała się do przeciwległego wyjścia, celu gnomów, i zajmowała tam strategiczne pozycje. Jeśli jednak Żywiołak wytrzyma, gnomy przedrą się najprawdopodobniej tamtędy, a znalazłszy się już w korytarzu, zostawią za sobą gi-ganta, by blokował drogę, i pobiegną do Blingdenstone.

Trzy drowki wyszły, by zmierzyć się z gigantem. Drizzt westchnął, widząc że mają na sobie nie dające się pomylić z niczym innym ozdobione pajakami szaty wyznawczyń Lloth. Rozpoznał, że są to kapłanki i wiedział, że gnomy nie uciekną.

Jedna po drugiej kobiety zaczęły śpiewać i rozłożyły przed sobą ręce, posyłając strumień mgły. Gdy płyn trafił w kamienistego żywiołaka, olbrzym zaczął się rozpływać, litą skałę zastępowały strugi błota.

Kapłanki kontynuowały pieśń, swój szturm. Kamienisty gigant rzucił się na nie, rycząc z wściekłości, a jego rysy stały się zniekształcone spływającym szlamem.

Pocisk mgły trafił prosto w niego, tworząc na piersi potwora spływającą strugę błota, jednak kapłanka, która wykonała ten atak, była zbyt na nim skoncentrowana i nie wycofała się wystarczająco szybko. Kamienna ręka wystrzeliła w przód, uderzając ją, łamiąc kości i posyłając jaw powietrze, by roztrzaskała się o stalaktyt.

Pozostałe dwie drowki znów trafiły żywiołaka, rozpuszczając mu nogi, i padł bezradnie na podłogę. Natychmiast zaczął odtwarzać kończyny, jednak kapłanki kontynuowały swój śmiertelny prysznic. Widząc, że stracili sojusznika, dowódca gnomów zarządził szarżę i svirfnebli ruszyli, zalewając swą masą jedną z kapłanek, zanim zachodzące z boku mroczne elfy zbliżyły się niczym kłusująca paszcza. Walka znów toczyła się na pełną skalę, tym razem tuż pod Drizztem Do'Urdenem.

Widząc to wszystko, z trudem wciągał powietrze. Zobaczył, jak gnom trafiany jest po kolei przez trzy drowy i pada na podłogę.

Drizztowi skończyły się wymówki. Odróżniał dobro od zła, znał znaczenie pojawienia się kapłanek Lloth. W jego lawendowych oczach zapłonęły ognie. Wyłoniły się jego sejmitary, a błysk rozjarzył się błękitnym życiem.

Zauważył ostatnią kapłankę, na dole po lewej. Stała za wysokim, wąskim pagórkiem, jedną ręką dotykając svirfnebli. Gnom nie wykonywał przeciwko niej żadnych ruchów, stał jedynie i jęczał, trzęsąc się pod magicznymi atakami kapłanki. Po ręce drowki pełzła w górę czarna energia, która wręcz wysysała siłę życiową ze swej nieszczęsnej ofiary.

Drizzt wsunął Błysk pod drugie ramię i skoczył, chwytając czubek owego wąskiego pagórka i obracając się dookoła niego, gdy szybko opadał. Dotknął podłogi tuż za kapłanką i chwycił z powrotem broń.

Zaskoczona drowka wypowiedziała szereg ostrych komend, najwyraźniej uważając Drizzta za sprzymierzeńca. Błysk zanurzył się w jej sercu.

Na wpół wykończony gnom spojrzał z ciekawością na Drizzta, po czym zemdlał. Drizzt pobiegł, wykrzykując do gnomów w ich własnej mowie ostrzeżenia, że mroczne elfy zajęły pozycje w pobliżu wyjścia. Tropiciel baczył jednak, by trzymać się z dala od otwartych przestrzeni, zdając sobie sprawę, że każdy gnom, na którego się natknie, najprawdopodobniej go zaatakuje, a każdy drow, na którego się natknie, może go rozpoznać.

Starał się nie myśleć o tym, co właśnie zrobił, starał się nie myśleć o oczach kobiety tak podobnych do oczu jego siostry Vierny.

Przycisnął plecy do pagórka, a wszędzie wokół niego rozbrzmiewały krzyki bitwy. Zza innego stalagmitu wyskoczył gnom, wymachując niebezpiecznie młotem bojowym, i zanim Drizzt zdołał wyjaśnić, że nie jest wrogiem, obok wyłonił się kolejny drow, stając ramię w ramię z Drizztem.

Nagle zbity z tropu gnom rozejrzał się, szukając drogi ucieczki, lecz nowszy przeciwnik skoczył

na niego.

Kierując się czystym instynktem, Drizzt ciął drowa w rękę z bronią, jego sejmitar wyrył głęboką szramę. Mahoniowoskóry elf upuścił miecz i obrócił się, by spojrzeć z przerażeniem na drowa, który nie był sojusznikiem. Potykając się, drow popatrzył przed siebie właśnie w chwili, gdy w twarz uderzył go młot gнома.

Gnom nie zrozumiał tego oczywiście i gdy mroczny elf padł, jedynym, o czym pomyślał, było naszykowanie broni na drugiego wroga. Jednak Drizzt już dawno zniknął.

W związku z tym, że kapłanki były już powalone, gnomi kapłan podbiegł do leżącego żywiołaka. Umieścił na stercie gruzu kamień i roztrzaskał go swym młotem, po czym zaczął nucić. Wkrótce żywiołak odtworzył się równie wielki jak wcześniej i popędził niczym ruchoma lawina w poszukiwaniu przeciwników. Szaman obserwował jego ruchy, powinien był jednak raczej zajmować się własną sytuacją, bowiem podkraść się do niego kolejny mroczny elf, z buzdyganem wzniesionym do śmiertelnego ciosu.

Szaman zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, dopiero gdy buzdygan opadał... i został przechwycony przez sejmitar.

Drizzt odtrącił szamana na bok i stanął przed oszołomionym drowem.

- Przyjaciel? - szybko zapytały palce wolnej ręki mrocznego elfa.

Drizzt potrząsnął głową, po czym posłał Błysk na buzdygan drowa, odrzucając go na bok. Drugi sejmitar tropiciela podążył szybko tąsamą ścieżką, dźwięcząc głośno o metalowy buzdygan i odtrącając go daleko na lewo od Drizzta.

Przewaga Drizzta wynikająca z zaskoczenia nie była jednak tak wielka, jak przypuszczał, bowiem wolna dłoń drowa ześlizgnęła się już do pasa i chwyciła wąski sztylet. Nowa broń wystrzeliła zza fałd piwafwi, prosto w serce Drizzta, a zły drow warknął zwycięsko.

Drizzt obrócił się w prawo, wycofując przed niebezpieczeństwem. Skierował bliższy sejmitar w poprzek i w dół, zahaczając ręką sztyletu i prostując drowowi rękę. Dokończył obrót, przykładając swoje plecy ściśle do piersi przeciwnika i ciągnąc za sobą jego rozciągniętą rękę. Drow starał się ustawić buzdygan pod takim kątem, by mógł ugodzić Drizzta, jednak tropiciel znajdował się w lepszej pozycji i był szybszy. Odsunął się i zaraz wrócił, posyłając łokieć w twarz wroga, raz, drugi, i kolejnych kilka razy.

Drizzt posłał daleko rękę ze sztyletem drowa i rozsądnie odwrócił swój obrót, podnosząc Błysk akurat na czas, by chwycić zamach buzdyganem. Szybki obrót i uderzenie Błyskiem posłało buzdygan w powietrze, a Drizzt wymierzył cios lewą dłonią. Ręką Błysku ugodziła drowa w bok żuchwy, przewracając go na podłogę.

Drizzt spojrział na szamana gnomów, który stał z otwartymi ustami, ściskając nerwowo swój młot. Wokół nich walka stała się bezładnym odwrotem, wskrzeszony żywiołak prowadził svirfnebli do zdecydowanego zwycięstwa.

Do szamana dołączyły dwa gnomy, spoglądające na Drizzta z podejrzliwością i strachem. Drizzt stał przez chwilę, przypominając sobie język svirfnebli, wykorzystujący melodyjną intonację podobną do elfiego z powierzchni wraz z twardymi spółgłoskami bardziej charakterystycznymi dla krasnoludzkiego.

-Nie jestem wrogiem - powiedział i by udowodnić swoje słowa, upuścił sejmity na ziemię.

Drow na podłodze jęknął. Gnom skoczył na niego i wymierzył swój kilof w tył czaszki mrocznego elfa.

- Nie! - krzyknął w proteście Drizzt, rzucając się do przodu i pochylając nisko, by przechwycić uderzenie.

Drizzt podniósł się nagle, bo poczuł w kręgosłupie pałacy ból. Widział, jak gnom dobija oszołomionego drowa, nie mógł jednak zastanowić się nad tym brutalnym czynem, gdy jego grzbiet targany był małymi eksplozjami. Płaz jakiejś diabelskiej broni ugodził go pomiędzy kręgi.

Drizzt stał bez ruchu przez okres wydający się bardzo długą chwilą. Poczł, jak mrowią go nogi, jakby kładły się spać, a następnie nie czuł już nic od pasa w dół. Starł się utrzymać równowagę, zachwiał się jednak i upadł. Leżał, drapiąc kamienną podłogę i próbując odzyskać oddech.

Wiedział, że zaraz zemdleje, bowiem ledwo pamiętał, kim jest i dlaczego tu przybył.

Słyszał szamana, jednak ta mała iskra świadomości, która pozostała Drizztowi, nie dała mu nadziei. Doleciało do niego - Zabić go.

ROZDZIAŁ 11

NA PRÓŻNO

To jest to miejsce? - spytał szalojownik, krzycząc, by jego opryskliwy głos mógł być słyszany przez smagający wiatr. Wyszedł z Mithrilowej Hali z Regisem i Brueno-rem - tak naprawdę zmusił halflinga, by go zabrał -w poszukiwaniu ciała Artemisa Entreri. - Znajdziecie wskazówki tam, gdzie je znajdziecie -P went powiedział w typowym dla siebie zagadkowym wyjaśnieniu.

Regis naciągnął kaptur swego za dużego płaszcza, by ochronić się przed użądleniami wiatru. Znajdowali się w wąskiej dolinie, parowie, którego ściany wydawały się skupiać silny wiatr w wicher. - To było gdzieś tutaj - rzekł halfling, wzruszając ramionami, by pokazać, że nie jest pewien. Gdy wyszedł znaleźć zmasakrowanego Entreri, wybrał wyższą ścieżkę, wzdłuż krawędzi parowu i

innych pól skalnych. Był przekonany, że jest to mniej więcej ta okolica, jednak prawdę mówiąc, z tej perspektywy wszystko wyglądało inaczej.

- Znajdziemy go, mój królu - Thibbledorf zapewnił Bruenora.

- Żeby to coś dało - mruknął przygnębiony Bruenor.

Regis skrzywił się na przybity ton krasnoluda. Widział wyraźnie, że Bruenor osuwa się z powrotem w żal. Krasnoludy nie znalazły drogi przez płataninę tuneli pod Mithrilową Halą, choć szukał ich tysiąc, a wieści ze wschodu nie były obiecujące - jeśli Catti-brie i Drizzt udali się do Silverymoon, już dawno minęli to miejsce. Bruenor zaczął zdawać sobie sprawę, że wszystko to jest robione na próżno. Minęły tygodnie, a on nie znalazł drogi z Mithrilowej Hali, która zaprowadziłaby go w pobliże przyjaciół. Krasnolud tracił nadzieję.

- Ale mój królu! - ryknął Pwent. - On zna drogę.

- On nie żyje - Bruenor przypomniał szalajownikowi.

- Nie martw się! - zagrział Pwent. - Kapłani potrafią rozmawiać ze zmarłymi, poza tym może mieć mapę. Och, znajdziemy drogę do tego miasta drowów, powiadam ci, i pójdę tam, dla mojego króla! Zabiję każdego śmierdzącego drowa, poza tym tropicielem- dodał, puszczając oko do Regisa - i sprowadzę twoją dziewczynkę do domu!

Bruenor westchnął tylko i wskazał Pwentowi, by kontynuował poszukiwania. Pomimo całego swojego narzekania krasnoludzki król żywił jednak nadzieję, że widok połamanego ciała Entreriego przyniesie mu trochę satysfakcji.

Krótką chwilę później podjęli szukanie. Regis bez przerwy wyglądał spod kaptura, starając się określić swoją pozycję. W końcu halfling dostrzegł wysokie wyniesienie skalne, przypominającą gałąź iglicę skalną.

- Tam - powiedział, wskazując drogę. - To musi być to. Pwent podniósł wzrok, po czym skierował go po linii prostej na

dno parowu. Zaczął szperać dookoła na czworakach, wachając ziemię jakby próbował wychwycić woń zwłok.

Regis obserwował go oczarowany, po czym odwrócił się do Bruenora, który stał oparty o ścianę doliny, z ręką na skale, potrząsając głową.

- Co to jest? - spytał Regis, podchodząc. Słyszac pytanie i zauważywszy króla, Pwent podniósł się, by do nich dołączyć.

Kiedy się zbliżyli, Regis dostrzegł coś wzdłuż kamiennej ściany, coś szarego i matowego.

Przyjrzał się bliżej, gdy Bruenor zdjął ze skały trochę tej substancji i wyciągnął przed siebie.

- Co to jest? - powtórzył Regis, ośmielając się tego dotknąć. Sprężysty materiał przylgnął do jego cofającego się palca i potrzebował trochę wysiłku, by strząsnąć kleistą substancję.

Bruenor musiał kilkakrotnie przełknąć ciężko ślinę. Pwent powąchał ścianę, po czym przebiegł przez parów, by zbadać skałę po drugiej stronie.

Bruenor i Regis podnieśli wzrok na iglicę skalną, w milczeniu rozważając implikacje płynące z sieci rozciągniętej pod spadającym zabójcą.

* * *

Palce błysnęły zbyt szybko, by mógł za nimi nadażyć, przekazując jakieś instrukcje, których zabójca nie rozumiał. Potrząsnął z furją głową, a zdenerwowany drow zacisnął mahoniowe dłonie, powiedział „Iblith” i odszedł.

Iblith, Artemis Entreri powtórzył cicho w myślach. Słowo to oznaczało u drowów śmieć i było wyrazem, jaki słyszał najczęściej, odkąd Jarlaxle zabrał go do tego paskudnego miejsca. Czego ten drow żołnierz mógł od niego oczekiwać? Dopiero zaczynał uczyć się zawilego języka znaków, w którym ruchy palców były tak precyzyjne i szczegółowe, iż Entreri wątpił, czy choć jeden z dwudziestu ludzi byłby w stanie w pewnym stopniu go poznać. Poza tym starał się desperacko nauczyć również mówionego języka drowów. Znał kilka słów i posiadał podstawową wiedzę na temat struktury zdań, mógł więc łączyć ze sobą proste pojęcia.

I znał też słowo iblith.

Zabójca oparł się o ścianę małej jaskini, w tym tygodniu będącej bazą operacji Bregan D'aerthe. Czuł się mniejszy, bardziej pozbawiony znaczenia niż kiedykolwiek. Gdy Jarlaxle ożywił go w jaskini w parowie za Mithrilową Halą, uznał ofertę najemnika (a raczej bardziej rozkaz, teraz uświadamiał sobie Entreri), że zabierze go do Menzoberranzan, za wspaniałą rzecz z, za wielką przygodę.

Nie była to przygoda, lecz żywe piekło. Entreri był colnbluth, nie-drowem, żyjącym w środku dwudziestu tysięcy członków rasy, która nie uchodziła za zbyt tolerancyjną. Nie nienawidzili jakoś szczególnie ludzi, nie bardziej niż nienawidzili wszystkich innych, lecz w związku z tym, że był colnbluth, niegdyś potężny zabójca znalazł się pomiędzy najniższymi szeregami drowiego oddziału Bregan D'aerthe. Nieważne co robił, nieważne kogo zabijał, w Menzoberranzan Artemis Entreri nie mógł osiągnąć wyższej pozycji w hierarchii niż dwadzieścia tysięcy i jeden.

I te pająki! Entreri nienawidził pajaków, a to pełzające paskudztwo było wszędzie w mieście. Hodowano większe, bardziej jadowite gatunki i trzymano je jako zwierzątka domowe. Zabicie pająka

było natomiast zbrodnią pociągającą za sobą yrwwi quui'elghinn, tortury aż do śmierci. Na wschodnim krańcu wielkiej jaskini, zagajniku mchu i grzybów w pobliżu jeziora Donigarten, gdzie dawano często Entreriemu zadanie doglądania gobińskich niewolników, pająki pełzały tysiącami. Chodziły wokół niego, chodziły po nim, opuszczały się na niciach, zwisając o centymetry od twarzy cierpiącego człowieka.

Zabójca wyciągnął swój lśniący zieloną miecz i podniósł jego okrutne ostrze przed oczy. Przynajmniej było teraz w mieście więcej światła, bowiem z jakiegoś nieznanego Entreriemu powodu magiczne światła oraz migoczące pochodnie stały się znacznie częstsze w Menzoberranzan.

- Nie byłoby rozsądnie splamić tak wspaniałego ostrza krwią drowa - dobiegł od drzwi znajomy głos, z łatwością mówiący wspólną mową. Entreri nie spuścił wzroku z ostrza, gdy Jarlaxle wszedł do pomieszczenia.

- Zakładasz, że znalazłbym w sobie dość siły, by zranić jednego z potężnych drowów - odparł zabójca. - Jakże ja, iblith... - zaczął pytać, lecz śmiech Jarlaxle'a zakpił z jego rozczulania się nad sobą. Entreri zerknął przez ramię na najemnika i zobaczył, że drow trzyma w ręku swój kapelusz o szerokim rondzie, ozdobiony piórem diatrynty.

- Zawsze doceniałem twoje męstwo, zabójco - rzekł Jarlaxle. -Przetrwałeś kilka walk z Drizztem Do'Urdenem, a niewielu w Menzoberranzan mogłoby powiedzieć to samo.

- Byłem mu równy w walce - odparł przez zaciśnięte zęby Entreri. Samo wypowiedzenie tych słów bolało go. Walczył z Drizztem kilka razy, lecz jedynie dwukrotnie nikt im przedwcześnie nie przeszkodził. W obydwu tych przypadkach Entreri przegrał. Desperacko chciał wyrównać rachunki, chciał okazać się lepszy. Mimo to musiał przyznać, przynajmniej przed sobą, że w głębi serca nie pragnął kolejnej walki z Drizztem. Kiedy pierwszy raz z nim przegrał, w błotnistych kanałach i na ulicach Calimportu, każdego dnia dążył do rewanżu, całe jego życie kształtowało się wokół jednego wydarzenia, następnego pojedynku z Drizztem. Jednakże po drugiej porażce, kiedy to skończył, wisząc połamany na skalnej iglicy w smaganym wichrem parowia...

Co jednak? - zastanawiał się Entreri. Dlaczego nie chciał już walczyć z tym drowem renegatem? Czy problem już się rozwiązał? Czy też po prostu za bardzo się bał? Uczucia te niepokoiły Artemi-sa Entreri, były równie mu obce, jak on w mieście drowów.

- Byłem mu równy w walce - wyszeptał z takim przekonaniem, najakie mógł się zdobyć.

- Nie stwierdzałbym tego tak otwarcie na twoim miejscu - odparł najemnik. - Dantrag Baenre i Uthegental Armgo walczyliby ze sobą tylko po to, by określić, który z nich będzie mógł cię zabić.

Entreri nawet nie mrugnął. Jego miecz rozjarzył się, jakby odzwierciedlając jego wzburzoną dumę i złość.

Jarlaxle zaśmiał się ponownie. - Aby określić, który z nich będzie mógł z tobą walczyć -

sprostował najemnik i pochylił się w niskim, przepaszającym ukłonie.

Czy mógł odzyskać część dumy, zabijając jednego z tych legendarnych wojowników? - zastanawiał się Entreri. Czy też znów przegra i, co będzie gorsze niż śmierć, zostanie zmuszony żyć z tym faktem?

Entreri opuścił miecz i wsunął go do pochwy. Nigdy wcześniej tak się nie wahał, nie był taki niepewny. Nawet jako młody chłopiec, walczący o przetrwanie na brutalnych ulicach Calimportu, Entreri promieniował pewnością siebie i wykorzystywał ją jako przewagę. Nie tutaj jednak, nie w tym miejscu.

- Twoi żołnierze szydzą ze mnie - rzucił nagle, przenosząc swe frustracje w stronę najemnika.

Jarlaxle roześmiał się i założył z powrotem kapelusz na łysą głowę.

- Zabij paru z nich - zaproponował, a Entreri nie mógł stwierdzić, czy ten chłodny, wyrachowany drow żartuje, czy nie. - Wtedy reszta zostawi cię w spokoju.

Entreri splunął na podłogę. Zostawi go w spokoju? Reszta poczeka aż zaśnie, a wtedy pokroi go na małe kawałki, by nakarmić pająki z Donigarten. Myśl ta przełamała koncentrację zabójcy. Zabił kobietę (co w Menzoberranzan było gorsze od zabicia mężczyzny) i jakiś dom w mieście może już głodzić swoje pająki w oczekiwaniu na ludzką ucztę.

- Ach, jesteś taki nieokrzesany - powiedział najemnik, jakby czuł litość dla człowieka. Entreri westchnął i odwrócił wzrok, podnosząc dłoń, by obetrzeć mokre od śliny wargi. Czym się stawał? W Calimporcie, w gildiach, nawet pomiędzy paszami oraz innymi, którzy nazywali się jego panami, posiadał kontrolę. Był zabójcą najmowanym przez najbardziej zdradzieckich, dwulicowych złodziei w całych Krainach, a mimo to nikt nigdy nie próbował sprzeciwić się Artemisowi Entreri. Jakże bardzo tęsknił, by znów ujrzeć blade niebo Calimportu!

- Nie obawiaj się, mój abbilu - rzekł Jarlaxle, używając słowa oznaczającego wśród drowów zaufanego przyjaciele. - Ujrzysz znów wschód słońca. - Najemnik uśmiechnął się szeroko, widząc minę Entreriego, rozumiejąc najwyraźniej, że właśnie odczytał myśli zabójcy. - Ty i ja obejrzymy wschód słońca z progu Mithrilowej Hali.

Wracając Drizzta, uświadomił sobie Entreri. Tym razem, zważywszy na światła w Menzoberranzan, które już rozumiał, klan Battlehammer zostanie zmiążdżony!

- Tak jest - ciągnął Jarlaxle. - Chyba że dom Horlbar poświęci trochę czasu, by dowiedzieć się, że to ty zabiłeś jedną z ich matek opiekunek.

Stuknąwszy butami i zsalutowawszy do kapelusza, Jarlaxle wyszedł z pokoju.

Jarlaxle wiedział! A ta kobieta była matką opiekunką! Czując się bardzo żałośnie, Entreri oparł

się ciężko o ścianę. Skąd miał wiedzieć, że ta okrutna bestia w alejce była cholerną matką opiekunką?

Ściany wydawały się zbliżać do mężczyzny, dusić go. Na jego normalnie chłodnej brwi zaperlił się zimny pot i z trudem przychodziło mu oddychanie. Wszystkie jego myśli skupiały się na możliwościach ucieczki, lecz wpadały na nieugięte kamienne ściany. Równie mocno jak ostrza drowów trzymała go logika.

Próbował raz uciec, wydostał się z Menzoberranzan przez wschodnie wyjście. Gdzie jednak mógł się udać? Podmrok był plątaniną niebezpiecznych tuneli oraz głębokich dziur pełnych potworów, z którymi zabójca nie wiedział jak walczyć. Entreri był istotą z zupełnie odmiennego świata powierzchni. Nie rozumiał dzikiego Podmroku, nie mógł żywić nadziei, iż przetrwałby w nim długo. Z pewnością nigdy nie odnalazłby drogi na powierzchnię. Był uwięziony, zamknięty w klatce, odarty z dumy i godności, a wcześniej czy później zostanie w straszny sposób zabity.

ROZDZIAŁ 12

DOROSNAĆ DO OKAZJI

Możemy zawalić całą tę sekcję - stwierdził generał Da-gna, celując sękatym palcem w rozłożoną na stole mapę.

- Zawalić?! - ryknął szałojownik. - Jeśli to zawalicie, to jak zabijemy te cuchnące drowy?

Regis, który zorganizował to spotkanie, spojrział z niedowierzaniem na Dagnę oraz trzech innych krasnoludzkich dowódców zebranych przy stole. Następnie przeniósł wzrok z powrotem na Pwenta. - Strop zabije cuchnące drowy - wyjaśnił.

- Ba, piaskowiec! - prychnął szałojownik. - I co to za zabawa? Muszę nasmarować moją zbroję krwią drowów, ale z waszym głupim planem będę musiał kopać przez miesiąc, by znaleźć jakieś ciało, o które będę mógł się otrzeć.

- Poprowadź tędy szarżę - zaproponował Dagna, wskazując na inną część otwartych korytarzy na mapie. - Reszta z nas da ci trzy-dziesiętometry rozbieg.

Regis spojrział kwaśno na generała, a następnie spojrział po kolei na pozostałe krasnoludy, które

kiwały twierdząco głowami. Halfling wiedział, że Dagna tylko częściowo żartuje. Więcej niż zaledwie garstka członków klanu Battlehammer nie uroniłaby łzy, gdyby Thibbledorf Pwent znalazł się przypadkiem wśród poległych w ewentualnej walce z mrocznymi elfami.

- Zawalcie tunel - powiedział Regis do nich, by znów wprowadzić ich myśli na odpowiedni tor. - Potrzebujemy silnej obrony tutaj i tutaj - dodał, wskazując dwa otwarte obszary w tunelach, które zasadniczo były ciaśniejsze i niższe. - Mam jeszcze dzisiaj spotkanie z Berkthgarem z Settlestone.

- Sprowadzasz tu śmierdzących ludzi? - spytał Pwent. Nawet krasnoludy, które ceniły sobie silne zapachy pokrytych

sadzą, spoconych ciał, skrzywiły twarze, słysząc tę uwagę. W Mithrilowej Hali mówiono, że pacha Pwenta jest w stanie doprowadzić do zwiędnięcia nawet najbardziej wytrzymałe kwiaty z odległości pięćdziesięciu metrów.

- Nie wiem, co robię z ludźmi - odrzekł Regis. - Nie powiedziałem im jeszcze o moich podejrzeniach co do najazdu drowów. Jeśli zgodzą się przyłączyć do naszej sprawy, a ja nie mam powodu, by sądzić, że tak nie będzie, podejrzewam, iż rozsądnie będzie trzymać ich z dala od niższych tuneli, nawet jeśli planujemy je oświetlić.

Dagna przytaknęła twierdząco. - Istotnie, rozsądny wybór - powiedział. - Wysocy ludzie są lepiej dostosowani do walki na zboczach. Według mnie drowy przejdą nie tylko przez górę, lecz również dookoła niej.

-Natkną się na ludzi z Settlestone - dodał inny krasnolud.

* * *

Bruenor Battlehammer wyjrzał z ciekawością z cienia częściowo zamkniętych drzwi z boku pokoju. Zdumiewało go, jak szybko Regis przejął nad wszystkim kontrolę, zwłaszcza zważywszy na fakt, że halfling nie miał swego rubinowego wisiora. Po złajaniu Bruenora, że nie działa szybko i stanowczo, że wpada w żal nad sobą, bo droga do Catti-brie i Drizzta jest najwyraźniej zamknięta, halfling, ciągnąc za sobą Pwenta, udał się prosto do generała Dagny i innych dowódców.

Bruenora nie dziwił fakt, że krasnoludy ochoczo zaczęły przygotowywać się do wojny, lecz to, że wyglądało na to, iż Regis im przewodzi. Halfling spreparował oczywiście kłamstwo, by objąć tę rolę. Wykorzystując powrót obojętności Bruenora, Regis udawał spotkania z królem krasnoludów, a następnie szedł do Dagny i pozostałych mówiąc, że przynosi polecenia prosto od Bruenora.

Odkrywszy ten podstęp, Bruenor chciał z początku udusić halflinga, jednak Regis stanął przed nim i zaproponował, bardziej niż szczerze, iż odsunie się na bok, jeśli Bruenor chce przejąć kontrolę.

Bruenor chciałby to zrobić, desperacko chciałby znów odnaleźć w sobie tę energię, jednak wszelkie myśli o wojnie powadziły go do wspomnień o jego własnych ostatnich bitwach, większości z nich u boku Drizzta, Catti-brie i Wulfgara. Sparaliżowany tymi bolesnymi wspomnieniami Bruenor po prostu puścił halflinga, pozwalając mu zachować całą tę fasadę.

Dagna był niezrównanym strategiem, jednak jego doświadczenia były dość ograniczone na polu ras innych niż krasnoludy czy głupie gobliny. Regis należał do najlepszych przyjaciół Drizzta i setki razy słuchał opowieści Drizzta o jego ojczyźnie oraz pobratymcach. Regis należał również do najlepszych przyjaciół Wulfgara, a jego ludu krasnoludy będą potrzebować jako sprzymierzeńców, jeśli nadejdzie wojna.

Mimo to Dagna nigdy nie przepadał za nikim, kto nie był krasno-ludem, i fakt, że całym sercem akceptował rady halflinga - i to nie słynącego z odwagi! - bardziej niż trochę dziwił Bruenora.

Ranił również króla. Bruenor wiedział o mrocznych elfach i krasnoludach przynajmniej tyle, co Regis, zaś krasnoludzką taktykę rozumiał lepiej niż ktokolwiek. Powinien być przy tym stole, wskazując obszary na mapie. Powinien być tym, który z Regisem u boku spotka się z Berktlgarem Śmiałym.

Bruenor opuścił wzrok na podłogę i potarł dłonią skroń, a następnie zjechał nią dół groteskowej blizny. Poczuł ból w pustym oczodole. Puste było również jego serce, opróżnione po stracie Wulfgara i łamiące się na pół na myśl, że Drizzt i jego droga Catti-brie udali się w niebezpieczeństwo.

Wydarzenia wokół niego wykraczały poza jego odpowiedzialność jako króla Mithrilowej Hali. Bruenor poświęcał się przede wszystkim swoim dzieciom, jednemu straconemu, jednemu zaginionemu, oraz swym przyjaciołom. Ich los nie zależał teraz od niego. Mógł jedynie mieć nadzieję, że im się uda, że przeżyją i wrócą do niego, bowiem Bruenor nie miał sposobu, by dostać się do Catti-brie i Drizzta.

Bruenor nigdy nie dostanie się do Wulfgara.

Krasnoludzki król westchnął i odwrócił się, idąc powoli z powrotem w stronę swego pustego pokoju, nie zauważając nawet, że spotkanie zostało przerwane.

Regis obserwował Bruenora w ciszy, żałując, że nie ma swego rubinowego wisiora, jeśli inne sposoby nie mogły rozpalić ognia w przybitym krasnoludzie.

* * *

Catti-brie przyjrzała się podejrzliwie rozciągającemu się przed nią szerokiemu korytarzowi, starając się odróżnić kształty pomiędzy licznymi stalagmitowymi kopcami. Dotarła do regionu, w

którym błoto mieszało się z kamieniem, i wystarczająco wyraźnie widziała ślady -wiedziała, że to tropy goblinów, na dodatek świeże.

Z przodu majaczyło idealne miejsce na zasadzkę. Catti-brie wyciągnęła z zawieszzonego na biodrze kołczanu strzałę, po czym podniosła Taulmarila Poszukiwacza Serc, swój magiczny łuk. Pod jedną z pach, gotowa do upuszczenia, tkwiła figurka pantery. W ciszy spierała się ze sobą, czy powinna przywołać Guenhwyvar z Planu Astralnego. Nie miała żadnego realnego dowodu, że gobliny są w pobliżu - wszystkie pagórki w korytarzu wydawały się naturalne - czuła jednak, jak włosy na karku stającej dęba.

Zdecydowała odłożyć na później wezwanie kocicy, logika przeważyła nad instynktami. Przycisnęła się do lewej ściany i powoli ruszyła do przodu, krzycząc za każdym razem, gdy jej podnoszący się but zasysał błoto.

Gdy za nią był już tuzin stalagmitowych pagórków, wciąż przyciśnięta do lewej ściany kobieta przystanęła i znów zaczęła nasłuchiwać. Wszystko wydawało się być idealnie ciche, nie mogła jednak pozbyć się uczucia, że każdy jej krok jest obserwowany, że niedaleko czai się jakiś potwór, gotów, by wyskoczyć i ją udusić. Czy cała droga przez Podmrok będzie tak wyglądać? - zastanawiała się. Czy doprowadzi się do szaleństwa wyobrażanymi niebezpieczeństwami? Albo też gorzej, czy fałszywe alarmy jej zmylonych instynktów pozbawią ją czujności przy tej jednej okazji, gdy naprawdę pojawi się niebezpieczeństwo?

Catti-brie potrząsnęła głową, by oczyścić myśli, i zmrużyła oczy, by przyjrzeć się oświetlonemu magicznym blaskiem gwiazd mrokowi. Kolejną korzyścią płynącą z daru pani Alustriel było to, iż oczy Catti-brie nie płonęły mogącą ją zdradzić czerwienią infrawizji. Młoda kobieta, niedoświadczona w takich sprawach, nie wiedziała o tym jednak. Była jedynie świadoma, iż kształty przed nią wydają się naprawdę złowieszcze. Ziemia i ściany nie były solidnie osadzone, jak w innych częściach tuneli. Błoto i otwarta woda płynęły swobodnie w różnych miejscach. Wiele stalagmitów wydawało się mieć wypustki - być może ręce goblinów, trzymające paskudną broń.

Catti-brie znów odrzuciła niechciane myśli i ruszyła dalej, lecz natychmiast zamarła w bezruchu. Usłyszała dźwięk, lekkie drapnięcie, niczym czubek broni ocierający się o skałę. Poczekała długą chwilę, lecz nie rozległo się nic więcej, więc znów powiedziała sobie, że ponosi ją wyobraźnia.

Czy jednak te ślady goblinów były wytworem jej wyobraźni? -zapytała się, wykonując kolejny krok naprzód.

Catti-brie upuściła figurkę i obróciła się, podnosząc łuk. Zza najbliższego stalagmitu wypadł goblin, jego paskudna twarz wydawała się jeszcze szersza z powodu tkwiącego na niej uśmiechu, a wysoko nad głową trzymał zardzewiały i wyszczerbiony miecz.

Catti-brie wystrzeliła z bezpośredniej odległości i dopiero co zdążyła opuścić łuk, gdy głowa stworza eksplodowała wielokolorowymi iskrami. Pocisk przeleciał dalej, znów krzesząc iskry, gdy odciął kawałek stalagmitowego kopca.

- Guenhwyvar! - zawołała Catti-brie przygotowując łuk. Wiedziała, że musi się przesunąć, że to miejsce zostało wyraźnie oznaczone deszczem iskier. Przyjrzała się szarej mgłę, która zaczęła wirować wokół niej i wiedząc, że przywołanie się zakończyło, chwyciła figurkę i odbiegła od ściany. Przeskoczyła ciało martwego goblina i rzuciła się dookoła najbliższego stalagmitu, po czym wślizgnęła pomiędzy dwa inne. Kącikiem oka zauważyła kolejną mierzącą metr dwadzieścia skuloną sylwetkę. Strzała rzuciła się za nią w pościg, swym srebrnym śladem rozpraszając ciemność. Zaliczyła kolejne trafienie. Catti-brie nie uśmiechnęła się jednak, bowiem błysk światła ujawnił tuzin brzydkich humanoidów, przemykających się i czółgających wokół pagórków.

Zawyły i rzuciły się do ataku.

Pod ścianą szara mgła ustąpiła miejsca materialnej formie potężnej pantery. Guenhwyvar dostrzegła pilność wezwania i natychmiast przeszła w stan gotowości, kładąc po sobie uszy i rozglądając się dookoła lśnącymi zielonymi oczyma, ogarniając całą scenerię. Ciszej niż noc kocica pobięła.

Catti-brie poruszała się po łuku, oddalając od ściany, szła naokoło, by zbliżyć się z flanki do nadciągającej grupy. Za każdym razem gdy mijała kolejny blokujący pagórek, wypuszczała strzałę, równie często trafiającą w goblina, co w kamień. Wiedziała, że zamęt jest tutaj jej sprzymierzeńcem, że nie mogła dopuścić, by stwory się zorganizowały, wtedy bowiem otoczyłyby ją.

Poleciała następna strzała, a w jej blasku Catti-brie ujrzała bliższy cel, goblina przykucniętego za pagórkiem, który wkrótce minie. Weszła za stalagmit, zatrzymała się nagle i wróciła tą samą drogą, desperacko starając się założyć strzałę.

Goblin wyprysnął zza pagórka i rzucił się na nią, trzymając przed sobą miecz. Catti-brie zamachnęła się łukiem, ledwo odtrącając broń na bok. Usłyszała za sobą odgłos zasysania i instynktownie upadła na kolana.

Goblin przeleciał nad jej nagle obniżoną sylwetką i wpadł na zaskoczonego towarzysza. Wstali jednak szybko, równie szybko jak Catti-brie. Kobieta trzymała przed sobą łuk, by nie dopuścić ich do siebie, zaś wolną dłonią próbowała chwycić wiszący przy pasie wysadzany klejnotami sztylet.

Wyczuwając swą przewagę, gobliny zaatakowały - i zostały przywalone przez trzysta kilo pantery.

- Guen - wyszeptała w cichej wdzięczności Catti-brie i obróciła się, wyciągając strzałę z kołczanu. Tak jak się spodziewała, gobliny zbliżały się szybko z tyłu.

Taulmaril brzęknął raz, drugi, a następnie trzeci, czyniąc lukę w ich szeregach. Wykorzystała nagłe i śmiertelne eksplozje smug pocisków i iskry jako osłonę i odbiegła niedaleko, lecz prosto przed siebie, wracając wcześniejszą trasą.

Oszukała ich, rzucając się za inny, szeroki pagórek i niemal zachichotała, gdy wyskoczył przed nią goblin, przecierając bolące od światła oczy i spoglądając w drugą stronę.

Znajdując się zaledwie półtora metra od głupiego stwora, Catti-brie wypuściła strzałę. Pocisk wyrwał dziurę w plecach goblina, posyłając go w powietrze.

Catti-brie odwróciła się i zaczęła biec wokół tylnej strony szerokiego pagórka. Usłyszała ryk Guenhwyar, po nim zaś donośne wrzaski innej grupy goblinów. Z przodu oddalała się od niej skulona postać, uniosła więc łuk, gotowa do oczyszczenia sobie drogi.

Coś uderzyło ją w biodro. Wypuściła cięciwę i strzała poleciała daleko od celu, wypalając dziurę w ścianie.

Catti-brie potknęła się i straciła równowagę. Walnęła podbródkiem w wystający kamień i niemal przewróciła, zatrzymując na jednym kolanie. Sięgając do kołczanu po następną strzałę, poczuła, jak ciepła wilgoć jej krwi wylewa się szczerze z głębokiej rany na biodrze. Dopiero wtedy oszołomiona Catti-brie uświadomiła sobie gorące fale bólu.

Zachowała zmysły i odwróciła się, zakładając strzałę.

Goblin był tuż przy niej, przez jego spiczaste, żółte zęby wydobywał się gorący i smrodliwy oddech. Miecz trzymał wysoko nad głową.

Catti-brie wystrzeliła. Goblina uniosło w powietrze, jednak opadł. Za nim następny stwór dostał strzałę pod podbródek i potężny pocisk oderwał mu tylną część czaszki.

Catti-brie pomyślała, że jest martwa. Jak mogła chybić? Czy strzała prześlizgnęła się goblinowi pod pachą, gdy podskoczył przerażony? Nie miało to dla niej sensu, nie mogła jednak teraz się nad tym zastanawiać. Była pewna, że moment śmierci jest blisko, nie mogła bowiem podnieść swego łuku wystarczająco szybko, by sparować następny atak goblina. Nie mogła zablokować opadającego miecza.

Miecz jednak nie opadł. Goblin po prostu stanął, trzymał się całkowicie nieruchomo przez chwilę, która wydawała się Catti-brie wiecznością. Następnie jego miecz brzęknął o kamienie, ze środka klatki piersiowej rozległ się świst, po którym wypłynęła cienka strużka krwi. Potwór przewrócił się na bok, martwy.

Catti-brie uświadomiła sobie, że jej strzała naprawdę trafiła w cel, przeszła czysto przez pierwszego goblina i zabiła drugiego.

Catti-brie zmusiła się, by powstać. Próbowwała pobiec, jednak znów zalały ją fale bólu i zanim zrozumiała, co się dzieje, znów była na podłodze, znów na jednym kolanie. Czuła w boku chłód, a w żołądku wirujące mdłości i, ku swemu przerażeniu, ujrzała, że zbliża się szybko następny z tych żałosnych goblinów, wymachując nabijaną kolcami pałką.

Zbierając całą swoją siłę, Catti-brie zaczęła aż do ostatniej chwili i zamachnęła się przed sobą łukiem. Goblin wrzasnął i padł do tyłu, unikając ciosu, jednak jego nagły odwrót dał Catti-brie czas

na wyciągnięcie krótkiego miecza oraz wysadzanego klejnotami sztyletu.

Stała walcząc z bólem i mdłościami.

Goblin powiedział coś swym denerwującym, piskliwym głosem. Catti-brie wiedziała, że jest to coś groźnego, choć brzmiało jak typowe skamlanie goblinów. Paskudny stwór natarł na nią nagle, wymachując pałką w tę i z powrotem, a Catti-brie odskoczyła do tyłu.

W jej boku eksplodował ból, niemal pozbawiając ją równowagi. Goblin atakował, schylony, wyczuwając zwycięstwo.

Wciąż do niej mówił, szydził z niej, choć nie mogła zrozumieć jego języka. Zachichotał i wskazał na jej ranną nogę.

Catti-brie była przekonana, że może pokonać goblina, obawiała się jednak, że nie zda się to na nic. Nawet gdyby ona i Guenhwyvar wygrały, zabijając lub zmuszając do ucieczki wszystkie gobliny, co dalej? Noga ledwo mogła ją utrzymywać - z pewnością nie na tyle, by mogła kontynuować swoje zadanie - a wątpiła, czy potrafi odpowiednio oczyścić i zabandażować ranę. Gobliny mogły jej nie zabić, jednak ją powstrzymają.

Catti-brie obróciła oczy i zaczęła się chwiać.

Mrugnęła, otworzyła oczy i uspokoiła się, gdy goblin chwycił przynętę i zaatakował. Gdy zdał sobie sprawę z podstępu, starał się zatrzymać, lecz poślizgnął się na błocie.

Goblin machnął szaleńczo pałką w poprzek, jednak krótki miecz Catti-brie przejął uderzenie, zahaczając o jeden z kolców. Wiedząc, że nie ma dość siły, by odtrącić maczugę na bok, naciskała w przód, na goblina, zbliżając do siebie rękę z mieczem i zmuszając ramię goblina, by zawinęło się wokół niej, gdy się obracała.

Przez cały ten czas wysadzany klejnotami sztylet kierował się do brzucha stwora. Goblin podniósł wolną rękę, by go zablokować, i jedynie czubek sztyletu prześlizgnął się przez skórę.

Catti-brie nie wiedziała, jak długo może wytrzymać w zwarciu. Opuszczały ją siły, niczego nie chciała bardziej, niż zwinąć się w mały kłębek i zemdleć.

Nagle, ku jej zdumieniu, goblin wrzasnął z bólu. Szarpnął głową w przód i w tył oraz potrząsnął gwałtownie ciałem, próbując się osunąć. Catti-brie, ledwo powstrzymująca niebezpieczną pałkę, musiała mu dotrzymywać kroku.

Przez sztylet przepłynął strumień energii, idąc dalej w górę jej ramienia.

Młoda kobieta nie wiedziała, co z tym zrobić, nie wiedziała, co się dzieje, gdy goblin wpadł w serię gwałtownych konwulsji, z których każda posyłała w jego przeciwniczkę kolejną falę energii.

Stwór padł na kamienie, jego blokująca ręka obwisła, a pęd Catti-brie zaniósł ją bliżej, zanurzając okrutny sztylet po rękojeść. Następny strumień energii niemal zwałił Catti-brie z nóg i jej oczy rozszerzyły się z przerażenia, gdy uświadomiła sobie, że broń Artemisa Entreri wręcz wysysa z goblina jego siłę życiową, przenosząc ją do jej ciała!

Goblin rozciągnął się na krawędzi stalagmitu, jego oczy były otwarte i nie mrugały, a ciałem wstrząsały śmiertelne spazmy.

Catti-brie padła do tyłu, pociągając zakrwawiony sztylet za sobą. Starła się zaczerpnąć powietrza, dysząc z niedowierzania i spoglądając na ostrze ze wstrętem.

Ryk Guenhwyvar przypomniał jej, że bitwa się jeszcze nie skończyła. Wsunęła sztylet z powrotem za pas i odwróciła się, sądząc, że musi znaleźć swój łuk. Przebiegła dwa kroki, zanim zdała sobie sprawę, że jej nodze już łatwiej jest jąwspierać.

Skądś goblin cisnął włócznią, która odbiła się od skały tuż za biegnącą kobietą i przerwała jej bieg myśli. Catti-brie zahamowała na błocie i schyliła się po łuk. Spojrzała na swój kołczan i ujrzała, że jego potężna magia już zajmuje się uzupełnianiem wykorzystanych strzał.

Zobaczyła też, że z jej rany nie płynie już krew. Ostrożnie przejechała po niej ręką i wyczuła na jej miejscu twardy strup. Potrząsnęła z niedowierzaniem głową, uniosła łuk i zaczęła strzelać.

Już tylko jeden goblin zbliżył się do Catti-brie. Zakradł się wokół szerokiego pagórka. Młoda kobieta zaczęła opuszczać łuk i sięgać po broń do walki wręcz, zatrzymała się jednak (podobnie jak goblin!), gdy na głowę stwora opadła wielka panterza łapa i w pochylone czoło goblina wbiły się długie szpony.

Guenhwyvar szarpnęła stworem w tył z tak nagłą, dziką siłą, że jeden z tandetnych butów potwora pozostał tam, gdzie stał. Catti-brie odwróciła wzrok, gdy potężna paszcza Guenhwyvar zamknęła się na gardle oszołomionego goblina i zaczęła zaciskać.

Catti-brie nie widziała już goblinów, wypuściła jednak jeszcze jedną strzałę, by rozjaśnić koniec korytarza. Pół tuzina goblinów uciekało najszybciej jak mogło, a Catti-brie posłała za nimi deszcz pocisków, doganiając je i powalając.

Minutę później wciąż jeszcze strzelała - w jej zaklętym kołczanie nigdy nie kończyły się pociski - kiedy podeszła do niej Guenhwyvar i otarła się o nią. Catti-brie westchnęła głęboko i opuściła dłoń na muskularny bok pantery, a jej oczy skierowały się na wysadzany klejnotami sztylet, spoczywający obojętnie przy pasie.

Widziała, jak Entreri nosi ten sztylet, raz nawet miałajego ostrze przy swoim gardle. Młoda kobieta wzdrygnęła się, przypominając sobie tamtą straszną chwilę, wy dającą się jeszcze gorszą teraz, gdy rozumiała właściwości tej okrutnej broni.

Guenhwyvar warknęła i przycisnęła się do niej, skłaniając ją do dalszego marszu. Catti-brie rozumiała ponaglanie pantery. Zgodnie z opowieściami Drizzta, gobliny rzadko przemierzały Podmrok w oddzielnych bandach. Jeśli tu było dwudziestu, w pobliżu było najprawdopodobniej dwustu.

Catti-brie spojrzała na tunel za sobą, tunel, którym przyszła i do którego umknęły gobliny. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie zawrócić, pokonać pozostałą garstkę i nie uciec na powierzchnię, gdzie było jej miejsce.

Była to przelotna myśl, wybaczalna chwila słabości. Wiedziała, że musi iść dalej, lecz jak? Catti-brie jeszcze raz spojrzała na swój pas i uśmiechnęła się, odwiązując magiczną maskę. Uniosł ją do twarzy, niepewna sposobu w jaki działa.

Westchnąwszy do Guenhwyvar, młoda kobieta przycisnęła maskę do twarzy.

Nic się nie stało.

Trzymając ją mocno, pomyślała o Drizzcie, wyobraziła sobie siebie z mahoniową skórą i ostrymi rysami drowa.

Przy każdym porze twarzy poczuła mrowiące ukąszenia magii. Po chwili odsunęła dłoń, a maska trzymała się twarzy sarna z siebie. Catti-brie mrugnęła wielokrotnie, bowiem w magicznym świetle gwiazd dawanym jej przez Kocie Oko ujrziała, iż jej cofająca się ręka lśni idealną czernią jej palce są szczuplejsze i delikatniejsze niż je zapamiętała.

Jakże łatwe to było!

Catti-brie żałowała, że nie ma lustra, by mogła sprawdzić przebranie, czuła jednak w sercu, że to prawda. Pomyślała, jak idealnie

Entreri naśladował Regisa, gdy przybył do Mithrilowej Hali, aż do stopnia ekwipunku halflinga. Z tą myślą młoda kobieta spojrzała na swój raczej brudny i znoszony strój. Przypomniała sobie opowieści Drizzta o jego ojczyźnie, o osławionych i złych wysokich kapłankach Lloth.

Znoszony płaszcz podróżny Catti-brie stał się bogatą szatą, lśniącą purpurą i czernią. Jej buty szczerzyły, a końce zawinęły się delikatnie. Broń pozostała jednak ta sama i Catti-brie wydawało się, iż przy takim wyglądzie wysadzany klejnotami sztylet Entreriego będzie najodpowiedniejszy.

Młoda kobieta znów skupiła swe myśli na tym okrutnym ostrzu. Jej część chciała rzucić go w błoto, zagrzebać tam, gdzie nikt nie będzie mógł go znaleźć. Zacisnęła nawet palce na jego rękojeści.

Puściła jednak natychmiast sztylet, umocniła się w swym postanowieniu i wygładziła drowie szaty. Ostrze pomogło jej, bez niego byłaby okulawiona i zagubiona, jeśli nie martwa. Była to broń, tak jak jej łuk, i choć jej brutalne właściwości naruszały jej wrażliwość, w tym momencie Catti-brie

je akceptowała. Gdy dni przeszły w tydzień, a następnie w drugi, już łatwiej jej się niosło sztylet.

Był to Podmrok, gdzie mogła przetrwać jedynie dzikość.

Część 3

CIENIE

W Podmroku nie ma cieni.

Dopiero po latach spędzonych na powierzchni zacząłem rozumieć znaczenie tego, wydawałoby się drobnego, faktu - znaczenie kontrastu pomiędzy światłem a ciemnością. W Podmroku nie ma cieni, nie ma obszarów tajemniczości, gdzie może się udać jedynie wyobraźnia.

Jakąż wspaniałą rzeczą jest cień! Widziałem moją własną sylwetkę, idącą pode mną, gdy słońce się wznosiło. Widziałem, jak świstak rósł do rozmiarów wielkiego niedźwiedzia, gdy niskie światło za nim rozciągało jego złowieszczą sylwetkę daleko po ziemi. Przemierzałem lasy o zmroku i mój wzrok przechodził pomiędzy jaśniejszymi obszarami, chwytającymi ostatnie promienie dnia, liściastą zielenią przechodzącą w szarość oraz tymi ciemniejszymi płatami, miejscami, gdzie mogło się udać jedynie oko mego umysłu.

Czy mógł tam się czaić potwór? Ork albo goblin? Czy też może pod osłoną mroku leżał ukryty skarb, wspaniały i zaginiony, zaklęty miecz? Czy też może coś tak zwyczajnego jak potrzask na lisy?

Kiedy przemierzam lasy o zmierzchu, obok mnie kroczy moja wyobraźnia, wzmacnia moje zmysły, otwiera mój umysł na wszelkie możliwości. Jednak w Podmroku nie ma cieni, nie ma miejsca na wyobraźnię. Wszystko wszędzie tkwi w objęciach ciągłego drapieżnego pośpiechu oraz niezwykle rzeczywistego, wiecznie obecnego niebezpieczeństwa.

Wyobrażanie sobie przykucniętego wroga albo ukrytego skarbu jest radosnym ćwiczeniem, stanem czujności, ożywienia. Kiedy jednak ten wróg zbyt często jest rzeczywisty, nie wyobrażony, kiedy każdy wystający kamień, każda potencjalna kryjówka, staje się źródłem napięcia, wtedy nie ma już tak wiele zabawy.

Nie da się iść korytarzami Podmroku z wyobraźnią przy boku. Wyobrażanie sobie wroga za jednym kamieniem może oślepić na tego rzeczywistego, który kryje się za drugim. Wślizgnięcie się w sen na jawie oznacza utratę gotowości, a w Podmroku brak czujności oznacza śmierć.

Kiedy wróciłem do tych pozbawionych światła korytarzy, właśnie to okazało się dla mnie najtrudniejszą zmianą. Znow musiałem stać się pierwotnym łowcą musiałem przetrwać każdą chwilę, opierając się na instynktach, na stanie nerwowej energii, która utrzymywała moje mięśnie bez przerwy napiętymi, zawsze gotowymi do skoku. Na każdym kroku liczyła się jedynie terażniejszość, poszukiwanie potencjalnych kryjówek potencjalnych przeciwników. Nie mogłem pozwolić sobie na wyobrażanie tych wrogów. Musiałem na nich czekać i wypatrywać ich, reagować na wszelkie ruchy.

W Podmroku nie ma cieni. W Podmroku nie może działać wyobraźnia. Nie mogą tam istnieć nadzieje i sny.

-DrizztDo'Urden

ROZDZIAŁ 13

SPRAGNIONA BOGINI

Doradca Firble z Blingdenstone zazwyczaj cieszył się z podróży poza miasto głębinowych gnomów, jednak nie tego dnia. Mały gnom stał w małej komnacie, ale jej wymiary wydawały się dla niego wielkie, czuł się bowiem dość zaniepokojony. Kopał twardymi butami w kamienie rozrzucone

na płaskiej podłodze, kręcił palcami za plecami i co jakiś czas przejeżdżał dłonią po niemal łysej głowie, ocierając strużki potu.

Do tej groty prowadził tuzin tuneli i Firble był trochę uspokojony faktem, iż cztery dziesiątki wojowników svirfnebli, wliczając w to kilku szamanów z zakłętymi głazami, którymi mogli wezwać żywiołaki ziemi, stały w gotowości, by pospieszyć mu na pomoc. Firble znał jednak drowy z Menzoberranzan, leżącego sześćdziesiąt, osiemdziesiąt kilometrów na wschód od Blingdestone, lepiej niż ktokolwiek z jego pobratymców, i nawet obecność uzbrojonej eskorty nie pozwalała mu się odprężyć. Doradca wiedział dobrze, że gdyby mroczne elfy zastawiły pułapkę, to nie wystarczyłyby wszystkie gnomy i cała magia Blingdenstone.

Z tunelu leżącego dokładnie po przeciwległej stronie małej komnaty dobiegło znajome stukanie i chwilę później wszedł do środka Jarlaxle, niezwykle drow najemnik, którego kapelusz o szerokim rondzie ozdobiony był wielkim piórem diatrymy, a kamizelka została wysoko wycięta, by odsłaniać mięśnie brzucha. Podeszedł do gнома, po czym pochylił się w niskim ukłonie, zamiatając podłogę trzymanym w wyciągniętej ręce kapeluszem.

- Witaj! - powiedział serdecznie Jarlaxle wyprostowawszy się, zginając nad sobą rękę w taki sposób, że kapelusz spoczywał na łokciu. Szarpnięcie ręką posłało nakrycie głowy w krótki obrót, tak że wylądowało dokładnie na ogolonej głowie napuszonego najemnika.

- Dopisuje ci dzisiaj dobry humor - stwierdził Firble.

- A dlaczego nie? - spytał drow. - Oto kolejny chwalebny dzień w Podmroku! Dzień, którym trzeba się cieszyć.

Firble nie wyglądał na przekonanego, jednak zdumiewało go, jak zawsze, opanowanie przez drowa mowy svirfnebli. Jarlaxle mówił jego językiem z taką łatwością i tak płynnie jak którykolwiek z zamieszkujących w Blingdenstone głębinowych gnomów, choć najemnik wykorzystywał składnię bardziej charakterystyczną dla mowy drowów, a nie inwersję lubianą przez wielu gnomów.

- Zaatakowano wiele wypraw górniczych svirfnebli - rzekł Firble, a jego ton zahaczał o oskarżenie. - Wypraw pracujących na zachód od Blingdenstone.

Jarlaxle uśmiechnął się chytrze i rozłożył szeroko ręce. - Ched Nasad? - spytał niewinnie, wskazując na następne co do odległości miasto drowów.

- Menzoberranzan! - podtrzymał swoje pretensje Firble. Ched Nasad było wiele tygodni drogi dalej. - Jeden z mrocznych elfów miał na sobie emblemat domu z Menzoberranzan.

- Bandy banitów - uznał Jarlaxle. - Młodzi wojownicy, którzy opuścili miasto dla przyjemności.

Wąskie wargi Firble'a niemal zniknęły przy grymasie, jaki wystąpił na jego twarzy. Obydwaj wiedzieli, że atakujące drowy nie były zwyczajnymi młodymi awanturnikami. Szturmy były

doskonale skoordynowane i przeprowadzone, a wielu svirfnebli zginęło.

- Cóż mogę powiedzieć? - zapytał niewinnie Jarlaxle. - Jestem zaledwie pionkiem w otaczających mnie wydarzeniach.

Firble parsknął.

- Dziękuję ci za twoje przekonanie co do mojej pozycji - powiedział najemnik nie tracąc wątku. - Jednak naprawdę, drogi Firble, przerobiliśmy to już wcześniej. Tym razem wydarzenia znajdują się poza moją kontrolą.

- Jakie wydarzenia - zażądał Firble. On i Jarlaxle spotkali się dwukrotnie w przeciągu ostatnich dwóch miesięcy, omawiając właśnie ten temat, bowiem aktywność drowów w pobliżu miasta svirfnebli zwiększyła się dramatycznie. Przy każdym spotkaniu Jarlaxle nieśmiało napomykał o jakichś ważnych wydarzeniach, nigdy jednak tak naprawdę niczego nie powiedział Firble'owi.

- Czy przyszedliśmy tu, żeby przekomarzać się nad tą kwestią? - spytał znużonym głosem najemnik. - Naprawdę, drogi Firble, męczą mnie twój e...

- Schwytaliśmy drowa - przerwał Firble, krzyżując swe krótkie, lecz krzepkie ramiona na piersi, jakby ta wieść niosła za sobą jakieś znaczenie.

Na twarzy Jarlaxle'a pojawiło się niedowierzanie i znów rozłożył szeroko ręce, jakby pytając - I co?

- Uważamy, że ten drow pochodzi z Menzoberranzan - ciągnął Firble.

- Kobieta? - zapytał Jarlaxle, myśląc, że gnom, najwyraźniej uznając swój ą informację za istotną, musi mieć na myśli wysoką kapłankę. Najemnik nie słyszał o żadnych zaginionych wysokich kapłankach (poza oczywiście Jerlys Horlbar, lecz ona tak naprawdę nie zaginęła).

- Mężczyzna - odparł Firble, a na twarzy najemnika znów pojawiły się wątpliwości.

- To go stracie - stwierdził pragmatyczny Jarlaxle.

Firble zacisnął mocniej ręce na piersi i zaczął tupać niecierpliwie stopą.

- Naprawdę, Firble, czy wierzysz, że więzień, który jest drowem mężczyzną, daje waszemu miastu jakąś pozycję przy targowaniu się? - zapytał najemnik. - Czy spodziewasz się, że pobiegnę z powrotem do Menzoberranzan, błagając o tego jednego mężczyznę? Czy spodziewasz się, że rządzące matki opiekunki zażądają, aby wszelka działalność w tej okolicy została zaprzestana dla jego dobra?

- A więc przyznajesz, że aktywność w tej okolicy jest usankcjonowana! - rzucił svirfnebli,

kierując krępy palec w stronę Jarlaxle'a i przemawiając takim tonem, jakby złapał najemnika na kłamstwie.

- Mówię czysto hipotetycznie - sprostował Jarlaxle. - Przekazałem ci twoje przewidywania, abym mógł prawidłowo odzwierciedlić twoje intencje.

- Moich intencji nie znasz, Jarlaxle - zapewnił go Firble. Dla Jarlaxle'a było jednak wyraźne, że gnom stawał się bardziej pobudzony przez chłodną postawę najemnika. Z Jarlaxlem zawsze przebiegało to w ten sam sposób. Firble spotykał się z drowem tylko wtedy, gdy sytuacja była krytyczna dla Blingdenstone i spotkania te kosztowały go często sporo w drogich kamieniach lub innych skarbach.

- Określ więc swój ą cenę - ciągnął gnom. - Moją cenę?

- Moje miasto jest zagrożone - rzekł ostro Firble. - A Jarlaxle wie dlaczego.

Najemnik nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko i odsunął od gнома.

- Jarlaxle zna również imię tego drowa, którego wzięliśmy - ciągnął Firble, tym razem on starał się być chytry. Po raz pierwszy najemnik ujawnił, aczkolwiek nieznacznie, swoje zaintrygowanie.

Firble naprawdę nie chciał, by rozmowa zaszła tak daleko. Nie zamierzał ujawniać tożsamości „więźnia”. Drizzt Do'Urden był w końcu przyjacielem Belwara Dissengulpa, wielce szanowanego nadzorcy kopaczy. Drizzt nigdy nie okazał się wrogiem Blingdenstone, a nawet pomógł svirfnebli dwadzieścia lat temu, gdy pierwszy raz trafił do miasta. Poza tym, według wszelkich doniesień, zbuntowany drow pomógł svirfnebli ponownie po swoim powrocie, w walce w tunelach przeciwko swym drowim pobratymcom.

Mimo to Firble był przede wszystkim lojalny wobec swego ludu i miasta, a jeśli podanie Jarlaxle'owi imienia Drizsta mogło pomóc gnomom w ich aktualnej sytuacji, mogło ujawnić nadciągające wydarzenia, o których wspominał Jarlaxle, to dla Firble'a było to warte swej ceny.

Jarlaxle milczał przez długą chwilę, starając się określić, w jaką stronę powinien skierować tę nabierającą nagle znaczenia rozmowę. Uznał, że drow ten był jakimś banitą, być może dawnym członkiem Bregan D'aerthe uznanym za zaginionego w zewnętrznych tunelach. Albo też gnomy ujęły szlachcica z jednego z wyżej postawionych domów, co byłoby naprawdę dobrą zdobyczą. Rubinowe oczy Jarlaxle'a rozjaśniły się na myśl o korzyściach, jakie taki szlachcic mógłby przynieść Bregan D'aerthe.

- Czy on ma imię? - zapytał najemnik.

- Imię, które znane jest tobie i nam - odparł Firble, czując swą wyższość (co rzadko się zdarzało w kontaktach z przebiegłym najemnikiem).

Jego enigmatyczna odpowiedź dała jednak Jarlaxle'owi więcej informacji, niż drow potrzebował. Niewielu drowów było znanych po imieniu gnomom z Blingdenstone i Jarlaxle mógł dość łatwo określić położenie większości z nich. Oczy najemnika rozszerzyły się nagle, jednak szybko odzyskał spokój, a jego umysł podążył ścieżką nowych możliwości.

- Opowiedz mi o wydarzeniach - zażądał Firble. - Dlaczego drowy z Menzoberranzan są w pobliżu Blingdenstone? Powiedz mi, a ja podam ci imię!

- Daj mi imię, jeśli chcesz - zadrwił Jarlaxle. - Wydarzenia? Mówiłem ci już, żebyś spojrzał na Ched Nasad albo rozrywkowych młodzieńców, być może studentów akademii.

Firble podskoczył, zaciskając przed sobą pięści, jakby zamierzał rzucić się na nieprzewidywalnego najemnika. Wszelkie odczucia, że zyskał przewagę, zniknęły w mgnieniu oka.

- Drogi Firble - przymiłał się Jarlaxle. - Naprawdę, nie powinniśmy się spotykać, jeśli nie mamy ważniejszych spraw do omówienia. Ty zaś i twoja eskorta nie powinniście tak daleko odchodzić od domu w tak mrocznych czasach.

Mały svirfnebli wydał z siebie niezamierzony jęk frustracji na ciągłe aluzje najemnika, iż dzieje się coś naprawdę poważnego, że wzmożona aktywność drowów powiązana była z jakimś większym planem.

Jarlaxle jednak, stojący z jedną ręką w poprzek brzucha, opierający łokieć na dłoni, pozostał obojętny, wydawał się wręcz rozbawiony tym wszystkim. Firble zdał sobie sprawę, że nie otrzyma tego dnia żadnej odpowiedniej informacji, uklonił się więc krótko i obrócił, kopiąc kamienie przez całą drogę, jaka pozostała mu do wyjścia z komnaty.

Najemnik utrzymał swą zrelaksowaną pozycję jeszcze przez długi czas po wyjściu gнома, po czym niedbale uniósł jedną rękę i dał sygnał do tunelu za sobą. Wyłonił się człowiek, choć jego oczy płonęły czerwienią, dzięki powszechnej wśród ras Podmroku infrawizji, daru od wysokiej kapłanki.

- Czy było to dla ciebie zabawne? - Jarlaxle spytał w języku powierzchni.

- I kształcące - odparł Entreri. - Kiedy wrócimy do miasta, powinno być ci łatwo ustalić tożsamość schwytanego drowa.

Jarlaxle spojrzał na zabójcę z zaciekawieniem. - Nie znasz jej jeszcze? - spytał.

- Nie znam zaginionych szlachciców - odparł Entreri, a mówiąc to przyglądał się uważnie najemnikowi. Czy coś przegapił? - Z pewnością ich więzień musi być szlachcicem, bowiem jego imię znane jest tylko tobie i gnomom. Szlachcic albo żądny przygód kupiec.

- Załóżmy, że powiem ci, iż ten drow z Blingdenstone nie jest więźniem - zasugerował Jarlaxle z paskudnym uśmiechem na swej mahoniowej twarzy.

Entreri spojrział na niego bezradnie, najwyraźniej nie mając pojęcia, o czym mówi najemnik.

- Oczywiście - Jarlaxle rzekł chwilę później. - Nie znasz wydarzeń z przeszłości, nie wiesz więc, jak poskładać informacje ze sobą. Był sobie kiedyś drow, który opuścił Menzoberranzan i zatrzymał się na jakiś czas, by pomieszkać z gnomami, choć nie za bardzo spodziewałem się, że wróci.

- Chyba nie sugerujesz, że... - powiedział Entreri, wręcz tracąc oddech.

- Dokładnie - odparł Jarlaxle, obracając wzrok w stronę tunelu, w którym zniknął Firble. - Wygląda na to, że mucha przyszyła do pajaków.

Entreri nie wiedział, co myśleć. Drizzt Do'Urden wrócił do Podm-roku! Czy plany zostaną porzucone? Czy Entreri straci ostatnią szansę na ujrzenie świata powierzchni?

- Co zrobimy? - spytał najemnika z nutą desperacji w głosie.

- Zrobimy? - powtórzył Jarlaxle. Odchylił się do tyłu i wydał z siebie szczery śmiech.

- Zrobimy? - znów zapytał drow, jakby ta myśl była absurdalna. - Cóż, usiądziemy i będziemy się dobrze bawić, oczywiście!

Jego odpowiedź nie była zupełnie nieoczekiwana dla Entreriego, nie, gdy poświęcił chwilę, by się nad nią zastanowić. Jarlaxle był miłośnikiem ironii - dlatego tak dobrze prosperował w świecie chaotycznych drowów - a ów niespodziewany zwrot wydarzeń z pewnością się do nich zaliczał. Dla Jarlaxle'a życie było grą, w którą należało grać i cieszyć się nią nie zastanawiając się nad konsekwencjami ani moralnością.

Niegdyś Entreri mógłby podzielać tę postawę, a nawet ją przyjąć, jednak nie teraz. Zbyt wiele rzeczy ważyło się dla Artemisa Entreri, dla biednego nieszczęsnego zabójcy. Obecność Drizzta tak blisko Menzoberranzan stawiała istotne pytania o przyszłość zabójcy, przyszłość, która rysowała się naprawdę blado.

Jarlaxle znów się roześmiał, długo i mocno. Entreri stał ponuro, wpatrując się w tunel prowadzący do miasta gnomów, a jego umysł patrzył w twarz, w fioletowe oczy jego najbardziej nienawidzonego przeciwnika.

Drizzt nabrał sporej otuchy, widząc wokół siebie znajome otoczenie. Niemal czuł, że musi śnić, bowiem małe, kamienne mieszkanie było dokładnie takie, jakim je zapamiętał, znajdując się w hamaku, w którym właśnie leżał.

Wiedział jednak, że to nie sen, wiedział, bo nie czuł nic od pasa w dół, ani węzłów hamaka, ani nawet mrowienia nagich stóp.

- Obudzony? - dobiegło pytanie z drugiego, mniejszego pokoju. Słowo to ugodziło silnie Drizzta,

było bowiem wypowiedziane w języku svirfnebli, tej zaskakującej mieszance elfiej melodyki oraz ostrych krasnoludzkich spółgłosek. Do myśli Drizzta pośpieszyły słowa svirfnebli, choć ani nie słyszał, ani nie używał tej mowy od ponad dwudziestu lat. Trochę wysiłku wymagało od niego obrócenie głowy, by spojrzeć na zbliżającego się nadzorcę kopaczy.

Na jego widok serce drowa zgubiło kilka uderzeń.

Bel war zestarzał się trochę, jednak wciąż wyglądał krzepko. Stuknął o siebie „dłońmi”, gdy zdał sobie sprawę, że Drizzt, jego dawny przyjaciel, rzeczywiście się obudził.

Drizzt ucieszył się, widząc te dłonie, dzieła metalicznej sztuki, przymocowane do ramion gнома. To brat Drizzta obciął Belwarowi ręce, gdy Drizzt i gnom spotkali się po raz pierwszy. Toczyła się bitwa pomiędzy głębinowymi gnomami a drużyną drowów, i z początku Drizzt był więźniem Belwara. Dinin przybył jednak szybko bratu na pomoc i sytuacja się odwróciła.

Gdyby nie Drizzt, Dinin zabiłby Belwara. Drizzt nie był jednak pewien, ile była warta próba uratowania svirfnebli życia, bowiem Dinin rozkazał okaleczyć Belwara. W brutalnym Podmroku kalekie stworzenia zazwyczaj nie żyły długo.

Gdy Drizzt znów spotkał Belwara, kiedy przybył do Blingdenstone jako uchodźca z Menzoberranzan, zauważył, że svirfnebli, zupełnie inaczej niż zrobiłyby drowy, pomogły swemu rannemu przyjacielowi, tworząc odpowiednie zakończenia dla jego krzepkich rąk. Na prawej ręce wielce szanowany nadzorca kopaczy (jak głębinowe gnomy nazywały Belwara) miał mithrilową głowicę młota, pokrytą wspaniałymi runami oraz szkicami potężnych stworzeń, między innymi żywiołaka ziemi. Podwójny kilof, jaki Bel war nosił na lewej ręce, był nie mniej spektakularny. Były to niezrównane narzędzia do kopania i walki, okazały się jednak jeszcze lepsze, bowiem szamani svirfnebli zaklęli je. Drizzt widział, jak Belwar przebija się przez litą skałę niczym kret przez miękką ziemię.

Tak dobrze było widzieć, że Belwar wciąż dobrze się trzyma, że z pierwszym przyjacielem Drizzta, z pierwszym jego przyjacielem po Zaknafeinie, wszystko w porządku.

- Magga camarra, elfie - svirfnebli stwierdził chichocząc, gdy podchodził do hamaka. - Myślałem, że nigdy się nie obudzisz.

Magga camarra, powtórzył umysł Drizzta. Na kamienie. Ten zagadkowy zwrot, którego Drizzt nie słyszał od dwudziestu lat, uspokoił drowa, zaprowadził jego myśli z powrotem do spokojnych czasów, jakie spędził w Blingdenstone jako gość Belwara.

Wyłonił się z tych osobistych myśli i zauważył, że svirfnebli znajduje się u jego stóp, badając jego sylwetkę.

- Jak one się czują? - spytał Belwar.

- Nie czują się - odparł Drizzt.

Gnom kiwnął swój ą bezwłosą głową i podniósł kilof, by podrapać się po dużym nosie. - Zostałeś zakantowany - stwierdził. Drizzt nie odpowiedział, wyraźnie nie rozumiejąc.

- Zakantowany - powtórzył Belwar, podchodząc do szafki przybitej do ściany. Zahaczył drzwiczki swym kilofem i otworzył je, po czym użył obydwu dłoni, by chwycić jakiś przedmiot ze środka i wyciągnąć go, by Drizzt mógł go zobaczyć. -Niedawno zaprojektowana broń -wyjaśnił Belwar. - Używana dopiero od kilku lat.

Drizzt pomyślał, że przedmiot przypomina ogon bobra, na węższym końcu znajdowała się krótka rączka, szerszy zaś był zakręcony pod ostrym kątem. Był na całej długości gładki, za wyjątkiem jednej piłkowanej krawędzi.

- Kantownik - powiedział Belwar, podnosząc przedmiot wysoko. Wyślizgnął się z jego niepewnego uchwytu i spadł na podłogę.

Belwar wzruszył ramionami i stuknął o siebie mithrilowymi dłońmi. - Jak to dobrze, że mam swoją broń! - Belwar ponownie brzęk-nął o siebie młotem i kilofem.

- Masz szczęście, Drizzcie Do'Urden - ciągnął - że svirfnebli w bitwie rozpoznał cię jako przyjaciela.

Drizzt parsknął. W tej chwili nie uważał się za specjalnego szczęściarza.

- Mógł cię trafić ostrą krawędzią- kontynuował Belwar. - Wtedy przeciąłby w połowie twój kręgosłup!

- Mój kręgosłup czuje się, jakby był przecięty w połowie - stwierdził Drizzt.

- Nie, nie - powiedział Belwar, podchodząc do hamaka - tylko zakantowany. - Gnom dźgnął mocno swym kilofem podeszwę stopy Drizzta, a drow skrzywił się i poruszył. - Widzisz, wraca już czucie - obwieścił Belwar i uśmiechając się szelmowsko, znów dźgnął Drizzta.

- Znów będę chodził, nadzorco kopaczy - obiecał z ulgą drow, a jego ton groził, że może się jeszcze bawić w tę grę.

Belwar stuknął go jeszcze raz. - Chwilę to potrwa! - roześmiał się. - A wkrótce też i łaskotki poczujesz!

Przypominało to Drizztowi dawne czasy, wydawało mu się, jakby bardzo pilne problemy, które ciążyły mu na ramionach, zostały z nich na jakiś czas zdjęte. Jakże dobrze było znów widzieć starego przyjaciela, tego gнома, który z samej lojalności udał się z nim w dżecz Podmroku, który został schwytany wraz z Drizztem przez przerażających łupieżców umysłu i u boku drowa wyrąbywał sobie

drogę do wolności.

- To był zbieg okoliczności, szczęśliwy dla mnie i dla twoich pobratymców w tunelu, że właśnie wtedy znalazłem się w okolicy -rzekł Drizzt.

- To nie było takie zrządzenie losu - odparł Belwar i jego radosna mina sposępniała. - Walki stały się zbyt częste. Przynajmniej jedna na tydzień i wielu svirfnebli zginęło.

Drizzt zamknął swe lawendowe oczy i starał się przetrwać niepożądane wieści.

- Lloth jest spragniona, tak się mówi - ciągnął Belwar - a życie nie było dobre dla gnomów z Blingdenstone. Próbujemy dowiedzieć się o przyczyny tego wszystkiego.

Drizzt przeszedł nad tym wszystkim do porządku dziennego, czując teraz, bardziej niż kiedykolwiek, iż dobrze zrobił wracając. Opis Belwara, stwierdzenie, że Lloth jest spragniona, wydawało się być celne.

Drizzt znów został dźgnięty, mocno, a gdy otworzył oczy, ujrzał wpatrującego się w niego uśmiechniętego nadzorcę kopaczy, po-chmurność ostatnich wydarzeń najwyraźniej już go opuściła. - Wystarczy jednak ciemności! - oznajmił Belwar. - Musimy sobie opowiedzieć dwadzieścia lat, ty mnie, a ja tobie! - Sięgnął w dół i zahaczył jeden z butów Drizzta, podnosząc go i wachając podszwę. - Znalazłeś powierzchnię? - spytał ze szczerą nadzieją.

Dwaj przyjaciele spędzili resztę tego dnia, wymieniając się opowieściami, z tym że mówił głównie Drizzt, który udał się do tak odmiennego świata. Wielokrotnie Belwar tracił oddech i śmiał się, a raz dzielił łzy ze swoim przyjacielem drowem, wydając się szczerze zraniony stratą Wulfgara.

Drizzt wiedział wtedy, iż odkrył na nowo jednego ze swych najdroższych przyjaciół. Belwar słuchał uważnie, bacząc na każde słowo Drizzta, pozwalając mu dzielić się ze sobą najbardziej osobistymi chwilami ostatnich dwudziestu lat i wspierając milcząco swego prawdziwego przyjaciela.

Kiedy zjedli wieczorem kolację, Drizzt wykonał pierwszy niepewny krok, a Belwar, który widział już wcześniej niszczące efekty dobrze utrzymanego kantownika, zapewnił drowa, że za niewiele więcej niż dzień znów będzie biegał po wypełnionych żwirem ścianach.

Wiadomość ta została przyjęta jedynie jako częściowe błogosławieństwo. Drizzt cieszył się oczywiście, że się wyleczy, jednak mała cześć niego żałowała, że proces ten nie potrwa dłużej, aby mógł przeciągnąć swą wizytę u Belwara. Drizzt wiedział bowiem, że gdy tylko jego ciało będzie do tego zdolne, wyruszy w dalszą podróż do Menzoberranzan i zrobi wszystko, by zło zgnieść w zarodku.

ROZDZIAŁ 14

PRZEBRANIE

Zaczekaj tu, Guen - wyszeptała Catti-brie do pantery, gdy obydwie wpatrywały się w szerszy obszar, komnatę względnie wolną od stalagmitów, która majaczyła przed nimi. Z owej groty dochodziły liczne głosy goblinów. Catti-brie zgadła, że to główne siły, najprawdopodobniej robiące się nerwowe, gdy ich oddział zwiadowczy nie wraca. Młoda kobieta wiedziała, iż ta garstka, która przeżyła, idzie pewnie szybko za nią. Wraz z Guenhwyvar zrobiły dobrą robotę, wskazując im drogę, posyłając ich w przeciwnym kierunku korytarzem, jednak prawdopodobnie zawrócili. Walka zaś miała miejsce mniej niż godzinę marszu od tego miej sca.

Nie było żadnej widocznej drogi dookoła tej komnaty, a nawet nie widząc hordy goblinów, Catti-brie rozumiała, iż tych paskud jest zbyt wiele, by z nimi walczyć lub je przestraszyć. Ostatni raz spojrzała na swe mahoniowe dłonie, uspokoiła się, widząc, że wyglądają jak u drowki, po czym wygładziła swe gęste włosy - teraz białe zamiast kasztanowych - oraz miękkie szaty, i odważnie ruszyła do przodu.

Najbliżsi strażnicy rzucili się w tył z przerażeniem, gdy do ich legowiska weszła niedbale drowia kapłanka. Jedynie liczba powstrzymywała grupę przed ucieczką, bowiem, jak Catti-brie oszacowała, obozowało tu ponad sto goblinów. W górę uniosło się tuzin włóczy, skierowanych w jej stronę, lecz ona szła dalej miarowym krokiem do środka jaskini.

Gobliny zgromadziły się wokół młodej kobiety, odcinając wszelkie możliwości ucieczki. Inne przykucnęły przed tunelem, z którego wyłoniła się Catti-brie, nie wiedząc, czy nie wypadną stamtąd inne drowy. Mimo to morze ciał rozstępowało się przed nieoczekiwanym gościem. Brawura oraz przebranie Catti-brie najwyraźniej zbiły stwory z tropu.

Dotarła do połowy komnaty i widziała, że korytarz ciągnie się dalej, jednak morze zamknęło się wokół niej, wolniej ustępując miejsca i zmuszając również zmienioną w drowkę dziewczynę do zwolnienia kroku.

Została zatrzymana, włócznie goblinów wymierzone były w jej stronę, a szepty wypełniały całą komnatę. - Gund ha, mogą moga -zażądała. Jej znajomość mowy goblinów była co najmniej szczątkowa i nie była całkiem pewna, czy powiedziała właśnie „odsuńcie się i dajcie mi przejść”, czy „wrzucie moją matkę do rowu”.

Miała nadzieję, że to pierwsze.

- Moga gund, geek-ik moon 'ga 'woon 'ga! -powiedział chrapliwie jeden goblin, niemal tak wielki jak człowiek, przesuwał się przez horde, by stanąć przed Catti-brie. Młoda kobieta zmusiła się do zachowania spokoju, jednak korciło ją, by zawołać Guenhwyvar i uciec stąd. Był to najwyraźniej

przywódca goblinów, albo przynajmniej szaman plemienia.

Stwór potrzebował jednak kilku porad w kwestii mody. Miał na sobie wysokie, czarne buty, niczym u szlachty, lecz wycięte po bokach, by weszły tam jego wielkie, kacze stopy. Za bryczesy służyła mu para kobiecych spodni, otoczonych szerokimi krezami. Poza tym, choć bestia wyraźnie była samcem, miała też na sobie damskie majtki i gorset wraz z miseczkami na bardzo kształtne piersi. Jego skórzastą szyję otaczało kilka niedopasowanych naszyjników, niektóre złote, niektóre srebrne, oraz jeden sznur pereł, zaś każdy zakrzywiony palec ozdobiony był błyszczącym pierścieniem. Catti-brie rozpoznała opaskę na czole jako symbol religijny, choć nie była do końca pewna jakiej sekty. Przypominał promieniste słońce ozdobione długimi, złotymi wstążkami, jednak Catti-brie była całkiem przekonana, iż goblin założył go odwrotnie, sięgał bowiem przed nachyloną skroń stwora, a jedna ze wstążek dyndała goblinowi przed nosem.

Bez wątpienia goblin uważał się za wzór złodziejskiej mody, odziany był w ubrania nieszczęsnych ofiar plemienia. Wciąż gadał coś swym piskliwym głosem, zbyt szybko, by Catti-brie mogła wychwycić coś więcej niż pojedyncze słowo. Następnie stwór przestał i uderzył się pięścią w pierś.

- Mówisz językiem powierzchni? - spytała Catti-brie, starając się znaleźć jakąś wspólną płaszczyznę. Walczyła ciężko, by zachować spokój, spodziewała się jednak, że w każdej chwili w jej plecach może się pogрузić włócznia.

Przywódca goblinów przyjrzał jej się z zaciekawieniem, wyraźnie nie rozumiejąc ani słowa z tego, co powiedziała. Przyjrzał się kobiecie od góry do dołu i jego błyszczące czerwienią oczy spoczęły w końcu na medalionie, który wisiał Catti-brie na szyi. - Nying so, wucka - stwierdził i wskazał najpierw na przedmiot, następnie na Catti-brie, po czym machnął ręką, by wskazać odległe wyjście.

Gdyby medalion był zwyczajnym fragmentem biżuterii, Catti-brie z chęcią oddałaby go w zamian za przejście, potrzebowała jednak tego magicznego przedmiotu, jeśli miała zachować jakąś szansę na znalezienie Drizzta. Goblin powtórzył swoje żądanie pilniejszym tonem, a młoda kobieta wiedziała, że musi działać szybko.

Uśmiechnęła się nagle i wyciągnęła przed siebie wyprostowany palec. -Nying-powiedziała, sądząc, że słowo to oznacza u goblinów dar. Dwukrotnie klasnęła szybko przed sobą dłońmi i bez oglądania się za ramię krzyknęła - Guenhwyvar.

Zaskoczone krzyki goblinów w tylnej części jaskini powiedziały jej, że pantera jest w drodze.

- Podejdz spokojnie, Guen - zawołała Catti-brie. - Chodz do mnie bez walki.

Pantera kroczyła powoli, miarowym tempem, z opuszczoną głową i położonymi po sobie uszami. Co jakiś czas Guenhwyvar wydawała z siebie niski pomruk tylko po to, by najbliższe goblino miały się na baczności. Tłum cofał się, dając wspaniałemu kotu szeroką drogę do drowiej kapłanki.

Guenhwyvar była już u boku Catti-brie, szturchając pyskiem biodro kobiety.

-Nying-powtórzyła Catti-brie, pokazując palcem z pantery na goblina. - Ty weźmiesz kota, a ja wyjdę korytarzem - dodała, jak najlepiej starając się przekazać tę wiadomość gestami. Brzydki król mody podrapał się w głowę, przesuwając opaskę na bok.

- No, podejdz i bądź miła - Catti-brie wyszeptała do Guenhwy-var. Popchnęła kocicę nogą. Pantera spojrzała na nią, wydając się dość mocno znudzona tym wszystkim, po czym podeszła do przywódcy goblinów i położyła się u jego stóp (z twarzy stwora odpłynęła krew).

-Nying- powiedziała jeszcze raz Catti-brie, wskazując, by go-blin wyciągnął rękę i pogłaskał kocicę. Stwór popatrzył na nią z niedowierzaniem, jednak stopniowo, dzięki jej namowom, zmusił się, by dotknąć gęstego filtra.

Spiczasty uśmiech poszerzył się i goblin ośmielił się znów dotknąć kocicy, porządniej. Pochylił się jeszcze raz i kolejny i za każdym razem mocniej głaskał grzbiet pantery. Przez cały ten czas Guenhwyvar mierzyła Catti-brie znużonym wzrokiem.

- A teraz zostaniesz tu z tym przyjaznym goblinem - Catti-brie poleciła kocicy, upewniając się, że jej ton nie zdradza, co naprawdę ma na myśli. Poklepała się po wiszącej u pasa sakwie, tej, w której znajdowała się figurka, i dodała - Zawołam cię, nie martw się.

Następnie Catti-brie wyprostowała się i stanęła przed dowódcą goblinów. Przyłożyła dłoń do swojej piersi, po czym wyciągnęła ją prosto przed siebie, wskazując na odległe wyjście, a jej twarz wykrzywiła się. - Idę! - oznajmiła i wykonała krok do przodu.

Z początku przywódca goblinów wyglądał tak, jakby zamierzał ją zatrzymać, jednak szybkie spojrzenie na potężnego kota u jego stóp zmieniło jego zdanie. Catti-brie doskonale rozegrała tę grę. Pozwoliła nadmiernie dumnemu dowódcy zachować swą godność, sama wyglądała przez cały czas jak potencjalnie niebezpieczna przeciwniczka, oraz strategicznie umieściła trzysta kilogramów walecznej sojusznicy u stóp goblina.

- Nying so, wucka - powtórzył goblin, wskazując na Guenhwyvar, a następnie na wyjście, po czym ostrożnie odsunął się na bok, by drowka mogła przejść.

Catti-brie przemierzyła pozostałą część komnaty, uderzając na odlew jednego goblina, który nie odsunął się wystarczająco z jej drogi. Stwór rzucił się natychmiast na nią z podniesionym mieczem, jednak Catti-brie nawet się nie wzdrygnęła, a krzyk przywódcy, u którego stóp wciąż leżała pantera, powstrzymał atak goblina.

Catti-brie roześmiała mu się w paskudną twarz, pokazując, że ma swój sztylet, wspaniałą, wysadzaną klejnotami broń, gotową do użycia.

Dotarła do węższego tunelu i szła dalej powoli po licznych stopniach. Następnie zatrzymała się,

zerknęła w tył i wyciągnęła figurkę pantery.

W komnacie przywódca goblinów pokazywał właśnie plemieniu nowy nabytek, wyjaśniając, jak przechytrzył to „głupie drowie kobiece coś” i zabrał jej kota. Nie było ważne, że pozostałe gobliny widziały całe zajście. W kulturze goblinów historia była zmieniana niemal codziennie.

Gładki uśmiech dowódcy zmniejszył się nagle, gdy wokół pantery pojawiła się szara mgła i materialna forma kocicy zaczęła się rozpląwać.

Goblin zaskowyczał strumieniem protestów oraz klątw i rzucił się na kolana przed szybko zanikającym kotem.

Z mgły wyłoniła się wielka łapa, owinęła się wokół głowy dowódcy i wciągnęła go do środka. Następnie była już tylko mgła, a zaskoczony i niezbyt bystry goblin udawał się wraz z panterą na przejażdżkę po Planie Astralnym.

Pozostałe gobliny zawyły i rozbiegły się, wpadając na siebie i przewracając się nawzajem. Niektóre pomyślały, by podjąć pościg za oddalającą się drowką, jednak w chwili gdy zaczęły się organizować, Catti-brie już dawno zniknęła.

* * *

Tunele były dla niego znajome - zbyt znajome. Jakże wiele razy młody Drizzt Do'Urden szedł tymi ścieżkami, zazwyczaj służąc za szpicę w patrolu drowów? Wtedy miał przy sobie Guenhwyvar, teraz był sam.

Kulał lekko, jedno z jego kolan wciąż było słabe po uderzeniu kantownikiem svirfnebli.

Nie mógł wykorzystać tego jednak jako wymówki, by pozostać dużej w Blingdenstone. Wiedział, że sprawa jest pilna, a Belwar, choć rozstanie zabolalo nadzorcę kopaczy, nie spierał się z decyzją Drizzta o wyruszeniu w drogę, co wskazywało drowowi, iż inni svirf-nebli pragną jego odejścia.

Było to dwa dni temu, dwa dni oraz około osiemdziesiąt kilometrów krętych jaskiń. Drizzt po drodze przeciął szlak przynajmniej trzem patrolom drowów, niezwyklej ilości wojowników, zważywszy na odległość od Menzoberranzan, i dał wiary twierdzeniom Belwara, że szykuje się coś niebezpiecznego, że Pajęcza Królowa jest spragniona. Przy wszystkich tych trzech okazjach Drizzt mógł z łatwością doścignąć grupę drowów i próbować się do niej dołączyć. Pomyślał o spreparowaniu jakiejś historii, że jest wysłannikiem z kupieckiego Ched Nasad. Trzy razy Drizzt stracił pewność siebie i pozostał na drodze do Menzoberranzan, odkładając tę pamiętną chwilę, kiedy nawiąże kontakt.

Teraz tunele były zbyt znajome, a ta chwila była blisko.

Uważał na każdy krok, zachowując idealną ciszę, gdy dotarł do szerszego tunelu. Przed sobą usłyszał jakieś hałasy, szelest wielu stóp. Wiedział, że to nie drowy. Mroczne elfy nie wydawały dźwięków.

Tropiciel wspinał się po nierównej ścianie i przesuwał wzdłuż półki skalnej cztery metry nad podłogą. Czasami trzymał się na opuszkach palców, a stopy bujały mu się w powietrzu, jednak nie zrażał się tym i nie czynił żadnych odgłosów.

Zamarł w miejscu, słysząc przed sobą ruch. Na szczęście półka znów się poszerzyła, uwalniając mu ręce, więc ostrożnie wyciągnął sejmity z pochew, koncentrując się, by powstrzymać Błysk przed świeceniem.

Chlipiące dźwięki zaprowadziły go za załom, gdzie spostrzegł grupę niskich, skulonych humanoidów, mających na sobie obszarpane peleryny z kapturami naciągniętymi na twarze. Nic nie mówiły, jedynie miotaly się dookoła, i tylko ich odstające uszy mówiły Drizztowi, że to gobliny.

Na dodatek gobliny niewolnicy, co mógł stwierdzić po ich przygarbionych sylwetkach, bowiem jedynie niewolnicy nosili taki ciężar rezygnacji.

Drizzt obserwował przez chwilę w ciszy, starając się zauważyć pilnującego ich drowa. W tej jaskini znajdowało się przynajmniej osiem dziesiątek goblinów, otaczających krawędź małej sadzawki nazywanej przez drowy Zbiornikiem Heldaeyna. Były spragnione, jakby nie piły od wielu dni.

Pewnie tak właśnie było. Drizzt dostrzegł kilka rothów. Było to małe bydło z Podmroku, które kręciło się w pobliżu, i zdał sobie sprawę, iż ta grupa opuściła najprawdopodobniej miasto w poszukiwaniu zaginionych zwierząt. Na takich wyprawach niewolnikom dawało się mało do jedzenia, choć nieśli całkiem sporo zapasów. Towarzyszący im drowi strażnicy jedli jednak sporo, zazwyczaj tuż przed głodującymi niewolnikami.

Trzaśnięcie bicia postawiło gobliny z powrotem na nogi i odsunęło je od krawędzi sadzawki. W polu widzenia Drizzta pojawiło się dwoje drowów, jeden mężczyzna i jedna kobieta. Rozmawiali swobodnie, a kobieta co jakiś czas trzaskała biczem.

Z drugiej strony jaskini inni drow wykrzyczał jakieś polecenia i gobliny zaczęły zbierać się w nierówny szereg, raczej wydłużoną kupę niż jakąś zorganizowaną formację.

Drizzt wiedział, że nadszedł dla niego najkorzystniejszy moment. Strażnicy niewolników byli jednymi z najgorzej zorganizowanych poza ich skich grup z Menzoberranzan. Ich oddziały składały się zazwyczaj z mrocznych elfów z kilku różnych domów uzupełnionych młodymi studentami z każdej z trzech szkół akademii.

Drizzt ześlizgnął się cicho z półki i obszedł wystającą ścianę, dając dłonią zwyczajowy sygnał powitalny (choć jego palce czuły się niezgrabnie wykonując zawile ruchy) do drowów w jaskini.

Kobieta popchnęła swą męską eskortę do przodu i stanęła zaniem. Ręka mężczyzny podniosła się natychmiast w górę, trzymając typową dla drowów ręczną kuszę, której bełty były najprawdopodobniej pokryte silną trucizną usypiającą.

-Kim jesteś? - dłoń kobiety spytała ponad ramieniem mężczyzny.

- Wszystkim co pozostało z grupy patrolowej, która udała się w pobliże Blingdenstone - odpowiedział Drizzt.

- Powinieneś więc wejść w pobliżu Tier Breche - odparła głośno kobieta. Gdy Drizzt usłyszał jej głos, tak typowy dla drowek, głos, który mógł być niesłychanie melodyjny lub niesłychanie przenikliwy, jego myśli pospieszyły do tamtych lat z przeszłości. Zdał sobie wtedy w pełni sprawę, że jest zaledwie kilkaset metrów od Menzoberranzan.

- Wcale nie chcę wchodzić - odrzekł Drizzt. - Przynajmniej nie bez zapowiedzi. - Drizzt wiedział, że to rozumowanie było jak najbardziej sensowne. Jeśli rzeczywiście byłby jedynym ocalałym z zaginionego patrolu, zostałby ochoczo przesłuchany przez akademię drowów, być może nawet torturowany, dopóki mistrzowie nie byłiby pewni, że nie odegrał żadnej zdradzieckiej roli w kłęsce patrolu.

- Jaki jest pierwszy dom? - spytała kobieta, utkwivszy oczy w lawendowych źrenicach Driztta.

- Baenre - odpowiedział natychmiast Drizzt, spodziewając się takiego testu. Szpieczy z rywalizujących miast mrocznych elfów nie byli nieznani w Menzoberranzan.

- Ich najmłodszy syn? - zapytała z chytrą miną kobieta. Wykrzywiła wargi w lubieżnym i wygłodniałym uśmiechu. Drizzt uświadomił sobie to, gdy wciąż wpatrywała się głęboko w jego niezwykle oczy.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Drizzt uczęszczał w akademii do tej samej klasy co najmłodszy syn domu Baenre - chyba że wiekowa opiekunka Baenre wychowała następne dziecko podczas trzech dekad nieobecności Driztta.

- Berg'inyon -odpowiedział pewnym głosem, krzyżując butnie ręce na pasie (i zbliżając je do sejmitarów).

- Kim jesteś? - kobieta powtórzyła pytanie, po czym oblizwała wargi, wyraźnie zaintrygowana.

- Nikim, kto ma jakieś znaczenie - odparł Drizzt, zrównując się z nią uśmiechem oraz intensywnością spojrzenia.

Kobieta pacnęła zasłaniającego ją mężczyznę w ramię i jej palce wskazały mu, by odszedł.

- Czy jestem zwolniony z tego żalosnego obowiązku? - spytał w ciszy palcami, z nadzieją na

twarzy.

- Tego dnia boi zajmie twoje miejsce - wycodziła kobieta, określając Drizzta słowem oznaczającym u drowów coś tajemniczego lub intrygującego.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko i odsunął dłoń z kuszą. Zauważywszy, że jest gotowa do strzału, oraz widząc stojące w pobliżu całe stado goblinów, poszerzył uśmiech i uniósł broń, by z niej wystrzelić.

Drizzt nie zareagował, choć bolało go, gdy widział gobliny traktowane w ten sposób.

- Nie - powiedziała kobieta, kładąc dłoń na nadgarstku mężczyzny. Wyciągnęła rękę i zdjęła bełt z kuszy, zastępując go innym. - Twój położyłby go do snu-wyjaśniła i zachichotała.

Mężczyzna przyglądał jej się przez chwilę, po czym najwyraźniej zrozumiał. Wymierzył w goblina guzdrzącego się na skraju wody i strzelił. Goblin wzdrygnął się, gdy mały bełt wbił mu się w plecy. Zaczął się obracać, lecz przewrócił się do sadzawki.

Drizzt przygryzł wargi, z bezowocnego miotania się goblina wnioskując, że podana przez kobietę strzałka była pokryta trucizną paraliżującą, która pozostawiała ofiarę w pełni świadomą. Goblin stracił prawie całkowicie kontrolę nad swymi kończynami i z pewnością utopi się, a co gorsza będzie znał swój okrutny los. Zdołał wygiąć grzbiet na tyle, by twarz wyłoniła się ponad poziom wody, lecz Drizzt wiedział, że zmęczy się na długo przed tym, jak paskudna trucizna przestanie działać.

Mężczyzna zaśmiał się donośnie, schował kuszę do małej pochwy wiszącej ukośnie na jego piersi i odszedł tunelem na lewo od Drizzta. Zanim uszedł tuzin kroków, kobieta zaczęła trzaskać z bicia i wołać do garstki drowich strażników, by prowadzili karawanę tunelem po prawej.

Po chwili skierowała chłodne spojrzenie na Drizzta. - Dlaczego tam stoisz? - zapytała.

Drizzt wskazał na goblina w sadzawce, zanurzonego już dość mocno, ledwo trzymającego usta nad wodą. Zmusił się do śmiechu, jakby cieszył go ten makabryczny widok, jednak w tym momencie poważnie zastanawiał się, czy nie rzucić się na złą kobietę i nie zabić jej.

Przez całą drogę z małej jaskini Drizzt szukał możliwości, by zbliżyć się do goblina, by wyciągnąć go z wody, aby miał szansę uciec. Drowka ani na chwilę nie przestała go jednak obserwować i Drizzt rozumiał, że miała na myśli więcej niż tylko dołączenie go do karawany. W końcu dlaczego ona nie zrobiła sobie przerwy, gdy nieoczekiwanie pojawił się nowy strażnik niewolników?

Za wychodzącym Drizztem podążały ostatnie pluski umierającego goblina. Drow renegat przełykał z trudem ślinę i walczył z mdłościami. Nieważne ile razy był jej świadkiem, nigdy nie przywyknie do brutalności swych pobratymców.

I był z tego powodu zadowolony.

ROZDZIAŁ 15

MASKI

Catti-brie nigdy nie widziała takich stworzeń. Przypominały trochę gnomy, przynajmniej z postawy, mając około metra wysokości, nie miały jednak włosów na swych pomarszczonych, zarumienionych głowach, a ich skóra, w świetle gwiazd danym jej przez magiczną opaskę, była szarawa. Byli dość krępi, niemal tak umięśnieni jak krasnoludy, a oceniając po doskonałych narzędziach, które mieli ze sobą, oraz dopasowanych metalowych zbrojach, również jak krasnoludy byli biegli w górnictwie i rzemiośle.

Drizzt opowiadał Catti-brie o svirrhebli, głębinowych gnomach, i zakładała, że właśnie na nich spoglądała. Nie mogła być jednak pewna i obawiała się, że może to być jakaś boczna gałąź złych duergarów, szarych krasnoludów.

Przykucnęła za kępą wysokich, cienkich stalagmitów w okolicy wielu przecinających się korytarzy. Głębinowe gnomy, jeśli to rzeczywiście były one, przyszły z przeciwnej strony i teraz krzątały się po płaskiej części korytarza, rozmawiając pomiędzy sobą nie zwracając większej uwagi na stalagmity siedem metrów dalej.

Catti-brie nie była pewna, jak po winna postąpić. Jeśli to byli svirfnebli, a była o tym mocno przekonana, mogli okazać się cennymi sprzymierzeńcami, jak jednak miała się do nich zbliżyć? Z pewnością nie mówili tym samym językiem i ludzie byli dla nich równie nieznani jak oni dla niej.

Zdecydowała, że najlepiej będzie po prostu przyczać się i pozwolić im przejść. Catti-brte nigdy jednak nie doceniła wyjątkowości infrawizji i nie doceniała w pełni, że siedząc pomiędzy chłodnymi stalagmitami ma temperaturę ciała o kilkanaście stopni wyższą niż skały i praktycznie błyszczy się w widzących ciepło oczach svirfnebli.

Jeszcze gdy młoda kobieta kuciała i czekała, głębinowe gnomy rozeszły się po tunelach wokół niej, starając się określić, czy ta drowka (bowiem Catti-brie wciąż miała na sobie magiczną maskę) była sama, czy też jest częścią większej grupy. Minęło kilka minut. Catti-brie spojrzała na swoją dłoń, sądząc, że wyczuła coś w kamieniu, być może lekkie wibracje. Młoda kobieta wciąż wpatrywała się z ciekawością na swą mrowiącą rękę. Nie wiedziała, że głębinowe gnomy porozumiewają się w sposób będący częściowo telepatią, częściowo telekinezą, wysyłając swe wzorce myślowe do innych poprzez skały i że czuła dłoń może wykryć wibracje.

Nie wiedziała, że krótkie mrowienie było potwierdzeniem od zwiadowców, że klęcząca za stalagmitami drowka rzeczywiście była sama.

Jeden ze znajdujących się w przedzie svirfnebli rzucił się nagle do działania, wyśpiewując kilka słów, których Catti-brie nie rozumiała, i ciskając w jej stronę kamień. Pochyliła się niżej dla osłony i próbowała zdecydować, czy wołać, że się poddaje, czy też wyciągnąć łuk i starać się przestraszyć stworzenia.

Kamień wylądował w nieszkodliwej odległości i roztrzaskał się, jego odłamki rozsypały się na małym obszarze przed kępą stalagmitów. Zaczęły dymić i syczeć, a ziemia zatrzęsała się.

Zanim Catti-brie zorientowała się, co się dzieje, skała przed nią uniosła się niczym gigantyczna bańka, po czym przyjęła kształt wielkiego, pięciometrowego humanoida, na szerokość wypełniającego praktycznie cały korytarz. Stwór miał ogromne, skaliste ręce, którymi mógłby roztrzaskać budynek. Dwa przednie stalagmity uczestniczyły w procesie tworzenia potwora i służyły teraz za niebezpieczne szpikulce wystające z jego masywnej piersi.

W dalszej części korytarza głębinowe gnomy wydały z siebie okrzyki bojowe - odbijające się echem wszędzie dookoła wystraszonej kobiety.

Catti-brie rzuciła się do tyłu, gdy gigantyczna ręka zamachnęła się, strącając czubek jednego ze stalagmitów. Upuściła onyksową figurkę i z desperacją zawołała Guenhwyvar, jednocześnie zakładając strzałę na cięciwę.

Żywiołak ziemi przesunął się do przodu, a jego potężne nogi zlewały się ze skalnymi stalagmitami, prześlizgiwały się pomiędzy nimi. Znów próbował chwycić kobietę, jednak jego kamienną twarz przebiła srebrna strzała, wywołując pęknięcie pomiędzy oczyma potwora.

Stwór wyprostował się i zatoczył, po czym za pomocą dłoni znów złączył głowę w jedną całość. Spojrzał z powrotem na stalagmity i ujrzał nie drowkę, lecz wielkiego kota, przykucniętego na tylnych łapach.

Catti-brie wyłoniła się zza kępy, zamierzając uciekać, ze wszystkich bocznych tuneli wyłaniały się jednak głębinowe gnomy. Pobieгла wzdłuż głównego korytarza, przemykając od pagórka do pagórka w poszukiwaniu osłony i nie ośmielając się zerkać za siebie na Guenhwyvari żywiołaka. Wtedy coś uderzyło ją mocno w goleń. Rozłożyła się na ziemi. Obróciła się szybko i ujrzała kolejnego ze svirfnebli podnoszącego się zza pagórka, z kilofem wciąż ustawionym tak, jakby się o niego właśnie potknęła.

Catti-brie podniosła łuk i przeszła do pozycji siedzącej, jednak broń została jej wytracona. Instynktownie przetoczyła się na bok, usłyszała jednak szuranie stóp, gdy trzy gnomy dotrzymywały jej kroku, z młotami uniesionymi wysoko, by ją zmiażdżyć.

Guenhwyvar parsknęła i skoczyła, zamierzając przelecieć obok behemota i obrócić go. Żywiołak był jednak szybszy niż pantera się spodziewała i wielka kamienna ręka wystrzeliła w powietrze, chwytając kocicę w locie i przyciągając ją do masywnej piersi. Guenhwyvar zawyła, gdy szpikulec stalagmitu wbił jej się w bark, a głębinowe gnomy, biegnące obok swego bohatera, również wrzasnęły, z radości, że drowka i jej nieoczekiwana sojuszniczka wkrótce zostaną pokonane.

Młot opadł w stronę głowy Catti-brie. Wyszarpnęła swój krótki miecz i przechwyciła go pomiędzy rączką a głowicą, odbijając wystarczająco mocno, by brzęknął głośno o podłogę. Młoda kobieta gorączkowo parowała, starając się wystarczająco odsunąć od gnomów, by móc wstać, napastnicy doganiali ją jednak, wymachując swymi młotami w krótkich, wymierzonych uderzeniach, by szybko męcząca się mroczna elfka nie miała możliwości do czystego kontrataku.

Widok wspaniałej pantery, która miała zaraz zostać całkowicie przebita i zmiażdżona, sprowadził na garstkę podążających śladem potwora syirmebli dreszczyk zwycięstwa, jednak u dwóch innych spowodował jedynie zakłopotanie. Tych dwóch, nazywających się Seldig i Pumatko, bawiło się w młodości z taką panterą, a w związku z tym, że Drizzt Do'Urden, drowrenegat, u którego boku bawili się niemal trzydzieści lat temu, właśnie opuścił Blingdenstone, czuli, że pojawienie się pantery nie może być zbiegiem okoliczności.

- Guenhwyvar! - krzyknął Seldig, a pantera ryknęła w odpowiedzi.

Imię, tak doskonale wypowiedziane, ugodziło silnie Catti-brie i spowodowało, iż trzy głębinowe gnomy wokół niej również się zawahały.

Pumatko, który przyzwał żywiołaka, kazał potworowi stać spokojnie, a Seldig szybko wykorzystał swój kilof, by wspiać się częściowo na behemota. - Guenhwyvar? - zapytał kilka kroków od pyska pantery. Uszy uwięzionej kocicy podniosły się i spojrzała prosząco na całkiem znajomego gнома.

- Kto to jest? - spytał Pumatko, pokazując na Catti-brie.

Choć nie rozumiała nawet jednego ze słów svirfnebli, Catti-brie zdała sobie sprawę, że nie będzie miała lepszej okazji. Upuściła miecz na kamienie, podniosła wolną rękę i ściągnęła magiczną maskę, a jej rysy natychmiast powróciły do twarzy młodej, ludzkiej kobiety. Trzy głębinowe gnomy

obok niej krzyknęły i rzuciły się w tył, z niezbyt uprzejmymi, kwaśnymi minami, jakby jej nowy wygląd był dość paskudny jak na ich standardy.

Pumkato zdobył się na odwagę, by podejść i stanąć przed nią.

Znał on jedno imię, uświadomiła sobie Catti-brie, i miała nadzieję, że być może rozpozna drugie. Wskazała na siebie, po czym rozłożyła szeroko ręce i przyciągnęła je do siebie, jakby kogoś obejmowała. - Drizzt Do'Urden? - spytała.

Szare oczy Pumkato otworzyły się szeroko, po czym przytaknął, choć nie powinien być zdumiony. Opanowując swój wstręt dla ludzkiego wyglądu, gnom wyciągnął rękę i pomógł Catti-brie wstać.

Catti-brie podniosła figurkę i odprawiła Guenhwyvar. Pumkato również odesłał swego żywiołaka z powrotem w skały.

* * *

- Kolsen 'shea orbb - Jarlaxle wyszeptał tajemne zdanie, rzadko wypowiedane w Menzoberranzan, które można było z grubsza przetłumaczyć jako „wrywanie nóg pajakowi”.

Wydawało się, że lita ściana, która stała przed najemnikiem, zareagowała na hasło. Przesunęła się i zmieniła w pajęczynę, po czym zwinęła na zewnątrz, jej pasma zbiły się ze sobą, by pozostawić otwór, przez który mógł przejść najemnik wraz ze swoją eskortą.

Nawet Jarlaxle, zwykle będący o krok przed innymi drowami, był dość zaskoczony - przyjemnie zaskoczony - widząc Triel Baenre czekającą w znajdującym się dalej małym gabinecie w prywatnych komnatach Grompha Baenre w Sorcere, szkole magii w akademii drowów. Jarlaxle miał nadzieję, że Gromph będzie tu świadkiem jego powrotu, lecz Triel była jeszcze lepsza.

Entreri wszedł za najemnikiem i roztropnie stanął z tyłu w zasięgu wzroku kapryśnej Triel. Zabójca rozejrzał się po intrygującym pomieszczeniu, na stałe zalanym delikatnym, niebieskawym światłem, jak większa część wieży czarodziejów. Wszędzie walały się pergaminy, na biurku, na trzech krzesłach, na podłodze. Wzdłuż ścian stały półki zawierające tuziny dużych, zakrytych butelek oraz mniejszych pojemników w kształcie klepsydr, z których zdjęto przykrywki, a obok położono zapieczętowane paczuski. Wśród całej tej kotłowaniny leżały dziesiątki innych zagadkowych rzeczy, zbyt dziwnych, by mieszkaniec powierzchni mógł choć odgadywać ich przeznaczenie.

- Sprowadzasz colnbluth do Sorcere? - zapytała Triel, a jej brwi uniosły się w zdumieniu.

Entreri uważał, by kierować wzrok w podłogę, choć zdołał zerknąć kilkakrotnie na córkę Baenre.

Nie widział Triel nigdy dotąd w tak silnym świetle i teraz sądził, że nie jest taka piękna jak na standardy drowów. Była za niska i zbyt przysadzista w ramionach jak na jej bardzo wyraziste rysy twarzy. Zdumiewało zabójcę, iż Triel osiągnęła tak wysoką pozycję wśród drowów, rasy ceniącej fizyczne piękno. Uznał, że jej potęga wynika z tego, że jest córką Baenre.

Entreri nie rozumiał wiele z języka drowów, choć zdawał sobie sprawę, iż Triel właśnie go chyba obraziła. Normalnie zabójca odpowiadał na obelgi bronią, jednak nie tutaj, nie tak daleko od swojego żywiołu i nie wobec niej. Jarlaxle dziesiątki razy ostrzegał Entreriego przed Triel. Szukała powodu, by go zabić -niegodziwa córka Baenre zawsze szukała powodów, by zabić każdego colnbluth, a także paru drowów.

- Sprowadzam go w wiele miejsc - odpowiedział Jarlaxle. -Nie sądziłem, by twój brat miał coś przeciwko temu.

Triel rozejrzała się po pokoju, po osławionym biurku z wypolerowanych krasnoludzkich kości oraz stojącym za nim wyściełanym fotelu. Nie było tu przejść do żadnych innych pomieszczeń, żadnych widocznych kryjówek, nie było też Grompha.

- Gromph musi tu być - stwierdził Jarlaxle. - Inaczej dlaczego mistrzyni opiekunka Arach-Tinilith byłaby w tym miejscu? To jest naruszenie zasad, z tego co pamiętam, wykroczenie przynajmniej równie poważne, jak sprowadzenie przeze mnie do Sorcere nie-drowa.

- Uważaj, gdy kwestionujesz czyny Triel Baenre - odparła niska kapłanka.

- Asanque - odrzekł z niskim ukłonem Jarlaxle. Było to dość dwuznaczne słowo, mogące oznaczać, jak sobie życzysz" albo „również".

- Dlaczego tu jesteś? - zapytała Triel.

- Wiedziałaś, że przyjdę - stwierdził Jarlaxle.

- Oczywiście - odpowiedziała z chytrą miną Triel. - Wiem o wielu rzeczach, chcę jednak usłyszeć od ciebie wyjaśnienie, dlaczego wszedłeś do Sorcere przez prywatne drzwi zarezerwowane dla rektorów, na dodatek do prywatnych kwater arcymaga miasta.

Jarlaxle sięgnął pomiędzy fałdy swego czarnego płaszcza i wyciągnął dziwną, pajęczą maskę, magiczny przedmiot przenoszący go przez zakłete ogrodzenie domu Baenre. Rubinowoczerwone oczy Triel poszerzyły się.

- Twoja matka poleciła mi, abym zwrócił to Gromphowi - powiedział dość kwaśno najemnik.

- Tutaj? - nie dowierzała Triel. - Ta maska należy do domu Baenre.

Jarlaxle nie mógł ukryć lekkiego uśmiechu i spojrzał na Entreriego, w nadziei że zabójca rozumie

coś z tej rozmowy.

- Gromph ją odzyska - odpowiedział Jarlaxle. Podeszedł do biurka z kości krasnoludów, wypowiedział pod nosem odpowiednie słowo i szybko wsunął maskę do szuflady, choć Triel zaczęła protestować. Zbliżyła się do biurka i przyjrzała się podejrzliwie zamkniętej szufladzie. Gromph założył w niej wyraźnie pułapkę i strzegł jej jakimś sekretnym hasłem.

- Otwórz ją- poleciała Jarlaxle'owi. - Przechowam maskę dla Grompha.

- Nie mogę - skłamał Jarlaxle. - Hasło zmienia się po każdym użyciu. Dostałem tylko jedno. - Jarlaxle wiedział, że gra tu w niebezpieczną grę, jednak Triel i Gromph rzadko rozmawiali ze sobą, zaś Gromph, zwłaszcza w tych dniach, przy wszystkich mających miejsce w domu Baenre przygotowaniach, rzadko odwiedzał swe biuro w Sorcere. Tym, czego Jarlaxle teraz potrzebował, było pozbyć się maski - otwarcie, aby nie mogła być z nim w żaden sposób powią-

zana. Pajęczna maska była jedyną rzeczą w całym Menzoberranzan, wliczając w to czary, która potrafiła przenieść kogoś za magiczne ogrodzenie domu Baenre, a jeśli wydarzenia podążą torem, którego Jarlaxle się spodziewał, maska mogła stać się wkrótce ważnym elementem - i dowodem.

Triel zaśpiewała cicho i dalej wpatrywała się w zamkniętą szufladę. Rozpoznawała zawiłe wzory magicznej energii, glify i znaki, były jednak splecione zbyt mocno, by mogła je łatwo rozplatać. Jej magia należała do najsilniejszych w Menzoberranzan, jednak Triel obawiała się występować przeciwko magicznej potędze swego brata. Skierowawszy na przebiegłego najemnika groźne spojrzenie, przeszła z powrotem przez pokój i stanęła koło Entreriego.

- Spójrz na mnie - powiedziała we wspólnej mowie powierzchni, co zdumiało zabójcę, bowiem niewielu drowów w Menzoberranzan mówiło tym językiem.

Entreri uniósł wzrok, by spojrzeć w wyraziste oczy Triel. Starał się zachować spokój, starał się wyglądać na ujarzmionego, złamanego duchem, jednak Triel była zbyt spostrzegawcza na takie fasady. Ujrzała w zabójcy siłę i uśmiechnęła się, jakby to doceniała.

- Co wiesz o tym wszystkim? - spytała.

- Wiem tylko to, co mówi mi Jarlaxle - odparł Entreri, po czym opuścił swą fasadę i spojrzał stanowczo na Triel. Jeśli życzyła sobie pojedynku woli, to zabójca, który przetrwał i prosperował na najbardziej niebezpiecznych ulicach Faerunu, nie cofnie się.

Triel przez krótką chwilę dorównywała jego wzrokowi i nabrała przekonania, że nie uda jej się wykorzystać tego umiejętnego przeciwnika. - Idźcie stąd - powiedziała do Jarlaxle'a, wciąż używając języka powierzchni.

Jarlaxle przemknął obok córki Baenre, po drodze chwytając Entreriego. - Szybko - stwierdził najemnik. - Musimy znaleźć się daleko od Sorcere, zanim Triel sprawdzi tę szufladę! - Z tymi słowami przeszli przez pającze drzwi, które szybko zamknęły się za nimi w litą ścianę, blokując strumień klątw Triela.

Córka Baenre była jednak bardziej zaintrygowana niż rozwścieczona. Zauważyła trzy zbiegające się tutaj ścieżki: jej, jej matki, a teraz najwyraźniej również Jarlaxle'a. Wiedziała, że najemnik ma coś namyśli, coś, w co jest wmieszany Artemis Entreri.

* * *

Gdy byli już bezpiecznie daleko od Tier Breche i akademii, Jarlaxle przetłumaczył Entreriemu co się stało.

- Nie powiedziałaś jej o zbliżającym się przybyciu Drizzta -stwierdził zabójca. Sądził, że właśnie ten drobny skrawek informacji był istotą krótkiej rozmowy z Triel, jednak najemnik nic o tym nie powiedział.

- Triel ma własne sposoby zdobywania informacji i - odparł Jarlaxle. - Nie zamierzam ułatwiać jej zadania, nie bez sporego i uzgodnionego zysku.

Entreri uśmiechnął się, po czym przygryzł dolną wargę, przetrawiając słowa najemnika. W tym piekielnym mieście zawsze tak wiele się działo, zamyślił się zabójca. Nic dziwnego, że Jarlaxle tak uwielbiał to miejsce! Entreri niemal żałował, że nie jest drowem, wtedy bowiem mógłby zdobyć sobie pozycję podobną do Jarlaxle'a, stąpając po krawędzi katastrofy. Niemal.

- Kiedy opiekunka Baenre poleciła ci, żebyś zwrócił maskę? -zapytał zabójca. On i Jarlaxle byli przez jakiś czas poza Menzoberranzan, udali się do zewnętrznych jaskiń, by spotkać się z informatorem svirfnebli. Wrócili zaledwie na krótko przed wyprawą do Sorcere, a Jarlaxle, z tego co wiedział Entreri, nie udał się nigdzie w pobliże domu Baenre.

- Jakiś czas temu - odrzekł Jarlaxle.

- Żebyś przyniósł ją do akademii? -naciskał Entreri. To wszystko wydawało mu się być nie na miejscu. I dlaczego Jarlaxle zabrał go ze sobą? Nigdy wcześniej nie został zaproszony do tak ważnego miejsca, a nawet raz mu odmówiono, kiedy poprosił Jarlaxle'a, by mógł towarzyszyć mu do Melee-Magthere, szkoły wojowników. Najemnik wyjaśnił, że rozmawianie tam z colnbluth, niedrowem, byłoby ryzykowne, teraz jednak, z jakiegoś powodu, Jarlaxle uznał za odpowiednie, by zabrać Entreriego do Sorcere, zdecydowanie najniebezpieczniejszej szkoły.

- Nie określiła, gdzie ma być zwrócona - przyznał Jarlaxle.

Entreri nic nie odrzekł, choć zdawał sobie sprawę z prawdziwości tej odpowiedzi. Pajęcza maska była cioną własnością klanu Ba-enre, potencjalnym słabym punktem w jego solidnej osłonie. Powinna znajdować się w zabezpieczonym miejscu w domu Baenre i nigdzie indziej.

- Głupia Triel - stwierdził od niechcienia Jarlaxle. - To samo słowo, asangue, otworzyłoby jej tamtą szufladę. Powinna wiedzieć, że jej brat jest na tyle zarozumiały, by uważać, że nikt nie spróbuje mu niczego ukraść, nie spędzał więc czasu nad sztuczkami z hasłem.

Najemnik roześmiał się, a Entreri dołączył zaraz do niego, choć był bardziej zaintrygowany niż rozbawiony. Jarlaxle rzadko robił, bądź mówił coś bezcelowo, i powiedział mu o tym wszystkim z jakiegoś powodu.

Ale z jakiego?

ROZDZIAŁ 16

MENZOBERRANZAN

Tratwa sunęła powoli przez Donigarten, małe, ciemne jezioro na wschodnim krańcu wielkiej jaskini, mieszczącej w sobie Menzoberranzan. Drizzt siedział na dziobie, spoglądając na zachód, gdy grotła otwierała się przed nim szeroko, jednak, przy jego infrawizji, obraz wydawał się dziwnie zamglony. Drizzt z początku tłumaczył to ciepłymi prądami w jeziorze i nie poświęcał większej uwagi. Był zajęty, jego umysł w równym stopniu oglądał teraźniejszość, co przeszłość, chwiał się pod zalewem kłębiących się wspomnień.

Rytmiczne pojękiwania znajdujących się za nim orkowych wioślarzy pozwoliły mu odnaleźć spokój, dzięki czemu wspomnienia płynęły jedno za drugim.

Tropiciel zamknął oczy i zdecydował się na zmianę z wyczuwającej ciepło infrawizji na spektrum zwyczajnego światła. Pamiętał splendor stalagmitowych i stalaktytowych struktur Menzoberranzan, ich zawile i umiejętnie wykonane kształty podkreślone jaśniejącym purpurowym, niebieskim i czerwonym ogniem faerie.

Nie był przygotowany na to, co ujrzał, gdy otworzył oczy. Miasto było pełne światła! Nie tylko ognia faerie, lecz migoczących, żółtych i białych punktów, światła pochodni oraz jaskrawych zaklęć. Przez bardzo krótką chwilę Drizzt pozwolił sobie wierzyć, iż obecność światła może wskazywać na zmianę mrocznych zwyczajów drowow. Zawsze łączył wieczny mrok Podmroku z mrocznym charakterem swego ludu, a przynajmniej uważał ciemność za odpowiedni rezultat mrocznych zasad drowow.

Dlaczego światła? Drizzt nie był na tyle zarozumiały, by sądzić, że ich obecność może być w jakiś sposób powiązana z polowaniem na niego. Nie uważał, że był tak ważny dla drowow, i podejrzewał, że dzieje się coś paskudnego. (Nie miał pojęcia, że planuje się najazd na powierzchnię na pełną skalę.) Chciał w tej kwestii wypytać kogoś z pozostałych drowow - zwłaszcza kobieta miała najprawdopodobniej jakieś informacje -jak jednak mógł poruszyć temat bez zdradzania, że jest

osobą zewnątrz?

Jakby na zawołanie, kobieta znalazła się u jego boku, siadając niewygodnie blisko.

- Dni na Wyspie Rothów są długie - powiedziała nieśmiało, a w jej płonących czerwienią oczach widniało wyraźne zauroczenie.

- Nigdy nie przywyknę do światła - odparł Drizzt, zmieniając temat i spoglądając z powrotem na miasto. Jego oczy wciąż funkcjonowały w normalnym spektrum i miał nadzieję, że jego słowa pozwolą rozpocząć rozmowę w tej kwestii. - Kłuje mnie w oczy.

- Oczywiście, że kłuje - wymruczała kobieta, przysuwając się, a nawet biorąc go pod rękę. - Przywykniesz jednak w swoim czasie.

W swoim czasie? W czasie na co? - chciał zapytać Drizzt, z jej tonu wnioskował jednak, że ma na myśli jakieś ważne wydarzenie. Nie miał jednak pojęcia, jak zacząć pytanie, a gdy kobieta przysuwała się coraz bliżej, uznał, że ma bardziej istotne problemy.

W kulturze drowow mężczyźni byli podrzędni i odrzucenie zalotów kobiety mogło spowodować poważne kłopoty. - Jestem Khareesa - wyszeptała mu do ucha. - Powiedz, że chcesz być moim niewolnikiem.

Drizzt podskoczył nagle i wyszarpnął swoje sejmitary z pochew. Odwrócił się od Khareesy, skupiając swą uwagę na jeziorze, by upewnić się, że zrozumiiała, iż nie stanowi dla niej zagrożenia.

- O co chodzi? - zapytała zaskoczona kobieta.

- Poruszenie w wodzie - skłamał Drizzt. - Słaby dolny prąd, jakby coś dużego przepłynęło pod naszą tratwą. - Khareesa skrzywiła się, lecz wstała i spojrzała w ciemne jezioro. Było powszechnie wiadomo w Menzoberranzan, że pod wodami Donigarten zamieszkiwały mroczne istoty. Jedną z ulubionych zabaw strażników niewolników było zmuszanie goblinów oraz orków, by płynęły z wyspy na brzeg, by sprawdzić, czy któryś z nich zostanie wciągnięty w czarną otchłań.

Minęło cicho kilka chwil i jedynym rozlegającym się dźwiękiem był ciągły, jękliwy śpiew orków siedzących po bokach tratwy.

Do Drizzta i Khareesy dołączył na dziobie trzeci drow, spoglądając na świecący się niebiesko sejmitar. - Wystawiasz nas na cel każdemu wrogowi w okolicy - jego dłonie zasygnalizowały w mowie znaków.

Drizzt schował sejmitary i pozwolił, by jego oczy znów przeszły na infrawizję. - Jeśli nasi wrogowie są pod wodą, to ruch tratwy wystawia nas na cel bardziej niż jakiegokolwiek światło - odpowiedziały jego ręce.

- Nie ma wrogów - dodała Khareesa, wskazując, by trzeci drow wrócił na swoje stanowisko. Kiedy odszedł, skierowała na Drizzta lubieżne spojrzenie. - Wojownik? - spytała, patrząc uważnie na purpurookiego mężczyznę. - Może dowódca patrolu?

Drizzt przytaknął i nie było to kłamstwo. Rzeczywiście był dowódcą patrolu.

- Dobrze - stwierdziła Khareesa. - Lubię mężczyzn, którzy są warci wysiłku. - Podniosła wtedy wzrok, zauważając, że zbliżają się szybko do Wyspy Rothów. - Porozmawiamy później. - Następnie odwróciła się i odeszła, zakładając ręce na plecy, by jej szaty podciągnęły się wysoko na kształtnych nogach.

Drizzt skrzywił się, jakby został uderzony w twarz. Rozmawianie było ostatnią rzeczą, jaką Khareesa miała na myśli. Nie mógł zaprzeczyć, jej rysy były jak wyrzeźbione, miała gęste zadbane włosy oraz zgrabne ciało. Podczas lat spędzonych wśród drowów Drizzt Do'Urden nauczył się jednak patrzeć poza fizyczne piękno i zauroczenie. Nie oddzielał formy fizycznej od emocjonalnej. Był doskonałym wojownikiem, ponieważ walczył całym swoim sercem, i w równym stopniu nie stanąłby do walki dla samej walki, jak nie kochałby się z kimś dla samego fizycznego aktu.

- Później - powtórzyła Khareesa, zerkając przez swoje delikatne, kształtne ramię.

- Gdy robaki zjedzą twoje kości - Drizzt wyszeptał przez udawany uśmiech. Z jakiegoś powodu pomyślał wtedy o Catti-brie i ciepło tego obrazu odepchnęło na bok chłód spragnionej drowki.

* * *

Blingdenstone oczarowało Catti-brie pomimo jej oczywistych kłopotów oraz faktu, że svirfnebli nie traktowali jej jak dawno zaginionej przyjaciółki. Rozebrana ze swojej broni, pancerza, biżuterii, a nawet butów, została zabrana do miasta jedynie w podstawowym ubraniu. Gnomia eskorta nie obrażała jej, jednak nie była też miła. Związali jej ciasno ręce w łokciach i ciągnęli ją wąskimi, kamienistymi drózkami obronnych przedsiónek miasta.

Zdjąwszy kobiecie z głowy opaskę, gnomy z łatwością odgadły jej funkcję i zaraz za przedsiónkami oddali Catti-brie jej cenną własność. Drizzt opowiadał jej o tym miejscu, o tym jak głębinowe gnomy potrafiły wtopić się w swoje środowisko, nigdy nie wyobrażała sobie jednak, iż słowa drowa niosą w sobie tak wiele prawdy. Krasnoludy były górnikami, najlepszymi na świecie, lecz głębinowe gnomy wykraczały poza ten opis. Wydawało się, że były częścią skał, stanowiły z nimi jedność. Ich domy mogłyby być przypadkowo stłoczonymi głazami po jakiejś dawnej erupcji wulkanu, a ich korytarze krętymi korytami pradawnych rzek.

Gdy Catti-brie była wprowadzana do właściwego miasta, podążały za nią dziesiątki par oczu. Zdawała sobie sprawę, iż jest najprawdopodobniej pierwszym człowiekiem, którego widzą svirfnebli, i nie przeszkadzało jej ich zaciekawienie, bowiem ona była nie mniej oczarowana przez

svirfnebli. Ich rysy, w dzikich tunelach wydające się tak szare i ponure, teraz wyglądały łagodniej, milej. Zastanawiała się, jak na twarzy svirfnebli może wyglądać uśmiech i chciała to zobaczyć. To byli przyjaciele Drizzta, wciąż przypominała sobie, i uspokajała ją ich ocena przez tropiciela.

Została zaprowadzona do małego, okrągłego pomieszczenia. Strażnik wskazał jej, by usiadła na jednym z trzech kamiennych foteli. Catti-brie uczyniła to z wahaniem, przypominała sobie bowiem opowieść Drizzta, jak to fotel svirfnebli magicznie go uwięził.

Nic takiego się teraz jednak nie stało i chwilę później do środka wszedł bardzo niezwykły gnom, z magicznym medalionem z wizerunkiem Drizzta zwisającym z końca mithrilowego kilofa.

- Belwar - stwierdziła Catti-brie, nie mogło być bowiem dwóch gnomów, którzy tak idealnie odpowiadałoby podanemu przez Drizzta opisowi jego drogiego przyjaciela svirfnebli.

Wielce szanowany nadzorca kopaczy zatrzymał się gwałtownie i spojrzał podejrzliwie na kobietę, najwyraźniej zbity z tropu, że go rozpoznała.

- Drizzt... Belwar - powiedziała Catti-brie, znów owijając się rękoma, jakby kogoś ścisnęła. Wskazała na siebie i rzekła: - Catti-brie... Drizzt - po czym powtórzyła ruch.

Nie znali nawet dwóch wspólnych słów, jednak po krótkim czasie, używając gestów i języka ciała, Catti-brie przekonała do siebie nadzorcę kopaczy, a nawet wyjaśniła mu, że szuka Drizzta.

Nie spodobała jej się ponura mina, jaką Belwar przybrał po tym stwierdzeniu, a jego wyjaśnienie, jedna nazwa, nazwa miasta drowów, nie dodawało otuchy. Drizzt poszedł do Menzoberranzan.

Dostała posiłek z gotowanych grzybów oraz jakichś roślinopodobnych porostów, których nie знаła, po czym oddano jej rzeczy, w tym medalion i onyksową panterę, lecz nie magiczną maskę.

Następnie została zostawiona sama, wydawałoby się przez godziny. Siedziała w oświetlonej blaskiem gwiazd ciemności, w ciszy błogosławiąc Alustriel za jej cenny dar i zastanawiając się, jak nieszczęsna byłaby ta wyprawa bez Kociego Oka. Nawet nie ujrzałaby Belwara, by go rozpoznać!

Jej myśli wciąż skierowane były na Belwara, gdy w końcu wrócił wraz z dwoma innymi gnomami w długich, miękkich szatach, zdecydowanie nietypowych dla grubych, skóropodobnych, naszywanych metalowymi płytkami ubiorów tej rasy. Catti-brie uznała, iż ci dwaj muszą być kimś ważnym, być może doradcami.

- Firble - wyjaśnił Belwar, wskazując na jednego ze svirfnebli, tego, który nie wyglądał na zadowolonego.

Chwilę później Catti-brie dowiedziała się dlaczego, bowiem Belwar wskazał na nią, następnie na Firble'a, po czym na drzwi, i wypowiedział długie zdanie, z którego zrozumiała tylko jedno słowo: Menzoberranzan.

Firble pokazał jej gestem, by poszła za nim, najwyraźniej niecierpliwiąc się, by wyruszyć w drogę, a Catti-brie, choć wolałaby zostać w Blingdenstone i dowiedzieć się więcej o intrygujących svirfnebli, posłusznie się zgodziła. Drizzt i tak był już za daleko przed nią. Wstała z fotela i zaczęła wychodzić, jednak kilof Belwara chwycił ją za ramię, odwróciła się więc do nadzorca kopaczy.

Wyciągnął zza pasa magiczną maskę i podał jej ją. - Drizzt -powiedział, wskazując swym młotem na jej twarz. - Drizzt.

Catti-brie przytaknęła, rozumiejąc, iż nadzorca kopaczy uważał za rozsądne, by wyglądała jak drowka. Odwróciła się do wyjścia, lecz kierowana nagłym impulsem obróciła się z powrotem i pocałowała Belwara lekko w policzek. Uśmiechając się z wdzięcznością, młoda kobieta wyszła z budynku, a następnie, podążając za Firblem, z Blingdenstone.

- Jak przekonałeś Firble'a, by zgodził się zabrać ją do miasta drowów? - zapytał drugi doradca nadzorcę kopaczy, gdy zostali sami.

- Bivrip! - krzyknął Belwar. Stuknął o siebie swymi mithrilo-wymi dłońmi i natychmiast wyleciały z nich iskry oraz promienie energii. Spojrzał krzywo na doradcę, który roześmiał się piskliwie, jak to svirfnebli. Biedny Firble.

* * *

Drizzt cieszył się, że może eskortować grupę orków w z powrotem z wyspy na ląd, jeśli choć w ten sposób mógł uniknąć ochoczej Khareesy. Obserwowała go z brzegu, a wyraz jej twarzy był czymś pomiędzy nadąsaniem a oczekiwaniem, jakby chciała powiedzieć, że Drizzt może uciekł, ale tylko na jakiś czas.

Zostawiwszy za sobą wyspę, Drizzt wyrzucił z umysłu wszelkie myśli o Khareesie. Jego zadanie oraz niebezpieczeństwa leżały przed nim, w samym mieście, i szczerze nie wiedział, gdzie powinien zacząć szukać odpowiedzi. Obawiał się, że to wszystko skończy się jego kapitulacją, że będzie musiał oddać siebie, by ochronić swych przyjaciół.

Pomyślał o Zaknafeinie, swym ojcu i przyjacielu, który zamiast niego został poświęcony złej Pajęczej Królowej. Pomyślał o Wulfgarze, swym straconym przyjacielu, i wspomnienia o młodym barbarzyńcy umocniły Drizta w jego przekonaniach.

Nie dał żadnych wyjaśnień zaskoczonym strażnikom niewolników, którzy na plaży oczekiwali na tratwę. Sama jego mina mówiła im, żeby go nie wypytywali, gdy przechodził obok ich obozu.

Wkrótce poruszał się z łatwością, ostrożnie, krętymi drogami Menzoberranzan. Minął blisko paru mrocznych elfów, przeszedł pod więcej niż zaciekawionym spojrzeniem wielu strażników domowych, trzymających wartę na swych tarasach na zboczach wydrążonych stalaktytów. Drizzt niósł

w sobie irracjonalną myśl, że może zostać rozpoznany, i musiał sobie wielokrotnie powtarzać, że nie było go w Menzoberranzan przez ponad trzydzieści lat, że Drizzt Do'Urden, a nawet dom Do!Urden, to już tylko część historii Menzoberranzan.

Jednak, jeśli była to prawda, to dlaczego był tutaj, w tym miejscu, w którym nie chciał być?

Drizzt żałował, że nie ma piwafwi, czarnego płaszcza drowów. Jego zielone jak las okrycie, grube i ciepłe, było lepiej przystosowane do środowiska świata zewnętrznego i w oczach obserwatorów mogło łączyć go z tym rzadko widywanym miejscem. Opuścił nisko kaptur i szedł dalej. Wierzył, że będzie to jedna z jego licznych wypraw do właściwego miasta, podczas których znów będzie przyzwyczajając się do krętych alejek i mrocznych ścieżek.

Migotanie światła za zakrętem zdumiało go, zapiekło jego wyczuwające ciepło oczy. Przycisnął się do ściany stalagmitu, z jedną dłonią pod płaszczem, trzymając rękojęć Błysku.

Zza zakrętu wyłoniło się czterech drowów, rozmawiających swobodnie i nie zwracających uwagi na Drizzta. Mieli na sobie symbol domu Baenre, co Drizzt zauważył, gdy jego wzrok powrócił do zwyczajnego spektrum, a jeden z nich niósł pochodnię!

Niewiele z tego, co Drizzt doświadczył w całym swoim życiu, wydawało się dla niego być tak nie na miejscu. Dlaczego? - pytał się raz za razem czując, że to wszystko jest w jakiś sposób z nim powiązane. Czy drowy przygotowywały atak na jakieś miejsce na powierzchni?

Myśl ta wstrząsnęła Drizztem aż do szpiku kości. Żołnierze domu Baenre noszący pochodnie, przyzwyczajający swe podmroczne oczy do światła. Drizzt nie wiedział, co o tym myśleć. Uznał, że wróci na Wyspę Rothów, uważał bowiem, że to leżące na uboczu miejsce było znacznie bezpieczniejszą bazą wypadową niż jakiegokolwiek inne miejsce w mieście. Być może uda mu się wyciągnąć od Khareesy informacje na temat znaczenia tych świateł, aby następna podróż do miasta okazała się bardziej owocna.

Przemykał przez miasto, z opuszczonym kapturem, myślami skierowanymi do wewnątrz, nie zauważając śledzących go cieni. Niewielu w Menzoberranzan zauważało Bregan D'aerthe.

* * *

Catti-brie nigdy nie widziała czegoś tak tajemniczego i wspaniałego, a w gwiazdnym świetle jej wzroku blask stalagmitowych wież oraz wiszących stalaktytów wydawał jej się jeszcze cudowniejszy. Ognie faerie podświetlały w Menzoberranzan tysiące wspaniałych płaskorzeźb, niektórych o określonych kształtach (głównie pajaków), innych zaś o swobodnych formach, surrealistycznych i pięknych. Zdecydowała, że w innych okolicznościach przywykłyby do życia tutaj.

Chciałaby być odkrywczynią badającą puste Menzoberranzan, aby móc bezpiecznie badać i pochłaniać dzieła i zabytki drowów.

Bowiem, choć wspaniałość miasta drowów robiła na niej ogromne wrażenie, była szczerze przerażona. Wokół niej znajdowało się dwadzieścia tysięcy drowów, dwadzieścia tysięcy śmiertelnych przeciwników.

Jakby opierając się temu strachowi, młoda kobieta ścisnęła mocno magiczny medalion Alustriel i pomyślała o zamkniętym w nim obrazie, o Drizzcie Do'Urdenie. Wierzyła, że był tutaj, gdzieś blisko, a jej przypuszczenia zostały potwierdzone, gdy medalion stał się nagle ciepły.

Następnie ochłódł. Catti-brie przemieszczała się metodycznie, kierując z powrotem na północ, do sekretnych tuneli, którymi doprowadził ją tu Firble. Medalion pozostał zimny. Przesunęła się w prawo i stanęła twarzą ku zachodowi, patrząc na znajdującą się niedaleko rozpadlinę - nazywaną Szponoszczeliną- oraz na znajdujący się dalej wyższy poziom. Następnie obróciła się na południe, do najwyższej i najwspanialszej części, oceniając po zawiłych lśniących wzorach, medalion wciąż pozostawał zimny, po czym zaczął się ocieplać, gdy kobieta kontynuowała obrót, spoglądając za najbliższe stalagmitowe kopce na względnie pusty obszar na południu.

Drizzt był tam, na wschodzie. Catti-brie wzięła głęboki oddech, a po nim następny, starając się uspokoić i zebrać odwagę, by całkowicie wyłonić się spod osłony tunelu. Żałowała, że nie ma przy sobie Guenhwyvar - pamiętała te chwile w Silverymoon, kiedy to pantera kroczyła u jej boku po ulicach - nie była jednak pewna, jak kocica zostałaby przyjęta w Menzoberranzan. Ostatnią rzeczą na jaką miała ochotę, było zwrócić na siebie uwagę.

Szła szybko i cicho, narzuciwszy kaptur na głowę. Przygarbiła się i trzymała medalion, by wskazywał jej drogę i dodawał otuchy. Starła się mocno unikać wzroku licznych strażników i celowo odwracała wzrok, widząc, jak z przeciwnej strony idzie w jej kierunku aleją inny drow.

Niemal minęła obszar stalagmitów, widziała już łoże mchu, zagajnik grzybów, a nawet rozciągające się za nimi jezioro, kiedy z cieni wyłoniło się nagle dwóch drowów, blokując jej drogę, choć ich broń pozostawała schowana.

Jeden z nich zadał jej pytanie, którego oczywiście nie zrozumiała. Podświadomie skrzywiła się i zauważyła, że patrzą na jej oczy.

Jej oczy! Oczywiście, nie płonęły infrawizją, o czym poinformowały ją głębinowe gnomy. Mężczyzna powtórzył pytanie, trochę bardziej stanowczo, po czym spojrział przez ramię, na łoże mchu i jezioro.

Catti-brie podejrzewała, że ci dwaj są częścią patrolu i chcą wiedzieć, jakie sprawy pro wadzą ją do tej części miasta. Zauważyła dworny sposób, w jaki się do niej zwraca ją i przypomniała sobie to wszystko, co Drizzt opowiadał jej o kulturze drowów.

Była kobietą, a oni tylko mężczyznami.

Znów rozległo się niezrozumiałe pytanie, a Catti-brie odpowiedziała warknięciem. Jeden z mężczyzn opuścił dłonie na rękojeści swych bliźniaczych mieczy, lecz Catti-brie wskazała na nie i znów warknęła groźnie.

Dwaj mężczyźni popatrzyli na siebie z wyraźnym zakłopotaniem. Według nich ta kobieta była ślepa, a przynajmniej nie używała in-frawizji, zaś światła w mieście nie były takie jasne. Nie powinna była widzieć wyraźnie ich ruchów, a jednak, w związku z jej wyciągniętym palcem, widziała.

Catti-brie odesłała ich machnięciem ręki, a oni, ku jej zaskoczeniu (oraz ogromnej uldze), wycofali się, spoglądając na nią podejrzliwie, lecz nie wykonując żadnych ruchów przeciwko niej.

Zacząła się przygarbiać, zamierzając znów schować się pod kapturem, jednak zmieniła zdanie. Było to Menzoberranzan, pełne mrocznych elfów, pełne intryg, miejsce, w którym wiedza - a nawet jej udawanie - o czymś, o czym nie wie twój przeciwnik, może zachować cię przy życiu.

Catti-brie odrzuciła kaptur i stanęła prosto, potrząsając głową, by jej gęste włosy same uwolniły się z fałdów materiału. Spojrzała groźnie na dwóch mężczyzn i zaczęła się śmiać.

Uciekli.

Młoda kobieta niemal przewróciła się z ulgi. Wzięła kolejny głęboki oddech, zacisnęła mocno medalion w ręce i skierowała się w stronę jeziora.

ROZDZIAŁ 17

UOSOBNIENIE WROGÓW

Wiesz, kim on jest? - palce drowa żołnierza spytały stanowczo w zawilej mowie gestów.

Khareesa odchyliła się na piętach, nie do końca rozumiejąc, o co chodzi. Na Wyspę Rothów przybył kontyngent dobrze uzbrojonych drowów, domagając się odpowiedzi oraz przesłuchując zarówno orczych i goblinów niewolników, jak i garstkę obecnych na wyspie drowich nadzorców. Nie mieli na sobie emblematów żadnego domu, a z tego co Khareesa była w stanie stwierdzić, byli wyłącznie mężczyznami.

To nie powstrzymało ich jednak przed traktowaniem jej w ostry sposób, bez odpowiedniego protokołu należnego zazwyczaj jej płci.

- Wiesz? - drow spytał na głos. Ten nieoczekiwany dźwięk przyciągnął natychmiast do jego boków dwóch jego towarzyszy.

- Odszedł - mężczyzna wyjaśnił, by uspokoić swych kompanów. - Do miasta.

- Wraca już jednak z powrotem - czwarty drow odparł w języku znaków, podchodząc do pozostałych. - Wiośnie otrzymaliśmy sygnały z brzegu.

Zaciekawiona Khareesa nie mogła już znieść narastającej intrygi. -Nazywam się Khareesa FTKar - oznajmiła, określając się jako szlachciankę jednego z pomniejszych domów miasta. -Kim jest ten mężczyzna, o którym mówicie? I dlaczego jest taki ważny?

Czterej mężczyźni popatrzyli się chytrze po sobie, po czym nowo przybyły skierował na Khareesę złowrogie spojrzenie.

- Słyszałaś o Daermon N' a' shezbaernon? - spytał cicho. Khareesa przytaknęła. Oczywiście, że

słyszała o tym potężnym

domu, nazywanym powszechnie domem Do'Urden. Był niegdyś ósmym domem miasta, spotkał go jednak tragiczny koniec.

- A o ich drugim chłopcu? - ciągnął mężczyzna.

Khareesa wydeła z niepewnością wargi. Starła się przypomnieć sobie tragiczną historię domu Do'Urden, coś o renegacie, kiedy inny z mężczyzn pobudził jej wspomnienia.

-DrizztDo'Urden- po wiedział.

Khareesa zaczęła przytakiwać - słyszała już wcześniej to imię, przelotnie - kiedy jej oczy rozszerzyły się, gdy zdała sobie sprawę ze znaczenia przystojnego, purpurowookiego drowa, który opuścił Wyspę Rothów.

- Ona jest świadkiem - stwierdził jeden z mężczyzn.

- Nie była nim - spierał się inny - dopóki nie powiedzieliśmy jej imienia renegata.

- Ale teraz jest - rzekł pierwszy i spojrzeli wspólnie na kobietę. Khareesa dawno już dostrzegła ich paskudną gierkę i stopniowo

odsuwała się od nich, z biczem i mieczem w dłoniach. Zatrzymała się, poczuwszy jak czubek innego miecza delikatnie szturcha z tyłu jej zbroję i rozłożyła szeroko ręce.

-Dom H'Kar-zacząła, jednak przerwała gwałtownie, gdy mężczyzna za jej plecami przebił swój osławiony miecz drowiej roboty przez jej kolczugę i nerkę. Khareesa poruszyła się gwałtownie, gdy drow wyszarpnął broń. Opadła na jedno kolano, starając się utrzymać koncentrację pomimo nagłej fali bólu, próbując utrzymać broń. Czterej żołnierze rzucili się na nią. Nie mogło być świadków.

* * *

Gdy tratwa ślizgała się powoli po ciemnych wodach Donigarten, wzrok Drizzta wciąż pozostawał utkwiony w dziwnie oświetlonym mieście.

Pochodnie? Myśl ta ciążyła mu mocno w umyśle, ponieważ przekonał już się dość mocno, iż drowy szykowały potężną wyprawę na powierzchnię. Z jakiegoż innego powodu tak raniłyby swoje delikatne oczy?

Gdy tratwa sunęła przez zarośniętą glonami zatokę Wyspy Rothów, Drizzt zauważył, iż do wyspy nie było przycumowanych żadnych innych łodzi. Nie poświęcił temu większej uwagi, gdy przechodził

przez dziób i zeskakiwał lekko na mech plaży. Orki ledwo zdążyły odłożyć wiosła, gdy inny drow przemknął obok Drizzta i wskoczył do łodzi, rozkazując niewolniczej załodze, by udała się z powrotem na ląd.

Na brzegu zgromadzili się pasterze rothów, każdy przycupnięty w mchu i błocie, okrywając się mocno obszarpanymi pelerynami. Nie było to niezwykle, ponieważ nie mieli wiele do roboty. Wyspa nie była duża, zaledwie sto metrów długości, a nawet mniej szerokości, pokryta była jednak niezwykle gęstą roślinnością, głównie mchami i grzybami. Krajobraz był nierówny, pełen dolin i stromych zboczy, a największym zadaniem stojącym przed orkami, nie licząc wożenia rothów z wyspy na ląd oraz szukaniem zagubionych sztuk, było po prostu upewnianie się, iż żadne ze zwierząt nie spadnie do parowów.

Tak więc niewolnicy siedzieli na brzegu, rozmyślając w ciszy. Wydawali się Drizztowi dość podenerwowani, jednak temu również nie poświęcił większej uwagi. Zerknął na posterunki nadzorców i uspokoił się, widząc, iż wszystkie mroczne elfy znajdowały się najwyraźniej na swoich miejscach, stojąc cicho i spokojnie. Na Wyspie Rothów nie działo się zbyt wiele.

Drizzt skierował się w głąb lądu, z dala od małej zatoczki, do najwyższego punktu wyspy. Stał tam jedyny na wyspie budynek, mały, dwukomnatowy dom, zbudowany z gigantycznych trzonków grzybów. Idąc, zastanawiał się nad swą strategią, myśląc, jak może wyciągnąć od Khareesy niezbędne informacje, nie doprowadzając do otwartej konfrontacji. Wydarzenia wydawały się jednak szybko przesuwac i uznał, że jeśli zostanie zmuszony użyć swych sejmitarów, by ją „przekonać”, zrobi to.

Zaledwie trzy metry przed drzwiami do budynku Drizzt zatrzymał się i obserwował, jak wrota delikatnie się otwierają. Na próg wyszedł drowi żołnierz i niedbale cisnął obciętą głową Khareesy Drizztowi do stóp.

- Z tej wyspy nie można odejść, Drizzcie Do'Urden - stwierdził drow.

Drizzt nie odwrócił głowy, lecz przekształcił swój wzrok, starając się uzyskać pojęcie o okolicy. Nie zwracając na siebie uwagi, wsunął stopę pod miękki mech, zagrzebując ją aż po kostkę.

- Przyjmę twój kapitulację - ciągnął drow. - Nie możesz... Drow przerwał nagle, gdy w stronę jego twarzy poleciała kępka mchu. Wyszarpnął miecz i instynktownie wyrzucił przed siebie ręce w obronie.

Za darnią ruszył atak Drizzta. Tropicieł przeskoczył trzy metry dzielące go od przeciwnika, po czym opadł w złudnym obrocie, okręcając się na opuszczonym kolanie. Wykorzystując swój pęd, Drizzt posłał Błysk w paskudne, niskie cięcie, którym ugodził zaskoczonego drowa w bok kolana. Drow wykonał pełne salto nad raniącą go klingą, uderzając z głuchym odgłosem w miękką ziemię i wydając z siebie okrzyk bólu, gdy chwycił się za uszkodzoną nogę.

Drizzt czuł, że w budynku znajdują się inne mroczne elfy, podniósł się więc szybko i zaczął biec,

okrażając dom i znikając z pola widzenia zza drzew, a następnie ruszył po stromym zboczu pagórka. Zanurkował, zaczął się ślizgać i toczyć, by nabrać tempa. W jego myślach panował mętlik, a desperacja narastała.

Na zarośniętym mchem zboczu pasło się kilka tuzinów rothów, beczących i postępujących, gdy Drizzt przedzierał się pomiędzy nimi. Tropiciele usłyszały za sobą kilka brzęknięć i dobiegło do niego, jak bełt z kuszy uderza w jednego rotha. Drizzt trzymał się nisko, skradając się, starając się określić, gdzie może pobic. Znajdował się na wyspie zaledwie od krótkiego czasu, nigdy nie był tu podczas lat spędzonych wcześniej w mieście i nie był obznajomiony z jej krajobrazem. Wiedział jednak, iż to wzgórze opada do stromego parowu i pomyślał, że to jego największa szansa.

Z tyłu poleciało więcej strzał, do bełtów dołączył oszczep. Błoto i darń wzlatywały w powietrze, gdy rothy, przestraszone biegnącym mrocznym elfem oraz pociskami, miały się, wpadając w popłoch. Drizzt wiedział, że zostanie zmiażdżony.

Jego problemy zwiększyły się, gdy dotarł do krańca stada rothów, bowiem pomiędzy nogami jednego ze stworzeń zauważył buty. Niewiele myśląc, Drizzt uniósł bark i wpadł na rotha, spychając go w dół zbocza, na przeciwnika. Jeden z sejmitarów uniósł się w górę, trafił w opadający miecz. Drugi ugodził nisko, pod brzuchem rotha, jednak wróg odskoczył poza zasięg.

Drizzt skulił pod sobą nogi i wybił się z całej siły, wykorzystując dla swej korzyści dość strome nachylenie gruntu. Roth uniósł się z ziemi i poleciał w bok, wpadając na drowa. Był on wystarczająco zwinny, by podnieść nogę nad niskim grzbietem rotha i przeniknąć czysto nad nim, obracając się, by skierować się bezpośrednio do Drizzta. Drizzta jednak nie było nigdzie widać.

Beczenie z boku było jedynym ostrzeżeniem, jakie drow otrzymał, gdy zaciekły tropiciel rzucił się na niego, błyskając sejmitarami. Zaskoczony drow wyrzucił przed siebie miecze, obracając się, i ledwo zdołał odbić cięcia sejmitarów. Jedna stopa zaczęła mu się ześlizgiwać na bok, podniósł się jednak szybko i zaczął wymachiwać szaleńczo mieczami, utrzymując Drizzta w bezpiecznej odległości.

Drizzt przesunął się szybko w prawo, znów wchodząc na wyższy teren, choć wiedział, że manewr ten przybliży go do kuszników na szczycie wzgórza. Utrzymywał swe sejmitary w ruchu, skupiając wzrok przed sobą, nasłuchiwał jednak odgłosów z tyłu.

Miecz wystrzelił nisko, został przechwycony przez Błysk i utrzymany w dole. Drugie pchnięcie nadeszło równoległe do pierwszego, jednak odrobinę wyżej, i odpowiedział na nie drugi sejmitar Drizzta, wychodząc nieoczekiwanie w poprzek i wyginając rękę z mieczem drowa w stronę dolnej części ramienia Drizzta.

Drizzt usłyszał z tyłu lekki świst.

Wrogie drow błysnęły paskudnym uśmiechem, sądząc, że uda mu się trafić, gdy ostrza zamigotały w poprzek, jednak Drizzt również posłał Błysk w ruch, równie szybko, odsuwając za nim daleko rękę

drowa. Drizzt wymachiwał sejmityrami w górę i w dół, wykorzystując ich wygięte ostrza, by miecze poruszały się w jednej linii. Zatoczył pełen obrót, przesuwając obydwie ostrza wysoko nad głowę i przechodząc jeden krok na bok od wrogięgo drowa.

Zaufanie, jakie pokładał w umiejętnościach niewidocznego strzelca, nie zawiodło go, i jego przeciwnik szarpnął biodrami w bok w dramatycznej próbie odsunięcia się przed oszczepem. Został dotkliwie trafiony i skrzywił się z bólu.

Drizzt popchnął go, posyłając w dół zbocza. Drow odzyskał równowagę, gdy tropiciel opadł na niego w dzikiej pogoni.

Sejmitar znów uderzył o miecz, a potem ponownie i jeszcze raz. Drugie ostrze Drizzta podążyło według bardziej bezpośredniego i diabelskiego wzoru, wykonując pchnięcia wycelowane w brzuch drowa.

Zastłony rannego elfa nie robiły większego wrażenia w obliczu tak gwałtownego ataku, jednak zjedną nogą zdrętwiała z bólu coraz bardziej nabierał pędu. Zdołał zerknąć za siebie i zauważył iglicę skalną, wznoszącą się ponad krawędź siedmiometrowego, pionowego urwiska. Zamierzał udać się w jej stronę i oprzeć o nią plecami dla wsparcia. Jego sojusznicy biegli w dół zbocza i znajdują się przy nim za kilka sekund.

Nie miał kilku sekund.

Obydwie sejmityramy natarły zaraz po sobie, uderzając w stal mieczy drowa, zmuszając go do schodzenia w dół. W pobliżu urwiska Drizzt posłał swą broń w przód, jedną przy drugiej, skrzyżowanymi cięciami, odwracając bieg czubków mieczy wroga. Następnie Drizzt wybił się, uderzając w pierś drowa i pozbawiając go równowagi, tak, że ten wpadł na skalną iglicę. W głowie oszołomionego drowa rozległy się eksplozje. Osunął się na mech, wiedząc, że ten renegat, Drizzt Do'Urden, oraz jego okrutne sejmityramy, ruszą tuż za nim.

Drizzt nie miał czasu ani ochoty, by dobić ofiarę. Zanim drow przestał opadać, Drizzt przeskoczył przez krawędź, w nadziei, że na dole znajdzie mech, nie ostre głązy.

Znalazł błoto i wpadł w nie z pluskiem, skręcając sobie kostkę. Zdołał się jednak utrzymać na nogach i pobiegł tak szybko, jak mógł, klucząc pomiędzy stalagmitowymi kolumnami i pochylając się nisko pod osłoną kopców, spodziewał się bowiem, iż strzelcy znajdują się wkrótce na urwisku.

Widząc sylwetkę poruszającą się równoległe do niego wzdłuż rzędu stalagmitów, zdał sobie sprawę, że wrogowie znajdują się wszędzie wokół niego. Drizzt wszedł za jeden z kopców i zamiast wyjść z drugiej strony, skręcił, by udać się prosto na przeciwnika. Padł na kolana, wyszedłszy zza drugiego kopca, wykonując niskie cięcie w oczekiwaniu, iż jego wróg się tam znajduje.

Tym razem Błysk uderzył w lecący nisko miecz. Drizzt nie uzyskał przewagi zaskoczenia, przynajmniej nie swoim manewrem, jednak drow był z pewnością zбитy z tropu, a jego drugi miecz

był wzniesiony wysoko do ciosu, gdy Drizzt wystrzelił swym drugim sejmitem prosto w górę, szybciej niż jego przeciwnik mógłby się spodziewać. Ostry czubek przebił drowowi przeponę i choć Drizzt, wciąż wykonując ślizg, nie mógł wyciągnąć wystarczająco mocno ręki, by dokończyć ruch, drow padł na stalagmit, wyłączony z walki.

Tuż za nim był jednak sojusznik, który rzucił się energicznie na klęczącego Drizzta, wymachując zaciekle mieczami.

Będąc świadomy swej niekorzystnej sytuacji, Drizzt przywołał swą wrodzoną magię i przyzwał na siebie oraz przeciwnika kulę ciemności.

Stal wciąż dźwięczała o siebie, broń stykała się ze sobą ślizgała, a obydwaj walczący otrzymywali zadraśnięcia. Drizzt warknął i zwiększył tempo, parując i kontratakując. Wyszkolony wojownik stopniowo przeniósł ciężar ciała, by postawić pod sobą jedną stopę.

Wrogi drow natarł z nagłym i zaciętym podwójnym cięciem -i niemal przewrócił się, gdy jego ostrza nie natrafiły na nic poza powietrzem. Obrócił się natychmiast, zamachując się mieczami w poprzek - i niemal tracąc je, gdy uderzyły w bok kamiennego kopca.

W gorączce walki zapomniał, jak wygląda okolica, zapomniał o znajdującym się blisko stalagmicie. Drow słyszał o reputacji Drizz-ta Do'Urdena i zrozumiał nagle powagę swojej pomyłki.

Drizzt, przykucnięty wysoko na zaokrąglonej odnodze pagórka, skrzywił się, słysząc, jak pod nim ostrza zgrzytając skałę, nie zyskując z tego zbyt wiele satysfakcji. Nie widział jaśniejszego niebieskiego światła Błysku, gdy sejmitar opadał w kulę ciemności.

Chwilę później biegł, jego kostka wciąż bolała. Wyszedł z drugiej strony parowu i wdrapał się na krawędź przeciwległą do wysokiego wzgórza. Drizzt sądził, że znajduje się tam zatoka, niezbyt daleko, a jeśli zdoła do niej dotrzeć, zamierzał zanurkować. Niech diabli wezmą legendy o wodnych potworach. Znajdujący się wszędzie wokół niego wrogowie byli aż nazbyt rzeczywisci!

* * *

Catti-brie słyszała trwającą na wyspie szamotaninę. Dźwięki przenosiły się czysto po nieruchomych, ciemnych wodach Donigarten. Zza trzonka jednego z grzybów przyzwała Guenhwyvar i odbiegła, gdy mgła zaczęła przyjmować solidną formę.

Przy jeziorze młoda kobieta, wciąż nie wierząc w swoje mroczno elfie przebranie, ominęła garstkę znajdujących się w pobliżu drowów i wskazała ręką na będącego w pobliżu orka. Następnie pokazała na łódź, starając się przekazać, że stwór mają zabrać na wyspę. Ork wydawał się zdenerwowany, a przynajmniej zakłopotany. Odwrócił się i zaczął odchodzić.

Catti-brie uderzyła go pięścią w tył głowy.

Kuląc się z wyraźnego strachu, odwrócił twarz w jej stronę. Catti-brie popchnęła go w kierunku małej łódki i tym razem stwór wsiadł, podnosząc wiosło.

Zanim Catti-brie zdołała dołączyć do orka, przeszkodził jej drow, zaciskając silną dłoń na jej łokciu.

Spojrzała na niego groźnie i warknęła, starając się znów zablafować, jednak ten zdeterminowany mroczny elf nie chwycił przynęty. W wolnej dłoni trzymał sztylet, tuż pod łokciem Catti-brie, zaledwie parę centymetrów od jej żeber.

-Odejdź! -powiedział. -Bregan D'aerthe mówi ci, żebyś odeszła!

Catti-brie nie rozumiała z tego nawet słowa, jednak zdumienie jej przeciwnika było ogromne, gdy obok przemknęła pantera, wrzucając zaskoczonego drowa do wody, daleko od łodzi.

Catti-brie odwróciła się gwałtownie do orka, który udał, że nic nie widział, i zaczął zaciekle wiosłować. Chwilę później młoda kobieta spojrzała z powrotem na brzeg, bojąc się, iż Guenhwyvar zostanie z tyłu i będzie musiała przepłynąć całą odległość.

Wielki plusk za łódką (niemal ją przewracający) powiedział jej jednak coś innego i teraz pantera prowadziła.

Było to zbyt wiele dla przerażonego orka. Żałosne stworzenie wrzasnęło i wskoczyło do wody, płynąc z desperacją do brzegu.

Catti-brie chwyciła wiosło i nie oglądała się za siebie.

* * *

Z początku półka skalna była otwarta po obu stronach i Drizzt słyszał świst bełto w przecinających powietrze ponad jego głową i tuż za nim. Na szczęście dla niego strzelające drowy znajdowały się po przeciwległej stronie parowu, u podstawy wysokiego wzgórza, a ich małe kusze nie były zbyt celne na tak daleki zasięg.

Drizzt nie był zdumiony, gdy jego biegnąca sylwetka zaczęła płonąć purpurowym ogniem, najego ramionach i nogach pojawiły się małe płomienie faerie, nie parząc, jednak czyniąc go widocznym dla przeciwników.

Poczuł ukąszenie w lewym barku i szybko sięgnął tam ręką, wyciągając mały pocisk. Rana była jedynie powierzchowna, energia bełtu została pochłonięta głównie przez mithrilową kolczugę

krasnoludzkiej roboty, którą Drizzt miał na sobie. Biegł dalej, mógł mieć jedynie nadzieję, iż do jego krwi nie wpłynęło wystarczająco wiele trucizny, by go wyczerpać.

Półka skręciła w prawo, kierując Drizzta z powrotem na jego wrogów. Poczł się wtedy bardziej odsłonięty, szybko zdał sobie jednak sprawę, że ten zakręt może być dobrą rzeczą, pozwoli mu zwiększyć dystans pomiędzy nim a kuszami. Krótko później bełty odbiły się nieszkodliwie za nim, a półka znów skręciła, wracając w lewo i okrążając podstawę kolejnego wzgórza.

Dzięki temu po prawej stronie Drizzta znalazły się chlupoczące wody Donigarten, cztery metry pod nim. Pomyślał, by schować klingi i wskoczyć tam, jednak z wody wystawało zbyt dużo poszarpanych głazów, by tak ryzykować.

Gdy spieszył dalej półką, pozostawała ona głównie otwarta na jego prawą stronę, a spadek był co jakiś czas blokowany przez stalagmity. Na lewo od Drizzta majaczyło wzgórze, całkowicie zasłaniając go przed odległymi strzelcami... jednak nie przed bliższymi przeciwnikami, jak zdał sobie sprawę. Ominąwszy lekki zakręt, odkrył w ostatniej chwili, że zaraz dalej znajduje się otwór, a w nim czeka przeciwnik.

Żołnierz wyskoczył Drizztowi na drogę, wymachując mieczem i sztyletem.

Sejmitar odtrącił miecz na bok i Drizzt wykonał prosto przed siebie pchnięcie, wiedząc, że druga broń zostanie przechwycona przez sztylet. Gdy ostrza zetknęły się, jak można było przewidzieć, Drizzt wykorzystał swój pęd, by odepchnąć daleko sztylet, i podniósł kolano, by ugodzić drowa mocno w żołądek.

Drizzt zacisnął swe rozłożone szeroko ręce, jednocześnie uderzając rękojeściami sejmitarów o twarz przeciwnika. Natychmiast cofnął broń, bojąc się, że zaatakuje go miecz lub sztylet, jednak jego wróg nie był już zdolny do działań odwetowych. Padł prosto na ziemię, nieprzytomny, a Drizzt przeskoczył nad nim i pobiegł dalej.

Tropiciel osiągnął idealne tempo. Gotowały się w nim dzikie instynkty i wierzył, że żaden drow nie jest mu w stanie zagrozić. Szybko wracał do stanu łowcy, uosobienia pierwotnego, namiętnego szafu.

Zza następnego stalagmitu wyskoczył mroczny elf. Drizzt opadł na jedno kolano i obrócił się, wykonując manewr podobny do tego, co w przypadku drowa przy drzwiach do grzybowego domu.

Tym razem jednak przeciwnik miał więcej czasu na reakcję, trzymał nisko miecz, by wykonać blok.

Łowca wiedział, że mu się uda.

Przednia stopa Drizzta znalazła oparcie i podniósł się ze swego ślizgu, drugą nogą wykonując zamaszyste kopnięcie, które ugodziło zaskoczonego drowa pod brodę i wyrzuciło go przez krawędź urwiska. Zdołał się chwycić niedaleko niżej, zamroczony od ciosu, sądząc, że ten purpurowooki diabeł z pewnością go zabije.

Łowca już jednak zniknął, biegnąc dalej, biegnąc w stronę wolności.

Drizzt ujrzał przed sobą na ścieżce innego drowa, tym razem trzymającego rękę wyciągniętą przed sobą, najprawdopodobniej celującego z kuszy.

Łowca był szybszy niż bełt. Jego instynkty powtarzały mu to raz za razem i okazały się mieć rację, gdy zamach sejmitemem przechwycił pocisk.

Wtedy Drizzt rzucił się na drowa oraz jego sojusznika, który wyłonił się zza najbliższego pagórka. Dwaj wrogowie wymachiwali zaciekle swą bronią, uważając, że wystarczy im przewaga liczebna.

Nie rozumieli łowcy - jednak Artemis Entreri, obserwujący wszystko ze znajdującej się w pobliżu dziury, rozumiał.

Część 4

W SIECI

Jedna z sekt Faerunu wylicza siedem grzechów ludzkości, a najważniejszą spośród nich jest duma. Moja interpretacja tej wizji zawsze polegała na myśleniu o zarozumiałości królów, którzy obwieszczali się bogami, a przynajmniej przekonywali swych poddanych, że rozmawiają z jakimiś boskimi istotami, tworząc w ten sposób przekonanie, iż ich władza została im dana przez bogów.

Jest to tylko jedna z manifestacji tego najbardziej śmiertelnego z grzechów. Nie trzeba być królem, aby dać się ponieść fałszywej dumie. Montolio DeBrouchee, mój mentor tropiciel, ostrzegł mnie przed tym, jednak jego nauki dotyczyły osobistego aspektu dumy. „Tropiciel często kroczy samotnie, jednak nigdy bez swych przyjaciół w pobliżu” - wyjaśnił mędrzec. „Tropiciel zna swoje otoczenie i wie, gdzie można znaleźć sojuszników.”

Według sposobu myślenia Montolio duma była ślepotą, zamgleniem wnikliwości i wiedzy, oraz zaufania. Zbyt dumna osoba kroczy samotnie i nie przejmuje się tym, gdzie może znaleźć sojuszników.

Kiedy odkryłem, że sieć Menzoberranzan staje się coraz gęstsza wokół mnie, zrozumiałem swój błąd, swą zarozumiałość. Czy zacząłem tak dobrze myśleć o sobie i swoich zdolnościach, że zapomniałem o tych przyjaciółach, dzięki którym do tej pory przetrwałem? W swojej złości po śmierci Wulfgara oraz w obawie o Catti-brie, Bruenora i Regisa, nie zastanawiałem się nigdy nad tym, iż ci żyjący przyjaciele mogą pomóc w troszczeniu się o nich. Uznałem, że problemem, który powalił nas wszystkich, była moja własna wina, a w związku z tym moim obowiązkiem było to naprawić, jakkolwiek niemożliwe wydawało się to zadanie dla pojedynczej osoby.

Pójdę do Menzoberranzan, odkryję prawdę i zakończę konflikt, nawet jeśli będzie to oznaczało poświęcenie mojego życia.

Jakimże głupcem byłem.

Duma powiedziała mi, że to ja przy czyniłem się do śmierci Wulfgara. Duma powiedziała mi, że tylko ja mogę wszystko naprawić. Czysta zarozumiałość powstrzymała mnie przed otwartym kontaktem z moim przyjacielem, krasnoludzkim królem, który mógł zebrać siły niezbędne do pokonania wszelkich nadciągających szturmów drowów.

Na tej półce skalnej na Wyspie Rothów uświadomiłem sobie, że zapłacę za moją zarozumiałość. Później miałem się dowiedzieć, że inne drogie mi osoby również mogły za nią zapłacić.

Porażką duszy jest dowiedzieć się, że czyjaś zarozumiałość powoduje tak wielkie straty i ból. Duma skłania cię, by wznieść się na wyżyny osobistego triumfu, jednak na owych wyżynach wiatr jest silniejszy, a oparcie niepewne. Dalej jest tylko upadek.

-DrizztDo'Urden

ROZDZIAŁ 18

ŚMIAŁA PORAŻKA

Zauważyła na przystani wyspy mrocznego elfa, wymachującego ramionami i wskazującego jej, by zawróciła. Wydawał się być sam.

Catti-brie uniosła Taulmarila i wypuściła strzałę. Pocisk przeciął ciemność niczym błyskawica, uderzając zaskoczonego drowa w pierś i ciskając nim tuzin kroków w tył. Chwilę później Catti-brie i

Guenhwyvar zeszły na plażę. Młoda kobieta dotknęła medalion i zaczęła mówić Guenhwyvar, by ta pobięła od prawej strony, jednak pantera wyczuła już bliskość swego pana i pędziła przez nierówny krajobraz, oddalając się od przystani.

Kobieta podążyła za nią najszybciej jak mogła, jednak niemal natychmiast straciła z oczu biegnącokocicę, bowiem Guenhwyvar okrążyła gwałtownie podstawę najbliższego pagórka, podrywając łapami wilgotny torf.

Catti-brie usłyszała pełen zaskoczenia krzyk, a kiedy obeszła ów pagórek, ujrzała mrocznego elfa żołnierza, odwracającego od niej wzrok i najwyraźniej śledzącego spojrzeniem tor pantery. Jedną z jego rąk była uniesiona i trzymała jednoręczną kuszę.

Catti-brie wystrzeliła w biegu i jej pocisk wzniósł się wysoko, wypalając następnie dziurę w ścianie pagórka, centymetry nad głową drowa. Obrócił się natychmiast i podjął kroki odwetowe. Jego bełt wbił się w ziemię obok rzucającej się na bok i koziołkującej kobiety.

Szybko nałożywszy następną strzałę, Catti-brie znów wypaliła, wydzierając dziurę wpiwafwi ciągnącym się za umykającym drowem. Opadł na jedno kolano, szybko zakładając bełt, i ponownie wystrzelił.

Catti-brie też strzeliła, jej pocisk roztrzaskał kuszę oraz przebił dłoń drowa, rozcinając mu nadgarstek i zagłębiając się w górnej części klatki piersiowej.

Wygrała pojedynek, straciła jednak bezcenny czas. Zdezorientowana młoda kobieta znów musiała użyć medalionu, by naprowadzić się na odpowiedni kierunek, po czym pobięła.

* * *

Zaciekle ataki wyszkolonych przeciwników Drizzta stały się szybko wyliczonymi uderzeniami, gdy parował każdy manewr, a nawet udawało mu się wykonywać skuteczne kontry. Jeden z drowów trzymał teraz tylko jedną broń, zaś trzymającą sztylet rękę przycisnął blisko do boku, by zatamować upływ krwi ze szramy po zagiętym sejmitarze.

Pewność siebie Drizzta coraz bardziej wzrastała. Jakże wielu przeciwników było na tej wyspie? - zastanawiał się i ośmielał się wierzyć, że może wygrać.

Serce mu zamarło, gdy usłyszał za sobą ryk, sądził bowiem, iż jakiś potworny sojusznik przybył na pomoc jego wrogom. Ranny żołnierz otworzył szeroko oczy z przerażenia i zaczął się wycofywać, jednak Drizzta nie uspokoiło to zbytnio. Większość sprzymierzeńców drowów była chwiejnymi, chaotycznymi stworzeniami o ogromnej i nieprzewidywalnej mocy. Jeśli z tyłu rzeczywiście skradał się jakiś przywołany potwór, jakiś demoniczny sojusznik, to z pewnością Drizzt był jego głównym celem.

Cofający się drow rzucił się do dzikiej ucieczki, biegnąc wzdłuż półki skalnej, a Drizzt wykorzystał jego zniknięcie, by przesunąć się w bok i spróbować spojrzeć na to, czemu zaraz będzie musiał stawić czoła.

Obok niego śmignęła czarna kocia sylwetka, ścigając uciekającego przeciwnika. Przez chwilę pomyślał, że jakiś drow musi mieć podobną figurkę jak on i może przyzywać kota podobnego do Guenhwyvar. Jednak to była Guenhwyvar! Drizzt wiedział to instynktownie. To była jego Guenhwyvar!

Ekscytacja przerodziła się w zakłopotanie. Drizzt pomyślał, że Regis musiał przyzwać panterę w Mithrilowej Hali i kocica pobiegła za nim. Nie miało to jednak sensu, bowiem Guenhwyvar nie mogła pozostać na Materialnym Planie wystarczająco długo, by odbyć podróż z krasnoludzkiej fortecy. Figurka musiała zostać przyniesiona do Menzoberranzan.

Przebiegłe pchnięcie mieczem przedostało się na chwilę przez obronę Drizzta. Czubek broni musnął jego wyśmienitą kolczugę i wywołał ból w piersi. Wyciągnął rozproszonego tropiciela z rozmyślań, przypomniał Drizztowi, że musi się zajmować tylko jednym problemem naraz.

Rzucił się przed siebie w oślepiającym zrywie, wymachując i obracając sejmityrami, uderzając mrocznego elfa z różnych kątów. Drow przeszedł jednak test, jego miecze odbijały śmiertelne ostrza, a nawet udało mu się musnąć bok buta Drizzta, gdy tropiciel starał się kopnąć go w kolano.

- Cierpliwości - przypomniał sobie Drizzt, jednak przy tak nagłym pojawieniu się Guenhwyvar i tak wielu pytaniach bez odpowiedzi, trudno było się na nią zdobyć.

* * *

Uciekający drow okrążył zakręt. Następnie, ponieważ pantera go szybko doganiała, otoczył zdrową ręką najbliższy stalagmit i obrócił się w prawo, zeskakując z krawędzi, by wpaść w błoto. Udało mu się utrzymać równowagę i ciągle był jeszcze pochylony, starając się odzyskać upuszczony miecz, kiedy spadła na niego Guenhwyvar, wpychając go do wody.

Rzucił się i wierzgał przez chwilę, a gdy panterze udało się uzyskać orientację w plątaninie ciał, chwyciła pyskiem kark przyszpilonego drowa i ścisnęła. Miał głowę nad wodą, nie mógł jednak oddychać, już ni gdy nie miał zaczerpnąć oddechu.

Guenhwyvar podniosła się znad swojej ofiary i obróciła, by wskoczyć cztery metry wzwyż na półkę skalną, skuliła się jednak i odwróciła głowę, warcząc podejrzliwie, gdy podleciała nad nią bańka mieniąca się kolorami tęczy. Zanim Guenhwyvar zdołała zareagować, dziwna kula wybuchła i Guenhwyvar została zalana drobinkami wzbudzającej mrowienie substancji.

Guenhwyvar skoczyła w stronę półki, czuła jednak, jakby zamierzony cel coraz bardziej się

oddalał. Pantera znów ryknęła, w proteście, zrozumiawszy naturę owych drobinek, wiedząc, że odsyłają ją powrotem na jej plan istnienia.

Ryk zagubił się szybko w delikatnych objęciach wzbudzonych fal oraz brzęku stali z półki skalnej.

Jarlaxle oparł się o skalnąścianę, zastanawiając się nad nowym odkryciem. Odłożył cenną metalową puszczalną, przedmiot, który odesłał niebezpieczną panterę, i podniósł jeden z butów, aby zetrzeć z niego szlam. Czupurny najemnik odwrócił się niedbale w stronę odgłosów trwającej ciągle walki, pewien że Drizzt Do'Urden zostanie wkrótce pojmany.

* * *

Catti-brie była unieruchomiona w parowie. Dwa mroczne elfy znajdujące się bezpośrednio przed nią były osłonięte bliźniaczymi pagórkami, trzeci zaś strzelał ze swej kuszy zza podstawy wzgórza na lewo od niej. Przycisnęła się bliżej do ochraniającego ją stalagmitu, ciągle jednak czuła się narażona na rykoszetujące wszędzie wokół niej bełty. Co jakiś czas udawało się jej wystrzelić, jednak przeciwnicy byli dobrze osłonięci i srebrzyste strzały odbijały się nieszkodliwie od licznych głazów.

Bełt musnął kolano młodej kobiety, drugi zmusił ją do cofnięcia się głębiej w niszę i przybrania pozycji, z której nie będzie najprawdopodobniej w stanie dalej strzelać. Catti-brie zaczęła odczuwać strach, sądząc, że porażka może być blisko. Nie istniał sposób, w jaki mogłaby zwyciężyć tych trzech dobrze wyszkolonych i uzbrojonych żołnierzy.

Bełt trafił ją w podeszwę buta, nie przebił jej jednak. Młoda kobieta wzięła długi, głęboki oddech. Powtarzała sobie uparcie, że musi spróbować kontrataku, że pozostawanie tu na nic się nie zda, a na dodatek zapewni śmierć -jej i Drizztowi.

Pomyślawszy o swoim przyjacielu, nabrała odwagi i wygięła się do strzału. Puszczając cięciwę zaklęła głośno, bowiem jej wrogowie znów byli dobrze ukryci.

Jednak czy naprawdę? Catti-brie wspięła się nagle na tylną część kępy stalagmitów, starając się wywołać jak największe zamieszanie. Była teraz wyraźnym celem dla dwóch znajdujących się przed nią żołnierzy, jednak tylko wtedy, gdyby zdołali coś wystrzelić.

Taulmaril brzęczał raz za razem, bez przerwy, gdy kobieta osłabiała potężną barykadę. Nie widziała żadnych sylwetek, w które mogłaby strzelać, jednak zamiast tego celowała w ich osłonę, tak że każda zaklęta strzała uderzała w bliźniacze stalagmity. Wszędzie wokół jej celu latały iskry, a odłamki kamienia syczały, wznosząc się w powietrze.

Nie będąc w stanie wychylić się na wystarczająco długo, by wykonać kontratak, dwa drowy straciły odwagę i uciekły w dół parowu. Catti-brie trafiła jednego w plecy i podniosła strzałę dla drugiego.

Poczuła ukłucie w boku i obróciła się, by ujrzeć kolejnego wroga, zaledwie trzy metry od niej, uśmiechającego się i trzymającego przed sobą kuszę.

Catti-brie skierowała na niego swój śmiertcionośny łuk. Usta drowa otworzyły się w nagłym, pełnym przerażenia wrzasku, a Catti-brie posłała strzałę prosto w jego twarz z taką siłą, że zaczął koziółkować.

Młoda kobieta spojrzała na krwawiący bok. Skrzywiła się i wyrwała kłujący bełt, po czym wstała i rozejrzała się. Nie mogła być pewna, czy ten ostatni drow był tym ze wzgórza, czuła jednak jak podstępna trucizna wkrada się w jej członki i wiedziała, że nie może tu czekać, by upewnić się, czy nie ma wokół niej innych przeciwników. Z determinacją zaczęła wspinać się po nierównej ścianie parowu i szybko znalazła się na półce skalnej, szła powoli, starając się zachować kierunek i równowagę.

* * *

Błysk zahaczył o miecz drowa i Drizzt posłał go w ruch obrotowy, tak że dwa ostrza zataczały wielkie kręgi pomiędzy walczącymi. Jego przeciwnik wykonał za krążącymi szybko klingami podstępne pchnięcie, jednak drugi sejtnitar Drizzta znalazł się na jego drodze, odtrącając go nieszkodliwie na bok.

Drizzt utrzymywał tempo, a nawet wzmógł nacisk na obrót. Ostrza wirowały w dół i w górę i teraz to Drizzt popychał za nimi swą wolną broń sprytnymi uderzeniami, które zmuszały jego wroga do odskakiwania i pozbawiały go równowagi. Dzięki większej zwinności Drizzt panował nad krążącymi klingami i obydwaj przeciwnicy wiedzieli, że tropiciel zyskuje przewagę.

Wrogii drow napiął mięśnie, by przyłożyć kontrnacisk do Błysku - robiąc dokładnie to, na co czekał przebiegły Drizzt. W chwili w której poczuł nacisk na swoje ostrze, kiedy miecz i sejtnitar wznosiły się w górę przed jego oczyma, zakończył swe okrężne cięcie, odwrócił kierunek i uderzył Błyskiem w krótkiej pętli, trafiając w miecz drowa z drugiej strony. Pozbawiony równowagi przez nagłe rozłączenie, żołnierz zatoczył się i nie był w stanie odwrócić nacisku na miecz.

Jego ostrze zanurkowało w dół i poleciało daleko za jego ciało, obracając go na bok. Starał się przesunąć drugi miecz, by zablokować, jednak drugi sejtnitar Drizzta był zbyt szybki, wbił się mocno w bok j jego brzucha.

Zatoczył się do tyłu, upuszczając miecz na kamienie.

Drizzt usłyszał wołanie. Coś uderzyło go mocno w ramię, ciskając nim na kamienną ścianę. Odbił się od niej i obrócił unosząc sejtnitary.

Entreeri! Szczęka Drizzta opadła wraz z jego gardą.

Catti-brie dostrzegła Drizzta na półce skalnej i widziała, że inny drow cofa się, trzymając za bok. Krzyknęła widząc, jak kolejna ciemna sylwetka wypada z wnęki i rzuca się na Drizzta. Podniosła łuk, zdała sobie jednak sprawę, że jeśli ciało wroga nie zatrzyma strzały, przebije się ona przez nie i ugodzi Drizzta. Poza tym młoda kobieta poczuła falę ośpienia, nasenna trucizna zaczęła już krążyć w jej żyłach.

Trzymała Taulmarila w gotowości i parła do przodu, jednak piętnaście metrów do Drizzta wydawało jej się niczym sto kilometrów.

* * *

Miecz Entreriego zapłonął zielonym światłem, jeszcze bardziej ujawniając zabójcę. Jakże to jednak mogło być? - zastanawiał się Drizzt. Pokonał go, zostawił Entreriego na śmierć w krętym wąwozie za Mithrilową Halą.

Najwyraźniej nie wszyscy zostawili Entreriego na śmierć.

Miecz wyprysnął do przodu w diabelskim, polegającym na dwóch uderzeniach manewrze. Jedno z nich było niskim pchnięciem w żebra Drizzta, drugie zaś, cięcie w górę, niemal trafiło drowa w oczy.

Drizzt starał się odzyskać równowagę oraz zmysły. Entreri rzucił się na niego, atakując szaleńczo i powarkując przez cały czas. Gwałtowne kopnięcie trafiło tropiciela w kolano i musiał odepchnąć się od ściany, gdy spadł na niego płonący zielenią miecz, krzesząc linię iskier.

Powarkujący zabójca obrócił się wraz z Drizztem, posyłając sztylet szerokim zamachem. Sejmitar Drizzta brzęknął o krótszą broń i wytrącił ją, jednak dłoń Entreriego podążała dalej, zwijając się w pięść, i znalazła się już wewnątrz blokującego kąta klingi Drizzta.

Na ułamek sekundy przed tym, jak pięść zabójcy trafiła go w nos, Drizzt uświadomił sobie, iż Entreri znajdował się o krok przed nim, że oczekiwał, a nawet pragnął właśnie takiego parowania.

Oszołomiony tropiciel zatoczył się do tyłu. Jedyne wąski kopiec stalagmitowy powstrzymał go przed spadnięciem z półki skalnej. Entreri rzucił się natychmiast na niego. Zielone i niebieskie iskry zajaśniały, gdy brutalny zamach miecza zabójcy wytrącił Drizztowi z ręki Błysk.

Drugie ostrze Drizzta sparowało następne cięcie na odlew, zanim jednak zaczął pochylać się, by podnieść upuszczoną broń, Entreri przykucnął i kopnięciem strącił Błysk z półki.

Wciąż pozbawiony równowagi Drizzt spróbował dolnego cięcia, które zostało z łatwością odbite, zaś zabójca skontrolował kolejnym ciężkim ciosem pięścią, trafiając potężnie w brzuch Drizzta.

Entreri poderwał się w górę, posyłając miecz w skierowany na zewnątrz łuk i zabierając za nim

sejmitar Drizzta. Była to gra w szachy, a Entreri grał białymi, zdobył przewagę i nie rezygnował z ofensywy. Gdy miecz i sejmitar znalazły się z boku, rozwścieczony zabójca rzucił się ciałem na tropiciela, trzymając przed sobą przedramię. Uderzył Drizzta w twarz oraz grzmotnął brutalnie jego głową o skałę. Miecz Entreriego znów trafił w sejmitar, odtrącając go na bok, i znów, w górę, zaś Drizzt, trzymając rękę wysoko w górze i widząc, że Entreri szykuje się, by na niego natrzeć, zdał sobie sprawę ze swojej zguby. Rzucił się na bok, gdy miecz ciął w poprzek, przecinając jego płaszcz, zgrzyta) ąc o wykuty przez krasnoludy pancerz i wyrzynając linię przez pachę, wspomagając tym pęd jego ruchu.

Następnie Drizzt zlatywał już z półki skalnej, twarzą w błoto.

Entreri instynktownie odskoczył i obrócił się, zauważywszy kątem oka błysk. Srebrzysta strzała przebiła się przez płataninę płaszcza, po czym poleciała dalej, pozostawiając Entreriego stojącego nieruchomo na skale. Zdołał wyciągnąć spod siebie dłoń, kierując palce do upuszczonego sztyletu.

- Drizzt! - zawołała Catti-brie, której otępienie minęło chwilowo na widok spadającego przyjaciela. Wyciągając miecz, otumaniona kobieta przyspieszyła tempa, niezbyt pewna, czy najpierw chce skończyć z zabójcą, czy spojrzeć w dół na drowa.

Zbliżywszy się zboczyła w stronę stalagmitu, jednak jej wybór został poddany dyskusji, bowiem zabójca poderwał się gwałtownie, najwyraźniej cały i zdrowy. Strzała chybiła, wycinając jedynie dziurę w obwisłym płaszczu Entreriego.

Catti-brie walczyła przez załzawione oczy i zaciśnięte zęby, odtrącając na bok pierwsze pchnięcie mieczem Entreriego, i sięgnęła do wysadzanego klejnotami sztyletu wiszącego jej u paska. Jej ruchy były jednak ospałe, bowiem podstępna nasenna trucizna pokonywała szybko przyływ adrenaliny, i gdy zacisnęła ręce na swej ozdobnej broni, zauważyła nagle, że jej miecz został odtrącony, a sztylet przeciwnika naciskał na jej dłoń, przygważdżając ją do rękojeści noża.

Czubek miecza Entreriego uniósł się w górę, niebezpiecznie wysoko i niebezpiecznie swobodnie.

Catti-brie wiedziała, że czeka ją koniec. Czowała jedynie chłodną stal miecza Entreriego, prześlizgującą się przez delikatną skórę jej szyi.

ROZDZIAŁ 19

FAŁSZYWA DUMA

On żyje -zasygnalizował żołnierz Jarlaxle'owi, przyglądając się leżącemu tropicielowi.

Dowódca najemników wskazał żołnierzowi, by odwrócił Drizzta, tak by jego twarz znajdowała się nad wodą. Jarlaxle spojrział przez nieruchome jezioro, rozumiejąc, że odgłosy walki były wyraźnie słyszalne za jej wodami. Najemnik ujrzał znamieny, bladoniebieski blask dryfdysków, latających platform energii, lecących z wybrzeża. Jarlaxle wiedział, że znajdowali się na nich żołnierze domu Baenre.

- Zostaw go - dowódca najemników zasygnalizował swemu żołnierzowi -i jego ekwipunek. - Zarazpóźniej wyciągnął z powrotem swą piszczałkę, przyłożył ją do ust, odwrócił się do Drizzta i zagrał wysoką nutę. Dweomer piszczałki ukazał mu, iż tropiciel ma na sobie magiczną zbroję, roboty przynajmniej tak dobrej jak drowia.

Jarlaxle westchnął, widząc moc zaklęcia Błysku. Z rozkoszą dodałby ten sejmitar do swojej zbrojowni, jednak w Menzoberranzan było dobrze wiadomo, że Drizzt Do'Urden walczy dwoma sejmitarami i gdyby któregoś z nich brakowało, najemnik sam prosiłby się o kłopoty ze strony opiekunki Baenre.

Drizzt nie miał na sobie więcej zaklętych rzeczy, nie licząc jednego przedmiotu, który przyciągnął i utrzymał uwagę najemnika. Jego magia była naprawdę silna, lśniła odcieniami typowymi dla zaklęć uroków, był to przedmiot dokładnie z tego rodzaju, które szczywany Jarlaxle wykorzystywał, by uzyskać jak najlepszy efekt.

Jego żołnierz, przesunawszy nieprzytomnego tropiciela tak, by jego głowa znajdowała się nad wodą, ruszył w stronę Jarlaxle'a, jednak dowódca najemników zatrzymał go. - Zabierz wisiołek - poleciły palce Jarlaxle'a.

Żołnierz obrócił się i wyglądało na to, iż po raz pierwszy dostrzegł zbliżające się dryfdyski. - Baenre? - spytał cicho, odwracając się do swego dowódcy.

- Znajdą swą zdobycz - odparł z przekonaniem Jarlaxle. -A opiekunka Baenre będzie pamiętała, kto dostarczył jej Drizzta Do 'Urdena.

* * *

Entreri nie miał zamiaru pytać, jaką drowkę zabija tym razem. Pracował wraz z Bregan D'aerthe, zaś ta drowka, jak ta w grzybowym domu, wtrąciła się i była świadkiem.

Krótkie zerknięcie ukazało mu jednak coś, co sprawiło, iż zatrzymał się, pokazało mu znajomy, wysadzany klejnotami sztylet, wiszący u pasa tej drowki.

Entreri przyjrzał się bliżej kobiecie, trzymając czubek miecza przy jej szyi i upuszczając małe kropelki krwi. Przesunął zwinnie ostrze i na gładkiej skórze kobiety ukazała się delikatna linia.

- Dlaczego tu jesteś? - wydyszał Entreri, szczerze zdumiony. Wiedział, że nie przybyła do Menzoberranzan u boku Drizzta -doradca Firble z Blingdenstone z pewnością wspomnieliby o niej. Jarlaxle zdecydowanie wiedzieliby o niej!

Była tu jednak, i to zdumiewająco zaopatrzona.

Entreri znów zdjął miecz z jej szyi i delikatnie wsunął jego czubek pod fałdkę pod podbródkiem, wykorzystując go, by zdjąć magiczną maskę.

Catti-brie walczyła usilnie z narastającym przerażeniem. To zbyt mocno przypominało jej pierwszy raz, kiedy była w szponach Artemisa Entreri. Zabójca wywoływał w niej niemal irracjonalnągrozę, głęboki strach, którego nie potrafiłby sprowadzić żaden potwór ani smok, ani diabeł z Tarterusa.

Znów był tutaj, zdumiewająco żywy, z mieczem przy jej wrażliwym gardle.

- Nieoczekiwana premia - zamyślił się Entreri. Zachichotał paskudnie, jakby starał się obmyślić sposób na wyciągnięcie największych korzyści ze swojej więźniarki.

Catti-brie zastanawiała się nad zeskoczeniem z półki skalnej -nawet gdyby znajdowała się w pobliżu trzystumetrowej przepaści, rozważyłaby to! Poczwała, jak włosy na karku stajanej dęba, a po skroni spływa jej pot.

- Nie - rzekła, a twarz Entreriego wykrzywiła się zdumieniem. -Nie? - powtórzył, nie rozumiejąc, że jej uwaga mogła być skierowana do wewnątrz.

Catti-brie zmierzyła go stalowym spojrzeniem. - A więc przeżyłeś - stwierdziła niedbale. - Aby żyć wśród tych, którzy są do ciebie najbardziej podobni.

Po lekkim grymasie widać było, iż Entreriemu nie podoba się zbytnio ten opis. Potwierdził to, uderzając ją rękojęścią miecza, wskutek czego na policzku kobiety pojawiła się pręga, a z nosa popłynęła strużka krwi.

Catti-brie padła do tyłu, lecz wyprostowała się natychmiast, wpatrując się uważnie w zabójcę. Nie pozwoli Entreriemu na satysfakcję oglądania jej przerażenia, nie tym razem.

- Powiniennem cię zabić - wyszeptał Entreri. - Powoli. Catti-brie roześmiała się. - A więc zrób to - odparła. - Już ujrzałam dowód, że Drizzt jest od ciebie lepszy.

W nagłym przyptywie wściekłości Entreri niemal ją zmiażdżył. -Był - sprostował, spoglądając paskudnym wzrokiem na półkę skalną.

-Widywałam już, jak obydwaj spadaliście Catti-brie zapewniła go z tak wielkim przekonaniem, najakie mogła się tylko zdobyć w tej mrocznej chwili. - Nie nazwę żadnego z was martwym, dopóki nie dotknę zimnego ciała!

- Drizzt żyje - dobiegł szept z tyłu, wypowiedziany w płynnej wspólnej mowie powierzchni, gdy Jarlaxle oraz dwaj żołnierze Bregan D'aerthe podchodzili do zabójcy. Jeden z nich przystanął, by dobić wijącego się drowa z raną w boku.

Utraciwszy kontrolę nad sobą na rzecz szału, Entreri instynktownie obrócił się z powrotem do Catti-brie, jednak tym razem kobieta uniosła zeszywniałą rękę i obróciła nadgarstek, lekko odtrącając cios.

Jarlaxle znalazł się pomiędzy nimi, spoglądając na Catti-brie z więcej niż tylko przelotnym zainteresowaniem. - Na szczęście pobłogosławionego przez Lloth pajaka - stwierdził przywódca najemników, po czym uniósł dłoń, by dotknąć posiniaczonego policzka Catti-brie.

- Baenre się zbliżają- przypomniał żołnierz znajdujący się za plecami dowódcy najemników, używając mowy drowów.

- Istotnie-odparł z roztargnieniem Jarlaxle, znów w języku powierzchni. Wydawał się całkowicie pochłonięty tą egzotyczną kobietą, która była przed nim. - Musimy wyruszyć w drogę.

Catti-brie wyprostowała się, jakby oczekiwała, że spadnie zabójczy cios. Zamiast tego Jarlaxle podniósł rękę i zdjął opaskę z jej głowy, w rezultacie oślepiając ją. Nie stawiała oporu, gdy zabierano jej Taulmarila oraz kołczan. Wiedziała, że to brutalna ręka Entreriego wyrwała wysadzany klejnotami sztylet z pochwy na jej pasie.

Silna, lecz zdumiewająco delikatna dłoń podniosła ją i odprowadziła - z dala od Drizzta.

Znów pojmany, pomyślał Drizzt, tym razem wiedział jednak, że przyjęcie nie będzie tak miłe jak pobyt w Blingdenstone. Wszedł w pajęczynę, dostarczył cenną zdobycz prosto na stół jadalny.

Był przykuty kajdanami do ściany, stał na czubkach palców, by nie wisieć na zbolałych nadgarstkach. Nie pamiętał przybycia do

tego miejsca, nie wiedział, jak długo tu wisi, w tym ciemnym i brudnym pomieszczeniu, jednak obydwie nadgarstki bolały go i ukazywały w infrawizji gorące szramy, jakby zdarto mu skórę. Drizzt czuł również ból w lewym barku oraz nieprzyjemne rwanie w górnej części klatki piersiowej i w pasze, gdzie ugodził go miecz Entreriego.

Uświadomił sobie jednak, iż jakaś kapłanka musiała oczyścić ranę i uleczyć go, bowiem gdy spadł z półki skalnej, rana była gorsza. Przypuszczenie to nie uczyniło wszelako zbyt wiele, by podnieść Drizzta na duchu, bowiem ofiary u drowów znajdowały się zazwyczaj w jak najlepszym zdrowiu, zanim zostały oddane Pajęcznej Królowej.

Przez cały ten ból oraz brak nadziei tropiciel walczył jednak usilnie, by się trochę uspokoić. W sercu Drizzt wiedział przez cały czas, iż to się tak skończy, że zostanie pojmany i zabity, aby jego przyjaciele w Mithrilowej Hali mogli żyć w spokoju. Dawno temu Drizzt zaakceptował śmierć i pogodził się z tą ewentualnością, gdy opuścił Halę. Dlaczego więc czuł się tak niespokojnie?

Nie wyróżniające się niczym szczególnym pomieszczenie było zaledwie jaskinią z łańcuchami przymocowanymi wzdłuż trzech ścian do skały oraz klatką wiszącą ze stropu. Oględziny zostały raptownie przerwane, gdy okute żelazem drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i do środka wmaszerowały dwie umundurowane żołnierki, stając na baczność po obydwu stronach wrót.

Drizzt zacisnął zęby i spojrzał tam, zdecydowany stawić czoła śmierci z godnością.

Przez drzwi wszedł ilithid.

Drizztowi opadła szczeka, szybko jednak odzyskał postawę. Łupieżca umysłu? - nie mógł uwierzyć. Kiedy jednak poświęcił chwilę na zastanowienie się nad tym stworem, doszedł do wniosku, że musi znajdować się w lochu domu Baenre. Nie była to przyjemna myśl ani dla niego, ani dla jego przyjaciół.

Za ilithidem weszły dwie kapłanki, jedna niska i z paskudną miną oraz wiecznie wydętymi wargami, druga zaś wyższa, bardziej dostojna, jednak nie mniej imponująca. Następnie pojawiła się osłabiona, wyniszczona matka opiekunka, siedząca wygodnie na dryfdysku, a u jej boku znajdowała się kolejna kobieta, młodsza i piękniejsza wersja opiekunki Baenre. Na końcu tego korowodu weszło dwóch mężczyzn, wojowników, sądząc po ich stroju i broni.

Blask dysku opiekunki Baenre pozwolił Drizztowi przenieść wzrok do zwyczajnego spektrum - i drow zauważył kupkę kości leżącą pod jednymi z kajdan.

Drizzt spojrział z powrotem na świtę, na mężczyzn, i jego wzrok spoczął przez długą chwilę na młodszym z nich. Sądził, że to Berg'inyon, z którym był w jednej klasie w akademii drowów, drugi w hierarchii klasy pod względem umiejętności walki - drugi po Drizzcie.

Trzy młodsze kobiety stanęły wachlarzem za dryfdyskiem opiekunki Baenre, zaś dwaj mężczyźni zajęli miejsca przy żołnierkach u drzwi. Ilithid, ku zdumieniu oraz ogromnemu niepokojowi Drizzta, podszedł do niego i zamachał mu mackami obok twarzy, pocierając nimi skórę, drażniąc go. Drizzt widział, jak takie macki wysysają mózg mrocznego elfa, jednak niewiele mógł zrobić, by utrzymać swe nerwy pod kontrolą gdy to paskudne stworzenie było tak blisko niego.

- Drizzt Do'Urden - stwierdziła opiekunka Baenre.

Znała jego imię i Drizzt uznał to za zły znak. Znów zakotłowało się w nim to nieprzyjemne uczucie i zaczął rozumieć dlaczego.

- Szlachetny głupcze! - wypaliła nagle opiekunka Baenre. - Żeby przyjść do Menzoberranzan wiedząc, że na twoją żalną głowę jest nałożona nagroda! - Zeszła raptownie z dryfdysku i uderzyła Drizzta w twarz. - Szlachetny, zarozumiały głupcze! Czy ośmielałeś się wierzyć, że możesz wygrać? Czy sądziłeś, że ktoś tak żalony jak ty może zakłócić pięć tysięcy lat tego, co miało miejsce?

Wybuch ten zdumiał Drizzta, utrzymał jednak nieruchomy wyraz twarzy i wpatrywał się prosto przed siebie.

Grymas opiekunki Baenre zniknął, zastąpiony nagle krzywym uśmiechem. Drizzt zawsze nienawidził tej cechy typowej dla jego ludu. Mroczne elfy były tak ulotne i nieprzewidywalne, zbijały z tropu zarówno wrogów, jak i przyjaciół, nigdy nie pozwalając więźniowi, by wiedział dokładnie, na czym stoi.

- Niech twoja duma zostanie zaspokojona, Drizzcie Do'Urdenie - powiedziała opiekunka Baenre chichocząc. - Przedstawiam ci moją córkę, Bladen'Kerst Baenre, drugą po Triel. - Wskazała na kobietę w środku. - I Vendes Baenre - kontynuowała, pokazując najmniejszą z trójki. - I Quenthel. Z tyłu stoją moi synowie, Dantrag i Berg'inyon, który jest ci znany.

- Miło cię spotkać - Drizzt powiedział do Berg'inyona. Zdołał dodać do pozdrowienia uśmiech i otrzymał kolejny bolesny policzek od matki opiekunki.

- Sześcioro Baenre przybyło, by cię ujrzeć, Drizzcie Do'Urdenie - ciągnęła opiekunka Baenre, a Drizzt zamarzył, aby przestała kończyć każde zdanie powtarzaniem jego imienia! - Powinieneś czuć się zaszczycony, Drizzcie Do'Urdenie.

- Podałbym im rękę - odparł Drizzt - ale... - Spojrział bezradnie na skute dłonie i zaledwie

wzdrygnął się, gdy, jak można się było spodziewać, kolejne piękne uderzenie wyładowało na jego twarzy.

- Wiesz, że zostaniesz oddany Lloth - rzekła Baenre.

Drizzt spojrział jej prosto w oczy. - Ciałem tak, ale nigdy duszą.

- Dobrze - wycedziła matka opiekunka. - Nie umrzesz szybko, obiecuję ci. Okażesz się studnią informacji, Drizzcie Do'Urdenie.

Po raz pierwszy w toku tej rozmowy rysy Drizzta przysłoniła ciemna chmura.

- Poddam go torturom, matko - zaproponowała ochoczo Vendes.

- Duk-tak! - odezwała się ganiąco opiekunka Baenre, odwracając się ostro do swej córki.

- Duk-tak - wyszeptał pod nosem Drizzt i rozpoznał nazwę. W języku drowów duk-tak znaczyło, dosłownie, świętego kata. Był to również przydomek jednej z córek Baenre - najwyraźniej tej -której dzieła, w postaci mrocznych elfów zamienionych w rzeźby, były często wystawiane w akademii drowów.

- Cudownie - mruknął Drizzt.

- Słyszałeś o mojej cudownej córce? - spytała opiekunka Baenre, odwracając się z powrotem do więźnia. - Spędzi z tobą sporo czasu, obiecuję ci to, Drizzcie Do'Urdenie, jednak najpierw dostarczysz mi pewnych cennych informacji.

Drizzt rzucił w stronę wyniszczonej drowki powątpiewające spojrzenie.

- Jesteś w stanie wytrzymać każdą torturę - stwierdziła opiekunka Baenre. - Nie wątpię w to, szlachetny głupcze. - Uniosła pomarszczoną dłoń, by pogłaskać ilithida, który podszedł do jej boku. - Czy zniesiesz jednak wtargnięcie łupieżcy umysłów?

Drizzt poczuł, jak krew uchodzi mu z twarzy. Był kiedyś więźniem okrutnych ilithidów, bezradnym i nieszczęśliwym głupcem, o umyśle niemal złamanym przez ich wszechogarniającą wolę. Czy mógł odepchnąć takie wtargnięcie?

- Myślałeś, że to wszystko zakończy, o szlachetny głupcze! -zaskrzeczała opiekunka Baenre. - Dostarczyłeś nagrodę, głupi, zarozumiały, szlachetny głupcze!

Drizzt poczuł, jak to nieprzyjemne uczucie powraca wzmocnione po dziesięciokroć. Nie mógł schować swego grymasu, gdy matka opiekunka ciągnęła dalej Jej tok rozumowania podążał tym nieuniknionym torem, który rozrywał Drizztowi Do'Urdenowi serce.

- Jesteś zaledwie jedną nagrodą - powiedziała. - I pomożesz nam w podbiciu kolejnej. Mithrilowa Hala łatwiej stanie się nasza teraz, gdy na drodze nie stoi najsilniejszy sprzymierzeniec króla Bruenora Battlehammera. Ten sam sprzymierzeniec pokaże nam krasnoludzkie słabostki.

- Methi I! - rozkazała, a ilithid stanął bezpośrednio przed Drizztem. Tropiciel zamknął oczy, czuł jednak, jak cztery ośmiornicowe macki groteskowej głowy stwora wiją mu się po twarzy, jakby szukając jakichś określonych miejsc.

Drizzt krzyknął w przerażeniu i pokręcił szaleńczo głową, a nawet zdołał ugryźć jedną z macek. Ilithid rzucił się do tyłu.

- Duk-tak! - rozkazała opiekunka Baenre, a ochocza Vendes podeszła, uderzając pokrytą mosiądzem dłonią w policzek Drizzta. Zrobiła to drugi raz, a następnie trzeci, nabierając tempa, karmiąc się torturą.

- Ma być przytomny? - spytała błagalnym tonem.

- Dość! - Drizzt usłyszał odpowiedź opiekunki Baenre, choć jej głos wydawał się oddalony. Vendes ugodziła go jeszcze raz i poczuł, jak macki znów ocierają się o jego twarz. Starał się sprzeciwić, kręcić głową, nie miał jednak wystarczająco dużo siły.

Macki znalazły oparcie, a Drizzt poczuł na twarzy lekkie pulsowanie energii.

Jego rozlegające się przez najbliższych dziesięć minut wrzaski były czysto instynktowne, pierwotne. Łupieżca umysłowo sondował jego jaźń, posyłał w jego myśli straszne obrazy i pochłaniał każdą mentalną zasłonę, którą Drizzt był w stanie postawić. Czuł się nagi, wrażliwy, odarty z własnych uczuć.

Przez cały ten czas Drizzt, choć o tym nie wiedział, walczył dzielnie, a gdy Methil odsunął się od niego, odwrócił się do matki opiekunki i wzruszył ramionami.

- Czego się dowiedziałeś? - zażądała opiekunka Baenre.

- Jest silny - odparł telepatycznie Methil. - Wymaga więcej sesji.

- Kontynuuj! - warknęła Baenre.

- Umrze - Methil powiedział w jakiś sposób bulgoczącym, wodnistym głosem. -Jutro.

Opiekunka Baenre rozmyślała przez chwilę, po czym pokiwała twierdząco głową. Spojrzała na Vendes, swą niegodziwą Duk-tak, i strzeliła palcami, posyłając dziką drowkę w wir działania.

Świat Drizzta odpłynął w czerń.

OSOBISTY PLAN

Kobieta? - Triel spytała niecierpliwie, przemierzając prywatne komnaty Jarlaxle'a w sekretnej grocie wzdłuż jednej ze ścian Szponoszczeliny, wielkiej rozpadliny w południowo-wschodniej części Menzoberranzan.

- Pozbawiona głowy - odpowiedział spokojnie najemnik. Wiedział, że Triel stosuje jakiś rodzaj magii wykrywającej kłamstwa, był jednak przekonany, że jest w stanie lawirować pomiędzy takimi czarami. - Była najmłodszą córką, drobną szlachcianką z pomniejszego domu.

Triel zatrzymała się i skupiła wzrok na wykrętnym najemniku. Jarlaxle wiedział dobrze, że rozłoszczona Baenre nie pyta o tę kobietę, o tę Khareesę H'Kar. Khareesa, podobnie jak wszyscy strażnicy niewolników na Wyspie Rothów, została zabita, zgodnie z rozkazami, jednak raporty dochodzące do Triel wzmiankowały o innej kobiecie, a także o tajemniczym, wielkim kocie.

Jarlaxle był w grze spojrzeń lepszy niż ktokolwiek. Siedział wygodnie za swym wielkim biurkiem, wyglądał wręcz na zrelaksowanego. Odchylił się do tyłu i położył obute nogi na blacie.

Triel przemknęła pospiesznie przez pokój i zrzuciła jego stopy. Pochyliła się nad biurkiem, przysuwając swą skrzywioną twarz do czupurnego najemnika. Kapłanka usłyszała lekkie szurnięcie z boku, następnie kolejne na podłodze, i zaczęła podejrzewać, iż Jarlaxle ma tu wielu sprzymierzeńców, ukrytych za sekretnymi drzwiami, gotowych wyskoczyć i chronić przywódcę Bregan D'aerthe.

- Nie ta kobieta - wydyszała, starając się uspokoić. Triel kierowała najważniejszą szkołą w akademii drowów, była najstarszą córką pierwszego domu Menzoberranzan oraz potężną wysoką kapłanką cieszącą się pełną łaską (z tego, co wiedziała) Pajęczej Królowej. Nie obawiała się Jarlaxle'a czyjego sojuszników, obawiała się jednak gniewu swej matki, jeśli wywoła konflikt pomiędzy cennymi Bregan D'aerthe a domem Baenre.

Wiedziała też, że Jarlaxle zdaje sobie sprawę z jej niemocy wobec niego, wiedziała, że Jarlaxle rozumie ją lepiej niż ktokolwiek i wykorzysta sytuację w najlepszy możliwy sposób.

Celowo przestając się uśmiechać i udając, że jest poważny, najemnik uniósł swój krzykliwy kapelusz i przejechał powoli dłonią po boku łysej głowy. - Droga Triel - odparł spokojnie. - Mówię ci z całą szczerością, że na Wyspie Rothów nie było żadnej innej drowki, ani też w pobliżu wyspy, nie licząc żołnierki domu Baenre.

Triel odsunęła się od biurka i przygryzła wargi, zastanawiając się, w którą stronę ma się teraz skierować. Z tego co mogła powiedzieć, najemnik nie kłamał, albo więc znalazł jakiś sposób, by opierać się jej magii, albo mówił prawdę.

- Gdyby była, z pewnością doniósłbym ci o tym - dodał Jarlaxle, a w umyśle Triel zagrała nieczysto nuta kłamstwa.

Jarlaxle dobrze ukrył swój uśmiech. Rzucił to ostatnie kłamstwo tylko po to, by upewnić Triel, że jej czar działa. Po jej niedowierzającej minie Jarlaxle wiedział, iż wygrał tę rundę.

- Słyszałam o wielkiej panterze - naciskała Triel.

- Wspaniały kot - zgodził się Jarlaxle - własność pewnego Drizzta Do'Urdena, jeśli dobrze przeczytałem historię tego renegata. Nazywa się Guenhwyvar i została zabrana od ciała Masoja Hun'etta po tym, jak Drizzt zabił go w walce.

- Słyszałam, że ta pantera, ta Guenhwyvar, znalazła się na Wyspie Rothów-uściśliła niecierpliwie Triel.

- W istocie - odrzekł najemnik. Wyciągnął spod płaszcza metalową piszczałkę i przytrzymał ją przed jej oczyma. -Była na wyspie, po czym rozplynęła się w niematerialną mgłę.

- A urządzenie przywołujące?

- Masz Drizzta, moja droga Triel - odparł spokojnie Jarlaxle. - Ani ja, ani nikt z mojej drużyny, nie przebywaliśmy w pobliżu renegata, nie licząc walki. Zaś, jeśli nigdy nie widziałaś Drizzta Do'Urdena w walce, pozwól że cię zapewnię, iż moi żołnierze mieli co innego na głowie niż przeszukiwanie mu kieszeni!

Na twarzy Triel pojawiła się podejrzliwość.

- Och, jeden pomniejszy żołnierz podszedł do leżącego renegata -uściślił Jarlaxle, jakby zapomniał o tym drobnym szczególe. -Nie zabrał jednak figurki, nie zabrał Drizztowi żadnego urządzenia przywołującego, mogę cię zapewnić.

- I ani ty, ani żaden z twoich żołnierzy, nie natknęliście się na onyksową figurkę?

- Nie.

Przebiegły najemnik znów powiedział jedynie prawdę, bowiem, technicznie rzecz biorąc, Artemis Entreri nie był żołnierzem Bre-gan D'aerthe.

Czar Triel mówił jej, iż słowa Jarlaxle'a są prawdziwe, jednak wszystkie doniesienia głośiły, iż pantera była na wyspie, a żołnierze domu Baenre nie zdołali odnaleźć cennej figurki. Niektórzy

sądzi, iż mogła wypaść Drizztowi, gdy spadł z półki skalnej, lądując gdzieś w mętnej wodzie. Czary magicznej detekcji nie zlokalizowały jej, jednak można to było z łatwością wyjaśnić naturą Donigarten. Ciemne jezioro było spokojne na powierzchni, znane były jednak dobrze jego silne prądy, wiedziano również o mrocznych istotach czających się w głębi.

Mimo to córka Baenre nie była przekonana ani co do kobiety, ani co do figurki. Wiedziała, że tym razem Jarlaxle ją pokonał, w równym jednak stopniu ufała swoim raportom, jak nie ufała najemnikowi.

Natomiast mina, którą następnie zrobiła, nadążanie tak niezwykle u dumnej córki Baenre, zdołało zbić Jarlaxle'a z tropu.

- Plan idzie do przodu - powiedziała nagle Triel. - Opiekunka Baenre szykuje wysoki rytuał, ceremonię, której znaczenie zostanie zwiększone, gdy posiada już najcenniejszą ofiarę.

Jarlaxle rozważył uważnie jej słowa oraz powagę, z jaką Triel je wypowiadała. Drizzt, najważniejsze ogniwo z Mithrilową Halą, został dostarczony, jednak opiekunka Baenre wciąż zamierzała wprowadzać w życie, najszybciej jak to możliwe, podbój Mithrilowej Hali. Co Lloth o tym pomyśli? - zastanawiał się najemnik.

- Z pewnością twoja opiekunka poświęci sporo czasu na rozważenie wszystkich możliwości - odrzekł spokojnie Jarlaxle.

- Zbliża się do śmierci - warknęła w odpowiedzi Triel. - Jest żadna podboju i nie pozwoli sobie na śmierć, dopóki go nie osiągnie.

Jarlaxle niemal roześmiał się, słysząc zdanie „nie pozwoli sobie na śmierć”, po czym zastanowił się nad wyniszczoną matką opiekunką. Baenre powinna umrzeć wieki temu, a mimo to w jakiś sposób wciąż żyła. Być może Triel miała rację, zamyślił się najemnik. Być może opiekunka Baenre rozumiała, że dekady w końcu ją doganiają, dąży więc do podboju, nie zważając na konsekwencje. Jarlaxle kochał chaos, kochał wojnę, jednak to była kwestia wymagająca uważnego zastanowienia się. Najemnik naprawdę lubił swoje życie w Menzoberranzan. Czy opiekunka Baenre mogła je zakłócić?

- Sądzi, że pojmanie Drizzta jest dobrą rzeczą- ciągnęła Triel. - I jest, naprawdę jest! Ten renegat jest ofiarą która dawno temu powinna zostać złożona Pajęczej Królowej.

- Ale... - naciskał Jarlaxle.

- Ale w jaki sposób uda się utrzymać sojusz, gdy inne matki opiekunki dowiedzą się, że Drizzt został już pojmany? - wskazała Triel. - Będzie co najmniej chwiejny, a sytuacja jeszcze się pogorszy, gdy niektórzy dojdą do przekonania, iż najazd nie jest już usankcjonowany przez Lloth, że główny cel wyprawy na powierzchnię został już osiągnięty.

Jarlaxle złożył przed sobą palce i milczał przez długą chwilę. Ta córka Baenre była mądra i bardziej obeznana w zwyczajach drowów niż ktokolwiek w mieście - poza jej matką i być może Jarlaxle'em. Teraz jednak, mając tak dużo więcej do stracenia, ukazała najemnikowi coś, o czym on sam nie pomyślał, potencjalnie poważny problem.

Bezskutecznie starając się ukryć swą frustrację, Triel odwróciła się od biurka i przeszła przez mały pokój, ledwo zwalniając, gdy wkraczała w niekonwencjonalny portal, międzyplanarną lepkość, która zmusiła ją do przemierzenia wielu kroków wodnistym korytarzem (choć drzwi wydawały się mieć zaledwie kilkanaście centymetrów), zanim wyszła pomiędzy dwoma uśmiechającymi się strażnikami Bregan D'aerthe w korytarzu.

Chwilę później Jarlaxle ujrzał za niemal przejrzystymi drzwiami ogrzany zarys drowiej dłoni, sygnał, że Triel opuściła kompleks. Dźwignia pod blatem biurka najemnika otworzyła siedem różnych sekretnych drzwi - na podłodze i ścianach - i wyłoniło się z nich kilku mrocznych elfów oraz jeden człowiek, Artemis Entreri.

- Triel słyszała doniesienia o kobiecie - Jarlaxle powiedział do żołnierzy, swych najbardziej zaufanych doradców. - Idźcie pomiędzy szeregi i dowiedzcie się, kto, jeżeli w ogóle ktoś, zdradził nas córce Baenre.

- Mamy go zabić? - spytał ochoczo jeden z drowów, osobnik, którego umiejętności Jarlaxle cenił sobie, gdy dochodziło do przesłuchania.

Dowódca najemników zmierzył porywczego drowa protekcyjnym spojrzeniem, a pozostali Bregan D'aerthe uczynili to chwilę później. Tradycja podziemnej drużyny nie polegała na likwidowaniu szpiegów, lecz raczej na subtelnej manipulacji. Jarlaxle dowiódł wielokrotnie, iż równie wiele może działać dezinformując przeciwnika i każda wtyczka, jaką Triel umieściła pomiędzy jego szeregami, może przynieść korzyści.

Nie czując potrzeby powiedzenia czegoś więcej do swych dobrze wyćwiczonych i doświadczonych doradców, Jarlaxle odesłał ich machnięciem ręki.

- Z każdą godziną robi się coraz zabawniej - stwierdził najemnik, gdy tamci zniknęli. Spojrzał zabójcy prosto w prawe oko. - Pomimo rozczarowań.

Uwaga ta zbiła Entreriego z tropu. Starał się dojść, o czym mówi Jarlaxle.

- Wiedziałaś, że Drizzt znajduje się w Podmroku, wiedziałaś nawet, że jest w pobliżu Menzoberranzan i wkrótce się tu pojawi - zaczął najemnik, choć jego słowa nie przekazały Entreriemu niczego odkrywczego.

- Pułapka została idealnie zastawiona i idealnie wykonana - spierał się zabójca, a Jarlaxle naprawdę nie mógł się nie zgodzić, choć kilku żołnierzy zostało rannych, a czterech zginęło. Trzeba było liczyć się z takimi stratami, gdy miało się do czynienia z kimś takim jak Drizzt. - Byłem tym,

który powalił Drizzta i schwytał Catti-brie - wymownie przypomniał mu Entreri.

- W tym leży twój błąd - powiedział Jarlaxle. Entreri spojrział na niego ze szczerym zakłopotaniem.

- Ludzka kobieta o imieniu Catti-brie podążała za Drizztem aż tutaj, wykorzystując Guenhwyvar oraz to - rzekł, trzymając magiczny medalion w kształcie serca. - Szła na ślepo, z tego co można stwierdzić, poprzez kręte jaskinie i straszne labirynty. Nie byłaby w stanie cofnąć się po swoich śladach.

- Nie miała zamiaru wracać - dodał sucho Entreri.

- W tym leży twój błąd - powtórzył Jarlaxle. Uśmiechał się szeroko i Entreri zaczął rozumieć, o co chodzi.

- Tylko Drizzt Do'Urden mógłby wyprowadzić cię z głębin Podmroku - powiedział mu jasno Jarlaxle. Najemnik cisnął medalion Entreriemu. - Poczuj jego ciepło - wyjaśnił - ciepło krwi wojownika krążącej w żyłach Drizzta Do'Urdena. Kiedy się ochłodzi, będziesz wiedział, że Drizzta już nie ma, że twój słoneczny świat jest dla ciebie na zawsze stracony.

- Nie licząc być może krótkiego zerknięcia, kiedy Mithrilowa Hala zostanie zajęta - dodał Jarlaxle z chytrym mrugnięciem.

Entreri powstrzymał impuls, by przeskoczyć przez biurko i zamordować najemnika - głównie dlatego, iż podejrzewał, że kolejna dźwignia pod blatem otworzy siedem innych drzwiczek i wypadną na niego najbliżsi doradcy Jarlaxle'a. Naprawdę jednak, po tej początkowej chwili, zabójca był bardziej zaintrygowany niż rozwścieczony, zarówno przez nagłą proklamację Jarlaxle'a, że nigdy więcej nie ujrzy świata powierzchni, jak i myślą, że Drizzt Do'Urden mógłby wyprowadzić go z Podmroku. Rozmyślając i wciąż trzymając medalion, zabójca skierował się do drzwi.

- Czy wspomniałem, że dom Horlbar zaczął śledztwo w sprawie śmierci Jerlys? - zapytał Jarlaxle, zatrzymując zabójcę w pół kroku. -Zwrócili się nawet do Bregan D'aerthe, pragnąc zapłacić suto za informacje. Jakże to ironiczne, nie sądzisz?

Entreri nie odwrócił się. Podszedł po prostu do drzwi i wniknął w nie. Miał sporo do przemyślenia.

Jarlaxle również rozmyślał - o tym, że cały ten epizod może stać się jeszcze bardziej apetyczny. Myślał o tym, że Triel ukazała mu pewne pułapki, których opiekunka Baenre, zaślepiona swą żądzą potęgi, nigdy nie dostrzeże. Zastanawiał się głównie nad tym, iż Pajęczka Królowa, w swoim umiłowaniu chaosu, umieściła go w pozycji, dzięki której może odwrócić świat Menzoberranzan do góry nogami.

Opiekunka Baenre miała swoje rozkłady zajęć, podobnie jak z pewnością Triel, i teraz Jarlaxle

ustalał właśnie swoje, tylko po to, by wywołać gwałtowny chaos, z którego przebiegły najemnik zawsze wydawał się wyłaniać potężniejszy niż wcześniej.

* * *

Półprzytomny Drizzt nie wiedział, jak długo trwała kara. Vendes była niesamowita w swym okrutnym rzemiośle, wynajdywała każdy wrażliwy punkt na ciele bezradnego więźnia i biła go, drażyła, szarpała paskudnymi, spiczastymi przyrządami. Utrzymywała Drizzta na skraju nieprzytomności, nawet na chwilę nie pozwalając mu całkowicie zemdleć, aby czuł dręczący ból.

Następnie odeszła, a Drizzt obwisł na łańcuchach, nie będąc w stanie pojąć obrażeń, jakie twarde krawędzie bransolet zadają jego nadgarstkom. Wszystkim, czego w tej strasznej chwili pragnął tropiciel, było opuścić ten świat oraz zbolełe ciało. Nie mógł myśleć o powierzchni, o swych przyjaciółach. Pamiętał, że na wyspie pojawiła się Guenhwyvar, nie mógł się jednak wystarczająco mocno skoncentrować, by przypomnieć sobie znaczenie tego faktu.

Był pokonany. Po raz pierwszy w życiu Drizzt zastanawiał się, czy śmierć nie byłaby lepsza od życia.

Poczuł, jak ktoś chwyta go szorstko za włosy i odchyła jego głowę do tyłu. Starał się spojrzeć przez zamglone i nabrzmiałe oczy, obawiał się bowiem, że powróciła niegodziwa Vendes. Głosy, które usłyszał, były jednak męskie.

Do jego ust przyłożono butelkę i odsunięto mu na bok głowę, aby płyn mógł spływać mu w dół gardła. Instynktownie, uważając to za truciznę albo jakiś eliksir, który skradnie mu życie, Drizzt opierał się. Wypluł trochę płynu, jednak uderzono silnie jego głową o ścianę i w gardło wpłynęło więcej kwaskowatej cieczy.

Drizzt poczuł pieczenie w całym ciele, jakby jego wnętrzności stanęły w ogniu. W tym, co uważał za ostatnie chwile życia, walczył zaciekle z nie poddającymi się łańcuchami, po czym opadł, wyczerpany, oczekując na śmierć.

Pieczenie stało się mrowiącym, słodkim odczuciem. Drizzt poczuł się nagle silniejszy, a gdy z jego oczu zaczął znikać obrzęk, powrócił mu wzrok.

Stali przed nim bracia Baenre.

- Drizzt Do'Urden - powiedział pewnym głosem Dantrag. -Czekałem wiele lat, by cię poznać.

Drizzt nie odpowiedział.

- Znasz mnie? Wiesz o mnie? - spytał Dantrag.

Drizzt znów nie przemówił, a tym razem milczenie kosztowało go policzek w twarz.

- Znasz mnie? - spytał bardziej stanowczo Dantrag.

Drizzt starał się usilnie przypomnieć imię, jakim określiła go opiekunka Baenre. Berg'inyona znał z lat spędzonych wspólnie w akademii i na patrolach, nie pamiętał jednak miana jego brata. Wiedział, że w grę wchodziło tu ego pytającego i rozsądniej byłoby zaspokoić tę fałszywą dumę. Przyglądał się jeszcze przez chwilę strojowi mężczyzny, wyciągając wnioski, które miał nadzieję, że są słuszne.

- Fechmistrz domu Baenre - zdołał powiedzieć, a z każdym słowem z jego udręczonych ust wylewała się krew. Zauważył, że pieczenie płynące z ran nie jest już tak wielkie, jakby się szybko leczyły, i zaczął rozumieć naturę eliksiru, który został mu wlany do gardła.

- Zaknafein powiedział ci więc o Dantragu - stwierdził mężczyzna, wypinając pierś niczym podwórkowy kogut.

- Oczywiście - skłamał Drizzt.

- Wiesz w takim razie, dlaczego tu jestem.

- Nie - odpowiedział szczerze Drizzt, bardziej niż trochę zdumiony.

Dantrag spojrział przez ramię, ściągając spojrzenie Drizzta na drugą stronę pomieszczenia, ku stercie ekwipunku - ekwipunku Drizzta! - ułożonej schludnie w przeciwległym kącie.

- Przez wiele lat pragnąłem walczyć z Zaknafeinem - wyjaśnił Dantrag - aby udowodnić, że jestem lepszy. Bał się mnie i nie chciał wyjść ze swojej nory.

Drizzt powstrzymał ochotę, by parsknąć. Zaknafein nikogo się nie bał.

- A teraz mam ciebie - ciągnął Dantrag.

- Aby móc udowodnić swój ą wyższość? - zapytał Drizzt. Dantrag uniósł dłoń, jakby do uderzenia, zdołał jednak utrzymać swój temperament na wodzy.

- Będziemy walczyć, a ty mnie zabijesz. Co wtedy powie opiekunka Baenre? - spytał Drizzt, rozumiejąc dylemat Dantraga. Został pojmany z ważniejszych powodów, niż tylko by zaspokoić dumę dziecka Baenre. Wszystko to nagle wydało się niczym gra - gra, w którą Drizzt grywał wcześniej. Kiedy jego siostra przybyła do Mithrilowej Hali i schwytała go, jej umowa ze współnikiem polegała na tym, aby pozwolić temu mężczyźnie, Artemisowi Entreri, na osobistą walkę z Drizztem, jedynie po to, aby mógł udowodnić własną wyższość.

- Chwała mojego zwycięstwa przyćmi jakąkolwiek karę - odparł niedbale Dantrag, jakby szczerze wierzył w swoje słowa. - Poza tym być może cię nie zabiję. Być może okaleczę cię i zakuję znowu w łańcuchy, aby Vendes mogła się dalej bawić. To właśnie dlatego daliśmy ci ten eliksir. Będiesz uleczany, doprowadzany na skraj śmierci i znów uleczany. Będzie się to ciągnęło przez sto lat, jeśli taka będzie wola opiekunki Baenre.

Drizzt pamiętał zwyczaje swego mrocznego ludu i ani przez chwilę nie wątpił w te słowa. Słyszał plotki o pojmanyh szlachcicach, ujętych w między domowych wojnach, którzy byli trzymeni przez stulecia jako torturowani niewolnicy zwycięskich domów.

- Nie wążp w to, że nasza walka będzie miała miejsce, Drizzcie Do'Urden - rzekł Dantrag. Przynsunął swą twarz tuż do Drizzta. - Kiedy będziesz uleczony i zdolny, by się bronić. - Szybciej niż mogły nadążyć oczy Drizzta, Dantrag podniósł w górę dłonie i uderzył go po kolei w obydwie policzki. Drizzt nigdy wcześniej nie widział takiej szybkości i zwrócił na nią baczną uwagę, podejrzewając, iż pewnego dnia znów jej doświadczy w bardziej niebezpiecznych okolicznościach.

Dantrag obrócił się na pięcie i przeszedł obok Berg'inyona w stronę drzwi. Młodszy Baenre zaśmiał się z wiszącego więźnia i splunął Drizztowi w twarz, zanim udał się za swoim bratem.

* * *

- Taka piękna - stwierdził łysy najemnik, przejeżdżając szczupłymi palcami po gęstwinie kasztanowych włosów Catti-brie.

Catti-brie nawet nie mrugnęła, wpatrywała się tylko w słabo oświetloną, niezaprzeczalnie przystojną sylwetkę. Spostrzegawcza młoda kobieta zdawała sobie sprawę, iż w tym drowie jest coś innego. Nie sądziła, by mógł coś na niej wymusić. Pod zawadiacką fasadą Jarlaxle'a spoczywało wypaczone poczucie honoru, będące mimo wszystko ustalonym kodeksem postępowania, podobnym do tego Artemisa Entreri. Zabójca trzymał kiedyś przez wiele dni Catti-brie jako więźnia i nie położył na niej dłoni, nie licząc popychania jej po drodze w odpowiednią stronę.

Tak było również z Jarlaxle'em, jak wierzyła, jak miała nadzieję Catti-brie. Jeśli najemnik naprawdę uważał ją za atrakcyjną, będzie starał się do niej zalecać, przyciągać jej uwagę, przynajmniej przez jakiś czas.

- I nie można kwestionować twojej odwagi - ciągnął Jarlaxle w swoim niepokojąco idealnym języku powierzchni. - Żeby przyjść samotnie do Menzoberranzan! - Najemnik potrząsnął z niedowierzaniem głową i spojrzał na Entreriego, jedyną poza nimi osobę w małym, kwadratowym pokoju. - Nawet Artemis Entreri musiał być tu zwabiony i bez wątpienia odszedłby, gdyby potrafił znaleźć drogę.

- To nie jest miejsce dla mieszkańców powierzchni - stwierdził Jarlaxle. Aby podkreślić swoje

słowa, szarpnął nagle ręką, znów zdejmując z głowy Catti-brie opaskę Kocie Oko. Otoczyła ją czerń, głębsza nawet niż noce w najgłębszych kopalniach Bruenora, i musiała usilnie starać się, by nie zalała ją fala paniki.

Jarlaxle był tuż przed nią. Czowała go, czuła jego oddech, jednak wszystkim co widziała, były płonące czerwienią oczy, oglądające jaw spektrum podczerwieni. Po przeciwległej stronie pokoju oczy Entreriego świeciły w podobny sposób, a Catti-brie nie rozumiała, jak on, człowiek, uzyskał taki wzrok.

Jakże żałowała, że również nie posiada takiej zdolności. Ciemność wciąż ją przygniatała, pochłaniała. Jej skóra była bardzo czuła, wszystkie zmysły znajdowały się na granicach swych możliwości.

Chciała krzyknąć, jednak nie mogła dać swym strażnikom tej satysfakcji.

Jarlaxle wypowiedział słowo, którego Catti-brie nie rozumiała, i pomieszczenie zostało nagle zalane delikatnym, niebieskim światłem.

- Tutaj widzisz - rzekł do niej. - Tam, za drzwiami, jest jedynie ciemność. - Drażniąco przytrzymał opaskę przed tęsknym spojrzeniem Catti-brie, po czym wsunął ją do kieszeni w bryczesach.

- Wybacz mi - powiedział miękko do Catti-brie, zbijając ją z tropu. - Nie chcę cię dręczyć, muszę jednak zachować ostrożność. Opiekunka Baenre cię pożąda, dość mocno, z tego co mi się wydaje, w związku z tym, że trzyma Drizzta jako więźnia, i wie, iż byłabyś odpowiednim sposobem do złamania jego potężnej woli.

Catti-brie nie kryła swojej ekscytacji, ulotnej nadziei na wieść, że Drizzt wciąż żyje.

- Oczywiście, że go nie zabili - ciągnął najemnik, mówiąc w równym stopniu do Entreriego, jak zdał sobie sprawę zabójca, jak do Catti-brie. - Jest cennym więźniem, fontanną informacji, jak to mówią, o powierzchni.

-Zabiją go - stwierdził Entreri ze sporą złością, jak przytomnie zdołała zauważyć Catti-brie.

- W końcu tak - odrzekł Jarlaxle i zachichotał. - Wy dwoje najprawdopodobniej dawno już wtedy umrzecie ze starości, podobnie jak wasze dzieci. Chyba, że będą półdrowami - dodał chytrze, puszczając oko do Catti-brie.

Powstrzymała ochotę, by uderzyć go pięścią w oko.

- Szkoda, naprawdę, że wydarzenia potoczyły się takim torem -kontynuował Jarlaxle. - Tak bardzo pragnąłem porozmawiać z legendarnym Drizztem Do'Urdenem, zanim dostanie go Baenre. Gdyby pajęcza maska była w moim posiadaniu, poszedłbym do kompleksu Baenre jeszcze tej nocy,

kiedy kapłanki będą odprawiać wysoki rytuał, i wślizgnął się, by z nim porozmawiać. Na początku ceremonii, oczywiście, gdyby przypadkiem opiekunka Baenre zdecydowała się go poświęcić jeszcze tej nocy. Ach, cóż - zakończył z westchnieniem i wzruszeniem ramion, po czym ostatni raz przejechał delikatnymi palcami po gęstych włosach Catti-brie, zanim skierował się do drzwi.

- I tak nie mógłbym iść - powiedział do Entreriego. - Muszę spotkać się z opiekunką Ker Horlbar, by przedyskutować koszty śledztwa.

Entreri jedynie uśmiechnął się w odpowiedzi na celowo okrutną uwagę. Wstał, gdy najemnik go mijał, by wyjść za nim, jednak zatrzymał się nagle i spojrzał na Catti-brie.

- Sądzę, że zostanę i z nią porozmawiam - rzekł zabójca.

- Jak chcesz - odparł najemnik - nie zrań jej jednak. Albo też, jeżeli to zrobisz - sprostował znów chichocząc - nie uszkodź przynajmniej jej pięknych rysów.

Jarlaxle wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi, po czym pozwolił, by jego magiczne buty stuknęły donośnie, gdy szedł kamiennym korytarzem, aby upewnić Enteriego, że odszedł. Idąc sięgnął do kieszeni i uśmiechnął się odkrywszy, bez zaskoczenia, iż zniknęła z niej opaska.

Jarlaxle zasiał ziarna chaosu. Teraz mógł usiąść i obserwować, jak rosną owoce jego działalności.

ROZDZIAŁ 21

ODSŁONIĘTE WARSTWY

Catti-brie i Entreri spędzili długą chwilę, wpatrując się w siebie, sami po raz pierwszy od jej pojmania, w małym pokoju w sekretnym kompleksie Bregan D'aerthe. Po wyrazie malującym się na

twarzy Entreriego, Catti-brie wiedziała, iż ma on coś na myśli.

Uniósł przed siebie dłoń i poruszył palcami, a agat Kocie Oko opuścił się aż do końca swego srebrnego łańcuszka.

Catti-brie wpatrywała się w niego z zaciekawieniem, niepewna motywów zabójcy. Ukradł to oczywiście z kieszeni Jarlaxle'a, dlaczego ryzykował jednak kradzież od tak niebezpiecznego mrocznego elfa?

- Jesteś tak samo więźniem jak ja - stwierdziła w końcu Catti-brie. - On cię tu trzyma, żebyś robił to, co chce.

- Nie lubię tego słowa - odparł Entreri. - Więzień. Oznacza ono stan bezradności, a ja, zapewniam cię, nigdy nie jestem bezradny.

Catti-brie wiedziała, że składał się on w tej chwili w dziewięciu częściach z brawury, a w jednej z nadziei, jednak zachowała tę myśl dla siebie.

- A co zrobisz, gdy Jarlaxle dowie się, że mu to zginęło? - spytała.

- Do tego czasu będę już tańczył po powierzchni - odpowiedział chłodno zabójca.

Catti-brie przyjrzała mu się. Wypowiedział to czysto i wyraźnie bez śladu intrygi. Dlaczego jednak opaska? - wciąż się zastanawiała i nagle zaczęte się bać. Entreri mógł zdecydować, że woli jej gwiazdne światło lub też uzupełnia ono jego infrawizję. Nie powiedziałby jej jednak tego, gdyby zamierzał ją tu zostawić -żywą.

- Nie potrzebujesz tego - uznała Catti-brie, starając się zachować pewność w głosie. - Otrzymałeś infrawizję i wystarczająco dobrze widzisz drogę.

- Ale ty tego potrzebujesz -powiedział Entreri, rzucając młodej kobiecie opaskę. Catti-brie chwyciła ją i trzymała w dłoniach, starając się rozważyć konsekwencje jej założenia.

- Nie potrafię wyprowadzić cię na powierzchnię - rzekła, sądząc, że zabójca się przeliczył. - Znalazłam drogę na dół tylko dlatego, że miałam panterę oraz medalion wskazujący mi kierunek do Drizzta.

Zabójca nawet nie mrugnął.

- Powiedziałam, że nie potrafię cię stąd wyprowadzić - powtórzyła.

- Drizzt potrafi -powiedział Entreri. - Oferuję ci układ, którego nie możesz odrzucić. Wydostanę cię i Drizzta z Menzoberranzan, a wy dwoje zaprowadzicie mnie na powierzchnię. Znalazszy się tam, pójdziemy w swoją stronę i możemy pozostać oddzielnie przez całą wieczność.

Catti-brie poświęciła długą chwilę na rozważenie zaskakującej propozycji. - Myślisz, że ci zaufam? - spytała, lecz Entreri nie odpowiedział, nie musiał odpowiadać. Catti-brie siedziała uwięziona w pokoju otoczonym zaciekłymi nieprzyjaciółmi, a sytuacja Drizzta była najprawdopodobniej jeszcze gorsza. Niezależnie jakie zło mógł jej zaoferować Entreri, nie mogło być gorsze.

- Co z Guenhwyvar? - zapytała Catti-brie. - I z moim łukiem?

- Mam łuk i kołczan - odrzekł Entreri. - Jarlaxle ma panterę. - Nie pójde bez Guenhwyvar - powiedziała Catti-brie. Entreri spojrzał na nią z niedowierzaniem, jakby sądził, że blefuje.

Catti-brie rzuciła mu opaskę do stóp. Wskoczyła na mały stolik i butnie skrzyżowała ręce na piersi.

Entreri spojrzał na przedmiot, a następnie na Catti-brie. - Mógłbym sprawić, że pójdziesz - obiecał.

- Jeśli uważasz, że mógłbyś, to źle uważasz - odpowiedziała Catti-brie. - Wydaje mi się, że potrzebujesz mojej pomocy i współpracy, aby wydostać się z tego miejsca, a ja ci ich nie dam bez kolicy.

- Wiedz też, że Drizzt zgodziłby się z moim postanowieniem - ciągnęła Catti-brie, akcentując swoje stanowisko. - Guenhwyvar jest przyjaciółką nas obojga, a my nie zostawiamy przyjaciół!

Entreri wsunął czubek stopy w pętle opaski i niedbale podrzucił ją przez pokój do Catti-brie, która znów ją chwyciła i tym razem włożyła na głowę. Bez słowa zabójca wskazał kobiecie, by usiadła, i nagle opuścił pomieszczenie.

Pojedynczy strażnik przy prywatnym pokoju Jarlaxle'a nie okazał zbytniego zainteresowania zbliżającym się człowiekiem. Entreri praktycznie musiał szturchnąć drowa, by zwrócić jego uwagę. Następnie zabójca wskazał na dziwne, falujące drzwi i spytał - Jarlaxle?

Żołnierz pokręcił głową.

Entreri znów wskazał na wodniste drzwi, a jego oczy rozszerzyły się nagle z zaskoczenia. Gdy żołnierz wychylił się, by sprawdzić, co jest nie w porządku, zabójca chwycił go za ramiona i cisnął przez portal, tak że obydwaj wpadli do wodnistej korytarza. Entreri szarpał i obracał się w zwolnionym tempie w zapasach z zaskoczonym drowem. Był od niego większy i równie zwinny, więc czynił miarowe postępy, ciągnąc strażnika za sobą.

Wypadli z drugiej strony, wpadając do pokoju Jarlaxle'a. Drow sięgnął po miecz, lecz lewy sierpowy Entreriego sprawił, że się zachwiał. Zaraz potem nastąpiła szybka kombinacja ciosów pięścią, a kiedy drow padł na kolano, stopa zabójcy ugodziła silnie w jego policzek.

Entreri na wpół zaciągnął, na wpół przeniósł drowa na bok pokoju, gdzie rzucił nim o ścianę. Uderzył go jeszcze kilka razy, by upewnić się, że nie będzie stawiał dalszego oporu. Wkrótce mroczny elf był bezradny, klęczał na kolanach, ledwo przytomny, z rękoma związanymi za plecami i ciasno zakneblowanymi ustami. Przycisnął drowa do ściany i zaczął szukać mechanizmu zwalniającego. Uchyliły się drzwi do sekretnej wnęki i Entreri wcisnął drowa do środka.

Entreri zastanawiał się, czy zabić go, czy nie. Z jednej strony, gdyby zabił drowa, nie byłoby świadków i Jarlaxle musiałby spędzić trochę czasu, szukając sprawcy zbrodni. Coś powstrzymało jednak sztylet Entreriego, jakiś instynkt mówiący mu, by przeprowadził tę operację w czysty sposób, bez strat ze strony Bregan D'aerthe.

To wszystko było zbyt proste, uświadomił sobie Entreri, odnalazłszy nie tylko figurkę Guenhwyvar, lecz również magiczną maskę Catti-brie, czekające na niego - tak, czekające na niego! - na biurku Jarlaxle'a. Entreri podniósł je ostrożnie, szukając w pobliżu jakichś diabelskich pułapek i sprawdzając przedmioty, by upewnić się, że są prawdziwe.

Działo się tu coś dziwnego.

Entreri rozważał niezbyt subtelne wskazówki, które zostawiał Jarlaxle, fakt, że najemnik zabrał go do Sorcere i uprzejmie pokazał drogę do pajęczej maski. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął magiczny medalion Alustriel, drogowskaz do Drizzta Do'Urdena, który niedbale cisnął mu Jarlaxle. Najemnik zdołał nawet wyslizgnąć się w odpowiednim czasie na tę próbę, podczas wczesnych godzin wysokiego rytuału odprawianego tej nocy w domu Baenre.

O co w tym wszystkim chodziło? - zastanawiał się Entreri. Jarlaxle miał swoje prywatne plany, które najwyraźniej skierowane były przeciwko roszczeniom domu Baenre wobec Mithrilowej Hali. Kiedy Entreri stał tak w biurze najemnika, wydawało mu się oczywiste, iż Jarlaxle wykorzystuje go jako marionetkę.

Entreri chwycił mocno medalion, po czym wrzucił go z powrotem do kieszeni. Bardzo dobrze, uznał. Będzie naprawdę skuteczną marionetką.

Dwadzieścia minut później Entreri, wykorzystawszy magiczną maskę, by wyglądać jak drow żołnierz, oraz Catti-brie, przemykali w ciszy krętymi drózkami Menzoberranzan, idąc północno-wschodnią ścieżką wzdłuż stalagmitowych kopców, w stronę wyższych poziomów Tier Breche oraz akademii drowów.

* * *

Znów ujrzał spiętrzone schody wielkiego krasnoludzkiego Podmiasta, serca Mithrilowej Hali. Wyobraził sobie wejście z zachodniej bramy przez Dolinę Strażnika, w jego myślach stanęła znów wielka rozpadlina znana jako Wąwóz Garumna.

Drizzt walczył usilnie, by wypaczyć te obrazy, by zniekształcić prawdę o Mithrilowej Hali, jednak szczegóły były dla niego zbyt wyraźne. Było tak, jakby znów tam się znajdował, idąc swobodnie u boku Bruenora i innych. W bólu hipnozy łupieżcy umysłów Drizzt czuł się przytłoczony. Nie miał już żadnych barier, które mógłby postawić przeciwko mentalnej inwazji pupila opiekunki Baenre, nie miał już siły woli przeciwko umysłowemu gigantowi.

Gdy owe obrazy przychodziły do Drizzta, czuł jak są odsłaniane, mentalnie zdzierane z jego mózgu, niczym pożywienie dla paskudnego ilithida. Każde wtargnięcie piekło boleśnie, wzbudzało elektryczne wstrząsy wzdłuż synaptycznych połączeń w umyśle tropiciela.

W końcu Drizzt poczuł, jak podstępne macki stwora osłabiają uchwyt na skórze jego czoła i oklapł. Jego umysł był niczym galimatias zmieszanych ze sobą obrazów, a głowa pulsowała mu bólem.

- Uzyskaliśmy dzisiaj pewne informacje - usłyszał odległy, wodnisty głos.

Uzyskaliśmy pewne informacje...

Słowa rozbrzmiewały złowieszczo w umyśle Drizzta. Ilithid i opiekunka Baenre wciąż rozmawiali, jednak on nie słuchał, koncentrując się na tych trzech słowach, uświadamiając sobie konsekwencje tych trzech strasznych słów.

Lawendowe oczy Drizzta uchylili się, trzymał jednak głowę opuszczoną, skrycie zerkając na Methila. Stwór był do niego odwrócony tyłem, znajdował się zaledwie kilka kroków dalej.

Ilithid znał teraz część rozkładu Mithrilowej Hali, a ciągle wtargnięcia w umysł Drizzta ukażą mu wkrótce cały kompleks.

Drizzt nie mógł na to pozwolić. Dłonie drowa zacisnęły się powoli mocniej na łańcuchach.

Naga stopa Drizzta uniosła się w górę, uderzając piętą w gąbczastą głowę niegodziwego stwora. Zanim Methil zdołał się odsunąć, tropiciel owinał nogi wokół jego szyi i zaczął wierzgać w tył i przód, starając się złamać potworowi kark,

Drizzt poczuł, jak macki dotykają jego skóry, wiedział, że wbijają się w jego nogi, odrzucał jednak od siebie obrzydzenie i szamotał się zaciekle. Zobaczył, jak z boku podchodzi okrutna Vendes i wiedział, co się stanie, koncentrował się jednak na tym, co robi. Dla dobra jego przyjaciół, Methil musiał zostać zabity!

Ilithid rzucił się całym ciężarem do tyłu, starając się zaskoczyć Drizzta i wyrwać z uchwytu, jednak doświadczony tropiciel obrócił się i Methil padł na ziemię. Był teraz na wpół oparty o ścianę, trzymany w górze przez silny uchwyt Drizzta. Drow uniosł go i pchnął go z powrotem, zwalniając nieskuteczny chwyt. Ilithidy nie były zbyt imponujące pod względem fizycznym i Methil uniosł żałośnie swe trójpalczaste dłonie, starając się zasłonić przed miażdżącymi uderzeniami stóp.

Coś twardego ugodziło Drizzta u podstawy żeber, pozbawiając go tchu. Uparcie deptał, jednak został ponownie uderzony, a następnie trzeci i czwarty raz.

Wisząc bezwładnie na łańcuchach, tropiciel starał się skrócić ciało, by ochronić obszar, w który grzmociła Vendes. Kiedy Drizzt spojrział w rozwścieczone oczy niegodziwej Duk-tak, wypełnione mieszaniną jadu, nienawiści i ekstazy, i uznał, że pozwolono jej wyzwolić nagromadzoną wściekłość, pomyślał, że wkrótce zginie.

Zatrzymała się, wcześniej niż Drizzt ośmielał się mieć nadzieję, i spokojnie odeszła, pozostawiając Drizzta wiszącego w łańcuchach, starającego się podciągnąć ciało, lecz nie mogącego odnaleźć dość siły.

Methil zbliżył się do opiekunki Baenre, siedzącej wygodnie na swoim dryfdysku i spoglądał na Drizzta swymi pozbawionymi źrenic, mlecznobiałymi oczyma.

Drizzt wiedział, że kiedy następnym razem Methil wedrze się do jego umysłu, zrobi wszystko co w jego mocy, by uczynić ból jeszcze dotkliwszym.

- Nie dawać mu eliksiru - opiekunka Baenre poleciła Dantragowi, stojącemu obojętnie przy drzwiach. Podążył za wzrokiem swej matki ku kilku buteleczkom stojącym wzdłuż ściany na lewo od Drizzta i przytaknął.

-Debluth - powiedziała do Drizzta, używając szydercze słowo oznaczające u drowów banitę. - Wysoki rytuał odniesie większy sukces, gdy będziemy mieć świadomość, że cierpisz. - Skinęła głową do Vendes, która obróciła się, ciskając małą strzałką.

Trafiła Drizzta w żołądek i poczuł drobne, lecz piekące uczucie. Następnie cały jego brzuch wydał się zapłonąć szalejącymi płomieniami. Mdlilo go, próbował krzyczeć, i czysty ból dał mu siłę, by się podciągnął. Zmiana pozycji nie pomogła. Magiczna strzałka wciąż wlewała w niego kropelki trucizny, wciąż paliła jego wnętrzności.

Poprzez zalane łzami oczy Drizzt ujrzał dryfdysk wylatujący z jego celi. Vendes i Methil wyszli posłusznie za opiekunką Baenre. Dantrag, z beznamiętnym wyrazem twarzy, opierał się przezja-kiś czas o framugę, po czym podszedł do Drizzta.

Drizzt zmusił się, by przestać krzyczeć i tylko jęczał przez zaciśnięte zęby, a fehmistrz stał przy nim.

-Jesteś głupcem - powiedział Dantrag. - Jeśli twoje próby zmuszą mojąmatkę do zabicia cię, zanim otrzymam swojaszansę, obiecuję ci, że osobiście będę torturował i zabiję każde żyjące stworzenie, które nazywa się przyjacielem Drizzta Do'Urdena!

Znów z szybkością, która wymykała się wzrokowi Drizzta, Dantrag uderzył go w twarz. Tropiciel obwisł bezwładnie na zaledwie sekundę, po czym był zmuszony znów się podciągnąć, gdy w jego

żołądka wybuchły ogniste eksplozje płynące z zatrutej strzałki.

* * *

Poza zasięgiem wzroku, za załomem, u podstawy szerokich schodów prowadzących do Tier Breche, Artemis Entreri usilnie starał się przywołać obraz Grompha Baenre, arcymaga miasta. Widział Grompha zaledwie kilka razy, głównie gdy szpiegował dla Jarla-xle'a. (Jarlaxle sądził, że arcymag skraca noc w Menzoberranzan, rozpalając ognie w zegarze Narbondel kilka chwil za wcześniej, i interesowało go, do czego dąży niebezpieczny czarodziej. Wysłał więc Entreriego, by szpiegował drowa.)

Płaszcz Entreriego zmienił się w obszerne szaty czarodzieja, jego włosy stały się gęściejsze i dłuższe, wyglądając teraz jak bujna biała czupryna, a wokół oczu pojawiły się delikatne, ledwo widoczne zmarszczki.

-Nie mogę uwierzyć, że tego próbujesz - Catti-brie powiedziała do niego, gdy wyszedł z cieni.

- Pajęcza maska jest w biurku Grompha - zabójca odpowiedział chłodno, ani trochę się nie przejmując. - Nie ma innego sposobu, by dostać się do domu Baenre.

- A jeśli ten Gromph siedzi właśnie przy swoim biurku?

- Wtedy ty i ja zostaniemy rozsmarowani po całej jaskini - odparł opryskliwie Entreri, po czym przemknął obok młodej kobiety, chwycił ją za rękę i pociągnął do szerokich schodów.

W równym stopniu co na umiejętności, Entreri liczył na szczęście. Wiedział, że Sorcere, szkoła czarodziejów, była pełna ceniących sobie samotność mistrzów, którzy zasadniczo nie wchodzili sobie w drogę, i mógł mieć zaledwie nadzieję, że Gromph, choć był tylko mężczyzną, został zaproszony na wysoki rytuał do domu Baenre. Ściany tego tajemniczego miejsca były chronione przed szpiegowaniem oraz teleportacją, a jeśli jego przebranie zadziała wobec wszelkich magicznych barier, które mogły być ustawione, powinien być w stanie wejść i wyjść z pokoju Grompha bez większych zakłóceń. Arcymag miasta uchodził za osobnika grubiańskiego i z gwałtownym temperamentem. Nikt nie wchodził mu w drogę.

Na szczycie schodów, na poziomie Tier Breche, ujrzeni trzy budowle akademii drowów. Na prawo od nich znajdowała się prosta, piramidalna sylwetka Melee-Magthere, szkoły wojowników. Tuż przed nimi majaczyła budowla robiąca największe wrażenie, wielki budynek w kształcie pająka, Arach-Tinilith, szkoła Lloth. Entreri cieszył się, że nie musi próbować wejść do którejś z tych dwóch budowli. W Melee-Magthere roiło się od strażników, zaś Arach-Tinilith było chronione przez wysokie kapłanki Lloth, pracujące wspólnie dla dobra ich Pajęczej Królowej. Jedyne wdzięcznie skręcony budynek na lewo, Sorcere, był wystarczająco tajemniczy, by dało się do niego przeniknąć.

Catti-brie cofnęła dłoń i niemal uciekła z przerażeniem. Nie miała przebrania i czuła się tutaj całkowicie odsłonięta. Młoda kobieta odnalazła jednak odwagę i nie opierała się, gdy Entreri znów chwycił ją szorstko i pociągnął z wielką prędkością za sobą.

Weszli do Sorcere przez otwarte frontowe wrota, gdzie dwóch strażników zablokowało im pospiesznie drogę. Jeden zaczął zadawać Entreriemu pytanie, jednak zabójca uderzył go w twarz i odepchnął, w nadziei, że okrutna reputacja Grompha przeprowadzi ich dalej.

Trik zadziałał i strażnicy wrócili na swoje posterunki, nie ośmielając się nawet nic mruknąć do siebie, dopóki arcymag nie znalazł się daleko od nich.

Entreri pamiętał dokładnie krętą drogę i dotarł wkrótce do" gładkiej ściany, otaczającej prywatne komnaty Grompha. Wziął głęboki oddech i spojrzał na swą towarzyszkę, w ciszy trawiając fakt, że jeśli Gromph znajduje się za tymi drzwiami, to oboje są już martwi.

- Kolsen 'shea orbb - wyszeptał zabójca. Ku uldze Entreriego, ściana zaczęła się rozciągać i zwijać, stając się pajęczyną. Nici obróciły się, pozostawiając otwór i odsłaniając delikatny, niebieski blask, a Entreri szybko (zanim puściły mu nerwy) wszedł do środka i wciągnął Catti-brie za sobą.

Grompha nie było w środku.

Entreri podszedł do biurka z krasnoludzkich kości, pocierając o siebie dłońmi i chuchając w nie, zanim sięgnął do odpowiedniej szuflady. Tymczasem Catti-brie, zaintrygowana wyraźnie magicznymi rekwizytami, przechadzała się, spoglądając na pergaminy, a nawet podeszła do ceramicznej butelki i odważyła się wyciągnąć z niej korek.

Serce Entreriego podskoczyło do żołądka, gdy usłyszał głos arcymaga, uspokoił się jednak, gdy zdał sobie sprawę, że dochodzi z butelki.

Catti-brie spojrzała z zaciekawieniem na naczynie i korek, po czym zamknęła butelkę, uciszając głos. - Co to było? - spytała, nie rozumiawszy ani słowa w języku drowów.

- Nie wiem - odparł szorstko Entreri. - Nie dotykaj niczego! Catti-brie wzruszyła ramionami, gdy zabójca zajął się z powrotem biurkiem, starając się upewnić, że odpowiednio wypowiedział hasło do szuflady. Przywołał rozmowę z Jarlaxle'em, kiedy to najemnik podał mu to słowo. Czy Jarlaxle był szczerzy, czy też to wszystko było częścią jakiejś zawilej gry? Czy Jarlaxle przyciągnął go do tego miejsca, aby wypowiedział jakieś nieprawidłowe słowo, otworzył szufladę i zniszczył siebie wraz z połową Sorcere? Wydawało się Entreriemu, że Jarlaxle mógł włożyć do szuflady fałszywą replikę pajęczej maski, po czym podstępem skłonił zabójcę, by przyszedł tu i naruszył potężne środki ochronne Grompha, niszcząc w ten sposób do wody.

Entreri otrząsnął się z tych niepokojących myśli. Zaangażował się w to wszystko, doszedł do przekonania, że jego próba uwolnienia Drizzta jest w jakiś sposób częścią ogromnych planów

Jarlaxle'a, czymkolwiek one były, i nie może się teraz poddać swoim obawom. Wypowiedział słowo i otworzył szufladę.

Czekała na niego pajęcza maska.

Entreri chwycił ją i odwrócił do Catti-brie, która napełniła czubek małej klepsydry drobnym, białym piaskiem i obserwowała teraz, jak z każdą chwilą się przesypuje. Entreri odskoczył od biurka z krasnoludzkich kości i rzucił się w jej stronę, przewracając przedmiot na bok.

Catti-brie spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Sprawdzalam czas - powiedziała spokojnie.

- To nie jest zegar! - szorstko wyjasnił zabójca. Odwrócił klepsydrę do dołu i ostrożnie usunął piasek, wsypując go z powrotem do paczuski. - To środek wybuchowy. Kiedy piasek się przesypie, cała okolica wybucha płomieniami. Nie możesz niczego dotykać! - złajął ją ostro. - Gromph nawet się nie dowie, że w ogóle tu byliśmy, jeśli wszystko będzie w odpowiednim porządku. - Mówiąc to, Entreri rozejrzał się po zagraconym pomieszczeniu. - A przynajmniej w odpowiednim nieporządku. Nie było go tu, kiedy Jarlaxle zwracał pajęczą maskę.

Catti-brie przytaknęła i wyglądała na szczerze zawstydzoną, jednak była to tylko fasada. Młoda kobieta przez cały czas podejrzewała ogólną, jeśli nie dokładną, naturę klepsydry i nie pozwoliłaby przelecieć piaskowi. Zaczęła go przesypywać, by uzyskać potwierdzenie od bardziej obeznanego Entreriego.

Obydwoje szybko opuścili pokój czarodzieja oraz Sorcere. Catti-brie nie dała po sobie poznać, że ma przy sobie, w sakwie przy pasku, kilka tych niebezpiecznych klepsydr oraz odpowiednią ilość paczuszek z wybuchowym piaskiem.

ROZDZIAŁ 22

WTARGNIĘCIE

Qu'ellarz'orl, płaskowyz zajmowany przez niektóre z najdumniejszych domów szlacheckich, był dziwnie cichy. Entreri, znów wyglądający jak zwyczajny drow żołnierz, oraz Catti-brie, przemykali cicho, nie wzbudzając podejrzeń wzdłuż wielkiego zagajnika grzybów, w stronę wysokiego na siedem metrów pajęczynowego ogrodzenia otaczającego kompleks Baenre.

Ogarnęła ich panika i żadne z nich nic nie mówiło, koncentrując się na stawce, o którą toczyła się ta gra - całkowitym zwycięstwem albo całkowitej porażce.

Przykucnąwszy w cieniu za stalagmitem, obserwowali, jak wielka procesja, prowadzona przez kilka kapłanek siedzących na świecących błękitem dryfdyskach, idzie przez otwarty teren kompleksu w kierunku wielkich wrót ogromnej centralnej kaplicy. Entreri rozpoznał opiekunkę Baenre i wiedział, iż niektóre kobiety z jej otoczenia były najprawdopodobniej jej córkami. Obserwował z ciekawością liczne dyski, dochodząc do przekonania, iż w procesji brały udział matki opiekunki z innych domów.

Był to wysoki rytuał, jak powiedział Jarlaxle, i Entreri parsknął widząc, jak dokładnie przebiegły najemnik to wszystko zaplanował.

- O co chodzi? - spytała Catti-brie, nie rozumiejąc jego prywatnego dowcipu.

Entreri potrząsnął głową i skrzywił się, wskazując, że kłopotliwa młoda kobieta powinna się zamknąć. Catti-brie przygryzła dolną wargę i nie wyrzuciła z siebie licznych ociekających jadem odpowiedzi, które miała na myśli. Potrzebowała teraz Entreriego, a on potrzebował j ej. Ich osobista nienawiść musiała poczekać.

Czekanie zaś było dokładnie tym, co Catti-brie oraz Entreri robili. Czaili się przez wiele minut za pagórkami, gdy długa procesja zniknęła stopniowo w sklepionej kaplicy. Entreri uznał, iż do budowli wszedł ponad tysiąc drowów, może nawet dwa tysiące, a ze swojej pozycji widział teraz paru żołnierzy oraz jaszczurczych jeźdźców.

Kolejna korzyść z czekania dała się poznać, gdy powietrze wokół kompleksu wypełniły pieśni do Lloth, wypływające z wrót do kaplicy.

- Kocica? - Entreri wyszeptał do Catti-brie.

Catti-brie namacała statuetkę w sakwie i zastanowiła się nad jego pytaniem, po czym spojrzała z powątpiewaniem na pajęczynowe ogrodzenie Baenre. - Kiedy się tam przedostaniemy - wyjaśniła, choć nie miała pojęcia, w jaki sposób Entreri zamierza pokonać tę wydawałoby się nieprzeniknioną barierę. Włókna sieci były równie grube jak przedramię Catti-brie.

Entreri przytaknął twierdząco, po czym wyciągnął wykonaną z czarnego aksamitu pajęczą maskę i wsunął ją na głowę. Catti-brie nie mogła powstrzymać wzdrygnięcia, gdy spojrzała na zabójcę, którego twarz przypominała teraz groteskową karykaturę wielkiego pająka.

- Ostrzegam cię tylko raz - wyszeptał zabójca. - Jesteś litościwa, lecz w krainie drowów nie ma miejsca na litość. Niech ci się nie wydaje, że będziesz ranić albo pozbawiać przytomności przeciwników, na których się natkniemy. Masz zabijać.

Catti-brie trzymała się odpowiedzią, a gdyby Entreri mógł ujrzeć ogień gorzejące w młodej kobiecie, nie trzymałby się, aby wypowiedzieć tę uwagę.

Wskazał jej, by poszła za nim, po czym zaczął przedzierać się ostrożnie cieniami aż do podstawy płotu.

Entreri dotknął z wahaniem włókien, upewniając się, że jego palce się do nich nie przykleją, po czym stanął pewnie i poprosił Catti-brie, by wspięła mu się na plecy.

- Uważaj, żeby nie dotknąć ogrodzenia! - ostrzegł. - Inaczej będę musiał odciąć ci tę kończynę, która się przyklei.

Catti-brie ostrożnie złapała się złego mężczyzny, owijając ręce wokół jego piersi, jedną przez ramię, drugą pod pachą Entreriego. Złączyła ciasno dłonie i zacisnęła je z całej siły.

Entreri nie był wielkim mężczyzną, nie przewyższał Catti-brie ciężarem o więcej niż dwadzieścia kilogramów, był jednak silny, mięśnie miał przystosowane do walki, z łatwością zaczął się więc wspinać, utrzymując ciało tak daleko od niebezpiecznego ogrodzenia jak tylko to było możliwe, aby dłonie młodej kobiety nie przykleiły się. Największe problemy pojawiły się na szczycie bariery, zwłaszcza gdy Entreri dostrzegł parę zbliżających się jaszczurzych jeźdźców.

- Nawet nie oddychaj - ostrzegł Catti-brie, po czym przesunął się wzdłuż górnej krawędzi płotu, by jak najbardziej schronić się w cieniu wspierającego go stalagmitu.

Gdyby w kompleksie nie było światła, z pewnością zostaliby schwytani, bowiem, na tle chłodnego kamienia pagórka widać byłoby wyraźnie ich cieplejsze sylwetki. Światła płonęły jednak, a patrolujący żołnierze Baenre nie używali infrawizji. Minęli ogrodzenie nie więcej niż tuzin kroków od intruzów, jednak Artemis Entreri był tak wyszkolony w chowaniu się w cieniu, że nawet nie zauważyli dziwnego wybrzuszenia na wcześniej gładkim stalagmicie.

Kiedy zniknęli, Entreri podciągnął się na szczycie ogrodzenia do pozycji stojącej i obrócił na bok, aby Catti-brie mogła oprzeć się o pagórek. Miał na myśli jedynie krótki odpoczynek, jednak młoda kobieta, zdecydowana ruszać dalej, nieoczekiwanie zeszła z jego pleców na stalagmit i na wół zjechała, na wół zeszła po jego zboczu na teren Baenre.

Entreri pospieszył w dół ogrodzenia, by do niej dołączyć, po czym zerwał maskę i zmierzył ją

spojrzeniem, uważając jej czyn za pochopny i bezmyślny.

Catti-brie nie ugięła się pod jego wzrokiem, spojrzała jedynie groźnie na znieawidzonego zabójcę i bezgłośnie poruszyła wargami-Gdzie?

Entreri wsunął dłoń do kieszeni i poszukał magicznego medalionu, po czym obrócił się, kierując w różne strony, dopóki przedmiot nie nabrał najwyższej temperatury. Odgadł położenie Drizzta, zanim medalion je potwierdził - wielki pagórek, miejsce strzeżone najlepiej w całym kompleksie.

Mogli jedynie mieć nadzieję, że większość elitarnych żołnierzy Baenre uczestniczy w wysokim rytuale.

Przejście przez otwarty teren do zawilej struktury nie było trudne, ponieważ widać było jedynie kilku strażników, zaś cieni było dużo, a dochodzący z kaplicy śpiew zagłuszał wszelkie odgłosy. Żaden dom nie spodziewałby się ataku ani nie śmiałyby wzbudzać gniewu Pajęczej Królowej, dokonując ataku podczas wysokiego rytuału, a w związku z tym, że jedyne możliwe zagrożenie dla domu Baenre mogło pochodzić tylko ze strony innego domu drowów, bezpieczeństwo w kompleksie nie znajdowało się w tej chwili na najwyższym poziomie.

- Tam - wyszeptał Entreri, gdy wraz z Catti-brie oparli się płasko o ścianę z boku wrót do wielkiego, wydrążonego stalagmitu. Entreri dotknął ostrożnie kamiennych drzwi, by spróbować wykryć ewentualne pułapki (choć uznał, że wszelkie pułapki miałyby magiczną naturę i odnalazłby je dopiero, gdy wybuchłyby mu w twarz). Ku jego zaskoczeniu wrota uniosły się nagle, znikając w szczelinie w górnej części framugi i odsłaniając wąski, słabo oświetlony korytarz.

Wymienili z Catti-brie pełne powątpiewania spojrzenia i po długiej, milczącej chwili obydwójce weszli do środka - i obydwójce niemal przewrócili się z ulgi uświadomiwszy sobie, że wciąż są żywi.

Ich ulga była jednak krótkotrwała, zakłóciło ją bowiem gardłowe wołanie, być może pytanie. Zanim para zdołała odcyfrować słowa, na drugim końcu korytarza pojawiła się sylwetka wielkiego, muskularnego humanoida, liczącego sobie przynajmniej dwa metry dziesięć i równie szerokiego jak półtorametrowy hol, niemal całkowicie zasłaniającego przyćmione światło.

Catti-brie niemal wyskoczyła z butów, gdy drzwi za jej plecami zasunęły się.

Minotaur znów wymruczał pytanie w języku drowów.

- Prosi o hasło - Entreri wyszeptał do Catti-brie. - Tak sędzę.

- Daj mu je więc.

Łatwiej powiedzieć niż zrobić, wiedział dobrze Entreri, bowiem Jarlaxle nie wspominał nigdy o jakichkolwiek hasłach do wewnętrznych struktur Baenre. Zabójca uznał, że będzie musiał poruszyć z najemnikiem tę drobną kwestię - jeżeli kiedykolwiek będzie miał szansę.

Potworny minotaur zbliżał się groźnie, wymachując przed sobą kołczastym, adamantytowym drągiem.

- Jakby minotaury nie były wystarczająco potężne bez broni wykonanej przez drowy - wyszeptał Entreri do Catti-brie.

Kolejny krok ustawił minotaura zaledwie trzy metry od towarzyszy.

- Usstan bel boi... usstan belbau ulu... dos - wyjąkał Entreri, potrząsając sakwą przy pasku. - Dossfl

Minotaur przestał się zbliżać i podrapał się w bycze rysy.

- Co powiedziałeś? - wyszeptała Catti-brie.

- Nie mam pojęcia - przyznał Entreri, choć wydawało mu się, że wspomniał coś o podarunku.

Z ust coraz bardziej zniecierpliwionego minotaurzego strażnika wydobył się niski pomruk.

-Dosst? - spytała śmiało Catti-brie, trzymając łuk w jednej ręce i starając się wyglądać na radosną. Uśmiechnęła się szeroko i pokiwała głupawo głową, jakby oferując łuk, przez cały ten czas wsuwała zaś drugą dłoń pod fałdy swego płaszcza podróżnego, namacując wiszący u biodra kołczan.

- Dosstl - powtórzyła, a minotaur puknął się w pierś wielkim, sękatym paluchem.

- Taa, dla ciebie! - warknęła Catti-brie, po czym wyszarpnęła strzałę, naciągnęła cięciwę i wystrzeliła, zanim głupi minotaur zdążył się pochylić. Pocisk wbił się w pierś potwora powodując, że stwór zachwiał się do tyłu.

- Użyj palca, by zatkać dziurę! - ryknęła Catti-brie, naciągając następną strzałę. - Jak wiele palców jeszcze masz?

Zerknęła szybko na Entreriego, który wpatrywał się w nią oniemiały. Catti-brie roześmiała się i skierowała kolejną strzałę w pierś stwora, cofając go znowu o kilka kroków, gdzie przewrócił się w szerszym pomieszczeniu, leżącym za korytarzem. Kiedy upadł, jego miejsce zajęło natychmiast pół tuzina innych minotaurów.

- Jesteś szalona! - Entreri wrzasnął na kobietę.

Nie trując się odpowiedzią, Catti-brie wpakowała strzałę w brzuch najbliższego minotaura. Zgiął się wpół z bólu i został stratowany przez szarżujących towarzyszy.

Entreri wyciągnął swe klingi i przyjął natarcie, zdając sobie sprawę, że musi utrzymać gigantów z dala od Catti-brie, aby mogła używać swego łuku. Spotkał się z pierwszym minotaurem dwa kroki od

końca korytarza, wyrzucając swój miecz w górę, by odbić cios kolczastym drągiem stwora (i cały bok zabójcy zamrowił od siły włożonej w owo uderzenie).

Atak giganta Entreri skontrował trzema szybkimi pchnięciami sztyletem w tors stwora. Kolczasty drąg spadł w dół i choć miecz Entreriego przyjął cios, zabójca musiał wykonać pełen obrót, by zmniejszyć siłę uderzenia.

Wyłonił się z obrotu, trzymając przed sobą miecz, którego jaśniejący zielenią czubek wyciął prostą linię pod żuchwą minotaura, przecinając kość oraz krowi ogon.

Z pyska bestii wylała się krew, jednak znów się zamachnęła, spychając Entreriego w tył.

Srebrzysta strzała pozbawiła obydwu walczących wzroku, gdy pocisk Catti-brie przeleciał nad barkiem rozwścieczonego minotaura, by wbić się w grubą czaszkę następnego z kolei stwora.

Entreri mógł jedynie żywić nadzieję, iż minotaur jest podobnie oślepiiony, gdy wykonywał podyktowany desperacją atak, dźgając zaciekle sztyletem i wykonując mieczem brutalne, skierowane w dół cięcie. Zaliczył jedno szybkie jak błyskawica trafienie na oszołomionej bestii, a gdy powrócił mu wzrok, potwór osunął się przed nim na ziemię.

Entreri nie wahał się. Wskoczył na plecy stwora, po czym rzucił się dalej wzdłuż grzbietu następnej martwej bestii, wykorzystując jej cielsko, by dostać się do kolejnego minotaura. Jego miecz zaatakował stwora, trafiając solidnie w bark. Entreri uznał, że będzie on łatwą zdobyczą, bowiem jego ramię obwisło bezużytecznie przy boku, nigdy wcześniej nie walczył jednak z byczogłowymi stworami i zdumiał się, gdy potwór uderzył go głową, trafiając w pierś.

Minotaur rzucił się na bok i rozpoczął szarżę przez pomieszczenie, wciąż trzymając zabójcę pomiędzy rogami.

- A niech to - mruknęła Catti-brie widząc, jak obszar pomiędzy nią a pozostałymi potworami staje nagle otworem. Padła na jedno kolano i zaczęła szaleńczo wyciągać strzały, posyłając je w głąb korytarza.

Oślepiająca bariera powaliła jednego, a następnie drugiego minotaura, jednak trzeci z kolei chwycił upadającego drugiego i trzymał go przed sobą jako tarczę. Catti-brie zdołała prześlizgnąć strzałę obok jego wielkiej głowy, nie zadała jednak poważnych obrażeń i potwór szybko się zbliżał.

Młoda kobieta wystrzeliła jeszcze raz, w równym stopniu w nadziei, że zatrzyma szarżę, jak i że oślepi potwory, po czym rzuciła się na podłogę i śmiało poczołgała w przód, prześlizgując pomiędzy dudniącymi nogami.

Minotaur uderzył mocno w zewnętrzne drzwi. Trzymając przed sobą martwego towarzysza, nie mógł stwierdzić, że Catti-brie wyslizgnęła się, odsunął więc wielki zewłok od ściany i grzmotnął nim raz jeszcze.

Wciąż znajdując się na podłodze, Catti-brie przedzierała się pomiędzy trzema parami podobnych drzewom nóg. Wszystkie trzy minotaury porykiwały, dając pewną osłonę, myślały bowiem, iż ten na przedzie miażdży mizerną kobietę.

Niemal jej się udało.

Ostatni minotaur w szeregu poczuł, jak coś ociera mu się o nogę i spojrzął w dół, po czym ryknął i chwycił oburącz swój kolczasty drąg.

Catti-brie przetoczyła się na plecy, wyciągając przed siebie łuk. W j jakiś sposób oddała strzał, zaledwie na chwilę odrzucając stwora w tył. Kobieta instynktownie podniosła nogi, przerzucając je za siebie, koziółkując w ten sposób w tył.

Drąg oślepionego minotaura wyrwał spory kawałek kamiennej podłogi kilka centymetrów pod wygiętym grzbietem Catti-brie.

Catti-brie podniosła się, stając przed bestią. Zamachała przed sobą łukiem i obróciła się, opuszczając korytarz.

* * *

Uderzenie pozbawiło jego ciało tchu. Minotaur owinał zdrową rękę wokół talii Entreriego, trzymając go mocno, i odskoczył w tył, najwyraźniej znów zamierzając grzmotnąć zabójcą ścianę. Zaledwie kilka kroków dalej inny stwór radośnie zagrzewał swego towarzysza, by kontynuował.

Trzymająca sztylet ręka Entreriego wymachiwała szaleńczo, bezowocnie starając się przebić grubą czaszkę bestii.

Gdy zabójca uderzył drugi raz o ścianę, poczuł, jakby jego kręgosłup właśnie się roztrzaskał. Zmusił się jednak do wykonania szybkiego oglądu sytuacji. Entreri wiedział, że największą przewagą wojownika było opanowanie, szybko więc zmienił taktykę. Zamiast tylko uderzać sztyletem w solidną kość, umieścił jego czubek na skórze pomiędzy byczymi rogami minotaura, po czym przejechał nim w dół twarzy stwora, przykładając równą siłę, by go przesunąć i wpychać w głąb.

Znów uderzyli w ścianę.

Entreri utrzymywał rękę, przekonany, że sztylet wykona swoje zadanie. Z początku ostrze ześlizgiwało się, nie będąc w stanie się przebić, nagle jednak znalazło miękkie miejsce i Entreri natychmiast zmienił kąt, wbijając je głęboko.

W oko minotaura.

Zabójca poczuł, jak wygłodniały sztylet chwytą siłę życiową minotaura, poczuł jej pulsowanie, posyłające falę energii w jego ramię.

Minotaur drżał przez długą chwilę, trzymając się ściany. Jego obserwujący towarzysz wciąż się cieszył, sądząc, że jego kompan przerabia człowieka na miazgę.

Padł martwy, a zwinny Entreri dotknąwszy podłogi zaczął biec, docierając do klatki piersiowej drugiego, zanim ten zdążył zareagować. W mgnieniu oka wykonał potrójną kombinację, miecz-sztylet-miecz.

Zaskoczony minotaur cofnął się, jednak Entreri nadal trzymał swój sztylet wbity głęboko, karmiąc się jego energiążyciową. Umierający stwór spróbował zamachnąć się niezdarnie swą maczugą, jednak Entreri z łatwością zastawił się mieczem.

A jego sztylet ucztował.

* * *

Biegąc dotarła do małego pomieszczenia, wykonała półobrót i padła na jedno kolano. Wiedziała, że nie ma potrzeby celować, bowiem cielska ścigających ją minotaurów zasłaniały całkowicie korytarz.

Najbliższy nie pędził na szczęście z maksymalną prędkością, bowiem w jego łydce tkwiła wbita do połowy strzała. Ranny minotaur był jednak uparty, przyjmował jedno brutalne trafienie za drugim i wciąż się zbliżał.

Z tyłu następny minotaur wrzasnął szaleńczo trzeciemu, temu, który walczył z kobietą, aby poszedł inną drogą. Minotaury nie odznaczały się jednak nigdy inteligencją, tak więc ostatni w szeregu upierał się, że zgniótl kobietę.

Ostatnia strzała poleciała z bezpośredniego zasięgu, jej czubek opuścił Taulmarila zaledwie piętnaście centymetrów przed nosem nacierającego stwora. Rozszczepił nozdrza oraz czaszkę, niemal przepoławiając głowę upartego minotaura. Stwór zginął na miejscu, jednak jego pęd poniósł go dalej, na Catti-brie.

Nie była poważnie ranna, nie istniał jednak sposób, by zdołała wystrzelić z łuku i powstrzymać następnego atakującego minotaura, który właśnie wypadał z korytarza.

Drogę stwora przecięła wślizgująca się sylwetka, tnąc i dźgając, a kiedy zamglony kształt przemknął, minotaur schylił się, chwytając za rozcięte kolana. Rzucił się w bok w pościgu za

najnowszy przeciwnikiem, jednak Entreri obrócił się i z łatwością uchylił.

Pobiegł na środek pomieszczenia, za czarną marmurową kolumnę, a minotaur ruszył za nim, pochylając się do przodu. Entreri okrążył przeszkodę, a stwór, myśląc szybko (jak na minotaura), pozwolił sobie na przejście w kuśtykający bieg, zahaczył ręką o kolumnę i wykorzystał swój pęd, by się obrócić.

Entreri myślał szybciej. Zaraz gdy zniknął z pola widzenia minotaura, zatrzymał swój bieg wokół kolumny i cofnął się o kilka kroków. Obracający się minotaur wtoczył się dokładnie pomiędzy zabójcę a przeszkodę, umożliwiając Entreriemu tuzin czystych pchnięć w jego bok oraz plecy.

Artemis Entreri nie potrzebował aż tylu.

* * *

Minotaur podniósł swego martwego towarzysza i odskoczył trzy kroki w tył, po czym ryknął, ciskając ciałem o zewnętrzne kamienne drzwi.

Zakłęta strzała wbiła mu się w plecy.

- Huh? - mruknął, próbując się odwrócić.

Druga strzała wgryzła mu się w bok, rozrywając płuco.

- Huh? - Obrócił się w końcu na tyle, by ujrzeć Catti-brie, stojącą na końcu korytarza, z ponurą twarzą i tym paskudnym łukiem przed sobą.

Trzeci pocisk ugodził w bok twarzy minotaura. Bestia wykonała krok w przód, jednak czwarta strzała uderzyła ją w pierś, odrzucając z powrotem na martwego towarzysza.

-Huh?

Został trafiony jeszcze pięć razy - i nie poczuł żadnego z uderzeń - zanim Entreri wrócił do Catti-brie i powiedział jej, że walka się skończyła.

- Mamy szczęście, że w pobliżu nie było drowów - wyjaśnił zabójca, spoglądając nerwowo na dwanaście drzwi i alków otaczających okrągłe pomieszczenie. Wymacał medalion w sakwie, po czym odwrócił do biegnącej od podłogi do stropu środkowej kolumny.

Bez słowa wyjaśnienia zabójca podbiegł do kolumny. Czułe palce przejechały po jej gładkiej

powierzchni.

- O co chodzi? - spytała Catti-brie, gdy ręce Entreriego przestały się poruszać i uśmiechnął się w jej stronę. Znowu zapytała, a zabójca w odpowiedzi wcisnął kamień, powodując, że fragment marmuru odsunął się, ujawniając, że kolumna jest pusta. Entreri wszedł do środka, wciągając Catti-brie za sobą, a drzwi same zamknęły się za nimi.

- Co to jest? - znów spytała Catti-brie, sądząc, że właśnie weszli do jakiegoś schowka. Spojrzała na otwór w stropie oraz drugi w podłodze, na prawo od niej.

Entreri nie odpowiedział. Idąc za głosem medalionu podszedł do dziury w podłodze, po czym przykucnął na kolanie i zajrzał do środka.

Catti-brie pochyliła się przy nim, spoglądając na niego z ciekawością, gdy nie ujrzała drabiny. Następnie zaczęła rozglądać się po marmurowym pomieszczeniu, szukając jakiegoś miejsca, gdzie można by przymocować linę.

- Być może tam są uchwyty - stwierdził Entreri i prześlizgnął się przez krawędź do szybu. Na jego twarzy pojawiło się niedowierzanie, gdy poczuł, jak z jego ciała uchodzi ciężar i jak unosi się w powietrzu.

- Co to jest? - spytała niecierpliwie Catti-brie, widząc jego zdumione spojrzenie.

Entreri uniósł dłonie z podłogi rozkładając je szeroko i uśmiechnął się opadając powoli. Catti-brie znalazła się w otworze tuż za nim, opadając swobodnie przez mrok. Zauważyła pod sobą Entreriego, zakładającego z powrotem magiczną maskę.

- Jesteś moją więźniarką- zabójca rzekł chłodno, a Catti-brie przez chwilę nie zrozumiała i pomyślała, że Entreri ją oszukał. Gdy opadła na podłogę obok niego, zabójca wskazał na Taulmarila i zrozumiała jego zamiary.

- Łuk - Entreri powiedział niecierpliwie.

Catti-brie uparcie potrząsnęła głową, a zabójca wiedział, że lepiej nie spierać się w tej kwestii. Podszedł do najbliższej ściany i zaczął po niej jeździć dłońmi, otwierając wkrótce drzwi tego poziomu. Czekają na nich dwóch drowów, trzymając w gotowości kusze, a Catti-brie zastanawiała się, czy dobrze zrobiła tak kurczowo trzymając łuk.

Jakże szybko owe kusze (oraz dwie drowie szczęki) opadły, gdy strażnicy ujrzeli stojącą przed sobą Triel Baenre!

Entreri chwycił szorstko Catti-brie i pchnął ją do przodu.

-Drizzt Do'Urden! -krzyknął głosem Triel.

Strażnicy nie mieli ochoty na spór z najstarszą córką Baenre. Ich rozkazy nie mówiły nic o eskortowaniu Triel ani kogokolwiek innego niż opiekunka Baenre, do cennego Drizzta, jednak nie wspominały też o żadnych ludzkich więźniarkach. Jeden ruszył korytarzem, drugi zaś podszedł, by chwycić Catti-brie.

Młoda kobieta zasłabła, upuszczając swój łuk i zmuszając jednego z mrocznych elfów oraz Entreriego, by ją przy trzy mai i pod ramionami. Drugi drow szybko podniósł Taulmarila, a Catti-brie nie mogła powstrzymać lekkiego grymasu, widząc wspaniałą broń w rękach złego stworzenia.

Przeszli ciemnym korytarzem, obok kilku okutych żelazem drzwi. Drow na przedzie zatrzymał się przed jednymi z nich i wyciągnął mały pręt. Wsunął go pod me tal ową płytkę przy klamce, po czym stuknął w płytkę. Drzwi otworzyły się.

Prowadzący drow zaczął się obracać, uśmiechnięty, jakby był wdzięczny, że mógł zadowolić Triel. Ręka Entreriego uderzyła go w twarz, odrzucając jego głowę do tyłu i w bok, a zaraz potem ruszył sztylet zabójcy, którego ostrze zagłębiło się w gardle oszołomionego drowa.

Szturm Catti-brie nie był równie umiejętny, ale równie skuteczny. Obróciła się na jednej stopie, posyłając drugą wysoko, by uderzyć drowa w żołądek, gdy wpadali na ścianę. Catti-brie odskoczyła o pół kroku i zamachnęła się głową, miażdżąc czołem delikatny nos elfa.

Następnie na drowa spadła ulewa ciosów pięściami, kolejny cios w żołądek, tym razem kolaniem, po czym Catti-brie wepchnęła swego przeciwnika do komnaty. Wpadła tuż za drowem i podniosła go z podłogi, owinąwszy ręce pod pachami elfa i zacisnąwszy silnie palce na jego szyi.

Drow miotał się szaleńczo, jednak nie mógł przełamać uchwytu. Wtedy w środku pojawił się Entreri, rzucając pod ścianę ciało.

- Bez litości! - Catti-brie warknęła przez zaciśnięte zęby. Entreri podszedł cicho. Drow szarpnął się, uderzając butem o blokujące jego cios przedramię Entreriego.

- Triel! - krzyknął zakłopotany żołnierz.

Entreri cofnął się o krok, uśmiechnął i zdjął maskę, a przerażenie na twarzy bezradnego drowa jeszcze bardziej się zwiększyło. Zabójca wbił mu sztylet w serce.

Catti-brie poczuła, jak mroczny elf poruszył się gwałtownie, po czym obwisł. Zalało ją nieprzyjemne odczucie, nie utrzymało się jednak, gdy rozejrzała się i ujrzała Drizzta, pobitego i skutego. Zwisał ze ściany, jęcząc i bezskutecznie starając się podciągnąć, by zwinąć w kłębek. Catti-brie upuściła martwego drowa na podłogę i podbiegła do swego drogiego przyjaciela, natychmiast zauważając małą, lecz wyraźnie paskudną strzałkę wystającą mu z brzucha.

- Muszę ją wyciągnąć! - powiedziała do Drizzta, w nadziei że się zgodzi. Zmysłami był jednak daleko stąd. Nie przypuszczała, by zdawał sobie w ogóle sprawę, że była w tym pomieszczeniu.

Entreri podszedł do niej. Zerknął jedynie przelotnie na strzałkę, bardziej troszcząc się o łańcuchy trzymające Drizzta.

Wydmuchnąwszy szybko powietrze, Catti-brie chwyciła paskudną strzałkę i wy szarpnęła ją.

Drizzt zwinął się i wydał z siebie ostry okrzyk bólu, po czym obwisł nieprzytomny.

- Tu nie ma zamków! - warknął Entreri widząc, że kajdany były litymi obręczami.

- Odsuń się - dobiegło polecenie Catti-brie, gdy odbiegała od ściany. Gdy Entreri odwrócił się, by na nią spojrzeć, ujrzał, że kobieta unosi swój śmiertelny łuk i szybko umknął na bok.

Dwa strzały zerwały łańcuchy i Drizzt opadł. Ranny tropiciel zdołał jakoś otworzyć jedno napuchnięte oko. Ledwo był w stanie rozumieć, co się dzieje, nie wiedział czy to przyjaciele, czy wrogowie.

-Butelki-poprosił.

Catti-brie rozejrzała się dookoła i dostrzegła pod ścianą rząd butelek. Podbiegła do nich, znalazła jedną pełną i zaniósła ją Drizz-towi.

- On powinien być martwy - stwierdził Entreri, gdy zbliżyła się z cuchnącym płynem. - Ma zbyt wiele blizn. Coś musiało go podtrzymywać.

Catti-brie spojrzała z powątpiewaniem na butelkę.

Zabójca podążył za jej wzrokiem i przytaknął. - Zrób to! - polecił, wiedząc że nigdy nie uda im się wyciągnąć Drizzta z kompleksu Baenre, jeśli będzie w tym stanie.

Catti-brie przyłożyła flaszkę do ust Drizzta i odchyliła mu głowę w tył, zmuszając do przełknięcia dużego haustu. Prychnął i splunął, a młodej kobiecie wydawało się przez moment, że otruła lub zadusiła swego najdroższego przyjaciela.

- Jak się tu znalazłaś? - spytał Drizzt, jego oczy stały się nagle szerokie, gdy po ciele zaczęła się rozlewać siła. Mimo to drow wciąż nie mógł stać, a jego oddech był niebezpiecznie płytki.

Catti-brie podbiegła do ściany i wróciła z jeszcze kilkoma butelkami, wachając je najpierw, by upewnić się, że pachną tak samo, po czym wlewając ich zawartość w gardło tropiciela. Po zaledwie kilku minutach tropiciel stał pewnie, spoglądając całkowicie zdumiony na swą najdroższą przyjaciółkę oraz największego wroga, stojących przed nim ramię przy ramieniu.

- Twój ekwipunek - stwierdził Entreri, szorstko obracając Drizzta, by spojrzeć na kupkę.

Drizzt spojrział bardziej na Entreriego niż na kupkę, zastanawiając się. W jaką makabryczną grę

bawi się zabójca. Kiedy Entreri zauważył jego minę, obydwaj wrogowie skrzyżowali zawzięte spojrzenia.

- Nie mamy czasu! - krzyknęła ostro Catti-brie.

- Myślałem, że nie żyjesz - powiedział Drizzt.

- Źle myślałeś - odrzekł pewnie Entreri. Nawet nie mrugnawszy, przeszedł obok Drizzta i podniósł kolczugę, podając ją idącemu za nim drowowi.

- Obserwuj korytarz - Entreri polecił Catti-brie. Młoda kobieta obróciła się w tamtą stronę akurat w momencie, gdy otworzyły się okute żelazem drzwi.

Odwróciła się w tamtą stronę, by spojrzeć na różdkę Vendes Baenre.

Część 5

OKO WOJOWNIKA

Odwaga.

W moim języku słowo to ma wyjątkowe brzmienie. Podejrzewam, że jest to podyktowane zarówno pełnym czci sposobem, w jaki jest wymawiane, jak i rzeczywistymi dźwiękami głosek. Odwaga. Słowo to wywołuje obrazy wielkich czynów i wielkich postaci: ponury szereg twarzy mężczyzn broniących murów swego miasta przed goblinскими łupieżcami; pogoda ducha matki troszczącej się o swoje dzieci, gdy cały świat stał się nieprzyjazny. W wielu większych miastach Krain ulicami blakają się małe dzieci, bez rodziców, bez domu. Jest to wyjątkowa odwaga, stawianie czoła zarówno fizycznym, jak i emocjonalnym trudom.

Podejrzewam, że Artemis Entreri stoczył taką walkę w błotnistych uliczkach Calimportu. Z jednej strony z pewnością wygrał, z pewnością pokonał wszelkie fizyczne przeszkody i uzyskał

niewiarygodną potęgę oraz poważanie.

Z drugiej strony Artemis Entreri z pewnością przegrał. Jaki mógłby być, zastanawiam się często, gdyby nie był tak wypaczony? Nie myślę jednak mojej ciekawości z litością. Szansę Entreriego były nie większe niż moje. Mógł wygrać swą walkę zarówno w ciele, jak i w sercu.

Kiedy opuściłem Mithrilową Halę, zdecydowany zażegnać zagrożenie dla moich przyjaciół, uważałem się za odważnego, altruistycznego. Sądziłem, że ofiarowuję najwyższą ofiarę dla dobra tych, którzy byli mi drodzy.

Kiedy Catti-brie otworzyła mi celę w domu Baenre, kiedy, poprzez półprzymknięte oczy dostrzegłem jej piękne i zwodniczo delikatne rysy, poznałem prawdę. Kiedy opuszczałem Mithrilową Halę, nie rozumiałem swoich motywacji. Byłem zbyt pełen nieznanego żalu, by zdawać sobie sprawę z własnych wyrzeczeń. Kiedy szedłem do Podmroku, nie byłem odważny, bowiem, w najgłębszym zakątku serca, czułem się jakbym nie miał nic do stracenia. Nie pozwalałem sobie na żal po Wulfgarze i pustka ta pozbawiła mnie woli oraz ufności, że można wszystko naprawić.

Odważni ludzie nie pozbywają się nadziei.

Podobnie było z Artemisem Entreri. Nie był odważny, gdy wraz z Catti-brie przyszedł mnie uratować. Jego czyny były podyktowane czystą desperacją, gdyby bowiem pozostał w Menzoberranzan, z pewnością byłby zgubiony. Cele Entreriego, jak zawsze, były czysto samolubne. Swoją próbą ratunku dokonał świadomego wyboru, że pójście po mnie było jego największą szansą na przetrwanie. Pomoc była aktem wyrachowania, nie odwagi.

W chwili gdy Catti-brie uciekła z Mithrilowej Hali w pościgu za swoim głupim przyjacielem c/rowem, szczerze przełamała swój żal po Wulfgarze. Proces żalu zatoczył dla niej pełne koło i jej czyny były motywowane jedynie lojalnością. Miała wszystko do stracenia, a mimo to udała się sama do dzikiego Podmroku dla dobra przyjaciela.

Zrozumiałem to, gdy pierwszy raz spojrzałem w jej oczy w lochach domu Baenre. Wtedy to zrozumiałem w pełni znaczenie słowa odwaga.

Również wtedy, po raz pierwszy od śmierci Wulfgara, poznałem co to inspiracja. Walczyłem

jako łowca, dziko i bezlitośnie, jednak dopiero gdy spojrzałem znów na swą lojalną przyjaciółkę, odzyskałem oczy wojownika. Odeszło moje zrezygnowanie oraz pogodzenie się z losem, odeszło przekonanie, że wszystko będzie dobrze, gdy dom Baenre otrzyma swoją ofiarę - odda moje serce Lloth.

W tym lochu leczące eliksiry przywróciły siłę moim umęczonym członkom, a widok ponurej, zdeterminowanej Catti-brie przywrócił siłę memu sercu. Przysiągłem wtedy, że będę się opierał, że będę walczył z przygniatającymi nas okolicznościami, i będę walczył, by wygrać.

Kiedy ujrzałem Catti-brie, przypomniałem sobie wszystko, co miałem do stracenia.

-DrizztDo'Urden

ROZDZIAŁ 23

DUK-TAK

Sięgnęła po strzałę, po czym przesunęła łuk defensywnie przed siebie, gdy z różdżki wyleciała zielonkawa kula i skierowała się w jej stronę.

Łuk znalazł się nagle tuż przy Catti-brie i kobieta poleciała w stronę ściany. Jedną rękę miała przyciśniętą do piersi, drugą zaś do biodra, i nie mogła poruszyć nogami. Nie mogła nawet spaść ze ściany!

Próbowała krzyczeć, lecz nic poruszała się jej szczęka, a jedno oko nie chciało się otworzyć. Mogła ledwo widzieć drugim okiem i w jakiś sposób udawało jej się ciągle zaczerpywać powietrza.

Entreri obrócił się, ustawiając w gotowości miecz i sztylet. Kiedy ujrzał, jak wchodzi do środka trzy drowki, z których dwie celowały w jego stronę z kusz, rzucił się w bok, na środek pomieszczenia, przed Catti-brie.

Zwinny zabójca przekoziółkował, stając z powrotem na nogach i skierował się do przodu, jakby chciał skoczyć na napastniczki. Następnie zanurkował nisko, trzymając przed sobą miecz.

Wyszkolone drowki wstrzymały strzały podczas zwodu zabójcy, po czym znów je nakierowały na niego. Pierwszy belt trafił Entreriego w bark, ugadzając go mocniej, niż się spodziewał. Nagle stracił tempo i stanął prosto. Z pocisku wystrzeliły czarne łuki elektryczności, wijąc się niczym iskrzące macki i paląc go, odrzucając kilka kroków w tył.

Drugi belt trafił go w brzuch i choć początkowo zabójca nie czuł zbyt dużego bólu, zaraz później pojawiło się ogromne wyładowanie elektryczne, ciskając go na ziemię. Jego miecz wzniósł się w powietrze, ledwo co chybiając unieruchomiła Catti-brie.

Entreri zatrzymał się u stóp młodej kobiety. Wciąż ścisnął swój wysadzany klejnotami sztylet i pomyślał natychmiast, że mógłby nim rzucić. Mógł jednak tylko obserwować, jak palce jego dłoni poruszają się mimowolnie, osłabiając uchwyt na ostrzu. Zmuszał dłoń, by cisnęła sztyletem, jednak mięśnie nie odpowiedziały i ostrze wypadło po chwili z drżących palców.

Leżał na kamieniach u stóp Catti-brie, zdumiony i wystraszony. Pierwszy raz w jego życiu te doskonale wyszkolone mięśnie wojownika nie odpowiedziały na jego wezwanie.

To trzecia kobieta, w środku trójcy, przykuwała uwagę Drizzta: Vendes Baenre, Duk-tak, od tak wielu długich dni jego bezlitosna dręczycielka. Drizzt stał całkowicie nieruchomo, trzymając przed sobą kolczugę i nie ważąc się nawet mrugnąć. Otaczające okrutną Baenre kobiety odłożyły kusze i każda wyciągnęła dwa lśniące miecze.

Gdy Vendes zaśpiewała coś szybko pod nosem, Drizzt spodziewał się, że zostanie rozerwany albo przytrzymany jakąś magią.

- Śmiali przyjaciele - zauważyła niegodziwa szlachcianka sarkastycznie, używając idealnego wspólnego języka powierzchwni.

Drizzt zrozumiał wtedy naturę jej czaru, dweomeru pozwalającego jej komunikować się z Entrerim oraz Catti-brie.

Usta Entreriego poruszyły się dziwnie, a wyraz jego twarzy lepiej ukazywał to, co chciał powiedzieć, niż jakiegokolwiek niezrozumiałe słowa. - Wysoki rytuał?

- Istotnie - odparła Vendes. - Mój a matka i siostry, a także wiele odwiedzających nas matek opiekunek zebrały się w kaplicy. Zostałam zwolniona z początkowych ceremonii i polecono mi przyprowadzić do nich później Drizzta Do'Urdena. - Spojrzała na Drizzta i wyglądała na całkowicie zadowoloną. - Widzę, że twoi przyjaciele oszczędzili mi kłopotu wmuszania do twego gardła eliksirów leczących.

- Czy naprawdę oczekiwałeś, że tak łatwo wejdiesz do domu Baenre, porwiesz naszego cennego więźnia i odejdziesz? - Vendes spytała Entreriego. - Zostaliście dostrzeżeni, zanim przekroczyliście pajęczynowe ogrodzenie, i z pewnością wyniknie śledztwo, w jaki sposób położyłeś swe brudne paluchy na masce mojego brata! Gromph, a być może ten niebezpieczny Jarlaxle, będą musieli

odpowiedzieć na dużo pytań.

- Tobą też jestem zaskoczona, zabójco - ciągnęła. - Twoja reputacja cię wyprzedza, spodziewałabym się lepszego występu. Czy nie rozumiałeś znaczenia zwyczajnych mężczyzn strzegących naszej cennej zdobyczy?

Spojrzała na Drizzta i potrząsnęła głową. - Ci tak zwani strażnicy, których tu umieściłam, mogli oczywiście zostać poświęceni - powiedziała. Drizzt nie poruszył się, w jego rysach nie widać było odpowiedzi. Czuł, że siły wracają do niego, gdy eliksiry leczące wykonywały swoje zadanie, zdawał sobie jednak sprawę, iż owe siły nie zrobią mu większej różnicy, gdy miał do czynienia z takimi jak Vendes oraz dwie doskonale uzbrojone i wytrenowane kobiety. Tropiciel spojrzał z pogardą na swą kolczugę - na niewiele mu się zda trzymana w rękach.

Umysł Entreriego pracował już wyraźniej, lecz ciało nie. Wciąż przechodziły przez niego elektryczne impulsy, nie dopuszczając do jakichkolwiek skoordynowanych prób ruchu. Zdołał jednak wsunąć jedną dłoń do sakiewki, w odpowiedzi na coś, co Vendes powiedziała, na ulotną nadzieję.

- Podejrzewałyśmy, że ludzka kobieta żyje - wyjaśniła Vendes. - Najprawdopodobniej w szponach Jarlaxle'a, choć nie spodziewałyśmy się za bardzo, że zostanie nam tak dostarczona.

Entreri nie mógł nie zastanowić się, czy Jarlaxle go nie oszukał. Czy najemnik stworzył ten zawyły plan tylko po to, aby dostarczyć Catti-brie do domu Baenre? Nie miało to dla Entreriego sensu, jednak niewiele czynów Jarlaxle'a z ostatnich godzin miało dla niego sens.

Wzmianka o Catti-brie wywołała ogień w oczach Drizzta. Nie mógł uwierzyć, że młoda kobieta była tutaj, w Menzoberranzan, że zaryzykowała tak wiele, aby pójść za nim. Gdzie była Guenhwyvar? - zastanawiał się. Poza tym, czy wraz z Catti-brie przyszli Bruenor i Regis?

Skrzywił się spojrzawszy na młodą kobietę, otoczoną zielonkawą masą. Jakże bezradna się teraz wydawała.

Ognie w lawendowych oczach Drizzta zapłonęły mocniej, gdy wrócił wzrokiem do Vendes. Zniknął jego strach przed ciemnościelką, zniknęło zrezygnowanie, poczucie, że wszystko się zakończy.

Jednym szybkim ruchem Drizzt upuścił kolczugę i wyszarpnął swe sejmitary.

Na skinienie Vendes dwie kobiety rzuciły się na Drizzta, otaczając go z boków. Jedna stuknęła swym mieczem o zakrzywione ostrze Błysku, wskazując, że Drizzt powinien rzucić broń. Spojrzał na Błysk i logika podpowiedziała mu, by się podporządkował.

Zamiast tego zatoczył sejmitarem dziki łuk, odtrącając miecz kobiety na bok. Jego drugie ostrze uniosło się natychmiast w górę, odbijając pchnięcie z przeciwnej strony, zanim się na dobre rozpoczęło.

- O głupcze! - krzyknęła do niego z wyraźnym zachwytem Vendes. - Tak pragnę zobaczyć, jak walczysz, Drizzcie Do'Urden, w związku z tym, że Dantrag tak chce cię zabić!

Sposób, w jaki to powiedziała, sprawił, iż Drizzt zaczął się zastanawiać, czy Vendes nie chce przypadkiem, aby wygrał tę potencjalną walkę. Nie miał jednak czasu, by zastanawiać się nad wiecznymi intrygami chaotycznego świata, nie, gdy dwie drowki tak na niego naciskały.

Vendes wróciła wtedy do języka drowów, rozkazując swym żołnierzom, by walczyły zaciekle z Drizztem, lecz by go nie zabiły.

Drizzt zatoczył nagły obrót, niczym śruba, a jego ostrza utkały ze wszystkich stron niebezpieczny wzór. Wyłonił się nagle z wiru, zadając paskudne pchnięcie kobiecie z lewej. Zaliczył drobne trafienie, nie zadając groźniejszych obrażeń z powodu osławionej kolczugi drowów - której na sobie nie miał.

Kwestia ta została zaakcentowana przez czubek miecza, który musnął Drizzta z prawej. Skrzywił się i obrócił do tyłu, a jego cięcie na odlew odtrąciło miecz, zanim zdołał zadać poważniejsze obrażenia.

* * *

Entreri modlił się, by Vendes była równie zajęta walką co jej wojowniczkę, ponieważ każdy wykonywany przez niego ruch wydawał mu się niezdarne i widoczne. W jakiś sposób zdołał wyciągnąć pajęczą maskę ze swojej sakwy, a następnie wyciągnąć rękę w górę i chwycić pas Catti-brie.

Jego drżące palce nie zdołały jednak utrzymać chwytu i padł z powrotem na podłogę.

Vendes zerknęła niedbale w jego stronę, parsknęła - najwyraźniej nie zauważywszy maski - i zwróciła wzrok z powrotem na walkę.

Entreri siedział na wpół oparty o ścianę, starając się odnaleźć w sobie kontrolę, by odtrącić paskudne zakłęcie, wszystkie jego wysiłki okazywały się jednak bezużyteczne, a mięśnie wciąż mimowolnie drżały.

* * *

Miecze atakowały Drizzta pod każdym możliwym kątem. Jeden wyrysował na jego policzku piekącą boleśnie linię. Wyszkolone kobiety, współpracujące idealnie ze sobą, wciskały go wciąż w róg, nie dając miejsca na manewry. Mimo to Drizzt parował doskonale, a Vendes pochwałała jego

niesamowite, choć bezowocne wysiłki.

Drizzt wiedział, że jest w poważnych kłopotach. Będąc bez pancerza i wciąż słaby (choć magiczne eliksiry płynęły nadal w jego żyłach), nie dysponował zbyt wieloma sztuczkami, które mogłyby go przeprowadzić przez tak niebezpieczny duet.

Niskie cięcie mieczem i Drizzt przeskoczył nad ostrzem. Kolejne, z drugiej strony, lecz Drizzt, przykucnąwszy zaraz po podskoku, podniósł Błysk, by je odbić. Drugi seymitar przemknął z jednej strony na drugą, odbijając dwa ataki na środkowej wysokości, po jednym od każdej z kobiet, i dopełniając poczwórne parowanie.

Drizzt nie mógł jednak kontrować nieprzerwanego natarcia żadnymi ofensywnymi manewrami, musiał się wycofywać i poruszać bronią pod dziwnymi kątami.

Podskoczył i schylił się, obrócił ostrza w jedną oraz drugą stronę i w jakiś sposób zdołał powstrzymać te żądłące ostrza przed wycięciem głębokich otworów w jego ciele, choć zaczęły się już gromadzić drobniejsze rany.

Tropiciel zerknął rozpaczliwie na Catti-brie, przerażony tym, czemu będzie musiała wkrótce stawić czoła.

* * *

Entreri wciąż toczył swą bezowocną walkę, po czym w końcu oklapł, pokonany, sądząc, że nie uda mu się znaleźć sposobu, by pokonać potężne zaklęcie.

Zabójca nie przetrwał jednak na ulicach niebezpiecznego Calimportu, nie uzyskał przywódczej pozycji w złym podziemiu tego południowego miasta, godząc się z porażkami. Zmienił swój sposób myślenia, decydując, że musi działać w obrębie swych ograniczeń.

Ręka Entreriego wystrzeliła wysoko w górę. Jego palce nie chwyciły - nie starał się chwycić - zamiast tego uderzył silnie dłonią w zielonkawą galarete.

Właśnie tego potrzebował.

Z ogromnym wysiłkiem Entreri zgiął swe zeszywniałe ramię i podciągnął się do połowy unieruchomionej kobiety.

Catti-brie obserwowała go, bezradnie i bez nadziei, nie mając pojęcia, co zamierza zrobić. Skrzywiła się nawet i próbowała uchylic (choć nie mogła oczywiście poruszyć głową nawet o centymetr), gdy swobodna ręka zabójcy zamachnęła się w jej stronę, jakby obawiała się, że chce ją uderzyć.

W owej dłoni nie tkwił jednak wysadzany klejnotami sztylet, lecz pajęcza maska, i gdy znalazła się ona na czubku jej głowy, Catti-brie zaczęła rozumieć. Z początku nie ześlizgnęła się daleko, blokowana przez wiążącą ją galarete, lecz zielonkawa substancja zaczęła szybko ustępować miejsca potężnej magii przedmiotu.

Catti-brie była całkowicie oślepią, gdy fala mazi, a następnie dolna krawędź pajęczej maski, zakryła jej jedyne wolne oko.

Chwilę później otworzyło się jej drugie oko.

* * *

Gdy walka zwiększyła tempo, zaczęły się krzesać iskry. Dwie kobiety naciskały z większą stanowczością na uparte bloki zbuntowanego mężczyzny.

- Skończcie z tym! - warknęła zniecierpliwiona Vendes. - Powalcie go na ziemię, żebyśmy mogły zaciągnąć go do kaplicy, żeby mógł patrzeć, jak poświęcamy tę głupią kobietę Lloth!

Ze wszystkich rzeczy, które Vendes mogła powiedzieć, ze wszystkich grózb, które mogła rzucić na Drizzta Do'Urdena, żadna nie mogła być bardziej głupia. Wizja Catti-brie, drogiej i niewinnej Catti-brie, oddawanej potwornej, niegodziwej Pajęczej Królowej, to było zbyt wiele jak na wytrzymałość Drizzta.

Nie był już Drizztem Do'Urdenem, bowiem jego racjonalna tożsamość została zastąpiona kipiącymi żądzami pierwotnego łowcy, dzikusa.

Kobieta z lewej wyszła z kolejną wymierzoną kontrą, jednak ta z prawej uderzyła śmieiej, jeden z jej mieczy został wypchnięty daleko poza czubek blokującego seymitara Drizzta.

Był to przebiegły manewr, jednak dla wzmocnionych zmysłów łowcy owo pchnięcie wydawało się poruszać niemal w zwolnionym tempie. Drizzt pozwolił, by czubek znalazł się zaledwie kilkanaście centymetrów od jego wrażliwego żołądka, zanim ostrze w jego lewej dłoni cięło w poprzek, odbijając szeroko miecz i krzyżując się z nim pod jego uniesionym ramieniem, gdy drugi seymitar ścierał się z drugim mieczem kobiety.

Jego seymitary skrzyżowały się następnie w ukośnej zastawie, z przeciwległych stron, po czym jego lewa ręka wystrzeliła w poprzek i do góry, zaś prawa w poprzek i do dołu.

Padł na kolana, prosto przed siebie, wykorzystując ciało najbliższej przeciwniczki, by druga kobieta go nie ugodziła. Prawa dłoń skierowała się do środka, zręcznie obracając ostrze tak, by cięło w zewnętrzną stronę kolana nieprzyjaciółki. Drizzt wykonał cios lewą pięścią, trafiając kobietę w brzuch i przewracając ją nad uszkodzoną nogą.

Wciąż znajdując się na kolanach, tropiciel obrócił się z desperacją, tnąc w poprzek lewym ostrzem, gdy druga kobieta rzucała się na niego.

Była zbyt wysoko. Sejmitar odtrącił daleko jeden z mieczy, drugi jednak kierował się nisko.

Drugi sejmitar łowcy przechwycił go i obrócił na bok, choć rozciął on Drizztowi skórę i musnął żebro.

Zastawy i pchnięcia następowały po sobie, a łowca nie czuł bólu od najpoważniejszej rany. Wydawało się to Vendes niemożliwe, jednak Drizzt zdołał wsunąć pod siebie stopę i chwilę później stał na tej samej wysokości co jej wyszkolona żołnierka.

Druga kobieta wiła się na ziemi, trzymając się za zranioną nogę i przyciskając mocno rękę do rozciętego brzucha.

- Dość! - krzyknęła Vendes, kierując różdżkę w stronę Drizzta. Cieszyła ją ta spektakularna walka, nie zamierzała jednak tracić kobiet.

- Guenhwyar! - rozległ się przenikliwy wrzask.

Vendes spojrzała w bok, na ludzką kobietę - mającą na sobie pajęczą maskę! - przykucniętą i pozbawioną wiążącej ją galarety. Catti-brie zaszarżowała spod ściany, po drodze upuszczając magiczną figurkę i podnosząc pewien sztylet.

Instynktownie Vendes wypuściła kolejną kulę galarety, wyglądało jednak na to, że przemknęła obok nacierającej kobiety i rozlała się nieszkodliwie po ścianie.

Dość zdezorientowana i zdecydowanie pozbawiona równowagi Catti-brie zanurkowała po prostu w przód, wyciągając przed siebie sztylet. Zdołała musnąć Vendes w dłoń, jednak drogę ciosu przecięła różdżka, odwracając śmiertelne ostrze, zanim zdołało się zagłębić.

Catti-brie wpadła potężnie na uda drowki i kobiety padły razem na podłogę. Młoda kobieta próbowała się utrzymać, zaś Vendes szamotała się i wierzgała, by się wydostać.

* * *

Sejmitary Drizzta uderzały w miecze drowki z taką szybkością, iż brzmiało to jak jeden zgrzytliwy odgłos. Trzeba jej przyznać, iż dotrzymywała przez kilka chwil kroku jego furii, jednak stopniowo jej zastawy pojawiały się coraz później przed naporem pchnięć i cięć.

Miecz poderwał się do góry z prawej strony, odtrącając Błysk. Jej drugi miecz skierował się w górę i na zewnątrz, by przechwycić drugi sejmitar, wykonujący pchnięcie z boku.

Drugi sejmitar nie wykonywał jednak tak naprawdę pchnięcia i to miecz kobiety poleciał na zewnątrz. Uświadomiła sobie zwód i zatrzymała swą broń, natychmiast jężawracając.

Zbyt późno. Sejmitar Drizzta przebił się przez jej kolczugę. Był wystawiony na kontrę, jednak kobieta nie miała w sobie siły, nie miała życia, gdy okrutny sejmitar przebijał jej serce. Wzdrygnęła się, gdy Drizzt wyciągnął ostrze.

* * *

Seria ciosów pięścią ugodziła w głowę Catti-brie, gdy młoda kobieta trzymała się mocno nóg niegodziwej drowki. Pajęcza maska obróciła się i Catti-brie nie mogła widzieć, zdała sobie jednak sprawę, że jeśli Vendes ma pod ręką broń, znajdzie się w kłopotach.

Catti-brie na oślep wyciągnęła rękę, starając się chwycić drowkę za nadgarstek. Vendes była jednak zbyt szybka na ten manewr i nie tylko odsunęła ramię, lecz oswobodziła również jedną nogę. Podkurczyła ją i kopnęła, a Catti-brie niemal zemdląła.

Vendes odepchnęła ją silnie, uwalniając się, a Catti-brie na czworakach próbowała schwycić cofające się nagle nogi. Młoda kobieta zawahała się zaledwie na chwilę, by zerwać kłopotliwą maskę z głowy, po czym krzyknęła w proteście, gdy ujrziała jak stopy Vendes odsuwają się poza jej zasięg. Córka Baenre wstała szybko i wybiegła z pomieszczenia.

Catti-brie mogła sobie z łatwością wyobrazić konsekwencje wypuszczenia jej z ręki. Uparcie wsunęła pod siebie rękę i zaczęła wstawać, lecz została z powrotem przyparta do podłogi przez delikatną dłoń. Ujrzała bosc stopy Drizzta Do' Urdena uderzające przed nią o kamienną posadzkę.

Drizzt wykrzywił się dziwacznie wypadłszy na korytarz. Rzucił się do tyłu i na podłogę tak gwałtownie, iż Catti-brie obawiała się, że został podcięty. Zrozumiała jednak, że był to czyn Drizzta, bowiem nad nim przeleciała zielonkawa galareta.

Obrót umieścił stopy Drizzta z powrotem pod nim i wybił się niczym skaczący kot.

Zaś skacząca kocica, Guenhwyvar, popędziła za nim, przeskakując nad Catti-brie i wpadając w korytarz, obracając się tak idealnie, gdy jej łapy dotknęły kamieni, że Catti-brie musiała zamrugać, by upewnić się, że nie ma zwidów.

- Naul - dobiegł pełen protestu krzyk z korytarza. Wojownik, którego Vendes torturowała, którego biła bezlitośnie, rzucił się na nią, a jego oczy gorzały ogniem zemsty.

Guenhwyvar parła tuż za nim, zdecydowana pomóc Drizztowi, jednak w momencie, którego kocica potrzebowała, by włączyć się do walki, sejmitar wbił się już głęboko w brzuch Vendes.

* * *

Jęk z boku odwrócił uwagę Catti-brie. Zauważyła ranną kobietę, czółgającą się po upuszczoną przez siebie broń.

Catti-brie rzuciła się natychmiast na nią, pozostając na podłodze, i owinęła nogi wokół szyi drowki, ściskając ją całej siły. Obydwie mahoniowe dłonie sięgnęły w górę, by ją szarpać, by ją uderzać. Nagle jednak kobieta uspokoiła się, a Catti-brie uznała, że się poddała - dopóki nie dostrzegła, iż wargi drowki poruszają się.

Rzucała czar!

Kierując się czystym instynktem, Catti-brie wbiła raz za razem palec w oczy drowki. Śpiew stał się wrzaskami bólu oraz protestu, które przeszły następnie w słaby świst, gdy Catti-brie zacisnęła mocniej nogi.

Catti-brie nienawidziła tego z całego swego szczodrego serca. Zabijanie ją odrzucało, zwłaszcza takie walki jak ta, kiedy to musiała obserwować przez bolesne sekundy, być może minuty, jak dusi wroga.

Niedaleko wypatrzyła sztylet Entreriego i chwyciła go. Jej niebieskie oczy wypełniły łzy wściekłości i utraconej niewinności, gdy unosiła śmiertelne ostrze.

* * *

Guenhwyvar zatrzymała się gwałtownie, a Drizzt szorstko wyciągnął zagłębione ostrze i odstąpił o krok.

- Nau? - powtórzyła oszołomiona Vendes, wypowiadając słowo oznaczające u drowów nie. Niegodziwa Duk-tak wydała się wtedy Drizztowi mała, niemal żalosna. Była zgięta wpół z bólu i cała się trzęsła.

Padła Drizztowi do stóp. Jej usta poruszyły się, ostatni raz formułując słowo zaprzeczenia, lecz żaden dźwięk nie wydobył się z pozbawionych oddechu warg, a jej płonące czerwienią oczy zamknęły się na zawsze.

ROZDZIAŁ 24

NA ŁEB, NA SZYJĘ

Drizzt wrócił do swojej celi i ujrzał Catti-brie leżącą wciąż na kamiennej podłodze, trzymającą pajęczą maskę i starającą się uspokoić oddech. Za nią Entreri wisiał nieporadnie za jedno ramię, wykręczone i przyklejone do pokrytej galaretą ściany.

- To go uwolni - wyjaśniła Catti-brie, ciskając maskę Drizztowi.

Drizzt chwycił ją, lecz nie poruszył się, mając na głowie ważniejsze rzeczy niż uwalnianie zabójcy.

- Regis mi powiedział - wyjaśniła kobieta, choć wydawało się to wystarczająco oczywiste. - Zmusiłam go do tego.

- Przyszłaś sama?

Catti-brie potrząsnęła głową, a Drizzt przez moment niemal zemdlał, sądząc, że kolejny z jego przyjaciół może być w niebezpieczeństwie albo martwy. Kobieta wskazała jednak na Guenhwyar, a tropiciel wydał z siebie westchnienie ulgi.

- Jesteś bezmyślna - odparł Drizzt, a jego słowa niosły za sobą czyste niedowierzanie oraz gniew. Skrzywił się, patrząc na Catti-brie, chcąc, by wiedziała, że nie jest zadowolony.

- Nie bardziej niż ty - odpowiedziała młoda kobieta z chytrym uśmiechem, uśmiechem, który zdjął z twarzy Drizzta grymas. Mroczny elf nie mógł zaprzeczyć radości, jaką odczuwał, widząc znów Catti-brie, nawet w tak niebezpiecznych okolicznościach.

- Chcesz teraz o tym rozmawiać? - spytała Catti-brie, wciąż się uśmiechając. - Czy też wolisz poczekać, aż wrócimy do Mithrilowej Hali?

Drizzt nie miał gotowej odpowiedzi, potrząsnął jedynie głową i przejechał ręką po swych gęstych włosach. Spojrzał następnie na pajęczą maskę oraz na Entreriego, i powrócił mu grymas.

- Mamy układ - szybko wtrąciła się Catti-brie. - Doprowadził mnie do ciebie i powiedział, że wyprowadzi stąd nas oboje, zaś my zaprowadzimy go na powierzchnię.

- A gdy się tam znajdziemy? - nie mógł nie zapytać Drizzt.

- On pójdzie swoją drogą, a my swoją - odrzekła pewnym głosem Catti-brie, jakby potrzebowała usłyszeć siłę swego głosu, by utrzymać swe postanowienie.

Drizzt znów przeniósł powątpiewające spojrzenie z maski na zabójcę. Perspektywa oglądania Artemisa Entreri wolnym na powierzchni nie odpowiadała zbytnio szlachetnemu tropicielowi. Jak wiele osób ucierpi z powodu tego, co zrobi teraz Drizzt? Jak wiele osób będzie znów terroryzowanych przez mrok, który uosabiał Artemis Entreri?

- Dałam słowo - Catti-brie oznajmiła w obliczu wyraźnych wątpliwości swego przyjaciela.

Drizzt rozważał dalej konsekwencje. Nie mógł odmówić Entreriemu potencjalnej przydatności podczas podróży, która ich czekała, zwłaszcza walk, jakie będą musieli najprawdopodobniej stoczyć, by wydostać się z kompleksu Baenre. Drizzt walczył już wcześniej u boku zabójcy przy podobnych okazjach i wspólnie zbliżali się do doskonałości.

Mimo to...

- Przyszedłem w dobrej wierze - Entreri wyjąkał przez szczękające zęby. - Ocaliłem... ocaliłem ją. - Jego wolna ręka wykrzywiła się, jakby chciał wskazać na Catti-brie, lecz przeszył ją nagle gwałtowny wstrząs i uderzyła o ścianę.

- Mam więc twoje słowo - stwierdził Drizzt, podchodząc do mężczyzny. Miał zamiar posunąć się dalej i wyciągnąć od Entreriego obietnicę, że jego złe uczynki zakończą się, a nawet że znalazłszy się na powierzchni, zmierzy się dobrowolnie ze swą mroczną przeszłością. Entreri spostrzegł to jednak i zatrzymał krótko Drizzta, jego wzbierający gniew dał mu na moment kontrolę nad nie chcącymi z nim współpracować mięśniami.

- Nic więcej! - warknął. - Masz to, co jej zaoferowałem! Drizzt spojrział natychmiast na Catti-brie, która wstała i poszła po swój łuk.

- Dałam słowo - odparła z większym naciskiem, nie uchylając się pod jego wątpięcym wzrokiem.

- A my... tracimy... czas - dodał Entreri.

Tropiciel pokonał szybko ostatnie dwa kroki i nasunął maskę Entreriemu na głowę. Ręka wysunęła się z mazi i mężczyzna opadł na podłogę, nie będąc w stanie kontrolować się nawet na tyle, by stać. Drizzt poszedł po pozostałe butelki z eliksirem, w nadziei że przywróci zabójcy władzę nad mięśniami. Wciąż nie był w pełni przekonany, że ukazanie Entreriemu drogi na powierzchnię jest dobrym wyborem, zdecydował jednak, że nie może czekać i rozważać tej kwestii. Uwolni zabójcę i razem z nim, oraz z Guenhwyvar, spróbują uciec z kompleksu i miasta. Innymi problemami trzeba będzie zająć się później.

Będzie to zresztą poza dyskusją, jeśli lecznicza magia eliksirów nie zdoła pomóc zabójcy, bowiem Drizzt i Catti-brie z pewnością nie mogli go stąd wynieść.

Entreri wstał jednak, zanim skończył jeszcze pierwszy haust zaczerpnięty z ceramicznej buteleczki. Efekty pocisku były tymczasowe i szybko się neutralizowały, zaś odżywcza ciecz jeszcze przyspieszyła ten proces.

Drizzt i Catti-brie podzielili się kolejną flaszką, a Drizzt, ubrawszy się w zbroję, przypiął sobie do pasa dwie z sześciu pozostałych i dał po dwie swym towarzyszom.

- Musimy wydostać się z wielkiego pagórka Baenre - powiedział Entreri, szykując się do podróży. - Wysoki rytuał bez wątpienia wciąż trwa, jednak jeśli na wyższym poziomie zostały odkryte zabite minotaury, to najprawdopodobniej natkniemy się na czekające na nas zastępy żołnierzy.

- Chyba że Vendes, w swojej zarozumiałości, zesła tu sama -odrzekł Drizzt. Jego ton oraz odpowiadające mu spojrzenie zabójcy ukazywały, że żaden z nich nie uważał tej możliwości za zbyt prawdopodobną.

- Na łeb, na szyję - zaproponowała Catti-brie. Obydwaj jej towarzysze spojrzeli na nią, nie rozumiejąc.

- Po krasnoludzk - wyjaśniła młoda kobieta. - Kiedy masz plecy przyparte do muru, pochyl głowę i pozwól, żeby cię prowadziła.

Drizzt spojrział na Guenhwyvar, na Catti-brie i jej łuk, na Entrerie-go i jego śmiercionośne ostrza, oraz na własne sejmitary -jakże miło, że czupurny Dantrag, oczekując na walkę z pojmanym tropicielem, umieścił wszystkie rzeczy Drizzta pod ręką! - Być może nas otoczyli -przyznał Drizzt. - Wątpię jednak, czy rozumieją, kogo otoczyli!

* * *

Opiekunka Baenre, opiekunka Mez' Barris Armgo oraz K'yorl Odran stały w zwartym trójkącie na szczycie centralnego ołtarza ogromnej kaplicy domu Baenre. Pięć innych matek opiekunek, władczyń domów od czwartej do ósmej rangi, uformowało pierścień wokół tej trójcy. Owa elitarna grupa, rada rządząca Menzoberranzan, spotykała się często w małym, sekretnym pomieszczeniu wykorzystywanym jako komnata rady, jednak od wieków nie zbierała się razem na modły.

Opiekunka Baenre czuła się naprawdę, jakby znajdowała się u szczytu potęgi. Zgromadziła je razem, co do jednej, zebrała osiem rządzących domów w sojuszu, który zmusi całe Menzoberranzan, by podążyło pod przewodem opiekunki Baenre na Mithrilową Halę. Nawet niegodziwa K'yorl, tak oporna w kwestii wyprawy i sojuszu, wydawała się teraz być naprawdę zaangażowana w narastający szal.

Podczas wcześniejszej części ceremonii K'yorl, bez żadnego namawiania, zaproponowała wziąć osobiście udział w ataku, zaś Mez'Barris Armgo - nie chcąc, by władczyni domu znajdującego się dalej w hierarchii, lśniła mroczniej w oczach opiekunki Baenre - uczyniła natychmiast to samo.

Lloth była z nimi, opiekunka Baenre wierzyła w to całym swym złym sercem. Pozostałe również wierzyły, iż Lloth jest z wyniszczoną matką opiekunką, tak więc sojusz był solidnie zespolony.

Opiekunka Baenre ukrywała dobrze swój uśmiech podczas następnych części ceremonii. Starła

się bardzo być cierpliwa w stosunku do Vendes. Posłała w końcu swą córkę po Drizzta, a Vendes była wystarczająco obznajomiona z rytuałami drowów, by rozumieć, że renegat może nie przetrwać ceremonii. Jeśli Vendes zabawiała się teraz z więźniem za pomocą paru tortur, opiekunka Baenre nie mogła jej za to winić. Baenre nie zamierzała poświęcać Drizzta w rytuale. Musiała zagrać z nim jeszcze w wiele gier i bardzo chciała dać Dantragowi szansę przyćmienia wszystkich fehmistrzów w Menzoberranzan. Religijne szaty zwykły jednak czasami same decydować o swoim przebiegu, Baenre wiedziała o tym, więc jeśli sytuacja będzie tego wymagać, Drizzt zostanie oddany Lloth, a wtedy ona z ochotą weźmie do ręki ofiarny sztylet.

Wizja ta nie należała do nieprzyjemnych.

* * *

Na przedzie okrągłej budowli, obok wielkich wrót, Dantrag i Berg'inyon stanęli przed jednakowo trudnym wyborem. Do środka wślizgnął się strażnik, donosząc, że w wielkim pagórku miało miejsce jakieś zamieszanie, że podobno zostało zabitych kilku minotaurów i że Vendes wraz ze swą eskortą udała się na niższy poziom.

Dantrag spojrział wzdłuż szeregów siedzących mrocznych elfów na centralne podwyższenie. Były tam wszystkie jego pozostałe siostry, podobnie jak jego starszy brat, Gromph (choć nie wątpił, iż Gromph z chęcią pogodziłby się z wymówką, aby zostać wyłączonym ze zdominowanej przez kobiety scenerii). Wysoki rytuał był ceremonią polegającą na emocjonalnych szczytach i dolinach, a rządzące matki opiekunki, zataczające coraz szybsze kręgi na podwyższeniu, klaskające w dłonie i śpiewające szaleńczo, z pewnością zmierzały na szczyt.

Dantrag popatrzył w oczekujące oczy Berg'inyona. Młodszy Baenre nie wiedział jak powinni teraz postąpić.

Fehmistrz wyszedł z głównego holu, zabierając ze sobą strażnika i Berg'inyona. Za nimi rozległo się crescendo narastających rozszalałych krzyków.

- Idź do ogrodzenia - dłonie Dantraga błysnęły do Berg 'inyona, bowiem musiałby krzyczeć, aby zostać usłyszany. -Sprawdź, czy jest bezpieczne.

Berg'inyon skinął głową i ruszył zakręcającym korytarzem, by otworzyć sekretne boczne drzwi, gdzie zostawił swego jaszczur-czego wierzchowca.

Dantrag poświęcił krótką chwilę, by sprawdzić swój ekwipunek. Vendes miała najprawdopodobniej sprawy - jeżeli wyniknęły w ogóle jakieś sprawy -pod kontrolą, jednak w głębi Dantrag niemal miał nadzieję, że tak nie jest, że walka z Drizztem spadnie na niego. Czuł jak jego myślący miecz zgadza się z tą myślą, poczuł, jak z broni dobiega fala okrutnego pragnienia.

Dantrag pozwolił, by jego myśli podążyły dalej tą ścieżką. Zanieś ciało zabitego renegata odprawiającej wysoki rytuał matce, pozwalając, by ona oraz pozostałe matki opiekunki (a także Uthegental Armgo, siedzący na widowni), doświadczyli rezultatów jego męstwa.

Wizja ta nie należała do nieprzyjemnych.

* * *

- Na łeb, na szyję - wyszeptała niemal bezgłośnie do swych towarzyszy Catti-brie, gdy za pomocą marmurowego cylindra pojawili się na głównym poziomie. Guenhwyvar przycupnęła przed nią, gotowa do skoku, zaś Drizzt i Entreri stali po obu stronach kocicy z wyciągniętą bronią. Catti-brie naciągnęła Taulmarila.

Gdy marmurowe drzwi rozsunęły się, tuż przed wejściem stała drowka wysokiej rangi, żołnierka. Jej czerwone oczy otworzyły się szeroko i wyrzuciła przed siebie ręce.

Strzała Catti-brie przeleciała przez jej żalosną osłonę, wbijając się w kobietę i trafiając również znajdującego się za nią drowa.

Guenhwyvar skoczyła w ślad za pociskiem, z łatwością omijając dwoje upadających mrocznych elfów i wpadając na gromadę innych, rozpraszając ich po okrągłym pomieszczeniu.

Drizzt i Entreri wypadli na zewnątrz, na obie strony od wejścia, trzymając przed sobą błyskającą broń. Niemal natychmiast zrównali się z powrotem z Catti-brie, a ich broń pokryła się krwią.

Catti-brie znów wystrzeliła, tuż pomiędzy nimi, wyrywając dziurę w murze z drowich ciał, blokującym przejście do korytarza wyjściowego. Wskoczyła pomiędzy swych towarzyszy, zaś Drizzt i Entreri wykonywali po jej bokach wspaniałą robotę za pomocą mieczy. Wystrzeliła jeszcze raz, przybijając drowa do jednych z bocznych drzwi w okrągłej komnacie. Sztylet Entreriego wgrzył się silnie w serce drowa, zaś sejmitary Drizzta skrzyżowały się wysoko z bronią przeciwnika, po czym wykonały kontratak, rysując zgrabną literę X na gardle drowa.

Główna rola należała jednak do Guenhwyvar. Wewnątrz zatłoczonego pomieszczenia nic nie było w stanie wywołać więcej ogólnego zamętu i paniki niż trzysta kilogramów powarkującej, drapiącej furii. Guenhwyvar rzucała się w jedną i drugą stronę, uderzając jednego drowa w bok, przewracając innego ugryzieniem w kostkę. Kocica nie zabiła tak naprawdę żadnych mrocznych elfów w swym dzikim przejściu przez komnatę do korytarza, zostawiła jednak za sobą wielu rannych oraz znacznie więcej uciekających i przerażonych.

Catti-brie znalazła się pierwsza w korytarzu.

- Strzel w te cholerne drzwi! - krzyknął do niej Entreri, lecz ona nie potrzebowała ponaglenia i

wystrzeliła dwa pociski, zanim jeszcze zabójca dokończył polecenie. Wkrótce ledwo była w stanie dostrzegać wrota, bowiem strumienie iskier zapalały wszystko, co znajdowało się wokół nich, jednak to, co była w stanie ujrzeć, wyglądało na solidne.

- Otwórzcie się, och otwórzcie! - wrzasnęła młoda kobieta, sądząc, że zostaną uwięzieni w korytarzu. Kiedy tylko chaos w komnacie zelżeje, ich przeciwnicy pochłoną ich. Żeby jeszcze bardziej podkreślić obawy Catti-brie, korytarz stał się nagle czarny.

Ocaliło ich jedynie szczęście, bowiem następna strzała kobiety ugodziła w zawarty w drzwiach mechanizm otwierający. Wciąż biegnąc na oślep, potykając się, Catti-brie wypadła z budynku Baenre. Drizzt i Entreri, a za nimi Guenhwyvar, wyłonili się zaraz potem.

Ujrzeli błyszczące emblematy domu, pozostawiające za sobą strumień światła, gdy kilku jaszczurczych jeźdźców wpadało na niespokojny teren. Towarzysze musieli natychmiast podjąć wybór, bowiem o kamienie wokół nich zaczęły się obijać bełty. Entreri objął prowadzenie. Jego pierwszą myślą było udać się do ogrodu, zdał sobie jednak sprawę, że ich trójka, mająca tylko jedną pajęczą maskę, nie zdoła pokonać tej bariery na czas. Pobiegnął na prawo, wokół wielkiego pagórka. Ściana była nierówna, bowiem budowla składała się tak naprawdę ze stojących ciasno obok siebie stalagmitów. Catti-brie oraz Drizzt znajdowali się tuż za nim, jednak Guenhwyvar zawróciła całkowicie tuż za drzwiami i wpadła z powrotem do środka, roztrzaskując najbliższe ścigające ich mroczne elfy.

Umysł Entreriego pracował na najwyższych obrotach, starając się przypomnieć sobie ogólny rozkład wielkiego kompleksu i starając się określić, jak wielu strażników mogło znajdować się na służbie, a także gdzie byli zazwyczaj rozlokowani. Rozległe tereny domu zajmowały niemal osiemset metrów w jedną stronę i czterysta w drugą, i wielu strażników, jeśli Entreri dobrze zgadywał, nie zdoła nawet zbliżyć się do walki.

Wydawało się jednak, jakby wszystkie drowy z domu znalazły się teraz wokół nich, rzucając się z furią ze wszystkich stron na uciekających więźniów.

- Nie ma gdzie uciekać! - krzyknęła Catti-brie. Oszczep uderzył w skałę tuż nad jej głową i obróciła się w tamtą stronę, trzymając Taulmarila w gotowości. Wrogi mroczny elf zmienił już miejsce, znikając z pola widzenia za pagórkiem w pobliżu ogrodu, jednak Catti-brie mimo to wystrzeliła. Magiczny pocisk odbił się od kamienia i wpadł na płot, znikając w ogromnym deszczu srebrnych i purpurowych iskier. Przez chwilę kobieta ośmieliła się mieć nadzieję, iż szczęście ukazało jej sposób roztrzaskania bariery, kiedy jednak iskry opadły, zdała sobie sprawę, iż pasma potężnego ogrodu nie były nawet zadrapane.

Catti-brie wahała się przez chwilę, rozmyślając nad strzałem, jednak Drizzt uderzył ją szorstko w plecy, zmuszając do biegu.

Zabójca okrążył kolejny załom jedynie po to, by stwierdzić, iż wiele drowów naciera na nich z przeciwnego kierunku. Zważywszy, że mieli tak blisko przeciwników, wbiegnięcie na otwarty teren równałoby się z samobójstwem, a nie mogli ani iść dalej, ani cofnąć się drogą którą przyšli. Entreri i tak pobiegł przed siebie, po czym skręcił ostro w prawo, wskakując na pagórek, na wąską biegnącą do góry ścieżkę, używaną głównie przez goblinów niewolników, których rodzina Baenre zapędzała do pracy przy rzeźbieniu zewnętrznej części okazałego pałacu.

Owa półka skalna nie stanowiła trudności dla zabójcy, który przywykł do biegania wysoko położonymi, wąskimi rynkami domów południowych miast. Podobnie było w przypadku obdarzonego ogromną zręcznością i zmysłem równowagi Drizzta. Gdyby jednak Catti-brie postanowiła zatrzymać się na chwilę i zastanowić się nad tą drogą najprawdopodobniej nie byłaby w stanie udać się dalej. Biegli ścieżką szeroką na niecałe pół metra, otwartą z jednej strony (na coraz głębszą przepaść), zaś z drugiej ograniczoną nierówną ścianą. Mroczne elfy znajdowały się jednak niedaleko z tyłu i żadne z uchodźców nie miało czasu, by zastanawiać się nad drogą. Catti-brie nie tylko udawało się dotrzymać kroku Entreriemu, lecz zdołała nawet wystrzelić kilka pocisków w dół, by ich przeciwnicy musieli gorączkowo szukać osłony.

Gdy po okrążeniu zakrętu Entreri natknął się na dwóch patrzących głuźpawo goblinów robotników, uznał, że trafili na przeszkodę. Przeważeni niewolnicy nie chcieli jednak brać udziału w jakiegokolwiek walce i rzucili się przez krawędź chodnika, zjeżdżając po nierównym zboczu pagórka.

Za kolejnym zakrętem zabójca dostrzegł szeroki i ozdobny balkon, półtora metra w bok od ciągnącego się dalej chodnika. Entreri wskoczył tam, widząc wznoszące się z tamtego miejsca lepiej wykute schody.

Zaraz gdy wylądował, z drzwi w tylnej części balkonu wypadły dwa mroczne elfy. Pierwszy został powitany przez srebrzy sta strzałę, która wbiła go z powrotem do wykutego pomieszczenia, a Entreri załatwił szybko kwestię pozostałego, kończąc z nim, zanim jeszcze Drizzt i Catti-brie zdążyli doskoczyć do niego.

Następnie skoczyła Guenhwyvar. Pantera przeleciała obok trojga zdumionych towarzyszy, by objąć prowadzenie na schodach.

Wchodzili coraz wyżej, piętnaście metrów, trzydzieści metrów, sześćdziesiąt metrów nad ziemię. Sapiąc i dysząc zmęczona grupka biegła dalej, nie mając innego wyboru. W końcu gdy odłożyli już pod sobą trzysta metrów, wielki stalagmit stał się stalaktytem, a ich schody ustąpiły miejsca poziomemu chodnikowi, łączącym wiele z większych wiszących stożków kompleksu Baenre.

Pomostem z drugiej strony nacierała grupa drowów, odcinając towarzyszy. Zbliżając się mroczne elfy wystrzeliły ze swych kusz do kładącej po sobie uszy i rzucającej się do ataku Guenhwyvar. Bełty ugodziły kocicę, pompując w nią swą truciznę, jednak Guenhwyvar nie dała się zatrzymać. Zdawszy sobie z tego sprawę, idący gęśiego członkowie oddziału odwrócili się i zaczęli uciekać. Część z nich, ci, którzy znaleźli się zbyt blisko kocicy, przeskoczyła po prostu przez barierkę pomostu, wykorzystując swe wrodzone moce lewitacji, by utrzymać się w powietrzu.

Catti-brie trafiła natychmiast jednego z nich strzałą, a siła uderzenia obróciła umierającego drowa do góry nogami, tak że wisiał w powietrzu w groteskowy sposób, a strużki krwi wypływały swobodnie z jego rany, rosząc niczym deszcz kamienną podłogę setki metrów niżej. Pozostałe lewitujące mroczne elfy, uświadomiwszy sobie jak bardzo są wystawione, zniknęły szybko z pola widzenia.

Guenhwyvar rzuciła się na elfy, które pozostały na chodniku. Entreri szedł tuż za nią, dobijając drowy ranne w wyniku zacieklej szarży pantery. Zabójca spojrzął za siebie, na swych towarzyszy, i wydał z siebie pełen determinacji krzyk, widząc przed nimi pusty odcinek, który mogli przebiec.

Catti-brie również wrzasnęła, jednak Drizzt zachowywał ciszę. Wiedział lepiej od pozostałych, w jak wielkich kłopotach naprawdę się znajdowali. Wielu z drowów Baenre było najprawdopodobniej w stanie lewitować, wykorzystując zdolność, którą Drizzt utracił z jakiegoś powodu, gdy spędził trochę czasu na powierzchni. Żołnierze Baenre znajdą się wkrótce obok pomostów, kryjąc się wśród stalaktytów z gotowymi do strzału kuszami.

Chodnik dotarł do kolejnego stalaktytu i rozdzielał się wokół niego na dwie części. Guenhwyvar poszła w lewo, a Entreri w prawo.

Podjeżdżając pułapkę, zabójca ruszył wokół załomu na klęczkach. Oczekiwała na niego drowka, wyciągająca przed siebie rękę. Mroczna elfka szarpnęła kuszą w dół, zaraz gdy ujrzała, że zabójca rzuca się na nią od dołu. Wystrzeliła, lecz chybiła, a miecz Entreriego przebił jej bok. Zabójca podniósł się szybko. Nie mając czasu na jakiegokolwiek dłuższe walki, Entreri wykorzystał swój miecz jako dźwignię i przerzucił kobietę przez balustradę.

Drizzt oraz Catti-brie usłyszeli ryk i ujrzeni mrocznego elfa, uderzonego przez panterę, który spadał z lewej strony. Catti-brie ruszyła tą drogą, usłyszała jednak gwizd z tyłu i zerknęła przez ramię, akurat gdy poszarpany zielony płaszcz Drizzta powiewał w powietrzu. Kobieta uchylła się instynktownie, po czym zaczęła się wpatrywać w belt, który zaplątał się w jej grube ubranie, a został wymierzony w tył jej głowy.

Drizzt opuścił płaszcz i przemknął na bok od Catti-brie, pozwalając jej ujrzeć dokładnie pomost za nimi i zbliżającą się szybko grupę drowów.

Na wąskim chodniku nie istniała żadna broń lepsza niż Taulmaril.

Błyskawica za błyskawicą podążały wzdłuż jego długości, zabijając i raniąc kilku drowów. Catti-brie sądziła, iż jest w stanie powstrzymać ten szturm w nieskończoność, dopóki wszyscy ścigający ich przeciwnicy nie zostaną zabici, lecz nagle Drizzt chwycił ją za ramię i rzucił na bok, przyciskając płasko sobą na załomie wokół wielkiego stalaktytu.

W skałę uderzyła błyskawica, dokładnie tam, gdzie przed chwilą stali, zalewając ich oboje wielokolorowymi iskrami.

- Cholerny czarodziej! - wrzasnęła wzburzona kobieta. Uniosła się na jednym kolanie i znów wystrzeliła, sądząc że zlokalizowała maga. Jej pocisk zanurkował w zbliżającą się grupę i zniknął w nicości.

- Cholerny czarodziej! - krzyknęła ponownie Catti-brie, po czym znów biegła, ciągnięta przez Drizzta.

Pomost za stalaktytem był czysty, a towarzysze wysforowali się daleko przed pościg, bowiem mroczne elfy musiały uważać na ewentualne pułapki przy kolumnie.

Przed nimi rozpościerało się wiele przecinających chodników, płatanina górująca nad ogromnym kompleksem, a w okolicy nie było widać zbyt wielu żołnierzy Baenre. Znów wydawało się, jakby przyjaciele mieli przed sobą otwarty teren do ucieczki, gdzie jednak mogli się udać? Przed i pod nimi otwierała się szeroko cała jaskinia Menzoberranzan, jednak w każdym kierunku pomosty kończyły się przed granicami Baenre, a niewiele stalaktytów opadało wystarczająco nisko, by łączyć się ze stalagmitowymi pagórkami i pozwolić im dostać się z powrotem na dół.

Guenhwyar, dzielając najwyraźniej owe myśli, wróciła do grupy, a Entreri znów objął prowadzenie. Dotarł wkrótce do rozwidlenia pomostu i spojrzał na Drizzta, szukając rady, jednak drow wzruszył tylko ramionami. Obydwaj doświadczeni wojownicy zdawali sobie sprawę, że obrona wokół nich szybko się zacieśnia.

Dotarli do kolejnej stalaktytowej kolumny i podążyli łukowatym chodnikiem, wznoszącym się po jego zboczu. Znaleźli drzwi, bowiem skała ta była wydrążona, w środku znajdowało się jednak tylko pojedyncze pomieszczenie - nie nadające się na kryjówkę. U szczytu wznoszącego się pierścienia pomost szedł w dwóch kierunkach. Entreri ruszył w lewo, lecz zatrzymał się nagle i padł płasko.

Tuż nad nim śmignął oszczep, trafiając kamienny stalaktyt tuż na prawo od twarzy Catti-brie i zagłębiając się w nim. Młoda kobieta wpatrywała się, jak na jego drgającym drzewcu wiją się czarne macki, wgryzając się w skałę. Catti-brie mogła sobie jedynie wyobrazić, jaki ból mogło spowodować to złe zakłęcie.

- Jaszczurczy jeźdźcy - wyszeptał Drizzt do jej ucha, znów ciągnąc ją za sobą. Catti-brie rozejrzała się dookoła, wypatrując celu i usłyszała przebierające łapy podziemnych jaszczurów, biegających po stropiejaskini. W słabym świetle, otrzymany dzięki magicznej opasce, nie widziała jednak wyraźnych celów.

- Drizzcie Do'Urden! - dobiegł krzyk z niższego, równoległego pomostu. Drizzt zatrzymał się, spojrzał w tamtą stronę i ujrzał Berg'inyona Baenre na jego jaszczurze, wiszącego pod najbliższą krawędzią kamiennego chodnika i szykującego oszczep. Rzut młodego Baenre był godzien podziwu, zważywszy na odległość i dziwny kąt, jednak broń mimo to nie zdołała dolecieć.

Catti-brie odpowiedziała strzałem, gdy jeździec rzucał się z powrotem pod kamienny most. Jej strzała musnęła skałę i opadła swobodnie na rozciągającą się tak daleko w dole podłogę.

- To był Baenre - wyjaśnił jej Drizzt. - Naprawdę niebezpieczny.

- Był - odpowiedziała pewnie Catti-brie, po czym napięła łuk i znów wystrzeliła, tym razem celując w środek niższego pomostu. Magiczna strzała przebiła się przez kamień i rozległ się wrzask.

Berg'inyon wyleciał spod mostu, a jego martwy jaszczur leciał za nim. Poza zasięgiem wzroku towarzyszy młody szlachcic uaktywnił swe moce lewitacyjne i obrócił się w powietrzu, opadając powoli na podłogę jaskini.

Drizzt pocałował Catti-brie w policzek z podziwu za jej wspaniały strzał. Następnie ruszyli biegiem, za Entrerim i Guenhwyvar. Po okrążeniu następnego stalaktytu ujrzeli, jak Entreri i kocica kładą trupem kolejnego mrocznego elfa.

Wszystko to wydawało się jednak beznadziejne, bezskuteczne. Mogli przez nieskończone godziny zaliczać pomniejsze zwycięstwa i nie naruszyć zasobów domu Baenre. Co gorsza, wcześniej lub później obrona kompleksu zostanie całkowicie zorganizowana, a matka opiekunka i wysokie kapłanki, najprawdopodobniej wraz z paroma potężnymi czarodziejami, wyłonią się ze sklepionej kaplicy, by dołączyć do pościgu.

Wspięli się na pomost otaczający kolejny stalaktyt, docierający do najwyższych wykończonych poziomów jaskini. Wciąż było wokół nich wielu drowów, kryjących się w cieniach na swych jaszczurzych wierzchowcach i wybierających starannie cele.

Guenhwyvar zatrzymała się nagle i wyskoczyła pionowo w górę, znikając w kępie wiszących głazów osiem metrów nad pomostem.

Po chwili pantera opadła na dół, szarpiąc i drapiąc jaszczura, którego pociągnęła za sobą. Uderzyli w kamienny chodnik, mocując się i gryząc, a Drizzt myślał przez chwilę, że Guenhwyvar spadnie poza krawędź.

Entreri zatrzymał się w bezpiecznej odległości od walczących bestii, jednak tropiciel wyskoczył przed niego, posyłając sejmitary do śmiercionośnej pracy nad zaplątanym jaszczurem.

Catti-brie rozważnie kierowała wzrok ku górze, a kiedy z kępy stalaktytów wyłonił się powoli drow, Taulmaril już go czekał. Mroczny elf wystrzelił ze swej kuszy i chybił, belt odbił się od pomostu za kobietą. Catti-brie odpowiedziała, utracając czubek stalaktytu tuż na bok od drowa.

Drow zdał sobie natychmiast sprawę, że nie jest w stanie wygrać z tą kobietą i jej śmiercionośnym łukiem. Przedzierał się wzdłuż stalaktytów, odpychając się od nich nogami i lecąc wzdłuż stropu jaskini. Kolejna strzała trafiła w skałę, nie tak daleko za nim, po czym następna utraciła głaz wiszący przed nim, akurat gdy zamierzał się go chwycić.

Lewitujący drow został pozbawiony uchwytów, wisiał w powietrzu siedem metrów nad i kilkanaście w bok od pomostu. Powinien był rozproszyć swój czar lewitacji i opaść w stronę ziemi,

przyzywając znów magiczną energię, gdy znalazłby się daleko poniżej poziomu Catti-brie. Zamiast tego udał się w górę, szukając bezpieczeństwa wśród szczelin w nierównym stropie.

Catti-brie obrała zabójczy cel i wystrzeliła. Srebrzysta strzała przebiła się przez zgubionego drowa i uderzyła w strop ponad nim, znikając w skale. Ułamek sekundy później z góry dobiegła kolejna eksplozja, skądś nad sklepieniem jaskini.

Catti-brie spoglądała w tamtą stronę z zaciekawieniem, starając się odcyfrować znaczenie tego drugiego wybuchu.

ROZDZIAŁ 25

DESPERACKA UCIECZKA

Opiekunka Baenre pociła się z dumy, gdy rytuał ciągnął się dalej, nie zakłócony wydarzeniami na terenie kompleksu. Nie wiedziała, że Dantrag i Berg'inyon wyszli z kaplicy, nie wiedziała, że jej niegodziwa Duk-tak nie żyła, zabita przez tego samego renegata, którego opiekunka Baenre miała nadzieję zaprezentować wkrótce innym rządzącym matkom opiekunkom.

Wszystkim czego teraz była świadoma opiekunka Baenre, był słodki smak potęgi. Zawiązała najpotężniejszy sojusz w najnowszej historii drowów, z sobą na jego czele. Wymanewrowała przebiegłą K'yorl Odran oraz wręcz zastraszyła Mez'Barris Armgo, drugą pod względem wpływów drowkę w mieście. Wierzyła, że Lloth uśmiecha się szeroko do matki opiekunki domu Baenre.

Wszystkim co słyszała, był śpiew, nie zaś odgłosy walki, a wszystkim co widziała, spoglądając w górę, była wspaniała iluzja Pajęcznej Królowej, która przechodziła swą nie kończącą się przemianę z arachnida w drowkę i z drowki w arachnida. Jakże mogła ona lub ktokolwiek z pozostałych, obserwujących ten widok z podobnym zachwytem, wiedzieć, że niemal trzysta metrów ponad kopułą tej katedry, pomiędzy połączonymi pomostami stalaktytami domu Baenre szaleje walka?

- Tunel! - Catti-brie krzyknęła do Drizzta. Chwyciła go za ramię i odwróciła w stronę wciąż kwitującego martwego drowa.

Drizzt spojrział na nią tak, jakby nie rozumiał.

- Wysoko! - krzyknęła. Znow podniosła swój łuk i wystrzeliła w tamtym kierunku. Strzała uderzyła w podstawę stalaktytu, jednak nie przeleciała dalej.

- Jest tam, mówię ci! - wołała młoda kobieta. - Inny tunel, nad jaskinią!

Drizzt spojrział z powątpiewaniem w tamtą stronę. Nie kwestionował słów Catti-brie, nie miał jednak pojęcia, jak mogliby dostać się do tego rzekomego tunelu. Najbliższy pomost był pełne cztery metry stamtąd, zaś aby wejść na ów pomost, choć znajdował się on zaledwie dziesięć metrów stąd i niewiele wyżej niż ich aktualna pozycja, towarzysze musieliby pójść naokoło, co oznaczało wiele setek metrów biegu.

- O co chodzi? -krzyknął Entreri, wracając pospiesznie do ociągających się towarzyszy. Spoglądając za nich, wzdłuż pomostu, zabójca ujrzał sylwetki licznych zbierających się drowów.

-Nad nami może być tunel - szybko wyjaśnił Drizzt.

Grymas Entreriego ukazał, iż nie uważał tej informacji za zbyt cenną, jednak jego wątpliwości jedynie dodały Catti-brie animuszu. Uniosła tuk i wystrzeliła pociski, jeden za drugim, wszystkie wycelowane w podstawę tego upartego stalaktytu.

Na ich pomoście eksplodowała kula ognista, niezbyt daleko za nimi, i cały chodnik zadrżał, gdy metal oraz kamień stopiły się i poruszyły, grożąc zawaleniem.

Catti-brie obróciła się i wypuściła dwa szybkie strzały, zabijając jednego drowa i odganiając pozostałe pod osłonę najbliższego wspierającego ścieżkę stalaktytu. Gdzieś w ciemności przed nią warknęła Guenhwyvar i brzęknęły kusze.

- Musimy ruszać! - ponaglił ich Entreri, chwytając Drizzta i próbując go ciągnąć. Tropiciel utrzymywał jednak pozycję i obserwował z wiarą, jak Catti-brie odwraca się znow w bok i wypuszcza kolejną ze swych strzał. Uderzyła solidnie w osłabiony głaz.

Będący celem ataku stalaktyt zatrzeszczał w proteście i zsunął się z jednej strony w dół, wisząc pod dziwnym kątem. Chwilę później spadł swobodnie w rozciągającą się pod nimi przepaść. Przez chwilę Drizzt sądził, że trafi może w jaśniejącą purpurą kopułę kaplicy, rozbił się jednak o kamienną podłogę niewiele dalej, roztrzaskując się na setki kawałków.

Nasłuchując bacznie swymi bystrymi uszami, Drizzt rozszerzył oczy, skupiając się na dziurze, a na jego twarzy pojawił się wyraźny błysk nadziei. - Wiatr - wyjaśnił bez tchu. - Wiatr z tunelu!

Była to prawda. Z otworu w stropie wydobywał się nie dający pomylić się z niczym innym odgłos dmącego wiatru, bowiem ciśnienie powietrza w rozciągających się w górze grotach równoważyło się z ciśnieniem w ogromnej jaskini.

- Ale jak się tam dostaniemy? - spytała Catti-brie.

Przekonany już Entreri grzebał właśnie w swoim plecaku. Wyciągnął zwój liny wraz z kotwiczką i wkrótce zaczął wymachiwać nią nad głową. Jednym rzutem zahaczył ją o pomost najbliższej tunelu. Entreri podszedł do balustrady własnego chodnika i przywiązał sznur, zaś Drizzt, bez najmniejszego wahania, wskoczył na linę i zaczął po niej ostrożnie iść. Zręczny drow nabierał stopniowo prędkości oraz pewności siebie.

Pewność owa legła w gruzach, gdy pojawił się nagle zły mroczny elf. Wyłoniwszy się z zakłęcia niewidzialności, uderzył linę swym niezwykle ostrym mieczem.

Drizzt padł płasko na sznur i trzymał się go z desperacją. Dwa cięcia uwolniły linę od kotwiczki i Drizzt opadł niczym wahadło, kołysząc się w tę i z powrotem trzy metry pod swymi towarzyszami na pomoście.

Szeroki uśmiech wrogiego drowa został szybko starty przez srebrzystą strzałę.

Drizzt zaczął się wspinać, po czym zatrzymał się i wzdrygnął, gdy obok świsnął bełt. Zaraz po nim podążył następny, a drow spojrzał w dół i ujrzał grupę zbliżających się drowów, strzelających w locie.

Entreri ciągnął zaciekle za linę, starając się pomóc tropicielowi wrócić na pomost. Zaraz gdy Drizzt chwycił się krawędzi, zabójca wciągnął go, po czym zabrał od niego linę. Spojrzał na nią z powątpiewaniem, zastanawiając się, jak na dziewięć piekieł mają znów zahaczyć o odległy pomost bez kotwiczki. Entreri warknął z determinacją, po czym zrobił ze sznura lasso i odwrócił się, szukając celu.

Drizzt przełożył jedno kolano przez pomost i starał się ustawić pod sobą stopę, jednak potężny wybuch uszkodził chodnik tuż pod nim. Tropiciel oraz Catti-brie zostali zwaleni z nóg. Drizzt znów spadł i wisiał na koniuszkach palców, zaś na skale pod Catti-brie ukazała się rysa.

Bełt z kuszy trafił w kamień tuż przed twarzą drowa. Inny stuknął o podeszwę jego buta, lecz nie przebił jej. Następnie Drizzt zaczął lśnić, otoczony wyraźnym ogniem faerie, czyniącym go jeszcze łatwiejszym celem.

Tropiciel spojrzał w dół na zbliżające się mroczne elfy i przyzwał jedną ze swych wrodzonych zdolności, rzucając przed nich kulę ciemności. Następnie podciągnął się na krawędź pomostu, by

ujrzeć, jak Catti-brie wymienia salwy z mrocznymi elfami, znajdującymi się za nimi, zaś Entreri wciąga rzucone lasso, przeklinając przez cały czas.

- Nie mam jak tego zahaczyć - warknął zabójca i nie musiał mówić o implikacjach swego niepowodzenia. Drowy były za nimi i pod nimi, zbliżając się niechybnie do drużyny. Pomost, osłabiony magicznymi atakami, nie wydawał się już taki bezpieczny, poza tym, niczym ostatni gwóźdź do trumny, towarzysze ujrzeli spieszącą do nich z powrotem Guenhwyvar, znajdującą się najwyraźniej w odwrocie.

- Nie poddamy się - wyszeptała Catti-brie z oczyma pełnymi determinacji. Posłała kolej na strzałę wzdłuż pomostu, po czym padła na brzuch i zaczęła się dłońmi o krawędź. Unoszący się czarodziej wyłaniał się właśnie z kuli mroku Drizzta, celując różdżką w chodnik.

Strzała Catti-brie trafiła dokładnie w tę różdżkę, rozszczepiając ją, po czym rozorała bark drowa.

Kiedy czarodziej spojrział na zniszczoną różdżkę, jego krzyk zawarł w sobie więcej przerażenia niż bólu, pomyślał bowiem o magicznej energii, która za chwilę się wyzwoli. Z typową dla drowów lojalnością czarodziej rzucił różdżkę za siebie, w ciemność, pomiędzy swych wznoszących się towarzyszy. Wykorzystał całą prędkość swego czaru lewitacji, by jak najbardziej oddalić się od niewidocznych, trzaskających błyskawic, i usłyszał przerażające wrzaski swych umierających kompanów.

Powinien był zamiast tego spojrzeć w górę, nie dowiedział się bowiem, co w niego trafiło, gdy następna strzała Catti-brie roztrzaskała mu kręgosłup. Wyliminowawszy, a przynajmniej spowolnwszy to zagrożenie, młoda kobieta znów uklękła na kolanach i znów otworzyła ogień zaporowy do upartych mrocznych elfów na pomoście. Ich kusze nie mogły dosięgnąć Catti-brie, i drowy nie mogły żywić nadziei, że dorzucą tak daleko oszczepami, kobieta wiedziała jednak, że coś planują, obmyślają jakiś sposób na wprowadzenie zamętu.

Guenhwyvar nie była zwyczajną panterą, posiadała inteligencję przewyższającą dalece normy swego kociego rodzaju. Spiesząc do swych zapędzonych w róg towarzyszy, dostrzegła szybko ich kłopoty i nadzieje. Pantera była poważnie ranna, w jej skórę wbity był tuzin zatrutych bełtów, jednak jej zaciekła lojalność była całkowicie skierowana na Drizzta.

Entreri rzucił się do tyłu i krzyknął głośno, gdy pojawiła się przy nim i wyrwała mu linę z dłoni. Zabójca rzucił się natychmiast po broń, sądząc, że kocica zamierza go zaatakować, jednak Guenhwyvar zatrzymała się gwałtownie - odrzucając Entreriego i Drizzta kilka kroków w tył - obróciła w prawo i wyskoczyła.

Guenhwyvar próbowała się zatrzymać, drapiąc pazurami gładki kamień będącego jej celem pomostu. Pęd kocicy był jednak zbyt wielki i Guenhwyvar, wciąż ściskając mocno linę, przechylając się przez przeciwległą krawędź chodnika, zatrzymała się gwałtownie na końcu liny, jakieś siedem metrów poniżej mostu.

Bardziej troszcząc się o kocicę niż o siebie, Drizzt wskoczył instynktownie na napiętą linę i przebiegł po niej, nie zważając na fakt, iż chwyt Guenhwyvar był co najmniej niepewny.

Entreri chwycił Catti-brie i pociągnął ją, wskazując, by podążyła za drowem.

- Nie potrafię chodzić po linie! - wyjaśniła zdesperowana kobieta, a jej oczy były szeroko otwarte z przerażenia.

- To się naucz! - szorstko odparł zabójca i pchnął Catti-brie tak mocno, że niemal wypadła z drugiej strony pomostu. Postawiła jedną stopę na linie i zaczęła przenosić na nią ciężar, cofnęła się jednak natychmiast, kręcąc głową.

Entreri przeskoczył obok niej na linę. - Pracuj dobrze swoim łukiem! - wyjaśnił. -1 bądź gotowa, by odciąć ten koniec!

Catti-brie nie rozumiała, nie miała jednak czasu napytania, gdy Entreri zaczął biec, pędząc po konopnym moście tak lekko jak Drizzt. Catti-brie wystrzeliła za siebie w pomost, po czym musiała obrócić się i strzelić w drugą stronę, przed siebie, w te drowy, które ścigały Guenhwyvar.

Wciąż obracając się w tył i w przód nie miała czasu na celowanie i zaledwie kilka jej strzał trafiło w przeciwników.

Catti-brie wzięła głęboki oddech. Szczerze żałowała przyszłości, której nigdy nie pozna. Westchnieniu towarzyszył jednak zrezygnowany, lecz jednocześnie zdeterminowany uśmiech. Jeśli miała zginąć, to chciała zabrać za sobą swoich przeciwników, aby dać Drizztowi wolność.

* * *

Niektórzy ze zgromadzonych wewnątrz wielkiej kaplicy Baenre usłyszeli i poczuli jak stalaktyt uderzył w podłogę kompleksu, jednak tylko trochę, bowiem ściany budowli były z grubego kamienia, zaś w środku dwa tysiące drowich głosów łączyło się w szaleńczej pieśni do Lloth.

Opiekunka Baenre została poinformowana o tym incydencie kilka chwil później, gdy Sos'Umptu, jej córka zajmująca się sprawami kaplicy, znalazła możliwość, by wyszeptać jej, iż na terenie kompleksu coś może być nie tak.

Opiekunkę Baenre bolało zakłócenie ceremonii. Popatrzyła dookoła po twarzach innych matek opiekunek, jej jedynych ewentualnych rywalek, i pozostała w przekonaniu, iż wszystkie były w pełni zaangażowane w jej plan. Mimo to dała Sos'Umptu pozwolenie na wysłanie - dyskretnie - kilku członków elitarnej straży kaplicy.

Następnie pierwsza matka opiekunka powróciła do ceremonii, uśmiechając się, jakby nie działało

się nie nadzwyczajnego - poza oczywiście tym nadzwyczajnym zgromadzeniem. Opiekunka Baenre była tak przekonana o potęgze swego domu, iż jedyne jej obawy w tej chwili polegały na tym, iż coś może zakłócić świętość ceremonii, coś może ją pomniejszyć w oczach Lloth.

Nie była w stanie wyobrazić sobie mających miejsce daleko w górze wyczynów trojga uchodźców i pantery.

* * *

Wisząc nisko nad krawędzią! przemawiając czule do swej drogiej, rannej towarzyszki, Drizzt nie słyszał, jak Entreri zeskakuje na kamienie za nim.

- Nic nie możemy zrobić dla kota! - powiedział szorstko zabójca, a Drizzt obrócił się, zauważając natychmiast, iż Catti-brie znajduje się po drugiej stronie w niekorzystnej sytuacji.

-Zostawiłeś ją! -krzyknął tropiciel.

- Nie mogła przejść! - warknął mu w twarz Entreri. - Jeszcze nie! -Drizzt, ogarnięty wściekłością, sięgnął po swe klingi, jednak Entreri zignorował go i skupił się z powrotem na Catti-brie, która klęczała na kamieniu, mrucząc coś, czego zabójca nie mógł zrozumieć.

- Rozwiąż linę! - zawołał Entreri. - Ale trzymaj najmocniej, jak potrafisz, i przeleć tu!

Drizzt, uważając się za niewiarygodnie głupiego, że nie rozumiał planów Entreriego, zwolnił uchwyt na rękojeściach broni i przyklęknął, by pomóc zabójcy trzymać sznur. Zaraz gdy Catti-brie rozwiąże drugi koniec, trzysta kilo ciężaru - spadającej pantery - szarpnie za linę. Drizzt nie łudził się, że mógłby wraz z Entrerim utrzymać panterę w powietrzu dłużej niż niewielką chwilę, mogli jednak uczynić, że siła z drugiej strony będzie mniejsza, by Catti-brie była w stanie się utrzymać.

Młoda kobieta nie skierowała się natychmiast ku linie, pomimo wrzasków Entreriego oraz mrocznych elfów zbliżających się z obydwu stron. W końcu sięgnęła po nią, podniosła się jednak natychmiast i zawołała - Chyba jest za mocna!

- Cholera, ona nie ma ostrza - jęknął Entreri, uświadamiając sobie swą pomyłkę.

Drizzt wyciągnął Błysk i wszedł z powrotem na linę, zdeterminowany zginąć przy swojej drogiej Catti-brie. Młoda kobieta przewiesiła jednak Taulmarila przez ramię i wskoczyła na chwiejny most, mając na twarzy wyraz najczystsze przerażenia. Zawisła pod sznurem, zaciskając mocno dłonie i kolana. Pokonała trzy metry, następnie pięć, była już w połowie drogi do swych przyjaciół.

Mroczne elfy zbliżały się szybko, widząc, że nie lecą już na nich te okrutne strzały. Biegące na czele drowy dotarły już prawie do liny, trzymając uniesione kusze, a Catti-brie stanowiła naprawdę

łatwy cel!

Wtedy jednak mroczne elfy na przedzie zatrzymały się nagle i zaczęły szamotać się, by uciec, niektóre nawet zeskakiwały z pomostu.

Drizzt nie rozumiał tego, co widzi, i nie miał czasu, by zgadywać, gdy na drugim chodniku wybuchła kula ognia, tuż pomiędzy zbliżającymi się grupami mrocznych elfów. Na Driztta potoczyły się fale płomieni i padł do tyłu, rozkładając przed sobą ręce.

Ułamek sekundy później Entreri krzyknął, a lina, przepalona na drugim końcu, zaczęła przemykać obok nich, bowiem Guenhwyvar znacznie przeważała Catti-brie.

Entreri i Drizzt wystarczająco szybko rzucili się, by złapać sznur, kiedy przestał śmigać obok nich, kiedy to śmiała Guenhwyvar, rozumiejąc, że Catti-brie nie utrzyma niepewnego chwytu, gdy zetknie się ze ścianą pomostu, puściła i spadła w mrok.

Chodnik po drugiej stronie pękł i zaczął spadać, miażdżąc jednego kwitującego drowa, który przeżył eksplozję różdżki, oraz zrzucając te mroczne elfy, które pozostały na platformie. Większość z tych, które jeszcze żyły, mogła lewitować, i nie spadnie, by zginąć, jednak wybuch pozwolił z pewnością przyjaciołom zyskać na cennym czasie.

Catti-brie, z twarzą czerwoną od gorąca i małymi płomieniami pełzającymi po jej płaszczu, zachowała wystarczająco dużo przytomności umysłu, by wyciągnąć rękę i chwycić zaoferowaną przez Driztta dłoń.

-Pozwól Guen odejść! -poprosiła bez tchu, z płucami bolącymi od gorąca, a Drizzt zrozumiał natychmiast. Wciąż trzymając mocno rękę kobiety, tropiciel wyłowił z sakwy Catti-brie figurkę i zawołał do Guenhwyvar, aby odeszła. Mógł jedynie mieć nadzieję, że magia zadziałała, zanim pantera uderzyła o podłogę.

Następnie tropiciel wciągnął Catti-brie na pomost i uściskał ją mocno. Tymczasem Entreri odzyskał kotwiczkę i właśnie ją przywiązywał. Zręczny rzut umieścił zaczep w otworze, który Catti-brie utworzyła, strącając stalaktyt.

- Idź! -powiedział zabójca do Driztta, a drow poszedł, wspinając się dłoń za dłonią, gdy Entreri przymocował linę do metalowej balustrady. Catti-brie ruszyła następna, zdecydowanie wolniej niż Drizzt, a Entreri rzucał w jej strony przekleństwa, uważając, że jej powolność pozwoli przeciwnikom ich dogonić.

Drizzt widział już mroczne elfy wznoszące się z podłogi jaskini pod jego aktualnym stanowiskiem, choć minie wiele minut, zanim dotrą tak wysoko.

- Jest zabezpieczony! - Drizzt zawołał z tunelu powyżej, a wszyscy odczuli ogromną ulgę dowiadując się, iż naprawdę był tam korytarz, a nie mała wnęka!

Entreri odwiązał linę, po czym wskoczył na nią, gdy kołysała się bezpośrednio pod otworem.

Drizzt wciągnął Catti-brie i zastanowił się nad wspinającym mężczyzną. Mógł odciąć linę i posłać Entreriego na śmierć, a świat bez zabójcy z pewnością stałby się lepszym miejscem. Honor kazał jednak Drizztowi dotrzymać słowa. Nie mógł odmówić zabójcy śmiałych wysiłków, by doprowadzić ich wszystkich aż tak daleko i nie mógł posunąć się do zdrady.

Chwycił Entreriego, gdy mężczyzna się zbliżył, i wciągnął go. Trzymając Taulmarila Catti-brie wróciła do dziury, wypatrując mrocznych elfów, które mogły być w polu widzenia. Wtedy zauważyła coś innego: purpurowy ogień faerie wielkiej sklepionej kaplicy, niemal bezpośrednio pod nią. Pomyślała, jak wyglądałyby miny na twarzach drowów odprawiających wysoki rytuał, gdyby przez ten dach wpadła Guenhwyvar - i myśl ta naprowadziła ją na inny pomysł. Uśmiechnęła się paskudnie, spoglądając znów na kopułę, a następnie na strop nad nią.

Tunel był naturalny i nierówny, wystarczająco jednak szeroki, by mogli iść nim we troje obok siebie. W przedzie ciemność została przecięta przez błysk, mówiący towarzyszom, że nie są sami.

Drizzt pobiegł do przodu, z sejmitarami w dłoniach, zamierzając oczyścić drogę. Entreri chciał podążyć za nim, jednak zawahał się, widząc, że Catti-brie nie wiadomo dlaczego szła w przeciwną stronę.

- Co ty robisz? - zapytał zabójca, jednak kobieta nie odpowiedziała. Idąc, założyła jedynie strzałę na cięciwę.

Minąwszy boczny korytarz, padła na ziemię i krzyknęła, gdy wypadł na nią drow żołnierz, zanim jednak zdołał wymierzyć miecz, w jego klatkę piersiową wbił się ciśnięty sztylet. Entreri podbiegł tam, ścierając się z następnym drowem i wołając do Catti-brie, by uciekała w przeciwną stronę, do Drizta.

-Zatrzymaj ich! -było to jedyne wyjaśnienie, jakie zaoferowała młoda kobieta, pracując dalej w swoją stronę.

- Zatrzymaj ich? - powtórzył Entreri. Ściął drugiego drowa i zmierzył się z trzecim, podczas gdy dwóch innych pobiegło w stronę, z której przyszedł.

Drizzt pochylał się na zakrętach, a nawet wskakiwał na zakrzywione ściany, by utrzymać swoją desperacką prędkość.

- Odważne! - dobiegło powitalne wołanie, wypowiedziane w języku drowów, a tropiciel zwolnił, widząc Dantraga i Berg'inyona Baenre, siedzących niedbale na swych jaszczurczych wierzchowcach na środku tunelu.

- Odważna próba! - powtórzył Dantrag, jednak jego uśmiech kpił z całej tej ucieczki, powodował u Drizta uczucie, iż wszystkie ich wysiłki nie doprowadziły do niczego więcej jak tylko do uciechy

czupurnego fehmistrza oraz jego niepokonanego ataku.

ROZDZIAŁ 26

NIESPODZIANKA CATTI-BRIE

Wydawało mi się, że twój jaszczur został zestrzelony -stwierdził Drizzt, starając się zabrzmieć pewnie w obliczu swego rozczarowania.

Berg'inyon zmierzył popędliwego renegata stanowczym spojrzeniem swych jaśniejących czerwienią oczu i nie odpowiedział.

- Dobry strzał - zgodził się Dantrag. - Jednak to był w końcu tylko jaszczur, wart zresztą z nawiązką rozrywki, jaką dostarczyłeś wraz ze swymi żalonymi przyjaciółmi. - Dantrag wyciągnął od niechcienia rękę i wziął od brata długą lancę śmierci. - Jesteś gotów, by umrzeć, Drizzcie Do'Urdenie? - spytał opuszczając śmiercionośny koniec.

Drizzt pochylił się, łapiąc równowagę, i skrzyżował przed sobą sejmitary. Gdzie była Catti-brie i Entreri? - zastanawiał się, obawiając, iż mogli się natknąć na opór w korytarzu - żołnierzy Dantraga?

Gdy pomyślał, że Catti-brie może już nie żyć, zalała go nagle rozpacz, odepchnął ją jednak, przypominając sobie, by jej ufać, by wierzyć, że potrafi o siebie zadbać.

Jaszczur Dantraga wyskoczył w przód, po czym pomknął bokiem po ścianie. Drizzt nie miał pojęcia, w którą stronę skieruje się stwór, gdy się do niego zbliży. Z powrotem na podłogę? Wyżej na ścianę? A może wejdzie na strop i zanieś swego wiszącego jeźdźca tuż nad j ego cel?

Dantrag wiedział, że Drizzt przez wiele lat przebywał na powierzchni, gdzie nie było stropów - czy nie uważał tej ostatniej możliwości za najbardziej diabelską?

Drizzt skierował się ku przeciwległej ścianie, padł jednak na kolana w tej samej chwili, w której Dantrag wprowadził swego biegnącego szybko na kleistych łapach wierzchowca na strop. Czubek długiej lancy ledwo chybił głowę uchylającego się tropiciela, a gdy jeździec minął go, Drizzt podskoczył, chwytając za drzewce broni.

Poczuł ukłucie w dolnej części pleców i odwrócił się, by ujrzeć Berg'inyona siedzącego spokojnie na swym wierzchowcu i przeładowującego kuszę.

- Nikt nie powiedział, że to będzie uczciwa walka, Drizzcie Do'Urdenie! - wyjaśnił ze śmiechem Dantrag. Obrócił swego dobrze wyszkolonego wierzchowca, sprowadził go z powrotem na ziemię, po czym znów opuścił lancę.

* * *

Miecz i sztylet pobłyskiwały szaleńczo, gdy Entreri starał się dobić upartego mrocznego elfa. Był on jednak doświadczonym wojownikiem, a jego zastawy były szybkie i celne. Za owym drowem pozostałe mroczne elfy zbliżały się stopniowo w stronę Entreriego, nabierając pewności, gdy obserwowały, jak ich towarzysz powstrzymuje diabelskie ataki zabójcy.

- Co robisz? - Entreri zapytał Catti-brie, widząc, że klęczy ona obok dużego skalnego pagórka. Kobieta wstała i wystrzeliła pocisk w głaz, następnie drugi, po czym opadła z powrotem na kolana.

- Co robisz? - spytał z większym naciskiem Entreri.

- Przestań marudzić i skończ z tym drowem - odwarknęła Catti-brie, a Entreri popatrzył na nią z niedowierzaniem, nagle nie będąc już taki pewny, co myśleć o tej zaskakującej istocie. Po zastanowieniu Catti-brie cisnęła onyksową figurkę na ziemię. - Wracaj, Guenhwyvar - powiedziała zbyt spokojnie. - Mój bohaterski towarzysz potrzebuje twojej pomocy.

Entreri warknął i natarł na przeciwnika ze zwiększoną furią -właśnie takiego efektu oczekiwała przebiegła Catti-brie. Jego miecz zaczął wykonywać obroty, zaś wysadzany klejnotami sztylet wykonywał pchnięcia przy każdej nadarzającej się sposobności.

Mroczny elf zawołał coś, a jeden z tych najbliższych niego zdobył się na odwagę i dołączył do walczących. Entreri warknął i z wahaniem cofnął się o krok.

Przed zabójcą błysnęła srebrzysta strzała, pozbawiając go wzroku, a gdy mógł już widzieć, znów stawał czoła jednemu drowowi, zaś ci, którzy obserwowali z tyłu, z bocznego korytarza, już dawno zniknęli.

Entreri zmierzył Catti-brie sarkastycznym spojrzeniem, jednak ona strzelała z powrotem do głazu (oraz rozmawiała z panterą, która wróciła) i tego nie widziała.

* * *

Drizzt czuł w plecach pieczenie wywołane trucizną, odczuwał jednak również mrowienie wypitych niedawno leczących eliksirów. Zaczął mdleć - celowo - i usłyszał, jak Dantrag śmieje się z niego, wyszydza go. Rozległo się przewidywalne brzęknięcie kuszy Berg'inyona i Drizzt padł na kamienie, a bełt przemknął nad nim, ścierając radość z twarzy fehmistrza, odbił się bowiem od skały niezbyt daleko od głowy Dantraga.

Dantrag ruszył do natarcia, zanim Drizzt zdołał się w pełni podnieść, tym razem fehmistrz szarżował prosto na niego. Drizzt padł na jedno kolano, wybił się i obrócił, zaciekle tnąc w niebezpieczną i zaklętą lancę, gdy przemykała tuż pod jego uniesionym ramieniem. Przejeżdżając, Dantrag wykonał ręką niemożliwie szybkie uderzenie na odlew w twarz Drizzta. Tropiciel, którego obydwa ostrza zajęte były powstrzymywaniem lancy, nie mógł odpowiedzieć.

Fehmistrz bardzo szybko zawrócił i Drizzt musiał rzucić się na bok, podczas gdy potężna lanca wyryła głębokie szczyrby w skale. Drizzt odwrócił natychmiast kierunek, mając nadzieję trafić, zanim lanca przemknie, jednak Dantrag znowu był zbyt szybki. Wyszarpnął swój miecz i nie tylko odbił zamach Drizzta, lecz również skontrolował uderzeniem w bok wyciągniętej ręki tropiciela. Następnie miecz wrócił do pochwy, zbyt szybko, by Drizzt mógł nadążyć za tym ruchem.

Jaszczur zawrócił, w tym natarciu wbiegając na ścianę i zmuszając Drizzta do szaleńczego przekoziołkowania w tył.

- Jak długo, Drizzcie Do'Urdenie? - spytał czupurny fehmistrz, wiedząc, że Drizzt, przy swoim ciągłym unikaniu, musiał się męczyć.

Drizzt warknął i nie mógł się nie zgodzić, kiedy jednak wstał z podłogi, odwracając się, by spojrzeć na tor ruchu jaszczura, ujrzał kącikiem oka przebłysk nadziei - znajomy pysk pewnej pantery wyłaniający się zza załomu korytarza.

Dantrag obracał właśnie swego wierzchowca do piątego natarcia, gdy wpadła na niego Guenhwyvar. Jaszczur przewrócił się, podobnie jak przypięty do niego Dantrag. Fehmistrz zdołał jakoś rozpiąć uprząż, gdy bestia toczyła się dalej, i wstał, dość wstrząśnięty, odwracając się do tropiciela.

- Teraz walka jest uczciwa - oznajmił Drizzt.

Świsnął bełt z kuszy, przelatując obok Dantraga i nadstawionego do bloku sejmitara Drizzta, trafiając tropiciela w ramię.

- Nie bardzo - sprostował Dantrag, znów się uśmiechając. Szybciej niż mogły nadążyć oczy Drizzta, wyszarpnął z pochew dwa miecze i zaczął się miarowo zbliżać. Wewnątrz jego głowy myślący miecz, pragnący tej walki chyba bardziej niż sam fehmistrz, zgodził się telepatycznie.

- Nie bardzo.

* * *

- Co ty robisz?! - wrzasnął Entreri, gdy Guenhwyvar przemknęła obok niego, nie zważając na jego przeciwnika. Rozzłoszczony zabójca wyładował swą frustrację na walczącym z nim nieszczęsnym samotnym drowie, trafiając go składającą się z trzech cięć kombinacją, która pozbawiła go równowagi i zraniła poważnie jedną z rąk. Entreri mógłby najprawdopodobniej dobić go w tym momencie, jednak jego uwaga wciąż była w pewnym stopniu skupiona na Catti-brie.

- Robię tylko dziury - powiedziała młoda kobieta, jakby to powinno wszystko wyjaśnić. Wystrzeliła kilkakrotnie raz za razem, odłupując kamienie od ogromnego stalaktytu. Jedna strzała wpadła do rozciągającej się w dole jaskini.

- Przed nami jest walka! - zawołał Entreri. - A przez tę dziurę w stropie zaczną wkrótce wlatywać mroczne elfy.

- To skończ to, co robisz! - wrzasnęła do niego Catti-brie. - I pozwól zrobić to samo mi!

Entreri powstrzymał nasuwającą mu się odpowiedź, zacisnął wargi i zdecydował, że jeśli wyjdzie żywy z tego wszystkiego, Catti-brie będzie żałowała, że ona również.

Walczący z zabójcą drow zaatakował nagle, sądząc, że jego przeciwnik ma rozproszoną uwagę. Miecz Entreriego podążył jednak gwałtownie w lewo, prawo i prosto, odtrącając obydwie ostrza i zaliczając drobne trafienie, znów w krwawiącą rękę.

* * *

Guenhwyvar oraz podziemny jaszczur byli toczącą się kulą sierści i łusek, tkwili splątani w drapiącym i gryzącym galimatiasie. Dzięki swej dłuższej szyi jaszczur przesunął głowę, gryząc Guenhwyvar w bok, jednak pantera uparcie trzymała chwyt na podstawie szyi stworza. Jeszcze gorszy był fakt, iż łapy Guenhwyvar znajdowały się w obrębie zasięgu jaszczura, dając jej wyraźną przewagę podczas przetaczania się. Przednie łapy pantery utrzymywały ciasny i stały chwyt, podczas gdy tylne podkuliły się i rozpoczęły paskudne szarpiące kopnięcia, rozrywając bestię.

Zwycięstwo było dla osaczonej pantery w zasięgu łapy, jednak nagle poczuła na grzbiecie okrutne ukłucie, ukłucie miecza.

Pantera szarpnęła szaleńczo pyskiem, wrywając kawał barku jaszczura, jednak ból sprowadził czerń, a Guenhwyvar, ranna już podczas ucieczki pomostami, musiała się poddać, musiała rozlać się w niematerialną mgłę i podążyć tunelem z powrotem na Plan Astralny,

Rozszarpany jaszczur wiał się na kamieniach, krwawiąc z szyi oraz boków, a spod skóry wylewały mu się wnętrzności. Odczołgał się tak szybko, jak tylko mógł, szukając dziury, w którą mógłby wypełznąć.

Berg'inyon nie zwracał na niego uwagi. Siadł tylko z powrotem na swoim wierzchovcu, obserwując toczącą się walkę z więcej niż tylko przelotnym zainteresowaniem. Zaczął przeładowywać kuszę, lecz zmienił zdanie i jedynie siedział.

Wydawało mu się, że jest tutaj tylko po to, by zyskać, niezależnie od tego, kto wygra pojedynek.

Z rozłożonymi rękoma i ostrzami mieczy spoczywającymi na barkach, fehmistrz podszedł niedbale, by stanąć przed Drizztem. Zaczął coś mówić, jak sądził Drizzt, kiedy nagle zamachnął się mieczem. Drizzt uniósł swoje ostrze do bloku i usłyszał brzęk stali o stal, po czym Dantrag ciął drugą klingą i wymierzył cios w przód rękojęścią pierwszej broni.

Drizzt ledwo mógł dostrzec jego ruchy. Podniósł Błysk na czas, by zablokować drugie ostrze i oberwał solidnie w twarz od ciosu. Następnie został uderzony kolejny raz, gdy w górę uniosła się druga dłoń Dantraga, zbyt szybko, by Drizzt mógł jąchwycić.

Jaką magią dysponował ten drow? - zastanawiał się Drizzt, nie uważał bowiem, by ktokolwiek mógł poruszać się tak szybko.

Ostra jak brzytwa klinga jednego z mieczy Dantraga zaczęła lśnić słabą czerwoną linią, choć Drizztowi wydawała się ona jedynie niewyraźną mgiełką, gdy fehmistrz wykonywał dalej swe szybkie jak błyskawica manewry. Drizzt mógł jedynie reagować na każdy ruch, wymachiwać swymi ostrzami na wszystkie strony i odczuwać pewną ulgę, słysząc brzęk stali. Opuściły go wszelkie myśli o kontrataku, mógł jedynie żywić nadzieję, iż Dantrag szybko się zmęczy.

Dantrag uśmiechnął się jednak, zdając sobie sprawę, że Drizzt, jak każdy inny drow, nie mógł poruszać się wystarczająco szybko, by wykonać skuteczny kontratak.

Błysk przechwycił cięcie mknące na Drizzta z lewej. Dnigi miecz Dantraga, ten świecący, wykonał szeroki łuk z prawej, a Drizzt został lekko pozbawiony równowagi, gdy wysunął na jego spotkanie drugi sejmitar, czubkiem pionowo w górę, blokując. Miecz zetknął się z sejmitarem w pobliżu jego czubka i Drizzt wiedział, że nie ma dość siły, by całkowicie zatrzymać ów cios, zastawiając się pod tak trudnym kątem. Gdy jego ostrze w nieunikniony sposób cofało się, zanurkował prosto w dół, a miecz świsnął mu nad głową, uderzając w kamienną ścianę i wbijając się w nią!

Drizzt niemal krzyknął, widząc, jak niewiarygodnym ostrzem obdarzona jest ta broń, tnąca skałę z taką łatwością, jakby był to ukochany, cuchnący ser Bruenora Battlehammera!

- Jak długo jeszcze możesz? - spytał go kpiąco Dantrag. - Twoje ruchy już sącoraz wolniej sze, Drizzcie Do' Urden. Wkrótce otrzymam twoją głowę. - Pewny siebie fehmistrz ruszył do ataku, a

jego pewność stała się jeszcze większa, gdy już ujrzał w walce legendarnego renegata.

Drizzt został wzięty przez zaskoczenie, cofał się, obawiając o konsekwencje swej porażki. Zmusił się do uświadomienia sobie teraz tego, zmusił się do wejścia w trans medytacyjny, skupiając się całkowicie na przeciwniku. Nie był w stanie reagować na błyskawiczne ruchy Dantraga, musiał spojrzeć głębiej, by zrozumieć metody swego wyszkolonego i przebiegłego adwersarza, jak zrobił, gdy Dantrag za pierwszym razem zaszarżował na niego na jaszczurze. Drizzt wiedział, że nacierający Dantrag uda się na strop, zdołał bowiem spojrzeć na sytuację poprzez oczy fehmistrza.

Tak też stało się teraz. Dantrag natarł kombinacją pchnięć z lewej, prawej, lewej i lewej, a ostrza Drizzta za każdym razem ustawiały zastawę. Drizzt rozpoczynał wręcz bloki, zanim jeszcze Dantrag zaczynał ataki. Natarcia fehmistrza nie różniły się aż tak bardzo od ataków Zaknafaína, poznanych podczas tak wielu lat ćwiczeń. Choć Dantrag poruszał się szybciej niż jakikolwiek drow, z którym zetknął się kiedyś Drizzt, tropiciel zaczął podejrzewać, iż Dantrag nie jest w stanie improwizować, zaczawszy już jakiś manewr.

Chwycił lecący z góry miecz, wykonał pełen obrót, by zamachnąć się w poprzek Błyskiem i odtrącić przewidywalne pchnięcie drugiego. Drizzt wiedział już, że to prawda. Dantrag był w równym stopniu niewolnikiem własnej prędkości jak j ego przeciwnik.

Zaatakował zaciekle, jednak Drizzt był już na kolanach, wysuwając jeden sejmitar nad głowę, by powstrzymać opadającą broń Dantraga. Drugie uderzenie fehmistrza było w drodze, załamało się jednak ułamek sekundy później, gdy Błysk wystrzelił w przód i wyciął zgrabną linię na boku goleni Dantraga, zmuszając go do odskoczenia.

Wydając z siebie wściekłe warknięcie, fehmistrz rzucił się zaraz z powrotem, uderzając w ostrza Drizzta i powoli zmuszając je do uniesienia się. Drizzt kontrował każdy ruch, dostosowując się do wzorca ataków. Z początku umysł tropiciela wybiegał w przyszłość, by wypracować skuteczny kontratak, j ednak nagle Drizzt rozumiał stojący za tym manewrem cel Dantraga, scenariusz który Drizzt rozgrywał ze swym ojcem.

Dantrag nie mógł wiedzieć - ponieważ wiedzieli to tylko Drizzt i Zaknafaín - że Drizzt odnalazł rozwiązanie tego zwykle nie dającego się obronić ataku.

Sejmitary uniosły się wyżej, a Dantrag znajdował się pod nimi i w ich zasięgu. Atak ten nazywany był niskim, podwójnym pchnięciem, a jego celem było doprowadzenie, by przeciwnik unióśł wysoko broń, potem nastąpiło cofnięcie i powrót z własnymi klingami.

Drizzt odskoczył i uderzył swymi skrzyżowanymi sejmitarami od góry w lecące ostrza, wykonując jedyną możliwą zastawę do tego ciosu, dolny krzyż. Drizzt skontrował jednak jeszcze, gdy blokował, przenosząc ciężar na wysuniętą stopę, podczas gdy druga wykonała kopnięcie, pomiędzy rękojeści sejmitarów, pomiędzy zaskoczone oczy Dantraga.

Trafił dokładnie w twarz fehmistrza, powodując, że Dantrag zatoczył się kilka kroków do tyłu,

Drizzt skoczył za nim, zasypując oszołomionego drowa dzikimi atakami. Teraz to on wymuszał ruchy, uderzając raz za razem, by przeciwnik nie mógł przejść do ofensywy, by nie mógł w pełni wykorzystać swej niewiarygodnej prędkości.

Teraz to Dantrag reagował na oślepiające ataki Drizzta, sejmita-ry uderzające w niego pod każdym podstępny kątem. Drizzt nie wiedział, jak długo jest w stanie utrzymać ten dziki szturm, rozumiał jednak, że nie może pozwolić, by Dantrag przeszedł do ofensywy, by znów zaczął go spychać.

Trzeba przyznać Dantragowi, że zdołał wystarczająco dobrze zachowywać równowagę, by bronić ataki, i że uchylał się na bok za każdym razem, gdy sejmitar prześlizgiwał się przez zastawę. Drizzt zauważył, iż jedynie dłonie Dantraga wydawały się posiadać tę niewyobrażalną szybkość. Reszta ciała drowa poruszała się odpowiednio, z idealną równowagą, jak można by oczekiwać po fehmistrzu Baenre, jednak, nie licząc dłoni, Dantrag nie był szybszy od Drizzta.

Błysk wystrzelił w przód. Miecz Dantraga brzęknął o jego bok. Przebiegły Drizzt obrócił sejmitar, wykorzystując jego zakrzywione ostrze, by przetoczyć go po broni fehmistrza i ugodzić go w ramię.

Dantrag odskoczył, starając się rozerwać zwanie, jednak Drizzt doścignął go, wymachując sejmitarami. Znów, a później jeszcze raz Drizzt obrócił doskonale zastawy Dantraga w drobne trafienia, płynne ruchy jego zakrzywionych kling pokonywały proste bloki mieczy.,

Czy Dantrag mógł przewidywać ruchy Drizzta równie dobrze, jak on przewidywał manewry fehmistrza? - zastanawiał się tropiciel z więcej niż tylko niewielkim sarkazmem i zdusił paskudny uśmiech. Błysk wystrzelił w przód, a na jego spotkanie wyruszył blokujący miecz, jedyna możliwa w tej sytuacji obrona. Drizzt zaczął obracać ostrze, a Dantrag zaczął cofać rękę.

Drizzt zatrzymał jednak nagle manewr i odwrócił kierunek, posyłając Błysk w poprzek szybciej, niż Dantrag mógł zareagować. Śmiercionośny sejmitar zanurzył się głęboko w drugim przedramieniu fehmistrza, odtrącając je na bok, po czym wrócił w poprzek, a Drizzt wykonując ten ruch podszedł o krok, wycinając zwartą linię przez brzuch Dantraga.

Krzywiąc się z bólu, fehmistrz zdołał odskoczyć od swego niebezpiecznego przeciwnika. - Dobry jesteś - przyznał, i choć starał się utrzymać fasadę pewności siebie, po drzeniu w jego głosie Drizzt mógł stwierdzić, że ostatnie trafienie było poważne.

Dantrag uśmiechnął się nieoczekiwanie. - Berg'inyon! - zawołał, spoglądając na bok. Jego oczy rozszerzyły się mocno, gdy ujrzał, że jego brata już tam nie ma.

- Chciałby zostać fehmistrzem - stwierdził spokojnie Drizzt. Dantrag ryknął ze wściekłością! wyskoczył w przód. Jego ataki następowały raz za razem, przełamując ofensywę przeciwnika.

Miecz śmignął w górę i wściekły zabójca postąpił krok do przodu, a jego miecz sączył ochoczo zyciodajną krew jego przeciwnika. Entreri szarpnął bronią raz i drugi, po czym odstąpił o krok, pozwalając martwemu drowowi paść na kamienie.

Zabójca zachował przytomność umysłu, by skoczyć natychmiast na bok korytarza i potrząsnął bezradnie głową, gdy kilka bełtów odbiło się od ściany naprzeciwko otworu.

Entreri odwrócił się do wciąż klęczącej Catti-brie i znów zapytał, co zamierza zrobić.

Kasztanowo włosą kobietą, tak złudnie niewinną, uśmiechnęła się szeroko i podniosła ostatnią z naładowanych klepsydr, po czym wsunęła ją do jednej z dziur wyrwanych przez strzały.

Krew odpłynęła zabójcy z twarzy, gdy uświadomił sobie, w jaki sposób Catti-brie wysadziła pomost w jaskini i zdał sobie sprawę, co robi ona teraz.

- Powinniśmy uciekać - stwierdziła Catti-brie, podnosząc się z klęczek z Taulmarilem w garści.

Entreri już ruszył, nie zaglądając nawet w mijany boczny korytarz.

Catti-brie podążała tuż za nim, wręcz się śmiejąc. Zatrzymała się na wystarczająco długo przy otworze w podłodze, prowadzącym z powrotem do głównej jaskini, by krzyknąć do zmierzających w jej stronę mrocznych elfów, iż najprawdopodobniej nie spodoba im się przyjęcie.

* * *

Pchnięcie z lewej, pchnięcie z prawej, dolne cięcie z lewej, dolne cięcie z prawej. Ataki Dantraga były szybkie i brutalne, jednak sejmitary Drizzta były w odpowiednich miejscach do zastaw i bloków, a sprytny tropiciel znów wykorzystał swą trzecią broń -but - by kontratakować. Wyrzucił stopę w górę, by ugodzić fehmistrza w już zraniony brzuch.

Dantrag nie mógł się powstrzymać przed pochylaniem, po czym znów znalazł się w defensywie, reagując desperacko na nieugięte ataki Drizzta.

Zza załomu wyłonił się Entreri. - Uciekaj! - krzyknął, i choć potrzebował Drizzta, by jego ucieczka mogła się całkowicie powieść, nie ośmielił się zatrzymać i pociągnąć tropiciela za sobą.

Catti-brie pojawiła się jako następna, akurat by ujrzeć jak sejmitary Drizzta wystrzelił wujką w przód i zostają rozsunięte oraz przytrzymane przez blokujące miecze Dantraga. Gdy w nieunikniony sposób zetknęli się ze sobą, kolano Drizzta uniosło się w górę szybciej niż Dantraga, i w nagłej eksplozji bólu ranny fehmistrz zrozumiał, że nie jest w stanie utrzymać Drizzta.

Drizzt obrócił Błysk nad blokującym mieczem i wycelował go w żebra Dantraga, po czym wydawało się, że znieruchomieli obydwaj, patrząc sobie w oczy.

- Zaknafein by cię pokonał - obiecał ponuro tropiciel, po czym zagłębił Błysk w sercu Dantraga.

Drizzt obrócił się do Catti-brie, starając się odgadnąć przyczynę przerażenia w jej szeroko otwartych oczach.

Rzuciła się na niego szaleńczo i tropiciel potrzebował chwili, by zdać sobie w ogóle sprawę, że uniosła się z podłogi, niesiona falą uderzeniową wybuchu.

ROZDZIAŁ 27

WYJAŚNIANIE

Zatrzeszczał i jęknął w proteście, fale uderzeniowe oraz palące płomienie utrzymywały się na stropie jaskini. Następnie spadł, niczym wielka włócznia, świszcząc podczas swego trzystumetrowego upadku. Bezradne i przerażone mroczne elfy, które lewitowały w pobliżu, obserwowały z przerażeniem jak przelatuje obok.

Wewnątrz sklepionej kaplicy ceremonia trwała bez zakłóceń. Żołnierka z elitarnej gwardii domu Baenre, jednak z pewnością nie szlachcianka, zaczęła wbiegać na centralne podwyższenie, wrzeszcząc szaleńczo. Z początku opiekunka Baenre oraz pozostałe sądziły, iż pochwyciła ją szalona furia, nazbyt powszechne zjawisko podczas niekontrolowanych rytuałów drowów. Stopniowo doszły do zrozumienia, iż ta żołnierka wydaje z siebie ostrzegawcze okrzyki.

Siedem matek opiekunek skierowało nagle podejrzliwe spojrzenia na opiekunkę Baenre, a nawet jej córki nie wiedziały, o co chodzi.

Wtedy uderzył stalaktyt.

* * *

Drizt chwycił Catti-brie w locie, po czym on również się wzniósł. Odwrócił się, gdy lądowali, zasłaniając sobą młodą kobietę.

Obydwoje wrzeszczeli, żadne nie słyszało jednak niczego poza grzmotem i rykiem powiększającej się kuli ognia. Drizt czuł na plecach ciepło, a jego płaszcz zapalił się w kilku miejscach, gdy trafiła go krawędź ognistej burzy.

Nagle wszystko skończyło się tak szybko, jak zaczęło. Drizzt sturlał się z Catti-brie i zaczął szamotać, by zdjąć płonący płaszcz, po czym podbiegł do swej wciąż leżącej towarzyszki, obawiając się, iż w wyniku eksplozji straciła przytomność albo stało się coś jeszcze gorszego.

Catti-brie otworzyła niebieskie oko i błysnęła przebiegłym, złośliwym uśmiechem.

- Mogę się założyć, że droga za nami jest czysta - parsknęła, a Drizzt niemal roześmiał się na głos. Podniósł ją przytulił mocno, czując w tej chwili, że być może są z powrotem wolni. Pomyślał o przyszłości w Mithrilowej Hali, o przyszłości, którą spędzi u boku Bruenora, Regisa i Guenhwyar, a także, oczywiście, Catti-brie.

Drizzt nie mógł uwierzyć, że z własnej winy niemal stracił to wszystko.

Puścił Catti-brie na chwilę i pobiegł za załom, by upewnić się, że wszystkie ścigające ich drowy zniknęły.

- Witaj - Catti-brie wyszeptała pod nosem, spoglądając na wspaniały miecz leżący obok pokonanego fehmistrza. Podniosła ostrożnie broń, zdumiona, dlaczego zły drowi szlachcic nosił miecz, którego rękojeść miała kształt jednorożca, symbolu dobrej bogini Mielikki.

- Co znalazłaś? - spytał Drizzt.

- Sądzę, że będzie do ciebie pasował - stwierdziła Catti-brie, podnosząc broń, by pokazać mu niezwykłą głownię.

Drizzt wpatrywał się z zaciekawieniem w miecz. Nie zauważył tej rękojeści podczas walki z Dantragem, choć z pewnością zapamiętał, iż właśnie to ostrze z taką łatwością przebiło kamienną ścianę. - Ty go zatrzymaj - zaproponował wzruszając ramionami. - Wolę sejmitary, a jeśli to naprawdę jest broń Mielikki, to będzie zadowolona, widząc ją u biodra Catti-brie.

Catti-brie zaszalutowała Drizztowi, uśmiechnęła się szeroko i wsunęła miecz za pas. Odwróciła się, słysząc że Entreri wraca, podczas gdy Drizzt nachylił się nad ciałem Dantraga i w ciszy zsunął z nadgarstków martwego drowa bransolety.

- Nie możemy się ociągać! - warknął wyraźnie zdenerwowany zabójca. - Wie już o nas całe Menzoberranzan, a nawet tysiąc kilometrów pomiędzy mną a tym paskudnym miastem to będzie za mało!

Chyba po raz pierwszy Drizzt stwierdził, iż w pełni zgadza się z zabójcą.

Przypięcie do biodra ludzkiej kobiety nie było dokładnie tym, co myśląca Khazid'hea miała na myśli. Miecz usłyszał sporo o Drizzcie Do'Urdenie i po porażce Dantraga zmienił wygląd swej magicznej rękojeści, by móc spocząć w garści legendarnego wojownika.

Drizzt nie chwycił przynęty, jednak miecz, nie na darmo noszący imię Przecinaczka, mógł zaczekać.

* * *

Podróż przebiegała gładko, przez całą resztę dnia oraz długo w noc nie było widać śladów pościgu. W końcu grupa nie miała innego wyboru, musiała zatrzymać się i odpocząć, były to jednak niespokojne i nerwowe chwile.

Tak ciągnęło się to przez trzy dni ucieczki, odkładającej za nimi kolejne kilometry. Drizzt prowadził i trzymał się z dala od Blingdenstone, obawiając się zaplątać svirfnebli w tę niewiarygodną i niebezpieczną pajęczynę. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nie dopadły ich jeżdżące na jaszczurach patrole, nie mógł uwierzyć, że w korytarzach za nimi albo po bokach, nie przyczaiły się dziesiątki mrocznych elfów, czekając, aż wejdą w zasadzkę.

Tak więc Drizzt nie zdumiał się, widząc znajomego, krzykliwego mrocznego elfa, stojącego na środku korytarza, z szerokim kapeluszem w dłoni, czekającego, by powitać jego oraz jego uciekających towarzyszy.

Catti-brie, wciąż wzburzona, wciąż kierująca się instynktami wojowniczkii, natychmiast podniosła Taulmarila. - Tym razem nie uciekniesz - mruknęła pod nosem, przypominając sobie, jak przebiegły Jarlaxle wykiwał ich po walce w Mithrilowej Hali.

Entreri chwycił strzałę, zanim Catti-brie naciągnęła łuk, a młoda kobieta, widząc, że Drizzt nie wykonuje żadnego ruchu, by wyciągnąć broń, nie kontynuowała.

- Proszę, droga i piękna kobieto - powiedział do niej najemnik. - Przyszedłem tylko po to, by się pożegnać.

Jego słowa szarpnęły nerwy Catti-brie, jednak z drugiej strony nie mogła zaprzeczyć, iż Jarlaxle traktował ją z godnością, nie napastował jej, gdy była bezradną więźniarką.

- Z mojej perspektywy wydaje się to dziwne - stwierdził Drizzt, starając się, by jego głos brzmiał spokojnie. Wymacał w sakiewce onyksową figurkę, jednak jej obecność nie uspokoiła go, wiedział bowiem, iż jeśli zajdzie potrzeba przywołania pantery, najprawdopodobniej wszyscy zginą. Drizzt oraz Entreri, znając metody Bregan D'aerthe i środki ostrożności podejmowane przez ich nieuchwytnego przywódcę, wiedzieli, że sąotoczeni przez przytłaczającą liczbę wyszkolonych wojowników.

- Być może nie byłem tak przeciwny twojej ucieczce, Drizzcie Do'Urden, jak wydajesz się sądzić - odparł Jarlaxle, a nikt nie miał wątpliwości, iż kierował tę uwagę głównie do Artemisa Entreri.

Entreri nie wydawał się być zaskoczony tymi słowami. Wszystko ułożyło się tak dogodnie dla zabójcy - opaska Catti-brie oraz medalion, który pomógł odszukać Drizzta, pajęczna maska, wzmianki Jarlaxle'a o słabościach domu Baenre podczas wysokiego rytuału, a nawet figurka pantery, czekająca na biurku Jarlaxle'a, by ją wziął. Nie wiedział, jaki był cel oraz zaangażowanie Jarlaxle'a w aranżowaniu tego wszystkiego, z pewnością rozumiał jednak, że najemnik przewidział bieg wydarzeń.

- Zdradziłeś swój lud - rzekł zabójca.

- Mój lud? - wypalił Jarlaxle. - Zdefiniuj ten termin, lud. - Jarlaxle milczał przez kilka chwil, po czym roześmiał się, nie słysząc odpowiedzi na swą prośbę. - Nie współpracowałem z planarni pewnej matki opiekunki - sprostował.

- Pierwszej matki opiekunki - wtrącił się Entreri.

- Na razie - dodał z chytrym uśmiechem najemnik. - Nie wszystkie drowy były zadowolone z sojuszu, jaki utworzyła Baenre, nawet nie wszystkie w jej własnej rodzinie.

- Triel - powiedział Entreri, bardziej do Drizzta niż do najemnika.

- Między innymi - rzekł Jarlaxle.

- O czym oni mówią? - wyszeptała Catti-brie do Drizzta, który wzruszył jedynie ramionami, nie rozumiejąc całości zdarzeń.

- Omawiamy los Mithrilowej Hali - wyjaśnił jej Jarlaxle. - Polecam się do usług, droga i piękna pani. - Pochylił się w zgrabnym ukłonie, który Catti-brie uznała z jakiegoś powodu za bardziej niż trochę niezręczny.

Jarlaxle spojrział na Drizzta. - Dałbym bardzo wiele, by choć zerknąć na miny tych wszystkich matek opiekunek wewnątrz kaplicy Baenre, gdy stalaktytowa włócznia twojej ślicznej towarzyszki przebiła się przez dach!

Drizzt i Entreri skierowali wzrok na Catti-brie, która wzruszyła tylko ramionami i uśmiechnęła się niewinnie.

- Nie zginęło wielu drowów - dodał szybko Jarlaxle. - Zaledwie garstka w kaplicy i nie więcej niż dwa tuziny podczas całej waszej ucieczki. Dom Baenre otrząśnie się z tego, choć może potrwać trochę, zanim dojdzie do tego, jak oddzielić twoje dzieło z już nie tak idealnie sklepionego stropu! Dom Baenre się z tego otrząśnie.

- Ale sojusz - stwierdził Drizzt, zaczynając rozumieć, dlaczego w pościg tunelami nie ruszyły inne drowy niż tylko Bregan D' aerthe.

- Tak, sojusz - odrzekł Jarlaxle, nie dając wyjaśnień. - Tak naprawdę sojusz mający pójść na Mithrilową Halę został pogrzebany z chwilą, kiedy Drizzt Do'Urden został ujęty.

- Ale pytania! - ciągnął Jarlaxle. - Na tak wiele z nich trzeba odpowiedzieć. To właśnie dlatego przyszedłem, oczywiście.

Troje towarzyszy popatrzyło po sobie, nie rozumiejąc, co sugeruje najemnik.

- Macie coś, co muszę zwrócić - wyjaśnił Jarlaxle, patrząc bezpośrednio na Entreriego. Wystawił pustą dłoń. - Oddajcie to!

- A jeśli nie? - zapytała z zaciekłością Catti-brie. Jarlaxle roześmiał się.

Zabójca wyciągnął natychmiast pajęczą maskę. Oczywiście, że Jarlaxle musiał ją zwrócić do Sorcere, inaczej będzie zamieszany w ucieczkę.

Oczy Jarlaxle'a zaślniły, gdy ujrzał przedmiot, ostatni element potrzebny do ukończenia jego układanki. Podejrzewał, że Triel Baenre śledziła każdy krok Entreriego i Catti-brie, gdy weszli do Sorcere, by ukraść maskę. Naprowadzenie zabójcy na ten przedmiot przez Jarlaxle'a oraz ułatwienie Drizztowi Do'Urdenowi ucieczki były jednak całkowicie zgodne z pragnieniami najstarszej Baenre. Wierzył, że nie zdradzi go swej matce.

Jeśli tylko zdoła zwrócić maskę do Sorcere - co było niezbyt trudnym wyczynem - zanim Gromph Baenre zda sobie sprawę, że zginęła...

Entreri spojrział na Drizzta, który nie miał gotowej odpowiedzi, po czym cisnął maskę Jarlaxle'owi. Po chwili zastanowienia najemnik sięgnął ręką i zdjął z szyi rubinowy wisiołek.

- Nie działa zbyt dobrze na szlachetne drowy - wyjaśnił i rzucił go nieoczekiwanie Drizztowi.

Dłoń Drizzta wyskoczyła w przód zbyt szybko i wisiołek, wisiołek Regisa, uderzył o przedramię tropiciela. Najszybciej jak tylko mógł, Drizzt cofnął rękę, chwytając przedmiot, zanim ześlizgnął się choć o centymetr.

- Bransolety Dantraga - powiedział Jarlaxle ze śmiechem, zauważając osłonę na nadgarstku tropiciela. - Spodziewałem się tego po nich. Nie obawiaj się, przyzwyczaisz się do nich, Drizzcie Do'Urden, a wtedy staniesz się naprawdę niezrównany!

Drizzt nic nie odrzekł, nie wątpił jednak w słowa najemnika. Entreri, nie uwolniony jeszcze z chęci rywalizacji z Drizztem, zmierzył tropiciela groźnym spojrzeniem, nie będąc ani trochę zadowolony.

- Tak więc pokrzyżowaliście plany opiekunki Baenre - ciągnął pompatycznie Jarlaxle, pochylając się w kolejnym ukłonie. - Ty zaś, zabójco, zasłużyłeś sobie na wolność. Spoglądajcie jednak przez

ramię, śmiali przyjaciele, bowiem pamięć mrocznych elfów jest długa, a ich metody diabelskie.

Nastąpił wybuch i pojawił się tuman pomarańczowego dymu, a kiedy się rozwiął, Jarlaxle'ajuznie było.

- Baba z wozu, koniom lżej - mruknęła Catti-brie.

- Powiem wam tak, gdy rozdzielimy się na powierzchni - obiecał ponuro Entreri.

- Tylko dlatego, że Catti-brie dała ci swoje słowo - odparł Drizzt równie posępny tonem. Wraz z Entrerim skrzyżowali bezkompromisowe spojrzenia, pełne czystej nienawiści, a Catti-brie, stojąca pomiędzy nimi, poczuła się naprawdę nieprzyjemnie.

Zostawiwszy za sobą bezpośrednie zagrożenie ze strony Menzoberranzan, starzy wrogowie stali się najwyraźniej z powrotem starymi wrogami.

EPILOG

Towarzysze nie wrócili do jaskini za Przełęczą Martwego Orka. Dzięki przewodnictwu Guenhwyvar dotarli do tuneli głęboko pod Mithrilową Halą, a Entreri znał już odtąd wystarczająco dobrze drogę, by prowadzić ich przez tunele połączone z dolnymi kopalniami. Zabójca oraz tropiciel rozstali się na tej samej półce skalnej, na której niegdyś walczyli, pod tym samym gwiazdzistym niebem, które widzieli nocą podczas swego pojedynku.

Entreri odszedł wzdłuż półki, zatrzymując się mały kawałek dalej, by odwrócić się i spojrzeć na znienawidzonego rywala.

- Moja pamięć również jest długa, nawiązując do pożegnalnych słów Jarlaxle'a. - A czyż moje metody nie są mniej diabelskie niż drowów?

Drizzt nie trudził się odpowiedzią.

- Pewnie, że przeklinam własne słowa - Catti-brie wyszeptała do Drizzta. - Niczego nie chciałabym bardziej, niż wbić mu strzałę w plecy!

Drizzt otoczył ramieniem młodą kobietę i zaprowadził ją z powrotem do tunelu. Nie mógł się nie zgodzić, że gdyby Catti-brie oddała swój strzał, świat stałby się bezpieczniejszym miejscem, jednak

nie obawiał się już Artemisa Entreri.

Drizzt wiedział, że Entreri ma wiele rzeczy na myśli. Zabójcy nie spodobało się to, co ujrzał w Menzoberranzan, w tak wyraźnym zwierciadle jego mrocznej duszy, i długo będzie się otrząsał z emocjonalnych prób, długo będzie wracał w myślach do tak odległego drowa tropiciela.

Mniej niż godzinę później dwoje przyjaciół trafiło na miejsce śmierci Wulfgara. Zatrzymali się i stali tam przez długą chwilę, w ciszy, ręka w rękę.

Kiedy odwrócili się, by odejść, pojawiła się dwudziestka uzbrojonych i opancerzonych krasnoludów, blokujących wszystkie wyjścia machinami wojennymi.

- Poddajcie się albo zrobimy z was marmoladę! - rozległ się okrzyk, kiedy zaś dwoje intruzów zostało rozpoznanych, odezwały się zaskoczone wycia. Krasnoludzcy żołnierze zbliżyli się, otaczając parę.

- Zabrać ich do dowódcy straży! - dobiegł okrzyk i Drizzt oraz Catti-brie zostali zanieśieni z zawrotną prędkością przez kręte korytarze i poprzez formalne wejście do tuneli Mithrilowej Hali. Niewielki kawałek dalej natrafili na wspomnianego dowódcę i dwoje przyjaciół było tak samo mocno zaskoczonych, jak i Regis.

- Dowódca? - było to pierwsze słowo Catti-brie, gdy ujrzała znów swego małego przyjaciela. Regis zerwał się i wskoczył jej w ramiona, w tym samym czasie zarzucając rękę na szyję Drizzta.

- Wróciliście! - krzyczał raz za razem, a jego anielskie rysy jaśniały.

- Dowódca? - spytała ponownie Catti-brie z nie mniejszym niedowierzaniem.

Regis wzruszył lekko ramionami. - Ktoś musi się tym zajmować - wyjaśnił.

- A on, jak na mój gust, zajmuje się tym dobrze - powiedział jeden krasnolud. Inni brodacze w pomieszczeniu zgodzili się szybko, co wywołało rumieniec na twarzy halflinga.

Regis wzruszył lekko ramionami, po czym pocałował Catti-brie tak mocno, że posiniaczył jej policzek.

* * *

Bruenor siedział jakby był zamieniony w kamień, a inne znajdujące się w sali audiencyjnej krasnoludy, powitawszy się serdecznie z Catti-brie, rozsądnie wyszły.

- Sprowadziłam go z powrotem - młoda kobieta zaczęła od niechcienia, kiedy znalazła się sama z

ojcem, starając się zabrzmieć tak, jakby nie stało się nic nadzwyczajnego. - A twoje oczy z pewnością po winny zakosztować widoków Menzoberranzan!

Bruenor skrzywił się, a w jego niebieskoszarych oczach zaśniły łzy. - Cholerna głupia dziewczynka - powiedział na głos, pozbawiając Catti-brie bohaterskiej postawy. Znała Bruenora, odkąd sięgała pamięcią, i nie była pewna, czy krasnolud chce ją uściskać, czy udusić.

- Sam jesteś cholernym głupcem - odpowiedziała z charakterystycznym dla siebie uporem.

Bruenor wyskoczył do przodu i podniósł rękę. Nigdy wcześniej nie uderzył swej adoptowanej córki, lecz teraz zdołał jedynie powstrzymać się w ostatniej chwili.

- Sam jesteś cholernym głupcem! - powtórzyła Catti-brie, jakby ośmielając Bruenora, by ją uderzył. - Siedzisz tu lamentując nad czymś, czego nie możesz zmienić, kiedy to, co wymaga zmiany, przemija sobie radośnie!

Bruenor odwrócił się.

- Czy sądzisz, że choć trochę mniej niż ty tęsknię za Wulfgarem? - ciągnęła Catti-brie, chwytając go za ramię (choć nie była w stanie odwrócić krzepkiego krasnoluda). - Czy sądzisz, że Drizzt mniej za nim tęskni?

- On też jest głupcem! - ryknął Bruenor, odwracając się, by spojrzeć bezpośrednio na nią. Przez krótką, ulotną chwilę Catti-brie ujrzała tę starą iskierkę, ten stary ogień płonący w wilgotnym oku krasnoluda.

- A on jest pierwszym, który by się z tobą zgodził - odparła Cat-ti-brie, a na jej ślicznej twarzy rozkwitł uśmiech. - Wszyscy jesteśmy tacy czasami. Obowiązkiem przyjaciela jest jednak pomóc, gdy ktoś jest głupcem.

Bruenor poddał się, oferując uścisk, którego jego droga córka tak bardzo potrzebowała. - A Drizzt nigdy nie mógłby mieć lepszej przyjaciółki niż Catti-brie - przyznał, przytulając się do szyi młodej kobiety, mokrej od łez starego krasnoluda.

* * *

Za Mithrilową Halą Drizzt Do'Urden siedział na kamieniu, nie zważając na piekący wiatr oznajmiający atak zimy, ciesząc się świtem, o którym sądził, że już go nigdy nie ujrzy.